

# MARZENA ROGALSKA



*Kres Ezydw*

znak



# MARZENA ROGALSKA

*Kres Czasów*

Karla  
tom 2

Wydawnictwo Znak  
Kraków 2021

# PRZYGOTOWANIA

To musiał być cud, że Karli i Emilowi udało się uniknąć przedwyjazdowego rozgardiaszu, a spraw było co niemiara. Ledwo wrócili z Klonowa Donimirskich, na Emila spadły dwa tygodnie praktyki, konieczność rozdzielania na czas długiego urlopu swoich stałych pacjentów pomiędzy kolegów, i – co było nieuniknione – ostateczna rezygnacja z nielicznych już godzin w klinice. Do tego kilka dni w Byszewie, gdzie sporo dokumentów wymagało jego asygnaty, nie mówiąc już o tak prozaicznych sprawach jak wybór odpowiedniej garderoby, która wraz z książkami powinna była zostać jak najszybciej wysłana na adres Dorothy. Emil chciał uniknąć podróżowania z mnóstwem kufrów, a przecież Karla miała bawić w Anglii przez rok i wrócić tylko dla wizyt u rodziny oraz uporządkowania spraw przed studiami.

Nie były to dla niej łatwe dni. W Byszewie trudno jej było się rozstać z ciotką Olgą, która odżyła, ba, rozkwitła wręcz. Przez dwa miesiące od świąt wielkanocnych stała się innym człowiekiem. Radosna, dzieląca swój czas pomiędzy synów, męża i fortepian, odnowiła nawet kontakty ze swymi dawnymi przyjaciółkami i zaczęła przyjmować wizyty w byszewskim dworze. I choć Karla, po raz pierwszy wyjeżdżając, nie martwiła się o nią, to jednak świadomość długiej, może nawet rocznej rozłąki tkwiła w niej mocno.

Było w Byszewie jeszcze jedno rozstanie, do którego mogła się przyznać tylko dwóm osobom na świecie, z absolutną pewnością, że zrozumieją – ojcu i Bolechowi. A było to pożegnanie z ukochaną Aminą. Karla szlochała całą powrotną drogę z samotnego wyjazdu w las, tłumacząc pięknej arabskiej klaczy, że zobaczą się dopiero za rok. Bolech nie dziwił się wcale śladom łez na jej policzkach. Dla tego koniuszego z dziada pradziada miarą wartości człowieka było to, jak się obchodzi z końmi.

– Niech się panienka nie martwi – pocieszał Karłę – rok minie jak z bicza trzasł. A konie pełnej krwi angielskiej też dobre, opowiadała panienka o tych z Klonowa, a teraz w tej Anglii to panienka się wyjeździ za wszystkie czasy.

– Ale Amina to moja przyjaciółka... – chlipnęła Karla. – Gdybym mogła, zabrałabym ją ze sobą! I psy! I koty!

Bolech popatrzył na nią ze zrozumieniem i współczuciem.

– Jak przyjaciółka, to pojmie przecie – powiedział. – Przywita panienkę tak samo przyjaźnie jak zawsze. Mnie też będzie tęskno. Dobrze, że chociaż w soboty i w niedzielę jest trochę pracy z paniczami...

– Zaczęli się starać?

– Ano zaczęli – przytaknął Bolech. – Uczyć się chcą. Musiała im panienka na ambit wejść, jak po Wielkiej Nocy panienka z nimi w długą rajzę pojechała.

Karla uśmiechnęła się przez łzy.

– Powiedziałam im, że jak chcą tak jeździć, to niech idą do terminu do Bolecha, zamkną dzioby i się uczą. Albo do taty, ale przecież tata częściej w Krakowie niż w Byszewie.

– No i poskutkowało. Niech się panienka o Aminę nie martwi. Teraz już u pana Maszkowskiego nie musi stać, ja ją będę objeżdżał, a nikomu innemu nie dam.

– Kochany Bolech. – Uściskała go mocno. – Będę tęsknić.

– Niech się panienka nie martwi. Szybko minie. Wszystko przecie tak szybko mija.

Powtarzała sobie te słowa w pociągu do Lwowa, powtarzała je w drodze do Krakowa w rytm stukotu kół. Szy-bko-mi-ja-szy-bko-mi-ja. Równomierny turkot uspokajał, tęsknota i myśl, że przez rok nie zobaczy bliskich, zaczęła powoli ustępować radosnej, przedwyjazdowej ekscytacji. Tylko świadomość rozstania z Jankiem nie dawała spokoju. Obiecali pisać do siebie, wiedziała, że w Krakowie powinien czekać na nią list, ale myśl o rocznej rozłące z kimś, kto wydawał jej się najbliższy, najukochańszy na świecie, nieomal przerażała. I nieważne, że znali się tak krótko.

– Tatusiu – odezwała się nagle.

– Słucham. – Emil podniósł wzrok znad jakichś gazet.

– A czy nie dałoby się... – zawiesiła głos, jakby zawstydzona.

– Tak?

Emil złożył gazety i poprawił się na kanapie przedziału. Spojrzał wyczekująco na córkę.

– Czy nie dałoby się jeszcze jakoś pożegnać z Jankiem?...

– Masz telefon, chyba nawet na jego stancję.

– Myślałam o czymś innym – odparła z nieukrywaną determinacją. – Wyobraziłam sobie, że przyjeżdżamy do Warszawy dzień wcześniej i jemy z nim obiad...

Emil zdawał się wcieleniem spokoju. Nic nie rzekł, skinął tylko głową, jakby się czegoś podobnego spodziewał.

– I tak przyjeżdżamy do Warszawy dzień wcześniej – przypomniał. – Co do reszty, zgoda, z jednym wyjątkiem. Nie obiad, tylko kolacja. Zaproś Janka w naszym imieniu. Zatrzymamy się w Bristolu. Pamiętasz datę, prawda?

– Jesteś kochany, tatusiu. – Karla pocałowała ojca w policzek. – Już się nie mogę doczekać!

– Jeszcze wiele przed nami – mruknął Emil i zerknął na zegarek. – Za godzinę będziemy w Krakowie. Dziś i jutro odpoczywamy. Pojutrze zrobisz listę koniecznych rzeczy, ja przygotowuję swoją, kupujemy, co potrzeba, spakujemy się i wyślemy kufry. Mamy dwa tygodnie.

\*

Zaraz gdy tylko przyjechali do Krakowa, Karla niemal rzuciła się na stoliczek przy drzwiach wejściowych, gdzie na platerowej tacy składana była nadchodząca pod nieobecność gospodarzy korespondencja. Karla przerzucała naprędce koperty, wreszcie wyłuskała ze stosiku list od Janka i schowała go natychmiast do późniejszego przeczytania. Martwiło ją tylko jedno: żaden z pozostałych nie pochodził od Kathy. Przyjaciółka zamilkła na dobre już jakiś czas temu. Nie zdarzyło się to dotąd właściwie nigdy, pisywały do siebie regularnie, teraz jednak milczenie stawało się coraz bardziej niepokojące. Westchnąwszy ciężko, Karla skierowała się do jadalnego, gdzie Józia przygotowywała właśnie stół.

– Józiu, czy nie dzwoniła Kathy? – spytała. – Bo listów żadnych od niej nie ma...

Kucharka, nieco naburmuszona, spojrzała na dziewczynę.

– Nawet jakby dzwoniła, to i tak bym przecie nie zrozumiała... – sarknęła. Jej dziwne zachowanie nie uszło uwagi stojącego przy oknie Emila, który podniósł zdziwiony brwi. Jeszcze bardziej zaskoczona była Karla.

– Józia chce mi coś powiedzieć – zawyrokowała. – To może pójdziemy do kuchni, a Józia mi wszystko detalicznie wyłoży.

– No to posiedźcie sobie tutaj – odezwał się Emil, kierując się ku drzwiom. – Ja jeszcze muszę chwilę popracować.

Józia zorientowała się, że sprawy zaszły za daleko.

– Z panem doktorem bym chciała porozmawiać – wyrzuciła z determinacją. – Przepraszam panienkę...

Emil zatrzymał się w pół kroku. Wszystko to było zupełnie niepodobne do zwykłego zachowania kucharki. A i Karla odczuła to chyba równie mocno.

– Nic się nie stało – rzekła przyjaźnie do Józii. – To ja pójde do siebie.

Gdy tylko wyszła, Emil spojrzął na Józję badawczo.

– Stało się coś – rzekł pewnym głosem. – Tylko jeszcze nie wiem co. Kłopoty jakieś? Coś niedobrego?

Józia zawahała się. Widać było, że nie może odżałować chwili, w której odburknęła Karli.

– Przepraszam pana doktora – powiedziała wreszcie. Na co Emil się zachnął:

– Przecież się nie gniewam, bo nie mam o co, tylko widzę, że coś się stało, a może mógłbym jakoś pomóc.

– W takich sprawach pan doktor nie pomoże – wypaliła trochę za szybko Józia. Emil pokiwał głową.

– Wiadomo, człowiek nie jest wszechmogący. Ale gdybym się dowiedział czegoś więcej, może znaleźlibyśmy razem takiego, co by pomógł. Idziemy.

– Ale gdzie? – przestraszyła się Józia.

Emil ściszył głos.

– Tam, gdzie małe dzieci uszka nie dosłyszają. Idziemy do Józii.

Kucharka ponownie skinęła głową. Po chwili już byli w jej pokoju. Zerknęła jeszcze na korytarz i zamknęła starannie za sobą drzwi. Przysiadłszy na tapczaniku, równie szybko się poderwała, gdy spostrzegła, że Emil wciąż stoi.

– Mogę usiąść? – upewnił się doktor.

– Ale przecież – wybąkała.

– Jestem u Józii w gościach – rzekł spokojnie.

– Tak, tak, niech pan doktor siada. – Józia, nie wiedząc, co mówić, do reszty straciła rezon. Emil przysiadł na krześle. Ze ściany spoglądał na nich

łagodnie z olbrzymiego oleodruku stojący w łodzi Pan Jezus. Kobieta zerknęła na niego trwożliwie i przeniosła wzrok na Emila wpatrującego się uważnie w ślad po zdjętym obrazku na drugiej ścianie.

– Jak z Karłą pojedziemy – podjął nieoczekiwanie – trzeba będzie zarządzić tutaj porządki i malowanie. Niech Józia zgodzi malarza, pokoje były odnawiane dwa lata temu, ale dawny pokój Karli, kuchnia i pokój Józia aż się proszą o pędzel.

Odetchnęła z widoczną ulgą.

– Tak jest, proszę pana.

– To niech mi teraz Józia mówi, co się dzieje. Barbara tu była? Jakies przykrości?

– No nie – odrzekła z wahaniem – Tylko że... – utknęła i popatrzyła bezradnie na Emila.

– ... tylko że nie wiadomo od czego zacząć – domyślił się Emil – bo to nieprosta sprawa.

– Skąd pan doktor wie? – przeraziła się kobieta nie na żarty. – Plotki jakies pewnie już chodzą... Jezus Maria, a przecież nic nie było...

– Nic nie wiem. – Głos Emila brzmiał poważnie – tylko że słuchałem takiego początku za każdym razem, jak Karla nie wiedziała, co zrobić, a bała się, że jestem za stary i może za głupi, żeby ją zrozumieć.

– No wie pan, panie doktorze – zgorszyła się Józia. – Przecież...

– Jak teraz będziemy się tutaj spierać, to do niczego nie dojdziemy. Niech Józia mówi.

– No więc dobrze. Wie pan, panie doktorze, że jestem wdowa, mój Franek, świeć Panie nad jego duszą, umarł i zostawił mnie z synem...

Nagle stało się wszystko jasne, zwłaszcza zaś to, dlaczego ze ściany zniknęło wiszące tam od zawsze monidło.

– No to pogratulować – palnął beztrosko. – Kiedy zapowiedzi?

Józia aż się przeżegnała z wrażenia, po czym otworzyła i zamknęła usta. W jej oczach błysnęły łzy.

– Nie będzie ślubu.

Emil sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Nie będzie? – spytał z niedowierzaniem. – Ale dlaczego?

Józia zacięła usta. Emil poczekał chwilę.

– Jakies przeszkody? – Jego głos brzmiał łagodnie.

Kucharka wzięła głęboki wdech.

– Musiałabym wymówić – odparła po prostu. Emila literalnie zatkało. Tymczasem Józia zaczęła mówić szybko, pospiesznie.

– Bo widzi pan doktor, on, znaczy się Łukasz, też wdowiec. Z Podłęża, jak i ja. Dzieckiem się znaliśmy, potem drogi się nam rozeszły. Dobry zdaje się człowiek, stolarz, a mało pije. Córkę za męża wydał, no i wie pan doktor, on warsztat ma w tym Podłężu, pokój jeden w swoim domu, znaczy przy córce z zięciem, ale do siebie mnie nie wprowadzi, bo i tak zięć krzywo na niego patrzy. To ja bym może i do niego pojechała, gdzieś na wiosce dach nad głową można by nająć, ale gdzie ja takie miejsce znajdę jak u pana doktora? To ja już wolę zostać...

Emil zamachał rękami.

– Zaraz, zaraz, po kolei – rzekł. – Czasem tak jest, że co się wydaje trudne, jest proste. W Krakowie robotę by znalazł?

– Może by i znalazł, ale przecie nie za tyle, żeby mieszkanie wynająć, bo...

– ... bo w pokoiku przy kuchni mieszkać niesporo – dokończył Emil i kiwnął głową. – Dlaczego Józia nie powiedziała mi wcześniej? Wszystko zawsze na ostatnią chwilę. A tyle razy powtarzam, że sprawy odkładane na później nie rozwiązują się same, przeciwnie, komplikują.

– Ja tam nie wiem – mruknęła Józia wciąż w desperacji. – Co niby miałabym zrobić?

Emil popatrzył na nią pobłaźliwie.

– Józia jest u nas właściwie w rodzinie, to trzeba było od razu przyjść.

– Ale, jak to w rodzinie?

– Więcej się Józia zajmowała Karłą niż Barbarą – rzekł Emil, wstając – a więc w rodzinie. Niech Józia posłucha: za dwa tygodnie wyjeżdżamy z Karłą, Karła zostanie w Anglii mniej więcej rok, nim przyjedzie na lato, ja wrócę za miesiąc–dwa. Przez ten czas nasze mieszkanie będzie pod Józii i Pawła opieką. Pilnujcie go dobrze. W razie czego idźcie do rejenta Laskowskiego, on dalej sprawuje pieczę nad sprawami kamienicy, powiem mu, co i jak. I teraz najważniejsze, niech Józia uważnie słucha. Niech ten Józiny Łukasz przyjedzie i poszuka tu sobie pracy, a tymczasem może spać w gościnnym, jak nas nie będzie. Józii syn go zna?

– Ano znają się – mruknęła oszołomiona kobieta – ino mało. Znaczy, gadali ze sobą kiedyś...

– Tym lepiej – ucieszył się Emil. – Niech Józsi syn posprawdza tę pracę, co ją sobie Łukasz znajdzie, czy wszystko rzetelne, czy skarg jakichś nie ma na policję, albo co. A jak znajdzie dobrą, niech ją bierze. I wtedy dajcie na zapowiedzi.

– Ale...

– Nie skończyłem. – Głos Emila zabrzmiał stanowczo. – Jak już ta praca będzie i dane na zapowiedzi, to przysposobimy Józsi i Łukaszowi to mieszkanko, co je miałem dać Annie.

– Ale panie doktorze... – Głos Józsi zadrżał. Widać, że była bliska płaczu. Emil zerknął na nią spod okularów.

– Nie stać mnie na to, żeby Józsi odeszła – powiedział poważnie. – Józsi jest jak rodzina. Zgoda?

Kobieta nie mogła wydobyć z siebie głosu, pokiwała tylko głową.

– No i chwała Bogu – skwitował Emil. – Tymczasem prosimy o coś do jedzenia, a ja o kawę.

Józsi pospiesznie skinęła głową. Doktor, zostawiając za sobą uchylone drzwi, wyszedł szybko z pokoiku. Nie na tyle szybko jednak, by nie usłyszeć jej płaczu.

– Mam nadzieję, że to ze szczęścia – mruknął do siebie.

Gdy wszedł do salonu, dopadła go Karla.

– Co się stało? – spytała zaniepokojona.

Emil, uśmiechnięty, pokręcił tylko głową.

– Nic nie mogę powiedzieć. Dowiesz się sama. Wszystko dobrze.

Karla, nieprzekonana, drążyła dalej.

– No ale co konkretnie? Zresztą Józsi i tak mi powie.

– Nic ci nie powie, i nawet nie próbuj pytać. Powiedziałem, dowiesz się sama. Tymczasem rozpakuj się i odpocznij.

W pierwszej chwili chciała protestować, ale gdy przypomniała sobie o nierozpieczętowanym liście od Janka, jej opór stopniał. Teraz pragnęła tylko jak najszybciej się znaleźć w swoim pokoju.

– Dobrze, tatusiu – rzekła i oddaliła się.

Już po chwili z pełnym czułości uśmiechem chłonęła równe, kształtne litery skreślone przez tego, którego nie wahała się nazywać w głębi duszy swym ukochanym.

Dni do wyjazdu mijaly błyskawicznie. Tydzień przed wyjazdem kufry były już wysłane – część na jakiś bliżej niezidentyfikowany paryski adres, część do majątku Dorothy. Karla mnóstwo czasu spędzała poza domem, przemierzała ukochane krakowskie zaułki ze świadomością, że wyjeżdża na rok. I przez cały ten czas nie zobaczy nie tylko domów, kościołów, Wawelu i Wisły, lecz również i zaprzyjaźnionej sprzedawczynie od Wedla w Rynku, przystojnego subiekta od Maurizia, starego szewca z ulicy Świętego Tomasza, u którego obstalowała kiedyś prześliczne kozaczki, czy stojącej u wylotu Szewskiej kwiaciarki, która za dobre słowo i przywitanie często dawała jej jakiś kwiat do wpięcia w sukienkę. Rozumiała, że to ludzi najbardziej zbraknie, i choć cieszyła się na myśl o nowych miejscach, choć fascynował ją daleki świat, to jednak wciąż myślała o Byszewie, o ciotce Annie, o Józi i o tych wszystkich, których zostawia za sobą. Coraz częściej odnosiła wrażenie, że ich zdradza, że ten cały jej wyjazd to coś, przed czym ojciec ją przestrzegał najbardziej na świecie.

– Egoizm – tłumaczył jej Emil – to myślenie, że nikt na świecie nie jest od nas ważniejszy, że liczą się tylko nasze potrzeby i chęci, że cały wszechświat został stworzony dla nas, że jesteśmy jak Słońce w jego centrum, a wszyscy tylko patrzą, jak zaspokoić nasze pragnienia, w dodatku swoim kosztem. Wiesz, Karlátko, wyrzucam sobie czasami, że doszedłem do jakiegoś majątku, bo każdemu w życiu potrzebny jest czas, w którym zazna niedostatku. Choćby po to, by zrozumieć, jak niewiele trzeba, żeby przeżyć, i jak to „niewiele” czasami trudno jest zdobyć.

– Mówisz o pieniądzach? – zdziwiła się Karla.

Emil machnął lekceważąco ręką.

– O pieniądzach w najmniejszym stopniu. – Jego głos brzmiał poważnie. – Mówię o tym, że dopiero chwila próby pokazuje twą wartość. Czy podzielisz się z głodnym, kiedy sama nie dojadasz, czy prócz dobrego słowa, o które zawsze łatwo, zrobisz wszystko, żeby mu pomóc, nie zważając na nic ani nikogo.

– Oczywiście, że tak – obruszyła się Karla.

Ojciec pokiwał głową.

– Wierzę – powiedział. – Gdyby było inaczej, moje życie byłoby zmarnowane. Chcę tylko wierzyć, że gdy będziesz w potrzebie, znajdziesz wokół siebie ludzi, którzy będą myśleli podobnie jak ty. A wierz mi, nie ma ich wielu. Może się okazać, że ta pomoc przyjdzie nie od tych, od których najbardziej byś się jej spodziewała.

Szła do domu z ciężkimi myślami. Gdy podchodziła do drzwi, Józia akurat wypuszczała z mieszkania jakichś dwóch ponurych mężczyzn. Wyglądali jak bliźniacy, spod jednej sztancy, identyczne, nie najlepiej skrojone, dość znoszone garnitury, tanie kapelusze, ten sam wzrost, ten sam sposób poruszania się, to samo posępne spojrzenie. Otaksowali ją wzrokiem, żaden z nich się jednak nie odezwał.

– Dzień dobry – powiedziała z pozorną beztruską. Jeden z nich wykrzywił wargi w coś na kształt uśmiechu.

– Może i dobry – odrzekł. Głos miał nadspodziewanie wysoki i donośny. – To się dopiero okaże.

Minęli ją i ruszyli w dół po schodach, nie oglądając się za siebie. Karla przyspieszyła, żeby zdążyć, nim Józia zamknie drzwi.

– Ach, to panienska! – Służąca ucieszyła się na jej widok. – Byłabym drzwiami panienkę przytrzasnęła, tak się spieszyłam, żeby tę swołocz z domu wypuścić.

– Swołocz? – zdumiała się Karla. Józia nie była nigdy skora do oceniania gości, ale ci musieli wyjątkowo mocno nadepnąć jej na odcisk.

– No, tajniacy. – Józia domknęła drzwi i demonstracyjnie zatknęła łańcuch. – Przecież widać od razu.

– Czego chcieli? – Zdumienie Karli z wolna ustępowało miejsca zaintrygowaniu.

– O to już musi panienska spytać pana doktora. Zamknęli się w gabinecie i rozmawiali przez kwadrans, a może i dłużej. Nawet herbaty pan doktor nie kazał przynosić. Też pewnie takich nie lubi.

To było już zupełnie ponad wyobrażenie Karli. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby Emil zaniedbał tak elementarnej gościnności.

– A gdzie tata? – spytała niepewnie.

– W łazience, ręce pewnie myje. – Józia zerknęła na Karłę. – Kto to wie, co to taki jeden z drugim przyniesie.

– Józi syn jest w policji, a takie rzeczy mi tu Józia opowiada – udała zgorszenie Karla. Józia spojrzała na nią wzrokiem chyba jeszcze posępniejszym, niż patrzyli na dziewczynę przed chwilą tajniacy.

– A czy ja powiedziałam, że oni z policji? – mruknęła ponuro i poszła w stronę kuchni. Karla wzruszyła ramionami i otworzyła drzwi do swojego pokoju.

– Tego się musisz oduczyć – dobiegł ją głos ojca. Emil szedł w jej stronę, na jego twarzy malował się uśmiech.

– Czego? – zdziwiła się.

– Wzruszania ramionami. Nie wiem, skąd ci się to wzięło, jakoś często to ostatnio u ciebie widuję.

– Może świat mi zobojeźniał. – Karła zaśmiała się i ostentacyjnie wzruszyła ramionami. – Co to byli za ludzie, których mijalam na schodach?

– Nieważne – uciał ojciec. – Już się tutaj nie zjawia. Byli pierwszy i ostatni raz, więc nie ma to najmniejszego znaczenia.

– Ale czego chcieli? – Karła nie dawała za wygraną.

Emil spowaźniał.

– Przyjmij, że pomylili adresy.

– I jak mam nie wzruszać ramionami? Przecież mnie zbywasz.

– Mówię prawdę. Pomylili adres, więc musiałem ich wyprowadzić z błędu. Porozmawiamy kiedy indziej, teraz mam pracę. Przepraszam cię, córeczko.

Wszedł do gabinetu, zamknął za sobą starannie drzwi i usiadł w fotelu. Uśmiech, który jeszcze przed chwilą igrał na jego twarzy, zgasł.

– Obym miał rację – mruknął do siebie. – Oby się tu już więcej nie pojawili.

Trzy dni później w domu zadzwonił telefon. Emil wyszedł z gabinetu i odebrał.

– Krzczunowicz – odezwała się słuchawka, nim jeszcze zdążył cokolwiek powiedzieć.

– Kornel! – ucieszył się Emil. – Wieki całe.

– Jestem w Krakowie. – W głosie Krzczunowicza dało się słyszeć zmęczenie.

– Przyjdź do mnie – rzekł Emil tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Teraz. Adres znasz.

– Będę za pół godziny.

Punktualnie pół godziny później rozległ się dźwięk kołatki.

Gdy Emil otworzył, ujrzał w drzwiach Krzczunowicza, z niewielką walizką w lewej dłoni i z kapeluszem w prawej. Sprawiał wrażenie

zakłopotanego, zupełnie jakby się zjawił nie w porę, choć przecież się umówili, a on się nie spóźnił nawet minuty.

– Wejdz – rzekł gospodarz. Cofnął się, otwierając szerzej drzwi.

Krzeczunowicz wszedł do przedpokoju. Powiesił kapelusz na wieszaku i odwrócił się do Emila. Z ulgą zobaczył jego wyciągniętą rękę. Uścisnął ją mocno.

– I kolejny rok minął – mruknął. – Telefon to jednak nie to samo.

– Wchodź dalej. Będziemy sami. Karla poszła jeszcze po jakieś sprawunki przed wyjazdem, jest tylko Józia. Zostaniesz na obiedzie.

– Nie zostanę. Ja na chwilę tylko. Za niedługo mam pociąg.

– Szkoda. – Emil sprawiał wrażenie, jakby naprawdę tego żałował. – Chciałem, żebyś zobaczył Karłę.

Weszli do salonu.

– Tyle razy mówiłem, przyjdźcie do mnie, do majątku. – Krzeczunowicz przysiadł na wskazanym przez Emila fotelu. – A ty...

– Sam wiesz. Ty posłujesz, Karla ledwie co zdała maturę.

Słowa o posłowaniu, choć na pozór naturalne, w ustach Emila wibrowały ironią.

– Masz do mnie wciąż żal. I niełatwo ci to ukryć.

Emil wzruszył ramionami.

– Tak wybrałeś i nic mi do tego. Wierzysz naprawdę, że to twoje posłowanie jest coś warte?

– Jest warte. – Mężczyzna wyprostował się. – Może i więcej niż ta twoja ucieczka. Pomyśl, teraz bylibyśmy razem w sejmie, a może i inni z nami. Wiesz, ilu jest ludzi takich jak ty, godnych rządzenia?

Emil pomilczał chwilę.

– Nie wiem, ilu ich jest – rzekł wreszcie – ale jeżeli są godni, by rządzić, to na pewno się do tego rządzenia nie palą.

Teraz z kolei Krzeczunowicz zamilkł. Pierwszy ciszę przerwał Emil.

– Dziwne rzeczy się ostatnio dzieją – podjął. – To, że żona mi uciekła do kapitana piechoty, to w sumie nic nadzwyczajnego, nie takie rzeczy się na świecie zdarzają, wystarczy poczytać stare rosyjskie romanse. To, że mam wrażenie, że ktoś łązi za mną wciąż po ulicy, to też się zdarza, choć rzadziej. Do tego przyszły do mnie jakieś łebki z „dwójki” i próbowały mnie zwerbować. Masz pojęcie? Mnie zwerbować?!

– I cóż z nimi zrobiłeś?

– A jak myślisz?

– Wyrzuciłeś ich za drzwi – rzekł ze spokojem gość.

– Prawie. – Emil popatrzył mu w oczy z wymuszonym uśmiechem. – Sami sobie poszli.

– To dobrze. Kłopotów nie będzie.

– Mówisz o takich, jakich narobił sobie Zdziechowski? Albo Dołęga-Mostowicz? – zadrwił Emil. – Nie przyjdzie bojówka, żeby zrobić ze mną porządek?

– Ja za to nie odpowiadam. – Krzeczunowicz spojrział na Emila z rezygnacją. – Ze sto razy o tym mówiliśmy. Nadgorliwe bydlaki zawsze się znajdą na świecie.

– I takich trzeba tępić, a nie chronić. – Emil patrzył przyjacielowi nieustępliwie w oczy. – Jeżeli nieznanymi sprawcy pozostają nieznanymi, to nie dlatego, że policja ich nie wytropi, tylko dlatego, że policji ktoś zasłonił oczy.

– To było w dwudziestym siódmym. To były inne czasy.

– Kornel. – W głosie Emila dźwięczała troska. – Czasy są wciąż te same, różnica jest tylko taka, że teraz coraz to nowe bydlaki podnoszą głowę. Stale im trzeba nowego wroga, prawda? Teraz masz znowu Żydów...

– Z Żydami to zawsze był kłopot... .

– Ty to nazywasz kłopotem? – zapytał Emil spokojnie, choć widać było, że kipi w nim złość. – Groer dzwonił do mnie ze Lwowa, że jemu, kierownikowi uniwersyteckiej kliniki, trudno ochronić własnych asystentów, bo pałkarze robią burdy na uczelni. Ile sklepów rozbili, ilu ludzi pozabijali, tego nawet nie wiem. O mnie od dawna mówią na mieście, że jestem Żyd, ale do tego nawykłem, jeszcze nikt się nie przestał u mnie leczyć. A wy? Co z tym robicie?

– Coś tam robimy, ale są pilniejsze rzeczy. Nie widzisz, co się na świecie dzieje?

– Właśnie widzę – wycedził Emil. – Najdalej za dziesięć lat wojna będzie, a mnie nikt, nawet sam Mościcki pod rękę ze Śmigłym-Rydzem i Kasprzyckim do spółki nie przekonają, że jesteśmy mocarstwem.

– I dziwisz się, że „dwójkarze” za tobą łążą? – uśmiechnął się półgębkiem Krzeczunowicz. – Tymczasem ci powiem, że nie śpimy. Mam coś dla ciebie. W prezencie.

Sięgnął po walizkę i wyjął z niej skórzaną kaburę.

– Takie cacka zaczynamy robić – oznajmił z dumą. – Ładna rzecz, bezpieczniej ci będzie z tym po ulicach chodzić.

Emil wyciągnął dłoń po kaburę, otworzył ją i wyciągnął pistolet. Sprawnie wysunął magazynek, odsunął zamek, po czym zerknął w komorę nabożową.

– Ładne – mruknął z uznaniem. – Trochę jak colt 1911.

– Nasze – rzekł Krzeczunowicz. – Z Radomia. Vis, wzór 35.

– Dziękuję. I mów, gdzieżeś to wynalazł? Słyszałem, że dają tylko oficerom czynnym.

– Skąd wynalazłem, to wynalazłem, nieważne. Osiem strzałów, naboje Parabellum. I dobrze radzę, noś go ze sobą.

– Szkoda, że taką zabawką się wojny nie wygra – zauważył Emil. Odłożył broń i przyjrzał się uważnie przyjacielowi. Nagle w jego oczach błysnęło zrozumienie.

– Tych z „dwójki”, co u mnie byli, pewnie też znasz – odrzekł spokojnie. – Czyli że nie chcieli mnie werbować, tylko podejrzewają, że jestem szpieg. A czyj?

– Tego nie ustalili. – Kącik ust mężczyzny zadrgał w powstrzymanym uśmiechu.

– Oszalałeś.

– Ja?!

– Tak, ty. Sprowadzę ci psychiatrę, znam kilku. Poseł na sejm z ramienia BBWR składa wizytę człowiekowi, który jest podejrzewany przez II Oddział Sztabu Generalnego, czyli kontrwywiad, o to, że jest szpiegiem. Następnie tenże sam poseł wręcza mniemanemu szpiegowi najnowszy model osobistej broni oficerskiej, który pozyskał nielegalnie...

– A któż mówi, że nielegalnie? – obruszył się Krzeczunowicz. – W kaburze ty masz dokumenty broni, są na ciebie. Oficer w stanie spoczynku, dwukrotny kawaler Virtuti Militari. Nietrudno było zdobyć.

– Nieważne, legalnie czy nielegalnie. Wiesz, że „dwójka” będzie i za tobą chodziła?

Krzeczunowicz machnął ręką lekceważąco.

– Nie będzie. Toż ty dalej nic nie rozumiesz.

– Wyjaśnij – zażądał Emil.

Mężczyzna zakaszłał z zakłopotaniem.

– Bo widzisz – powiedział – „dwójka” dostała donos. Na ciebie.

– Na mnie? – zdziwił się Emil. – A niby od kogo? Znam chociaż?

– Znasz, choć nie za dobrze jakby. – Podrapał się po głowie z zakłopotaniem. – Za to poznała go twoja była małżonka. By tak rzec, jak Ewa Adama, tak jak to stoi w Piśmie Świętym...

Przerwał, rozumiejąc, że się zagalopował. Na jego twarz wystąpił rumieniec.

– Przepraszam cię, Emilu – dodał pospiesznie. – Gadam za dużo.

Emil uśmiechnął się zgryźliwie.

– Nie szkodzi. Barbara wieńczyła mnie tak, że z trudem wchodziłem w swoim czasie do domu, żeby poróżem nie zawadzić o framugę. Od lat nie była moją żoną, dałem jej wolność, niechże więc z niej korzysta.

– Niechże sobie i korzysta, ale nie tak. – W głosie Krzczunowicza słychać było stanowczość. – Ten jej kapitan nie jest na szczęście z najmądrzejszych, bo donos był taki, że nawet „dwójka” uznała, że to jakaś bzdura, a ja ich w tym utwierdziłem, bo plotka do mnie dotarła, więc wiedziałem komu szepnąć słowo. I nie na „dwójkarzy” daję ci przecież ten pistolet.

– Myślisz, że... bardzo mu przeszkadzam?

– Myślę, że bardzo – potwierdził Krzczunowicz. – I przyjmij moją dobrą radę. Szybko i za wszelką cenę załatwiał rozwód, czy jak tam to nazwać. Choćbyś miał za to zapłacić majątek. Albo zostań w tej Anglii z Karłą do jej osiemnastych urodzin.

– Mówisz, że... – Emil zawiesił głos.

– Ja to wiem – oświadczył po prostu Krzczunowicz. – Nie podejrzewam o to Barbary, ale jego. Jest głupi, lecz sprytny. Wie, że jeśli ciebie zabraknie, to Barbara przejmie zarząd nad majątkiem w imieniu Karli. A wtedy... rozumiesz chyba, co się stanie.

– Wiesz to od „dwójkarzy”? – W głosie Emila zabrzmiały podejrzliwość i niepokój.

– Gdzież tam – westchnął Kornel. – Sam to wymyśliłem. Bogiem a prawdą nie trzeba było do tego wielkiej głowy. A ten donos był tak bzdurny, że dali to jakimś szeregowym durniom, nikt się nie silił, żeby to lepiej sprawdzić, tyle że sobie ubrdali, że może dasz się zwerbować, a im spadnie pochwała.

Emil przyglądał się w zamyśleniu leżącej na stole broni.

– Nigdy w cywilu nie nosiłem przy sobie pistoletu – mruknął wreszcie.

– Może czas zacząć. Niebezpiecznie jest.

– Na razie jadę z Karłą do Anglii, zabawię tam miesiąc, może dwa.

– Więc z tej Anglii nie wracaj prędko, dobrze ci radzę.

Emil nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko nieznacznie. W głowie Krzeczunowicza zaczęło się nagle rozjaśniać.

– Tyś to przemyślał wcześniej – powiedział nagle. – Wszystkoś przemyślał. Te studia Karli to...

– ... dla jej bezpieczeństwa – dokończył Emil. – Nie o siebie się boję, lecz o nią. Wymyśliliśmy to z Winicjuszem Donimirskim, pamiętasz go przecież...

– Jakżebym miał nie pamiętać – ucieszył się Kornel. W chwilach, w których przypominało mu się dawne czasy i dawnych podkomendnych, zmieniał się nie do poznania. Z surowego, zasadniczego posła na sejm przeistaczał się w jednej chwili w ojca największej, najkłopotliwszej rodziny na świecie: szwadronu ułanów. – Toż to jego wyciągnąłeś śmierci spod kosy...

– Nie mówmy o tym – mruknął Emil. – Dość, że wymyśliliśmy sposób, żeby dać Karli poznać trochę świata. Niech zobaczy, że jest większy niż Kraków, Lwów, Klonów czy Byszewo. Chciała jak najprędzej złożyć maturę i zostawić dom, bo nie mogła znieść Barbary. Teraz, kiedy jej nie ma, jak najprędzej chce iść na samodzielność. A ma ledwie siedemnaście lat.

– Nie boisz się?

Emil nie odpowiedział. Krzeczunowicz czekał cierpliwie.

– Boję się – przyznał wreszcie. – Ale jeszcze bardziej się boję, co by było, gdyby tutaj została. Widzisz, Kornel, mam złe przeczucia. W tym kraju każde pokolenie musi poznać wojnę, a wcale mi się nie podoba, że i Karła też. Niech jedzie. Jest zdolna, mądra, poradzi sobie. Będzie miała z czego żyć, Byszewo da godne utrzymanie, choć trzeba pospłacać Elżbietę i Konstantego. To, co mam, starczy na jej studia, a może i posag. A potem powinna poradzić sobie sama. Chowamy dzieci dla świata, nie dla siebie.

– Masz ją jedną – zauważył Krzeczunowicz.

– Dlatego mi tak trudno. Wiesz, jaka to pokusa mieć Karłę cały czas obok siebie, dzielić z nią radości i smutki, dawać rady, które niebawem staną się zupełnie bezużyteczne, bo cóż młodej dziewczynie z rad starego,

pięćdziesięcioletniego ojca... Ale przecież nie w tym rzecz. Ona musi mieć własne życie. A ja nade wszystko chcę, żeby dożyła szczęśliwej starości.

Krzeczunowicz pokiwał tylko głową ze zrozumieniem.

– I cóż tu jeszcze dodać – rzekł, wstając. – Z Panem Bogiem, Emilu. Idę na pociąg. Powodzenia.

Emil wstał.

– Dziękuję ci za to – powiedział, wskazując na visa. – Oby się nie przydał.

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże – mruknął Krzeczunowicz i podszedł do Emila. Tym razem objęli się mocno, jak bracia.

– Uważaj na siebie.

– Zrobię, co się da. Całuj rączki pani Helenie i pozdrów chłopaków. Dam znać, jak wrócę.

Odprowadził gościa do drzwi. Jeszcze raz uścisnęli sobie ręce. Emil patrzył jeszcze za Krzeczunowiczem, aż wreszcie zamknął drzwi i wrócił do salonu. Przez chwilę przyglądał się w zamyśleniu pistoletowi, wreszcie podjął decyzję i podszedł do fortepianu. Niespodziewanie popchnął go mocno, kółeczka zgrzytnęły, ciężki instrument przesunął się o kilka centymetrów. Emil przyklęknął. Z kieszeni dobył mały scyzoryk w rogowej oprawie. Wsunął ostrze między klepki parkietu i poruszył nim delikatnie. Dwie deszczułki odskoczyły nagle, odsłaniając niewielką skrytkę. Wydostał z niej osiem nabojów, a potem poprawił troskliwie zawiniątka wewnątrz, nałożył z powrotem klepki i zamknął skrytkę, przesuwając fortepian na swoje miejsce. Po chwili już ładował magazynek visa. Wziął pistolet do ręki, do drugiej kaburę i poszedł do gabinetu. Futerał wrzucił do szafy, dokumenty schował do kieszeni, a pistolet wsunął do największej z szufladek sekretarzyka.

Zdążył w samą porę. Gdy zamykał biurko, usłyszał szcęk klucza w zamku.

– Jestem! – zawołała Karla.

– I ja jestem – odpowiedział spokojnie, po czym odwrócił się do otwartych drzwi.

– Udały się zakupy?

– Nie kupiłam za wiele – rzekła Karla, pokazując jedno pudełko i niewielką torbę. – Wszystko mam, to, czego mogłabym potrzebować, kupię chyba na miejscu.

– Słusznie. Szkoda, że nie przyszedł wcześniej, mieliśmy niespodziewanego gościa. Był tutaj Kornel Krzeczunowicz, żałował, że cię nie może zobaczyć. Minęłaś się z nim o minuty.

– Szkoda... – W głosie Karli słychać było niekłamany żal. – Tyle razy mi o nim mówiłaś...

– Zadzwoił w ostatniej chwili, przyszedł tylko na krótką rozmowę. Nawet nie wypił kawy, pobiegł na pociąg. Nieważne, jeszcze będzie okazja.

Zawahał się chwilę.

– Odzywała się do ciebie mama? – spytał nagle.

Karla spojrzała na niego ponuro.

– Nie. A nawet gdyby się odezwała, to co z tego?

Emil podszedł do córki i objął ją ramieniem.

– Dzieci – pouczył ją prawie szeptem – nie są winne temu, że rodzice już nie są razem. Mimo wszystko chciałbym, żebyś miała z mamą kontakt.

– Ona go nie szuka. – Karla łagodnie wyzwoliła się z uścisku ojca. – Ja też nie będę. Dość mi tego, co zrobiła.

Emil kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Będzie tak, jak chcesz – powiedział. – To twoja rzecz.

– A ty... – zawahała się Karla – nie nienawidzisz jej? Przecież...

Przerwała, widząc, jak Emil przykłada palec do ust.

– Jak mógłbym ją nienawidzić – rzekł cicho – skoro dała mi ciebie?

W oczach dziewczyny zalśniły łzy. Odwróciła się i wybiegła z gabinetu, nie chcąc pokazać po sobie wzruszenia.

\*

Wyjeżdżali do Warszawy we środę 17 czerwca, przedpołudniowym ekspresem, żegnani tylko przez spłakaną Józję i ciotkę Annę, która choć doskonale trzymała formę, była autentycznie wzruszona.

– Pisz często – rzekła. – Będę czytała twoje listy Józji i Byszewu, żebyś nie musiała pisać po dziesięć razy do każdego.

Emil uśmiechnął się pod wąsem na ten pragmatyzm, ale postanowił zostawić rzecz bez komentarza. Karla, choć też wzruszona, próbowała za to obrócić sprawę w żart.

– Ale przez to nie napiszę do cioci, jak będę miała jakiś sekret do zwierzeń, bo przecież nie zniosę, jeśli im to ciocia przeczyta.

– Ty się już nie martw – ciotka Anna nie dała się złapać. – Do mnie pisz osobno. I tylko do mnie!

– Każdy tak mówi – westchnęła z udanym żalem Karła. – I koniec końców nic innego nie będę w tej Anglii robiła, tylko pisała listy.

– Może tak być – mruknął Emil. – Kto powiedział, że ma nie być nudno?

Dziewczyna zgromiła go wzrokiem. Tymczasem rozszlochana Józia objęła ją tak mocno, jakby się z nią żegnała na zawsze.

– Niech panienka o nas pamięta – rzekła łamiącym się głosem. – Będę się za panienkę modlić bardzo mocno, żeby samo tylko szczęście panienkę za tym morzem spotkało.

– A, to dobrze powiedziane – zgodziła się ciotka. – Józiu, jak tylko pojedą, idziemy do kościoła o łaski dla nich poprosić. Z Panem Bogiem wszystko łatwiejsze.

Emil kiwnął głową.

– Na pewno. Do zobaczenia. Prztelegrafuję datę powrotu, żeby Józia mi jakiś obiad dobry zrobiła na przywitanie, bo Anglicy raczej z jedzenia nie słyną. Chodź, Karła, bo już zamykają.

Rzeczywiście, szedł ku nim konduktor.

– Państwo wsiadłszy – zaciągnął kresowo – bo pociąg bez państwa odjechać może, i strata gotowa.

– Jednym strata, innym zysk – mruknęła ciotka Anna. – Lepiej byście zrobili, zostawszy.

– Ciociu – odezwała się Karła już z okna – niech się ciocia nie martwi. Przeleci w mgnieniu oka, zobaczy ciocia.

Anna kiwnęła głową.

– To ja ciebie powinnam pocieszać. Jechać! – rozkazała, jakby nagle stała się co najmniej dyrektorem Polskich Kolei Państwowych. – Z Panem Bogiem.

Machała im jeszcze długo. Gdy zniknęli za zakrętem, wytarła nos chustką.

– Józia niech teraz idzie do kościoła – powiedziała po chwili – i pomodli się. Ja później pójdę. Mam coś do załatwienia.

Józia wytarła głośno w chustkę nos, kiwnęła głową i poszła w stronę wyjścia. Anna odprowadziła ją spojrzeniem i kiedy kucharka zniknęła w dworcowym westybulu, ciotka zatarła rękę.

– A teraz śniadanie – rzekła do siebie półgłosem. – Karol już pewnie czeka.

\*

Warszawa przywitała ich ulewą. Z trudem znaleźli taksówkę, która przez zalane deszczem ulice zawiozła ich do Bristolu, gdzie obsługa sprawiała wrażenie, jakby znała Emila od niepamiętnych czasów, witając go z rewerencją. Karla przyglądała się temu ze zdziwieniem, które osłabło nieco, gdy zjawiał się kolejny z gości, traktowany w podobnie unizony sposób. Co najważniejsze jednak, pokojowi nie sposób było cokolwiek zarzucić, pięknie zaprojektowany, idealnie czysty, z częścią wypoczynkową – dwoma głębokimi fotelami i niskim stoliczkiem, a co najważniejsze – dwoma wygodnymi, szerokimi łózkami, które kusily, by zalec w nich i pozostać aż do kolacji.

Do wieczora było jeszcze sporo czasu, Karla miała wielką ochotę, by wypuścić się do miasta, w którym była ledwie raz czy dwa. Lało jednak potężnie, skończyło się więc na tym, że zjedli mały posiłek w hotelowej restauracji, przeszli przez ulicę Ossolińskich, gdzie Emil miał do odebrania dwie frakowe i dwie smokingowe koszule, które po krótkich formalnościach zostały wysłane gońcem na adres hotelu, i zasiedli w cukierni na rogu Królewskiej, tuż przy ogrodzie Saskim.

– Myślałam – powiedziała Karla, gdy kawa i przepiękna beza stały już na stoliku – że nie obejdzie mnie aż tak ten wyjazd. Ale jakoś trudno mi było zostawiać wszystkich.

– Spodziewałem się rozmowy o błahostkach – uśmiechnął się Emil. – Nie wyjeżdżasz na zawsze, wrócisz tutaj przecież na wakacje. Przyznaj się, myślisz raczej o kolacji.

– Przy deserze? – zaśmiała się Karla. – Ale to prawda. Bo wiesz...

– Wiem. – Ojciec popatrzył pobłaźliwie na córkę. – Stęskniłaś się za Jankiem. Rozumiem to doskonale.

Karla poczerwieniała.

– Ale ja... – zająknęła się.

– Nic nie mów – pogroził palcem Emil – bo zacznę być wścibski. Pamiętaj tylko, że do osiemnastych urodzin brakuje ci jeszcze co nieco.

– Prawie rok. Akurat jak wrócę. Pojedziemy wtedy do Klonowa?

– A na pewno chcesz obchodzić osiemnaste urodziny w Klonowie? – zdziwił się Emil. – Już myślałem, że będziesz nastawać na bal królowej Charlotty.

– Nie jestem panienką z najwyższych londyńskich sfer – ucięła stanowczo Karla. – W dodatku dobrze pamiętam, co mówiłeś o balu debutantek.

– A co mówiłem?

– Mówiłeś – oko Karli łypnęło filuternie – że to największy w Wielkiej Brytanii targ matrymonialny. A ja nie wybieram się za męża.

– Tak całkiem? – zdumiał się ojciec.

– No, może nie całkiem. Przynajmniej do końca studiów.

– Przyznaję, że odetchnąłem z ulgą. Trzymam cię za słowo. Choć podejrzewam, że spotka cię jeszcze niejedna pokusa.

– Nigdy w życiu. Przecież mnie znasz.

– To prawda. Znam cię dobrze. Ale wiem też, że serce jest w zupełnie innym miejscu niż głowa.

– Wystawiasz mnie na próbę? – Karla wbiła widelczyk w bezę z taką energią, że ojciec aż się wzdrygnął.

– Ależ skąd – rzekł szybko. – Wiem tylko, że pokusy rzecz ludzka, ale nikt ci nie każe zaraz im ulegać.

– To już lepiej. – Karla posmakowała bezy. Była doskonała. – Może przydałoby ci się więcej wiary w młodych, rozsądnych ludzi. Takich jak ja czy Janek. Bo my...

Ugryzła się w język o jedno słowo za późno. Poczowała, że do twarzy napływa jej krew.

– To nie to, co myślisz – zapewniła gorączkowo. – Bo wiesz, my...

– Mógłbym ci powiedzieć, że ja nic w ogóle nie myślę. – Emil patrzył na córkę z miłością i pobłażaniem. – Ale i tak byś mi nie uwierzyła. Za to wierzę, że nie zrobiłaś nic...

– ... czego mogłabym żałować? – zapytała buńczucznie Karla. Emil pokręcił głową.

– Nie – oświadczył. – Co mogłoby zmienić nasze, a właściwie twoje plany. Mam twoje słowo?

Karla odetchnęła z ulgą.

– Tak – oświadczyła. – Może spróbujesz wreszcie bezę?

– Prawda – mruknął ojciec – apetyt mi jakby wrócił. – Co jak co, ale wierzę w honor Janka. Jesteście w końcu oboje nieletni...

– Ale ja po maturze.

– Niestety egzamin dojrzałości nie zapewnia od razu dojrzałości – rzekł pogodnie Emil. – Dlatego wypada mi tylko modlić się i ufać, że nie zjawią się żadne problemy. Chyba nie muszę rozmawiać na ten temat z Jankiem?

– Błagam, tylko nie próbuj – przestraszyła się nie na żarty Karla. – Skompromitowałbyś mnie zupełnie, wyszłoby na to, że z wszystkiego się spowiadam ojcu, nawet z tego, że się całowaliśmy...

Emil uśmiechnął się serdecznie.

– W takim razie zostaje to między nami. Nie to, że się całowaliście, ale to, że wygadałaś. W gruncie rzeczy nawet mi to pochlebia...

Czerwona ze wstydu Karla chwyciła filiżankę z kawą i podniosła ją tak gwałtownie, że wylała na siebie połowę zawartości.

– Rany boskie!...

Emil ze stoickim spokojem podniósł dłoń. Kelner zmaterializował się niemal natychmiast.

– Proszę pomóc panience.

Kelner natychmiast przystąpił do pracy, a już po chwili jego koleżanka zza lady, zaopatrzona w śnieżnobiałe ściereczki, prowadziła Karłę do toalety. Po niedługiej chwili dziewczyna wróciła do stolika.

– Myślę – oświadczył ojciec – że lepiej będzie dojeść i ruszyć do hotelu. Przebierzesz się i odpoczniesz przed kolacją.

\*

Kolacja, na którą Janek stawiał się z przynoszącą mu chlubę punktualnością, była dla Karli przyjemnością i torturą równocześnie. Radość, jaką czuła, patrząc na niego, słuchając tego, co mówił, jak odpowiadał na pytania, ale i tortura, bo oddałaby wiele, by znaleźć się z nim sam na sam. Choć ojciec był wyjątkowy, jedyny w swoim rodzaju – był jednak jej ojcem, a są sprawy, które nie znoszą uszu innych niż ukochanego. Co gorsza, Emil zdawał się z całym okrucieństwem przeciągać kolację. Zadawał wciąż nowe pytania, jako dobry gospodarz podtrzymywał nieustannie rozmowę, zerkając cały czas na Janka, jakby szukał objawów jego zniecierpliwienia. Co do Karli, było ono coraz bardziej widoczne.

W pewnym momencie Emil uznał, że nie sposób dłużej tego przeciągać. Skinął na kelnera, który natychmiast pojawił się przy stoliku.

– Czym mogę jeszcze państwu służyć? – zapytał kelner. Emil uśmiechnął się.

– Jesteśmy już przy kawie, więc dziękujemy – powiedział. – Proszę dopisać do rachunku naszego pokoju. A tymczasem – czy nadal pada?

– Zaraz sprawdzę – ukłonił się kelner i ruszył pospiesznie w stronę pikolaka. Emil wyjął z portfela banknot i umieścił go pod filiżanką po kawie.

– Módlcie się, żeby nie padało – powiedział z uśmiechem. Janek chyba zrozumiał, w jego oczach błysnęła nadzieja.

– Czy stryj... – zaczął. Emil przerwał mu gestem. Do stolika podbiegł pikolak.

– Proszę szanownego pana, rozpogodziło się wreszcie!

– Dziękuję – kiwnął mu głową Emil. Odwrócił się do Janka i Karli.

– Macie chwilę na krótki spacer i pożegnanie – powiedział. – Będę czekał w barze, za równe pół godziny chcę was widzieć z powrotem. Janku, odpowiadasz za moją córkę honorem. A jeśli nie starczy, to głową. Jest piękny wieczór, Krakowskie Przedmieście wygląda pewnie bajkowo...

Janek podniósł się szybko.

– Może stryj na mnie liczyć – rzekł spokojnie. – Za pół godziny będziemy z powrotem. Karla, pozwolisz?

Dziewczyna wstała. W przeciwieństwie do chłopaka nie umiała ukryć radości. Podał jej ramię.

– Chodźmy – powiedziała. – Do zobaczenia, tatusiu.

Emil obserwował, jak wychodzą z sali.

– Teraz tatusiu – westchnął. – Ciekawe, kiedy się stanę wrednym ojcem...

– Wielmożny pan mnie wzywał? – Obok stolika zmaterializował się kelner.

– Nie. – Emil wstał. – Za pół godziny dzieci będą z powrotem, proszę mi dać znać, do baru nie mają jednak wstępu.

– Tak jest, proszę wielmożnego pana. – Kelner objął wzrokiem stół i dostrzegł banknot. – Może pan na mnie liczyć.

Tymczasem Janek z Karłą wychodzili z hotelu.

– Nareszcie – westchnęła dziewczyna, trzymając go mocno za rękę. – Wiesz, jak tęskniłam?

– I ja. Jeszcze się natęsknimy, zobaczysz. Dokąd idziemy?

– To ty znasz Warszawę, nie ja – zaśmiała się Karla i mocno się do niego przytuliła.

– Stryj miał rację – zawyrokował Janek. – Chodźmy Krakowskim Przedmieściem pod zamek. Bez pośpiechu.

Szli, trzymając się blisko siebie. Światła latarni odbijały się od świeżo umytego przez deszcz, wilgotnego bruku, nad chodnikami unosiła się delikatna mgiełka parującej wody.

– Myślałam... – zaczęła z wahaniem Karla – jak to będzie przez ten rok...

Janek aż przystanął.

– Co chcesz mi przez to powiedzieć? – spytał ostrożnie.

– Będę bardzo tęskniła...

Ulgą na twarzy Janka była aż nadto widoczna. Karla nie zwróciła na to uwagi.

– Musisz mi przyrzec – podjęła – że będziesz często pisywał, że nie będziesz bałamucił żadnych dziewczyn, że...

– Jestem w męskim liceum – przypomniał Janek. – Nie mam do tego ani chęci, ani okazji.

Karla zaśmiała się cicho.

– Pewnie tak – odparła i pociągnęła Janka za sobą. Przeszli na drugą stronę ulicy i ruszyli dalej.

– Ale jeśli jakaś dziewczyna się na ciebie zapatrzy... – zaczęła znów Karla.

– ... to będzie miała pecha – mruknął niechętnie Janek. – Nie mów tak. Pomyśl, jak byś się czuła, gdybym zaczął opowiadać, że pewnie zakochasz się w jakimś młodym lordzie...

– To ty jesteś moim młodym lordem. – Twarz Karli spoważniała nagle. – I myślałam w głębi duszy, czyby nie zrezygnować. Marzyłam o wyjeździe, ale gdy to moje marzenie się już spełniło, zaczęłam wątpić, czy nie za szybko się zgodziłam na wyjazd, na studia, na wiązanie mojego losu z Anglią...

– Nie mów tak – zaproponował Janek. – Przecież nikt ci nie każe wyjechać na zawsze, prawda? Wrócisz po studiach, masz Byszewo, a przecież my... – urwał nagle. Na jego twarz wystąpił rumieniec.

Karla zatrzymała się i rozejrzała.

– Pocałuj mnie – poprosiła. – Teraz.

Janek nie dał się prosić. Stali pod murem kamienicy i całowali się namiętnie. Nawet w Klonowie pocałunek nie smakował im tak bardzo jak teraz.

– Obrzydliwość – usłyszeli czyjś oburzony głos. Jakaś starsza pani wlokąca za sobą męża zbliżyła się do nich, patrząc ze zgorzaniem. Karla i Janek oderwali się od siebie z przestachem. – Popatrz na to, Kornelu... – ciągnęła pani. – Co za bezceństwo!... Tacy młodzi!

Pan Kornel się nie odezwał, uchylił tylko kapelusza.

– Dobrego wieczoru państwu – rzekł i ruszył przed siebie. Oburzenie pani natomiast nie miało granic.

– Jak możesz! – zgromiła męża.

Karla nie miała ochoty czekać na dalszy ciąg tyrady.

– Biegnijmy! – zawołała ze śmiechem i pociągnęła Janka za sobą.

Zatrzymali się, zdyszani, i zaczęli się śmiać. Janek objął Karłę.

– I pomyśleć, że mamy lata trzydzieste – westchnął. – Pewnie w Paryżu nikogo by to nie zdziwiło.

– Za to w Londynie i owszem – zauważyła Karla. – Powściągliwość jest tam rzeczą dość naturalną, a wszelkie odruchy serca – wybrykiem.

– Jest to chyba dobry argument za powrotem do kraju – uśmiechnął się Janek. – Tutaj co najwyżej powiedzą, że to bezceństwo. Z drugiej strony, może rzeczywiście dobrze by było osiąść w Paryżu?

– Zbadam to dokładnie – przyrzekła. – Już za kilka dni.

– Oby nie za dokładnie – westchnął ciężko. Karla zachichotała cicho, lecz powstrzymała się od komentarza.

Doszli pod kolumnę Zygmunta. Karla wyobrażała sobie, że spotkają więcej ludzi, był jednak środek tygodnia i plac Zamkowy świecił pustkami.

– Czy jest jakaś tradycja – zażartowała Karla – która kazałaby obejść kolumnę trzy razy, stanąć w królewskiej pozycji i wypowiedzieć życzenie, które się spełni?

Janek zaśmiał się cicho.

– Możemy stworzyć własną – odrzekł. – Na przykład: jeśli wypowiemy życzenia i pocałujemy się, musi się spełnić. Ty pierwsza.

– Nie, ty pierwszy.

– No dobrze. Moje jest takie, abyś – kiedy się już nauczysz w Anglii wszystkiego, czego chcesz się nauczyć – wróciła do mnie, do Polski. A twoje?

Karla popatrzyła mu w oczy.

– Moje jest takie, by nasze losy zawsze były ze sobą związane – szepnęła cicho. Janek nie odpowiedział. Przytulił ją i pocałował.

– Wracajmy. Przyrzekłem, że za pół godziny odprowadzę cię do hotelu.

– Wiesz, że bardzo mi się nie chce wracać, prawda?

– Wiem. Ale przyrzekłem.

Karla nie protestowała. Ruszyli w drogę powrotną. Milczeli, chłonili swą bliskość i oboje myśleli o tym samym. O rozstaniu.

Gdy dochodzili już pod wejście do Bristolu, Janek zatrzymał się nagle.

– Mam coś dla ciebie – oznajmił. Z kieszeni marynarki wyjął coś, co błysnęło złotem w świetle latarni. – Pamiętaj o mnie, proszę. Daj rękę.

Karla podała mu dłoń. Janek wsunął w nią drobiazg i zacisnął jej palce. Rozpostarła je i zobaczyła maleńki, złoty medalion.

– Dziękuję... Nie mam nic dla ciebie – powiedziała cicho, z nutką wstydu. – Chociaż...

Zdjęła z ramion cieniutki jedwabny szal. Złożyła go w maleńki pakunek.

– Kiedy będzie ci naprawdę ciężko i tęskno – szepnęła, podając go Jankowi – przytul do niego twarz. Poczujesz, że myślę o tobie.

Pocałował ją w dłoń.

– Chodźmy – rzekł. – Już czas.

Portier otworzył przed nimi drzwi. Przed barem jeden z kelnerów, widząc zbliżającą się parę, dał znak swemu koledze wewnątrz.

– Raczą państwo poczekać – powiedział. – Pan Linde już idzie.

Nie trwało to nawet minuty. Emil wyszedł do nich.

– Jesteś jak zwykle słowny, Janku – zauważył. – Pożegnajcie się. Czas na nas wszystkich. My zobaczymy się pewnie jesienią w Klonowie, wy – dopiero za rok.

Karla podała Jankowi dłoń. Chłopak ucałował ją delikatnie.

– Do zobaczenia – powiedział. – Do zobaczenia, stryju.

Odwrócił się i ruszył do wyjścia. Karla i Emil długo za nim patrzyli. Szedł smukły, wyprostowany jak trzcina, pewnym krokiem. Karla miała nadzieję, że się odwróci, to się jednak nie stało. Drzwi zamknęły się za chłopcem, a Karla westchnęła z żalem.

– Chodźmy na górę. Dość mam wrażeń na dzisiaj.

– Nie martw się. – Emil otoczył ją ramieniem. – Ludzie, którzy się kochają, rozstają się tylko po to, by do siebie wracać. Myśl o jutrze.

– To nie takie proste – westchnęła Karla. – Ale postaram się. Obiecuję.

\*

Poranek był leniwy i spokojny. Pociąg ruszał przed południem, dość więc było czasu, by się wyspać, zjeść obfite śniadanie, z których słynął Bristol, i nieco wcześniej, bez pośpiechu, zebrać się na dworzec. Emil był zwolennikiem zasady, że nic tak nie poniża jak pośpiech, i pod tym względem jego wychowanie córki było zbieżne z naukami, które wpajała jej Dorothy. „Bądź panią swego czasu” – powtarzała często jako Mrs Doris – bo choć czas w końcu wygra z nami wszystkimi, nie ma powodu, by dawać mu satysfakcję, nim przyjdzie na nas to, co nieuchronne.

Ich bagaże wyprawił do pociągu hotel, pozostało tylko spakować drobne rzeczy i taksówką pojechać na dworzec.

W dwuosobowym przedziale sypialnym było przytulnie i czysto. Szybko rozłokowali się, z usłużną pomocą konduktora, który pomógł Emilowi włożyć bagaże na półki i czym prędzej zniknął w wagonie. Karla sięgnęła po książkę.

– Nie rozstajesz się z nią prawie – zauważył Emil, patrząc z uśmiechem na córkę. – Spodobał ci się prezent od Dorothy?

– Bardzo – zaśmiała się. – To powinna być lektura obowiązkowa. Chociaż – zastanowiła się – widzę przez nią wokół nieomal samych snobów...

– Bo każdemu można przykleić jakąś łatkę – pokiwał głową z pobłażaniem ojciec. – Dlatego nie oceniaj zbyt łatwo ludzi, żeby i oni ciebie nie ocenili. W dodatku niesprawiedliwie.

Karla przerzuciła kartki.

– Była tutaj pewna historia o dwóch panienkach, które napisały do autora z pytaniem, czy koniecznie muszą być snobkami, skoro wywodzą się z dobrej rodziny i szczytą swoim nazwiskiem, ale nie mają w domu „Księgi Parów”, służący zaś chodzi w liberii tylko w niedzielę...

– I tak dalej, i tak dalej. A co ty na to?

– To chyba zależy od tego, jak bardzo są denerwujący, prawda? Bo tylko wtedy cedzimy nienawistnie „co za snob!”...

– Pewnie masz rację – zgodził się Emil. – Więc módl się, żebyś za bardzo kogoś nie zdenerwowała. A teraz mamy przed sobą dużo czasu na czytanie.

Granice przekraczali w Zbąszyniu. Karla z zapartym tchem czekała na ten symboliczny moment, na chwilę, gdy po raz pierwszy w życiu znajdzie się poza Polską. Nie mogła uwierzyć, że to już, nie jechali przecież ani pięciu godzin. Czekają ich jeszcze tylko kontrole paszportowa i celna.

Od strony polskiej wszystko poszło jak z płatka. Dwóch funkcjonariuszy Straży Granicznej sprawnie przejrzało ich paszporty, przepisało dane do formularza i przybiło pieczęcie, po czym pożegnało się uprzejmie. Nawet nie pomyśleli, by zajrzeć do ich bagaży.

– Bardzo mili – zauważyła Karla.

– Dla swoich – mruknął Emil. – Niemców traktują pewnie tak jak oni nas.

– Czyli jak?

– Zaraz zobaczysz – rzekł krótko. Otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz. W samą porę, by cofnąć się przed niemieckim podoficerem, który – gdyby Emil się nie ruszył – wepchnąłby go pewnie na powrót do przedziału. Po kilku sekundach do podoficera dołączył oficer o wyblakłej twarzy i beznamiętnym spojrzeniu. Nawet nie zaszczycił spojrzeniem siedzących w przedziale.

– *Heil Hitler!* Niemiecka kontrola paszportowa – wyskandował jednym tchem podoficer. Jego głos zabrzmiał złowroźnie.

– Proszę, oto nasze dokumenty – odpowiedział swoją piękną niemczyzną Emil, podając paszporty.

Podoficer zerknął na książeczkę.

– Żyd, Polak czy renegat? – spytał obraźliwym, pełnym pogardy tonem.

– Słucham?! – Emil nie starał się nawet ukrywać oburzenia.

Podoficer podał jego paszport dowódcy.

– Naprawdę nie jest pan Żydem? – Skrzypiący głos drugiego funkcjonariusza był równie beznamiętny jak spojrzenie. – Tu jest napisane Emil Linde, zawód: lekarz.

Emil popatrzył mu w oczy.

– Nie tylko Żydzi są lekarzami – wycedził. – Ponadto Polska nie uznaje tytułów szlacheckich, z paszportu pan tego nie wyczyta, więc lepiej brzmi: Emil Johann von Linde. Jeśli myśli pan, że to żydowskie nazwisko, może pan słyszał o Linde Aktiengesellschaft. Założył je niejaki Carl Paul Gottfried von Linde. Firma produkuje gazy techniczne i oddaje spore usługi obronności Rzeszy. I nie powinno być dla pana zagadką, dlaczego moja córka ma na imię Karla.

Funkcjonariusz zerknął w drugą książeczkę i skinął głową.

– Mówi pan po niemiecku jak berlińczyk – rzekł jakby uprzejmie. – Skąd u pana polski paszport?

Emil pokiwał głową, jakby dziwił się niedomyślności oficera.

– Rozumie pan chyba, Herr Oberleutnant – powiedział – że po Wielkiej Wojnie rozmaite były koleje ludzkich losów. Historia ma swoje prawa.

– Rozumiem – rzekł wyblakły, zapisując nazwisko i numery paszportów. – Ale teraz pod przywództwem Führera wszystko się zmienia. I zmieni! To Führer tworzy i prawo, historię! A tacy jak pan, panie von Linde, odzyskają na powrót swoje dziedzictwo!

Wyciągnął do niego dłoń z obiema książeczkami.

Emil kiwnął głową, przyjmując paszporty.

– Miłej podróży – usłyszał jeszcze, nim rozległ się trzask zamykanych drzwi.

Karla, która śledziła tę scenę z zaskoczeniem, spojrzała na ojca.

– Ale przecież... – zaczęła.

Emil przerwał jej jednym gestem.

– Nie jestem krewnym świętej pamięci Carla von Linde – powiedział spokojnie – ale zobacz sama, co tu się stało. Z parszywego polskiego Żyda, który podszywa się pod niemieckie nazwisko, zrobiłem się nagle w jego oczach Niemcem, którego losy rzuciły do Polski, albo co bardziej prawdopodobne, którego Polska zastała na jakoby rdzennie pruskim terytorium. Jego zachowanie zmieniło się w jednej chwili. A przecież nadal jestem tym samym człowiekiem, prawda?

– Co chcesz mi przez to powiedzieć?

Emil uśmiechnął się wyrozumiale.

– Popatrz, jak łatwo we wszystko uwierzyć. Nie zachęcam do kłamliwego aktorstwa, ale przecież skłamałem tylko raz, gdy powiedziałem, że nosisz imię przez pamięć pana Carla von Linde. To on sam dopowiedział sobie całą historię. Najpierw bardzo chciał mieć Żyda, żeby pokazać swą rasową wyższość, potem bardzo chciał mieć Niemca, żeby pokazać swą lojalność i patriotyzm.

– A skąd wiedziałeś, że istnieje ten Carl von Linde?

Emil uśmiechnął się półgębkiem.

– Jego nazwisko jest na większości butli z tlenem w szpitalach, w których ostatnio bywałem – powiedział. – A o jego śmierci przeczytałem jakiś czas temu w gazecie.

– Ale to przecież jakby oszustwo – oburzyła się Karla.

– Nie bardziej niż twoje przy brydżu w Juracie – mruknął ojciec. – Wtedy kiedy przełożyłaś trzymane w ręku karty, żeby przeciwnik uwierzył, że nie masz już do koloru.

– Skąd wiesz? – Karla aż poczerwieniała ze wstydu.

– Szybko się rozniosło – zaśmiał się Emil. – Twój nieszczęsny przeciwnik dostał nauczkę i mądrze uznał, że bardziej mu się opłaca samokrytycznie o tym rozpowiadać, niż czekać, aż wszyscy się będą z niego śmiali. Zrobiłaś wtedy dokładnie to samo co ja dzisiaj.

– Nigdy na to tak nie patrzyłam – odparła z namysłem. – Jesteśmy kłamcami?

Emil ciężko westchnął.

– Każdy człowiek jest po trosze kłamcą. Dzięki temu życie jest ciut znośniejsze.

– Co ty mówisz – zaprotestowała Karla. – Przecież to nieprawda!

– Wyobraź sobie – w oczach Emila pojawił się błysk – że mówisz zawsze prawdę.

– Ja mówię zawsze prawdę – oświadczyła Karla.

– Świetnie. Wyobraź sobie, że idziesz na prośzone przyjęcie i widzisz, że gospodyni ma wyjątkowo paskudną, do tego brudną suknię. Co robisz?

– Udaję, że tego nie zauważam – odrzekła z pewnością w głosie Karla. – Przecież nie muszę mówić prawdy niepytana.

Emil kiwnął głową.

– To bardzo słuszne. Tak cię uczyłem, tak uczyła cię Dorothy. Anglicy mawiają, że przyzwoity człowiek nie widzi, kiedy ktoś inny robi coś niewłaściwego. A co zrobisz, gdy gospodyni, rozmawiając z tobą sam na sam, powie: śliczną mam suknię, prawda?

– Czyli jesteśmy do tego jeszcze hipokrytami.

– Nie wiedziałem, że znasz takie słowo. Nasza codzienność usłana jest fałszem. Gdyby wszyscy mówili tylko prawdę, życie naprawdę byłoby nieznośne. I bardzo, bardzo bolesne. A od kogo powinniśmy znosić nawet najgorszą prawdę?

– Od przyjaciół?

– Tak – odparł z triumfem Emil. – Od tych, którzy nie chcą nas ranić, lecz pomóc. Bieda w tym, że nieraz trudno jest odróżnić jednych od drugich. A wracając do tego kłamstwa, jest dopuszczalne wtedy, gdy mówiąc prawdę, sprawilibyśmy komuś przykrość. Nazywamy to niekiedy dobrym wychowaniem.

Karla zaśmiała się.

– Czyli kłamstwo jest dobrym wychowaniem?

Emil pokręcił głową z dezaprobatą.

– Dobrym wychowaniem – powtórzył – jest niesprawianie innym przykrości. I dotyczy to zarówno umiejętności zachowania się przy stole, jak i towarzyskich konwersacji. Zapamiętaj to sobie.

– Żartowałam przecież. – Karla rozparła się wygodnie na kanapce. – Wiem o tym wszystkim, ale... – zawiesiła głos.

– No, dalej – zachęcił ją ojciec.

– Ale jakoś inaczej, kiedy widzę, jak to naprawdę działa – powiedziała z żalem, obserwując uważnie ojca. Emilowi nawet nie drgnęła powieka.

– Jesteś już właściwie dorosła, wkrótce zaczniesz żyć życiem dorosłych. Dotąd tylko obserwowałaś, gromadziłaś doświadczenia, słuchałaś, co mam ci do powiedzenia, chłonełaś to, co mówiła Dorothy, ale nade wszystko patrzyłaś. Przyglądałaś się uważnie, wyciągałaś wnioski. Przed tobą czas próby. Okaze się, czy te wnioski były właściwe. Zamknijmy ten temat. Masz pojęcie, że jutro rano przed południem będziemy w Paryżu?

– Nie mogę w to uwierzyć – uśmiechnęła się Karla. – Wczoraj w Krakowie, dzisiaj w Warszawie, jutro w Paryżu. To jak jakiś sen. Gdzie się zatrzymamy?

– Czy naprawdę musimy wszystko aż tak dokładnie planować? – Emil wydawał się wcieleniem bez troski.

– I ty to mówisz? Przecież sam przyzwyczyłeś mnie do tego. Już babcia Aleksandra, świętej pamięci, mówiła mi kiedyś, że jesteś człowiekiem mądrym i zorganizowanym. Wtedy jakoś nie rozumiałam, ale teraz wiem chyba, co miała na myśli.

– W takim razie przyjmij do wiadomości, że od granicy francuskiej zmieniam się we francuskiego bon vivanta.

– A teraz jesteś niemieckim szlachciurą – zachichotała Karla. – A jeszcze wczoraj byłeś polskim lekarzem. To co będzie w Anglii? Zostaniesz lordem?

– Nie wykluczam – uśmiechnął się Emil. – Za to mam wątpliwą satysfakcję, że w Paryżu i tak będziesz skazana na moją obecność, bo twój francuski nie istnieje.

– Tatusiu! – Karla popatrzyła z wyrzutem.

– Wiem, wiem. – Emil podniósł ręce w obronnym geście. – Zaraz mi powiesz, że powtarzam za babcią Aleksandrą. Za to ja ci powiem: ucz się języków. Bez tego zginiesz marnie. Twój niemiecki jest dobry, po angielsku mówisz jak Angielka, więc dobry początek zrobiony.

– Jeszcze łacina – dodała z dumą Karla. – I greka.

– Łacinniczką rzeczywiście jesteś niezłą – przyznał doktor. – Nawet jak na moje wymagania. Zrobiłaś niewyobrażalne postępy przez ten rok przed maturą. Czyli w sumie dobry początek.

– Dobry początek? – Karla aż jęknęła. – Jeszcze mało?

– Zawsze jest mało. Zawsze.

Karla zapatrzyła się w okno. Pociąg jechał bardzo wolno, w oddali widać było wynurzające się z soczystej zieleni niewielkie, ceglane domy.

– Niby tak samo – powiedziała – ale jakby inaczej.

– Tak samo – mruknął Emil. – To złudzenie. Wszędzie tam żyją ludzie, rodzą się, żenią, mają dzieci, wnuki, umierają. Może mieszkają w innych domach, może przy tych domach rosną inne drzewa, ale wierz mi, u podstaw ludzie są wszędzie tacy sami. Choćby nie zdawali sobie z tego sprawy.

– Ale...

– Nie masz dość poważnych rozmów? Zresztą w sumie masz rację, to ja sprowadzam wszystko do rzeczy poważnych.

– Nawet Paryż – rzekła Karla oskarżycielsko. – To chociaż powiedz, jak długo tam zabawimy.

– Kilka dni. – Emil z niezrozumiałych przyczyn nie bawił się w szczegóły. – Później do Calais, stamtąd płyniemy do Southampton i pociągiem do Salisbury albo Chippenham, sam jeszcze nie wiem. Dalej już autem do majątku Dorothy.

– Gdybyż tak mieć siedmiomilowe buty... – westchnęła Karla.

– Za dużo wymagasz od życia – zgromił ją ojciec. – Dość tego, co masz.

Karla już miała odpowiedzieć, lecz pociąg wjechał na stację i zatrzymał się.

– Neu Bentschen – powiedział ojciec. – Tutaj wysiada niemiecka straż graniczna.

Dziewczyna ciekawie przyglądała się stacji. Na przeciwległym peronie, na wprost obwieszonych hitlerowskimi flagami dworcowego budynku przygotowywała się do zbiórki jakaś grupa z Hitlerjugend, pewnie jadąca na wycieczkę. Chłopcy wydawali się jak wycięci ze sztancy, niemal identyczni, radośni, przystojni. Karla westchnęła.

– Sam popatrz – zerknęła na ojca – w szkolnych podręcznikach piszą, że powinnam być pięknym i dobrym człowiekiem, tak by ojczyzna była ze mnie dumna. I że słodko jest za ojczyznę umierać. To co w takim razie im mówią w szkołach?

– Mniej więcej to samo – mruknął niechętnie Emil. – Tylko nie mówią, że trzeba.

– A co mówią?

– Że muszą.

Karla spojrzała na niego, niepewna, czy nie żartuje. Emil był jednak poważny, poważniejszy niż kiedykolwiek.

– To znaczy? – zapytała.

– O ustawach norymberskich cię w szkole pewnie nie uczyli, zresztą to zbyt świeża sprawa. Sprowadzają się do jednego: jeśli nie jesteś Aryjczykiem, jesteś nikim.

– Mówisz o Żydach? – spytała zdziwiona Karla. – Przecież nie jesteśmy Żydami.

Emil zmienił się na twarzy. Karla patrzyła na niego ze zdumieniem.

– Karla – rzekł sucho – czy ty nie rozumiesz, że to nie chodzi tylko o Żydów czy nie-Żydów? Chodzi o to, że tutaj tylko władza decyduje, czy jesteś Aryjczykiem i masz prawa obywatelskie, czy nie jesteś. I to władza ustala zasady. Jutro może się okazać, że Aryjczykami nie są, dajmy na to, filateliści. I co? I nic. Tak będzie, bo tak kazała władza. To się nazywa po polsku władza totalna. Nie ma nic wspólnego z demokracją, parlamentem czy konstytucyjną monarchią, władza totalna nie liczy się z nikim i niczym. I nie chcę już nigdy słyszeć od ciebie o ślicznych blondynach z Hitlerjugend, którzy z radosną pieśnią na ustach wsiadają do pociągu. To produkt, rozumiesz? Produkt nauczony wykonywania rozkazów. Idealni żołnierze. Pójdą tam, gdzie im każą, i zginą z wiarą, że tak trzeba. Żadnej myśli, żadnego wahania.

– Dlaczego mi to mówisz? – W głosie dziewczyny słychać było pretensję. – Przecież tu jest ład, porządek, zobacz, ten dworzec jest taki, jakby go zamiatali cztery razy na dzień...

– Patrzysz na pozory – uciął Emil. – Nie będziemy o tym teraz rozmawiać.

Karla zamilkła. Zrobiło jej się nieswojo. Emil wyczuł to natychmiast. Przesiadł się i objął ją ramieniem.

– Musisz zrozumieć – powiedział już spokojniej – że nic nie jest takie, jak się na pozór wydaje. Im szybciej to pojdziesz, tym lepiej dla ciebie. Będziesz się często spotykać z ludźmi, którzy dbają o formę, o pozory, z ludźmi ładnymi, eleganckimi, dobrze wychowanymi, którzy w jednej chwili staną się bestiami. Zresztą przepraszam. Może nie mam racji.

– Nie szkodzi. – Karla przytuliła się do ojca. – Przemyślę to. Chociaż czasem trudno mi w to uwierzyć.

– Bo nie za bardzo się przykładałaś do nauki – rzekł z udaną srogością Emil, wyjmując z kuferka jakąś książkę. – Mówili ci o triadzie platońskiej, o prawdzie, dobru i pięknie, a ty nadal myślisz, że to, co piękne, musi być dobre, a to, co dobre – prawdziwe. Naprawdę tak nie jest i przekonasz się o tym więcej razy, niż chciałbym. Dość gadania. Weź sobie jakąś książkę albo oglądaj widoki za oknem. Do Berlina mamy jeszcze trzy godziny, a potem pewnie trzeba będzie iść spać. I tak zbudzą nas jakoś nad ranem na granicy. A potem – Paryż!

– Dobrze, tatusiu – zgodziła się z rezygnacją Karla. Ale temat nie dawał jej spokoju. – Jeszcze jedno pytanie, dobrze?

– Jak wtedy, gdy miałaś cztery latka – westchnął Emil, zamykając na powrót cienki, twardo oprawny tomik. – Wtedy też pytałaś o wszystko. Słucham.

– Jeżeli oni... ci młodzi... zostaną żołnierzami, idealnymi żołnierzami...

Emil wiedział już, jakie będzie kolejne pytanie. Czekał zrezygnowany.

– Jeśli oni?...

– ... zaczną wojnę?

– Tak. To kto ich powstrzyma?

Emil milczał przez chwilę. Gdy dziewczyna już myślała, że nie powie nic, odezwał się wreszcie.

– Jakie jest najpotężniejsze zwierzę w Afryce?

– Lew?

Emil pokręcił głową.

– Nosorożec? Bawół? Słoń? – próbowała dziewczyna.

– Nie. Mrówka.

– Jedna mrówka? – roześmiała się, Emil jednak był poważny.

– Nie, nie jedna. Sto milionów.

– Nie rozumiem.

– Co tu jest do rozumienia – mruknął Emil. – Jeśli słoń spotka na swojej drodze nieprzebrany strumień maszerujących przed siebie mrówek, ucieknie albo zginie. Tak bywa ponoć w Afryce. Gdy zdarza się, że mrówki opuszczają swoje mrowiska i idą przed siebie, wszystko przed nimi ucieka. Od myszy do słonia. Co nie zdąży, umiera.

– Czyli nie są niezwyciężeni? To chyba dobrze?

– Nikt nie jest. – Głos Emila zabrzmiał głucho. – Tyle że po mrówkach zostaje już tylko martwa pustynia. Pamiętaj o tym.

Milczała, przetrawiając w sobie to, co usłyszała. Tymczasem Emil odłożył książkę.

– Chodź – powiedział. – Może jednak pójdziemy coś zjeść. Karla poczuła, że i ona jest głodna. Podniosła się szybko.

– A dostaniemy coś jeszcze?

Emil spojrzał na nią spod okularów.

– Na pewno – powiedział. – A nawet jeśli nie, masz kanapki. W końcu to ty się uparłaś, że nie będziesz jadła przed granicą.

Zabrał swój nieodłączny lekarski kuferek i otworzył drzwi. Karla poszła za nim.

Wagon restauracyjny był prawie pusty, nie licząc zajętych trzech stolików. Przy jednym siedzieli pogrążeni w rozmowie dwaj postawni, dobrze ubrani panowie, których Karla natychmiast uznała za przemysłowców. Przy drugim mężczyzna, może w wieku Emila, którego rozpoznała, bo zajmował przedział w ich wagonie, czytał przy kawie z luźnych kartek, poprawiając je co chwila, gdy powiew powietrza z uchylonego okna próbował zrzucić cały plik na podłogę. Na foteliku przy trzecim przysiadła natomiast samotna kobieta i to ona właśnie przykuła uwagę Karli. Mogła mieć dwadzieścia parę lat, była ubrana w piękną, niechybnie kosztowną sukienkę w delikatne, bladopastelowe wzory. Jedwabny szal spowijał jej szczupłe ramiona. Była doskonała w każdym szczególe, jej poza była niewymuszona, pełna wdzięku i elegancji. Spojrzała w stronę Karli i Emila, otaksowała ich oboje w ułamku sekundy i odwróciła obojętnie wzrok. Emil tylko rzucił na nią okiem, minął ją, przeszedł cały wagon i podszedł do ostatniego stolika, po drugiej stronie przejścia.

– Czy możemy usiąść... bardziej w środku? – poprosiła Karla.

Emil miał chyba jednak inny plan.

– Tu będzie najwygodniej – rzekł, rozsiadając się na swoim foteliku, mając przed sobą tylko Karłę i przejście do części kuchennej. Swój lekarski kuferek postawił pod stolikiem. Karla przysiadła naprzeciw, zerkając ostrożnie na kobietę. Ich spojrzenia skrzyżowały się przez chwilę.

– Znów patrzy na ciebie – szepnęła do Emila filuternie. – Jakby cię skądś znała.

Emil ani drgnął.

– Nie zna mnie – rzekł tylko.

Karla spojrzała na ojca z zawodem.

– Śliczna – bąknęła.

– Może i tak – zgodził się lakonicznie Emil. – Ciekawe, gdzie kelner.

Bufetowy zjawiał się jak na zawołanie.

– Czym mogę służyć szanownym państwu? – zapytał.

Emil zawahał się.

– A co pan poleci?

Kelner rozpromienił się.

– Zrazy mielone – wyrecytował. – W sosie chrzanowym.

Emil zerknął w kartę.

– Sztuka mięsa z rosółu, do tego zasmażane ziemniaki, kiszone buraczki, a dla panienki...

– To samo – uzupełniła pośpiesznie Karła.

– I...? – zawiesił głos kelner.

– I na razie to wszystko – powiedział Emil. – O deserze pomyślimy później.

Kelner skinął głową i zniknął za przepierzeniem. Karła spojrzała na ojca uważnie.

– Dlaczego nie wzięłaś tego, co polecał?

Emil uśmiechnął się pod wąsem.

– Wolę zjeść coś bezpiecznego. Zrazy mielone z sosem chrzanowym nigdy nie są bezpieczne, a już zwłaszcza latem. Pamiętaj, jutro w planach Paryż, a nie sensacje żołądkowe.

– Dyrekcja kolei by cię pewnie przeklęła, gdyby usłyszała, co mówisz – rzekła oskarżycielsko Karła. – Przecież tak reklamują doskonałą kuchnię...

– Wolę, żeby dyrekcja mnie przeklinała, niż żebym sam przeklinał brak ostrożności – mruknął Emil. – Dołożę sobie deserem, a na prawdziwe jedzenie będzie czas jutro.

Karla w zamyśleniu bawiła się kartą, raz po raz zerkając na współtowarzyszy w wagonie.

– Ona naprawdę na nas spogląda – spróbowała jeszcze raz zainteresować ojca.

Ten westchnął zniecierpliwiony.

– Jesteś już właściwie dorosła – powiedział – więc należy ci się wyjaśnienie. Na początek lekcja. Za chwilę ten samotny pan dopije kawę, zostawi na stoliku pod filiżanką dziesięć złotych...

– Dziesięć złotych?!

– Nie przerywaj – ofuknął ją ojciec. – Zostawi te dziesięć złotych i wstanie. Będzie zbierał się wolno, składając w nieskończoność papiery. Wtedy ta pani też wstanie, przejdzie koło niego w naszą stronę i coś zrobi, upuści torebkę, może cygarniczkę. Pan podniesie. Zaczną rozmawiać. Kiedy kelner sprzątnie te dziesięć złotych i filiżankę, oni przysiądą i nadal będą rozmawiali.

– Zamówią coś?

– Jeszcze nie wiem. Ale z pewnością wyjdą razem.

Karla z niedowierzaniem spojrzała na ojca i na kobietę. Nic nie wskazywało na to, by scenariusz miał się sprawdzić.

– Żartujesz sobie ze mnie. Przecież oni się zupełnie nie znają.

– To prawda – w głosie Emila zabrzmiała beztroska – ale poznają się. Już wkrótce.

Chwilę później kelner nakrył do stołu. Emil kiwnął mu głową i nadal oddawał się kontemplacji zieleni za oknem.

– Wstał – syknęła nagle Karla. Jej oczy rozszerzyły się w zdziwieniu. – Zostawia na stoliku dziesięć złotych. Rozsypał kartki!

– Jeszcze lepiej – skomentował na pozór obojętnie ojciec, zerkając na zegarek. – Kiedy je zbierze, ona podejdzie, potknie się i coś upuści. On jej pomoże, podniesie, a wtedy zaczną się śmiać, rozmawiać o tym, jak bardzo oboje są niezgrabni...

– Ona podchodzi do niego – relacjonowała, niemal nie poruszając wargami. – Teraz... spada jej z ramion szal!

– ... on podnosi – dokończył siedzący tyłem do sceny Emil – i zaczynają się śmiać.

Kelner przyniósł talerze. Zapachniało smakowicie. Do szmeru rozmowy przemysłowców dołączył ożywiony głos mężczyzny i cichy, melodyjny brzmienie słów wypowiedzianych przez kobietę. Rozmawiali po niemiecku. Karla nastawiła uszu, ale mówili cicho, a szum powietrza i stukot kół utrudniał zrozumienie.

– Smacznego – rzekł beztrosko ojciec, rozkładając na kolanach serwetkę. – Chyba to był dobry wybór, pachnie znakomicie.

Karla zgromiła go wzrokiem.

– Zamówili coś – szepnęła.

– Skoro tak, on pewnie jakiś mocniejszy alkohol – mruknął Emil, zabierając się do jedzenia – ona lekkie, białe wino. Choć pewnie proponował szampana. Ostatnia rzecz, której o niej nie wiem, zależy od tego, czy zamówią butelkę szampana do przedziału, czy też wyjdą razem, ale ona zostawi niewypite wino. Jedz, bo wystygnie.

Sam ukroił kawałek mięsa i włożył go do ust. Karla, chcąc nie chcąc, poszła w jego ślady.

– A jeśli nie masz racji?

– Niestety tym razem mam – rzekł melancholijnie ojciec. – Całkiem dobre to jedzenie. Widzisz? Kelner niesie dla niej wino, a dla niego kieliszek wódki.

– Teraz on jej coś szepcze do ucha, ona się śmieje – ciągnęła cichutko Karla. – A teraz na odwrót. On kiwa głową... Wstają! Zostawia znów dziesięć złotych i podaje jej ramię. Znow się śmieją... no tak, przecież nie zmieściliby się, tu jest wąsko, ona idzie pierwsza... wychodzą.

– Czyli wszystko się zgadza – mruknął Emil. – Ich związek potrwa do Berlina.

– Co takiego? – zdumiała się Karla.

– Nie skończyłem. Kiedy już ruszymy z Berlina, on zorientuje się, że stracił zawartość pugilaresu, zegarek, a może i złoty sygnet, który nosił tak ostentacyjnie, do tego na niewłaściwym palcu.

Karla patrzyła na ojca osłupiała.

– Chcesz powiedzieć, że ona jest... złodziejką?

– Prostytutką i złodziejką – uzupełnił ojciec, zerkając na córkę z ukosa.

Karla sprawiała wrażenie zupełnie oszołomionej. Nie mieściło jej się to wszystko w głowie. Owszem, wiedziała to i owo, ojciec opowiadał jej kiedyś dokładnie o fizjologii tego, co w powieściach dla pańienek, nigdy nie wdając się w szczegóły, nazywano gorącym uczuciem. Wiedziała też o sprzedajnej miłości, zdarzało jej się nawet widywać wieczorami na krakowskich ulicach dziewczyny czekające na klientów, ale zawsze kojarzyła cały proceder z czymś budzącym współczucie, brudnym, biednym, wstydlivym. Żałowała wtedy raczej niedostatku, w którym znajdowały się te dziewczyny, tłumaczyła sobie, że jest czymś strasznym sprzedawać swoje ciało z nędzy. Ale tutaj...

Emil zlitował się nad córką.

– Widzisz – rzekł, wycierając usta serwetką i odkładając ją obok talerza – wokół nas dzieje się mnóstwo rzeczy, których nawet nie zauważamy. Takie jak tutaj. Ta pani... – przerwał, bo pojawił się kelner, który zebrał talerze.

– Szarlotka – poprosił Emil – i kawa.

– Dwa razy?

Zerknął na córkę, która kiwnęła głową.

– Dwa razy.

Kelner z ekwilibrystyczną zręcznością, balansując biodrami jak tancerz, przemknął przez drzwiczki i zniknął za barem.

– Na czym to ja skończyłem? – zastanowił się Emil. – A, wiem. Ta pani jest wysokiej klasy damą do towarzystwa i pewnie bardzo sprawną złodziejką, żadną tam dziewczyną spod latarni, która wyjmie klientowi z kieszeni marynarki piątkę i ucieknie, gdy ten będzie spał. Pracuje tam, gdzie pojawiają się samotni, dobrze sytuowani mężczyźni z wypchanym portfelem. W najlepszych hotelach, restauracjach i barach, na modnych dancingsach... i w drogich pociągach.

– Ale skąd wiesz, że jest prostytutką i złodziejką? – zbuntowała się Karla. – Od kiedy to niby pracujesz w policji? A Sherlock Holmes był jeden, i ty nim przecież nie jesteś!

– Wsiadała w Warszawie do sąsiedniego wagonu – zaczął tłumaczyć cierpliwie Emil – sama, bez żadnego bagażu, tylko z torebką. Szef konduktorów kiwnął jej nieznacznie głową, to znaczy, że ją zna, a ona go na pewno jakoś opłaca, choćby po to, by nikt z obsługi nie przesadzał z gorliwością i nie interesował się zbyt. Skoro nie ma żadnego bagażu, to raczej nie nocuje w pociągu, więc wysiada w Berlinie. Jak widziałas, flirt zakończył się szybkim dogadaniem warunków i przejściem do rzeczy.

– Ale dlaczego złodziejka?

– Nie wypila wina – przypomniał Emil – i nie zamówiła szampana. Gdyby chodziło tylko o... – zawahał się – usłużenie temu panu, pewnie zamówiłaby szampana, w końcu trzeba sobie jakoś osłodzić dość przykry obowiązek. Jakoś nie wydaje mi się, żeby większość pań tego pokroju oddawała się obcym mężczyznom i miała z tego jakąś przyjemność.

Karla wzdrygnęła się. Ojciec to zauważył.

– Musiała być trzeźwa – dokończył – bo kradzież to trudna sztuka. Nie robi się takich rzeczy na łapu-capu i po pijanemu.

– Ale skąd ty wiesz takie rzeczy – wybuchnęła Karla – i jak to wszystko możliwe?!

– Jestem lekarzem – przypomniał Emil. – Ludzie mówią mi rozmaite rzeczy.

– Leczyłeś ją może? – spytała ironicznie.

Emil pokręcił głową.

– Jej nie, ale poznałem kiedyś niezwykle miłego, dystyngowanego starszego pana, któremu pomogłem w paru problemach, a który

z wdzięczności za tę pomoc wtajemniczył mnie w wiele spraw, dotąd zupełnie mi obcych.

– Był detektywem?

Emil pokręcił głową.

– Powiedziałbym, że wręcz przeciwnie – odrzekł z uśmiechem. – Reszta to tajemnica lekarska.

– Ach, czyli był złodziejem...? – szepnęła z przejęciem Karla.

Otwierał się przed nią zupełnie nowy świat, w którym jej ojciec, kochany i podziwiany, pokazywał zupełnie nową twarz.

– Raczej... wykładowcą – uściślił Emil. – Był mi naprawdę wdzięczny za pomoc, a że mam słabość do ciekawych ludzi, jakoś się zaprzyjaźniliśmy.

– Nie wierzę, że miałbyś znajomości w półświatku – rzekła stanowczo Karla. – Nabierasz mnie.

– Ani mi to przez myśl nie przeszło. Poczekaj do Berlina, zobaczysz, jaka będzie awantura.

Karla przez lata nauczyła się, że jej ojciec myli się rzadko, a w sprawach istotnych nigdy. Jednak z niecierpliwością wyczekiwała tego, co będzie się działo w Berlinie. Stali tam niedługo, lecz nasłuchującej przy drzwiach dziewczynie nie udało się dosłyszeć niczego podejrzanego. Ktoś wysiadał, ktoś wsiadał, żadnych emocji. Karla wyprostowała się.

– No i widzisz – triumfowała – nic z tego nie będzie. I tyle zostało z tych twoich detektywnych teoryj, ze starszego pana, co cię wtajemniczał w kryminalne historie, z barwną historyjką o rzekomej złodziejce i prostytutce. Co powiesz?

– Nic – odezwał się beztrąsko Emil, składając wczorajszą gazetę.

– Nic?! – Karla spojrzała oburzona. – Najpierw opowiadasz mi jakieś sceny jak z kryminalnej powieści, a potem mówisz: nic? Gdy cała twoja teoria runęła jak domek z kart?

– Na razie się potwierdza – zauważył ojciec. – Powiedziałem, że to wysokiej klasy złodziejka i prostytutka. Czy taka dałaby się zdemaskować przed odjazdem pociągu?

Karla nie odezwała się. Pociąg ruszył. Ledwie kilka minut później usłyszeli jakiś harmider i po chwili ktoś zaczął wrzeszczeć:

– *Hilfe! Hilfe! Diebe!!!*

– Ot, i masz – rzekł lakonicznie Emil. Zabrał swój kuferek, podszedł do drzwi i uchylił je, stając twarzą twarz z konduktorem, który zaniepokojony odgłosami szedł właśnie korytarzem.

– Ktoś krzyczy o pomoc – zwrócił się do niego trochę bez sensu Emil, bo wrzaski nasiliły się. – To chyba nasz sąsiad z wagonu. Jestem lekarzem, może pomogę. To chyba jakiś atak nerwowy.

Konduktor zerknął na medyczny kuferek i kiwnął głową. Emil odwrócił się do osłupiałej Karli.

– Ty nie wychodź – rozkazał. – Zaraz wrócę.

Poszli we dwóch do otwartego przedziału, w którym panował absolutny rozgardiasz. Chudy mężczyzna, przekopując podróżną torbę i wyrzucając z niej rzeczy, jęczał głośno:

– *Mein ganze Geld! Meinen Pass! Alles wird gestohlen!*

– Może pan zechce powiedzieć, co się stało – rzekł po niemiecku Emil. – Jestem lekarzem, mogę pomóc.

Mężczyzna spojrzawszy na niego oszalałym wzrokiem i odwrócił się do konduktora.

– Mówię przecież! Całe moje pieniądze! Ukradli mi pieniądze i paszport! Zatrzymajcie pociąg! Łapcie... – przerwał nagle. – Łapcie złodzieja!

Konduktor wydawał się oazą spokoju.

– Jeśli stracił pan paszport – powiedział spokojnie – nie może pan jechać dalej. Następny postój dopiero na granicy. Chce pan jechać dalej i wysiąść przed granicą, czy chce pan pokryć koszty zatrzymania pociągu i wysiąść już w Spandau?

– Pieniądze mi też ukradli! – wrzasnął pechowy pasażer.

– Czy nastąpiło włamanie do przedziału? – zapytał służbistym tonem konduktor, wyciągając notes i śliniacz kopiiowy ołówek. – Czy może to napad rabunkowy?

Niemiec zamilkł nagle, zrozumiał, że przyjdzie mu się tłumaczyć z romantycznej przygody przez cały wagon, gdyż z dwóch pozostałych przedziałów wychylały się już głowy podróżnych, a korytarzykiem próbowali się dopchnąć kolejni ciekawscy. Desperacja przerodziła się w jednej chwili w apatię.

– Ja... – wykrztusił – ja może jednak wysiądę.

Konduktor zwrócił się do szefa, który pojawił się przy nim.

– Mówi, że go okradli z paszportu i pieniędzy. Nie chce powiedzieć, kto i jak. Chce wysiąść w Spandau.

– Niech wysiada – rzekł szef konduktorów po niemiecku. – Daj znać do lokomotywy. W Spandau niech go przesłuchają. Zdaje się, że widziano go z jakąś pasażerką. Może pokłócił się z żoną, ona wysiadła w Berlinie i z zemsty zabrała mu paszport? Nie takie rzeczy widuje się na kolei.

Mężczyzna ożywił się nagle.

– Tak właśnie – powiedział ponuro. – Pokłóciłem się z żoną. Nie wiedziałem, że jest zdolna zrobić mi coś takiego. Wysiądę w Spandau.

Szef konduktorów kiwnął głową.

– Proszę się pakować – zalecił. – Zaraz będziemy na miejscu. Rozejrzył się. – Proszę państwa, nie ma co robić zbiegowiska. Panu, panie doktorze – zerknął na Emila dzierżącego jak sztandar czarny kuferek – też już dziękuję.

Emil skinął głową i poszedł do przedziału. Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, roześmiał się serdecznie. Karła zgromiła go spojrzeniem.

– Stało się, jak przewidziałeś – oznajmiła surowo, gdy ojciec streścił jej wydarzenia – ale to jeszcze nie powód, by się cieszyć z cudzego nieszczęścia. On naprawdę stracił paszport i pieniądze. A ty jesteś trochę współnikiem. Należało go ostrzec.

– Należało się, ale jemu. – Emil usiadł wygodnie.

Karla popatrzyła pytająco. Jej oburzenie nie zmalowało ani trochę.

– Jak możesz!

Emil nie przejął się gniewem córki.

– On nie wsiadał w Poznaniu. Wsiadał w Zbąszynie – powiedział. – I to on pokazał mnie niemieckiej kontroli granicznej, mówiąc mniej więcej tyle, że pełno polskich Żydów jeździ teraz pociągami i w dodatku pierwszą klasą, a powinni przecież chodzić piechotą, i że najchętniej przesiadłby się gdzieś indziej. Słyszałem, kiedy byłem na korytarzu. I daję głowę, że nie był ani przemysłowcem, ani turystą.

– A kim?

– Wolę nie wiedzieć. I od tego momentu przestaję o tym myśleć. Powiem ci tylko tyle, że jest sprawiedliwość na tym świecie. Ty pierwsza do łazienki.

PARYŻ

Na Gare du Nord mieli wjechać przed jedenastą. Pominąwszy historię z niefortunnym miłośnikiem przygodnych amatorów, noc minęła spokojnie. Co prawda nad ranem zbudziła ich kontrola graniczna, ta jednak w ekspresowym tempie przejrzała paszporty, do tego pogranicznik z celnikiem ucieszyli się z dobrej francuszczyzny Emila i wdali się w krótką rozmowę po tym, gdy doktor zażartował, że do Francji nie ma co wwozić, bo jest tam wszystko, co być powinno: wino i piękne kobiety. Zdążyli nawet skomplementować wyrwaną z najgłębszego snu, półprzytomną Karłę, po czym przeszli do kolejnych przedziałów.

Emil dał córce pospać, zbudził ją dopiero przed dziewiątą na śniadanie. Wszystko wskazywało na to, że żart Karli o ojcu kameleonie, zmieniającym charakter w zależności od kraju, miał sens. Emil był rozluźniony, żartował, w wagonie restauracyjnym uśmiechał się do kobiet i sprawiał wrażenie, jakby nareszcie był u siebie. Czego nie sposób było powiedzieć przez całą drogę przez Niemcy.

– Od czego zaczniemy? – spytała Karla, już przygotowana do wyjścia, przeglądając bedekera. – Od Luwru? Czy od wieży Eiffla? Czy może pójdziemy na spacer nad Sekwanę? Albo do Tuileries? Chciałabym usiąść na ławce i popatrzeć w ten błękit nieba. Nigdy nie widziałam, żeby było aż tak błękitne...

– Trzeba by nam było jechać zamiast do Paryża na południe Francji – mruknął Emil – albo do Włoch. Ale prawda, pogoda przepiękna. Nie, nie wiem, od czego zaczniemy. Pewnie od hotelu, ale nie mam tego jeszcze zaplanowanego.

– Więc to prawda? – zdumiała się Karla.

– Wczoraj mówiłem całkiem serio – rzekł Emil. – Niemalże jesteśmy w Paryżu, już czuję, jak ogarnia mnie galijska beztroska. Może pójdziemy nocować pod któryś z mostów, może będziemy chodzili przez całą noc po mieście? Choć nie jest to mimo wszystko pomysł zbyt bezpieczny. Może upiję cię doskonałym szampanem albo winem, a na drugi dzień będę komentował złośliwie skutki twojego opilstwa, a ty – moją ojcowską lekkomyślność. A może wydarzy się coś, czego się nie spodziewam? To jest Francja, kraj ludzi dziwnych: prostych, czasem nawet grubiańskich, choć

w niektórych sprawach niezwykle wyrafinowanych, lekkomyślnych, choć oszczędnych, wiarołomnych, choć przyjacielskich, a na pewno umiejących cieszyć się życiem. To ostatnie bezwarunkowo.

– Ty naprawdę ich lubisz – powiedziała dziewczyna, widząc śmiech w oczach ojca.

– Lubię, póki nie muszę na nich liczyć. Ale dotyczy to również Anglików.

– Niemców i Sowieców też? – zażartowała niefortunnie Karla. Po twarzy Emila przemknął cień.

– Nie – rzekł. – Bo po nich mogę się spodziewać tylko wszystkiego, co najgorsze.

Karla zamilkła. Przed oczami stanęła jej niedawna niemiecka kontrola graniczna, w uszach zabrzmiał obelżywy, pełen pogardy głos oficera: *Bist du Jude?*

– Mimo twoich studiów w Berlinie? – spróbowała jeszcze.

– Nie mimo studiów, ale dzięki nim.

Karla posmutniała. Widząc to, ojciec pogłaskał ją po ramieniu.

– Nie martw się – powiedział. – Pomyśl, że zaczyna się coś nowego, i nie myśl za wiele o tym, o czym ci mówię.

Rozległo się pukanie

– Proszę – rzekł Emil głośno.

Do przedziału zajrzał konduktor.

– Przepraszam państwa – powiedział – ale zbliżamy się do stacji. Zgodnie z rozkładem będziemy za dziesięć minut. Z wagonu bagażowego wyjmą natychmiast, tylko trzeba pokazać kwit przed odbiorem.

– Nadrobiliście ten postój w Spandau? – zdziwił się Emil. – Niewiarygodne. Gratulacje. Zawsze miałem dobre zdanie o państwowym kolejach.

– Tak jest – odparł służbiście konduktor, zasalutował i zniknął za drzwiami.

Emil odwrócił się do córki.

– Słyszysz? Za dziesięć minut będziemy na miejscu. Jesteś gotowa?

Karli wystarczyło jedno spojrzenie na półeczkę z bagażami, a drugie na stolik, by kiwnąć głową.

– To dobrze – skwitował ojciec.

Brak planu na Paryż nie dawał dziewczynie spokoju.

– To co będziemy robili, jak już wysiadziemy i znajdziemy się wreszcie na peronie? – spytała. – Pójdziemy przed siebie?

– Nie mam pojęcia – odparł Emil. – Damy się ponieść wypadkom.

Po chwili pociąg wjechał na stację. Karla nawet nie spojrzała przez okno na gwarny dworzec, złapała torebkę, mały nesoser i jakby ją kto ścigał, wypadła z przedziału. Emil szybkim krokiem ruszył za nią.

– Uważaj na schodkach – przestrzegł, ale Karla już go nie słuchała. Pierwsza wyskoczyła z wagonu i rozejrzała się po gwarnym peronie.

– Jestem w Paryżu! Tatusiu, jestem w Paryżu!

– Chodź do wagonu bagażowego – rzekł ze stoickim spokojem ojciec.

Ruszyli wzdłuż peronu szybkim krokiem. Bagażowy odebrał kwit i wskazał bagaże, przy których już czekał z wózkiem młody chłopak. Karłę zdziwiły jego fioletowa, obramiona złotem liberia i kepi.

– Czy można już załadować walizki? – zapytał, stając na baczność i patrząc, jak się jej zdawało, na nią. Nim zdążyła zapytać ojca, co znaczą jego słowa, usłyszała nagle zza pleców, jak ktoś mówi do chłopaka po francusku z angielskim akcentem. Znała ten głos! Odwróciła się z niedowierzaniem. Tak!

– Kathy! – wrzasnęła radośnie, rzucając się w ramiona przyjaciółki. Ścisnęły się mocno jak nigdy chyba. Widać było, jak bardzo odczuły wiele miesięcy rozłąki, a nade wszystko brak kontaktu w ostatnich tygodniach. Gdy wreszcie się od siebie oderwały, Karla zobaczyła śmiejącego się serdecznie pana Baringa.

– Przepraszam pana – powiedziała, ocierając łzy – ale to naprawdę niezwykła niespodzianka. A tata nic mi nie powiedział... – zerknęła z wyrzutem na Emila.

– Tak miało być – oświadczył pan Baring, ściskając dłoń Karli. – Na usprawiedliwienie twojego ojca powiem, że wiedział tyle, iż będziecie w Paryżu moimi gośćmi.

Zerknął na czekającego obok wyprężonego boya.

– Można ładować – uprzedziła go Kathy. Chłopak natychmiast sprawnie załadował walizki i popchnął wózek.

– Idziemy – zarządziła stanowczo Kathy. – Mieszkamy w Ritzu.

Odwróciła się do ojca i Emila.

– My dojdziemy później – powiedziała. – Zabieram Karłę do miasta. Wrócimy na czwartą na obiad do hotelu, dobrze?

Karla spojrzała prosząco na ojca.

– Co mam zrobić – westchnął Emil. – Tylko bardzo proszę, żadnych głupich pomysłów.

Dziewczyny z radosnym śmiechem niemal biegiem rzuciły się przez peron pełen ludzi w stronę wyjścia. Emil pokręcił głową.

– Chyba już jestem za stary – mruknął. – Ciągłe mi się wydaje, że to mała dziewczynka, w którą trzeba pakować własne doświadczenia, pilnować, żeby nie zrobiła sobie krzywdy, i mieć nadzieję, że przypomni sobie we właściwym momencie, co się powinno robić, a czego nie...

Baring zaśmiał się.

– To idzie bardzo szybko – rzekł. – Przed chwilą bawiła się lalkami, teraz ma już narzeczonego...

– Zaręczyła się? – ucieszył się Emil. – Moje gratulacje!

– Jeszcze nie wiem, czy jest czego gratulować – mruknął niechętnie Baring. – I na szczęście nie było formalnych zaręczyn. Rodzina wprawdzie dobra, ale... – zawahał się – nierozważna. A narzeczonego nazbyt lubi rozgłos.

Emil zmilczał, uznając, że nie wypada wypytywać wprost. Baring docenił to.

– Przyjacielowi – rzekł – można o tym powiedzieć. To nie wszystko. Otóż...

Emil podniósł obronnym gestem obie ręce.

– O nic nie pytam – mruknął. – To zawsze delikatne kwestie. Jeśli to nie łowca posagów, z dobrej rodziny, kocha ją z wzajemnością, to o czym tu mówić?

– To prawda – zgodził się Baring – choć to też skomplikowane, i nie koniec na tym. Młody Mildhouse ma... – zawahał się – jak dla mnie nieco egzotyczne poglądy polityczne.

– Jest młodym socjalistą? – zaśmiał się Linde. – Nie chcę tu przywoływać, co powiedział kiedyś Bismarck o tym, kim to się nie jest za młodu.

– Jest młodym... faszystą. – To słowo z trudem przeszło Baringowi przez gardło.

Wesołość Emila zniknęła jak zdmuchnięta.

– Faszystą, czy może tylko... germanofilem? – spytał ostrożnie.

– Faszystą – mruknął Baring. – Germanofilem jest jego ojciec. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, a u lorda Mildhouse'a spotykali się ludzie, z którymi wolałbym się nie znać. Zresztą pan mnie zrozumie, panie Linde, po tym, co pański naród zaznał od Niemców.

– Więcej złego zaznał od Rosjan – mruknął Emil – i nie wiem, jak mi Bóg miły, co gorsze. Ale nie powiem, żebym się nie niepokoił. Niech pan zobaczy, co się zaczyna w Hiszpanii...

Baring machnął ręką.

– Co tam Hiszpania – powiedział. – Tylko Kathy żałuje, że tam nadal te rozruchy, tak chciała jechać do Madrytu...

– Nie radzę. – Emil zaniepokoił się nie na żarty. – To może teraz tylko rozruchy, ale kto wie, co będzie za miesiąc czy rok?

– Pan jest jak Kasandra – wytknął mu Baring. – Wiesz pan klęski, od kiedy go znam. A przecież zaznał pan w życiu tylu zwycięstw...

Emil machnął tylko ręką.

– Chodźmy – powiedział. – Po drodze porozmawiamy.

Samochód z Ritza już czekał. Gdy do niego wsiedli, kierowca zamknął za nimi drzwi i ruszył.

– Wie pan – odezwał się Baring – coraz częściej zastanawiam się, czy nie lepiej by mi było zostać w Ameryce. Ale to taki... – zawahał się – nieokrzesany kraj.

– Zrobił pan to, co było trzeba – zauważył Emil. – O ile pamiętam, wyjechał pan w najlepszym możliwym czasie, i to pan był wtedy Kasandrą.

– Żeby przewidzieć kryzys – westchnął Baring – wystarczyło zupełne minimum zdrowego rozsądku. Tymczasem tam go nie było.

– To dlaczego pan żałuje wyjazdu?

Baring pomilczał chwilę.

– Pan mnie zrozumie – rzekł w końcu. – Mamy ze sobą wiele wspólnego. Tam... była wolność, rozumie pan? Miałem tam żonę, córkę, dom, służbę, towarzystwo, pracę, interesy, a w gruncie rzeczy czułem się jak paryski ubogi student sprzed ćwierćwiecza, taki, który się nie zastanawia nad jutrem, który swoje szczęście ma tu i teraz.

– To porównanie nie jest chyba najlepsze – zauważył Emil. – Studiował pan, o ile mnie pamięć nie myli, w Oksfordzie.

– Krótko – uciął Baring. – Lepiej niż w łacinie czułem się w naukach ekonomicznych, a te, które wykładano na uczelni, były sprzed stu lat i nijak się miały do moich koncepcji. I rzeczywiście, ma pan rację, nie cierpiałem głodu. Ale nawet nie wyobraża sobie pan, jak dławiała mnie pogarda mojego rodzeństwa, które wspólnymi siłami trwoniło majątek zgromadzony przez kilkaset lat przez naszą rodzinę, a nie widziało potrzeby, by ktoś zaczął go na nowo pomnażać.

– Niech się pan nie martwi – pocieszył go Emil. – Tak było wszędzie i zawsze. Nie inaczej w moim kraju, choć zniszczonym przez zabory i wojnę. Bo przecież...

– ... właśnie – przerwał mu Baring. – Wciąż obawia się pan wojny. Mówi pan o Hiszpanii, jakby te zamieszki miały jakieś większe znaczenie. Czy naprawdę pan myśli, że ludzkość nie wyciągnęła żadnych wniosków po Wielkiej Wojnie? To niemożliwe, żeby tak było. Nie wierzę. Nie lubię Niemców, nie wierzę w całą tę ideologię, wierzę jedynie we własność prywatną i rozum. Dlatego nie wierzę w wojnę. Proszę spojrzeć, w Niemczech niknie bezrobocie, po latach bezhołowia mają tam silne, odpowiedzialne rządy...

Zerknął na Emila i słowa zamarły mu na ustach. Widać było, że trafił w czuły punkt. Doktor odetchnął głęboko.

– Nie chciałbym – rzekł na pozór spokojnie – mało ostrożnymi słowami narazić na szwank naszej dobrej znajomości, ale myślę, że grzeszy pan tym samym, co zarzuca Amerykanom. Brakiem zdrowego rozsądku.

– Ale... – zaczął Baring.

Emil przerwał mu jednym gestem.

– Jest pan ekonomistą, więc zostawmy politykę, choć pamięta pan przecież, co się zdarzyło ledwo parę miesięcy temu. Niech mi pan powie, dlaczego w Niemczech niknie bezrobocie?

Baring przez chwilę poczuł się pewniej.

– Bo państwo zatrudnia w swoich fabrykach bezrobotnych, buduje swój przemysł.

– A jaki to przemysł?

Tym razem Baring wyglądał na zakłopotanego.

– Głównie przemysł ciężki, maszyny...

Emil pokręcił głową nad jego niedomyślnością.

– Niemcy nie eksportują takiej ilości maszyn – zauważył – a fabryki budują na potęgę, kupując również w Anglii ich wyposażenie. Co najłatwiej produkować w fabrykach maszyn?

– Maszyny – uśmiechnął się Baring.

– Nie – odrzekł stanowczo Emil. – Broń. A jeśli tak, to czy myśli pan, że kraj, w którym bezrobocie likwiduje się, budując fabryki broni i zatrudniając w nich rzesze ludzi, robi to po to, żeby tę broń następnie przetopić i wyprodukować raz jeszcze? Czy może, aby jej użyć?

– To wydumana teoria – obruszył się Baring.

Emil pokręcił głową.

– Nie – oświadczył. – To ten zdrowy rozsądek, o którym pan mówił.

– Przecież wy też trochę budujecie. Centralny Okręg Przemysłowy, Gdynia...

Zamarł nagle, trafiony własnym domysłem.

– Przemysłowy – powiedział cicho. – A więc...

– Różnica polega na tym – podjął Emil – że Niemcy, które przegrały wojnę, łamią teraz traktaty, szykują armię i już produkują w tych swoich fabrykach broń. A my na razie z mozołem budujemy swoje fabryki i liczymy na cud. Albo wierzymy w to, co niemożliwe.

– Więc uważa pan, że przyjdzie wojna – mruknął Baring. Wyjrzał za okno. – Dojeżdżamy do hotelu. Będzie jeszcze czas o tym porozmawiać.

– Nie. – Stanowczość aż biła z Emila. – Mówię o tym tylko dlatego, aby pan zrozumiał moją motywację. Chcę za wszelką cenę sprawić, by Karla związała swoje życie z innym krajem, żeby przetrwała jakoś to, co musi nastąpić. Jest za młoda, żeby tam zostać.

Przerwał, bo kierowca zaczął hamować przed hotelowym podjazdem, na którym już stało auto z ich bagażami. Właśnie je rozładowywano.

– A pan? – spytał Baring.

Emil, który już się sposobił do wysiadania, odwrócił do Baringa głowę.

– Ja tam zostanę – rzekł tylko. – Ja znowuż jestem za stary, by uciec.

Baring tylko pokiwał głową. Obaj weszli do środka.

– Czy nie było dla mnie wiadomości? – rzucił Anglik, gdy doszli do recepcji. Recepcjoniście w nieskalanej czystości uniformie starczyło jedno spojrzenie.

– Pan Baring – rzekł pewnym tonem. – Był telefon z Londynu z prośbą o oddzwonienie.

Emil tylko się uśmiechnął. Opinie o fotograficznej pamięci recepcjonistów u Ritza nie były, zdaje się, przesadzone.

– Proszę połączyć – zażądał Baring.

Recepcjonista wy dostał kopertę z numerem telefonu. Podniósł słuchawkę i przedyktował szybko cyfry z kartki. Zerknął na Baringa.

– Czy zechce pan poczekać tutaj, czy odbierze z pokoju? – spytał.

Baring popatrzył na Emila.

– Może się tymczasem rozgoszczę – rzekł Emil.

Wybawiony z kłopotu Baring spojrział na niego z wdzięcznością. Zwrócił się do recepcjonisty.

– Proszę tymczasem ulokować mojego przyjaciela w jego apartamencie. Poczekać tutaj.

– Oczywiście, proszę pana – odparł recepcjonista i zwrócił się do doktora: – Jeszcze tylko formalności. Czy mógłbym prosić o pański paszport?

Linde sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął z niej dokumenty. Recepcjonista szybko przepisał numery do książki meldunkowej.

– Paszporty wyślemy natychmiast do prefektury – oświadczył. – Wkrótce otrzyma je pan z powrotem. Zgodnie z prośbą pana Baringa pańska córka została zakwaterowana z panną Katherine Baring.

– Pomyślał pan o wszystkim – mruknął Emil do Baringa.

– Moja córka naprawdę lubi Karłę. Zrobiłem to na jej prośbę.

Tymczasem recepcjonista już wołał boya. Wbrew swej funkcji mężczyzna miał chyba dobrze po pięćdziesiątce, ale poruszał się żwawym, sprężystym krokiem.

– Zaprowadź pana Lindego do jego apartamentu – rozkazał. – Tego obok pana Baringa.

– Tak jest – rzekł boy służbiście. – Pański bagaż powinien być za chwilę na miejscu. – Wskazał zamykające się właśnie drzwi do towarowej windy. – Czy mam odebrać od pana torbę?

– Poniosę sam, dziękuję – oświadczył Emil.

– Widzimy się najdalej za kwadrans – powiedział Baring. – W barze kawowym.

Emil kiwnął głową i ruszył za boyem do windy, uważnie mu się przyglądając.

– Pierwsze piętro – poinformował boy, gdy już wszedł.

Windziarz zarygłował drzwi, zasunął sprawnie kratę i wybrał przycisk. Winda ruszyła bezszelestnie i zatrzymała się po kilkunastu sekundach, windziarz z namaszczeniem powtórzył ceremoniał z kratą i drzwiami w odwrotnej kolejności. Emilowi przyszło do głowy, że szybciej byłoby jednak schodami, ale zmilczał. Boy wskazał kierunek i ruszyli korytarzem wysłanym grubym dywanem.

– Jest pan frontowym oficerem – odezwał się nagle boy.

Emil aż się wzdrygnął. Nie spodziewał się tego.

– Byłem. Tak jak i pan był żołnierzem – odrzekł niemal natychmiast.

Boy uśmiechnął się nieznacznie.

– Na szczęście nie strzelaliśmy do siebie – powiedział.

– Nie jestem przecież Niemcem – zauważył chłodno Emil.

– Przepraszam – rzekł boy z godnością. – Rzeczywiście, nie mógłby pan być Niemcem. Niemieccy oficerowie nie mówią dziękuję.

– I zapewne nie pojawiają się zbyt często w Ritzu – zauważył Emil.

– Pojawiają się, i owszem, ale nigdy w mundurach.

Zatrzymał się nagle, w jego dłoni zmaterializował się klucz, którym otworzył drzwi.

– Pański apartament – oświadczył. Włączył światło i wszedł do środka. Emil podążył za nim.

– Łazienka – otworzył drzwi – gabinet – wskazał na duże pomieszczenie – garderoba – wskazał na niewielkie drzwi – a dalej sypialnia.

Podał klucz Emilowi.

– Dziękuję – odparł Linde i przyjął klucz, pozostawiając w dłoni boya przygotowany wcześniej stufrankowy banknot.

– Nie jestem już oficerem – przypomniał na wszelki wypadek.

Boy uśmiechnął się.

– Ani ja żołnierzem – rzekł, chowając napiwek. – Życzę panu miłego pobytu. Gdyby pan czegokolwiek potrzebował, proszę zwrócić się do mnie.

Na imię mi Gaspard. Pracuję tu od piętnastu lat, wiem i widziałem niejedno.

– Będę pamiętał – obiecał Emil.

Boy wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Emil zdjął marynarkę, poszedł do łazienki. Zdjął krawat, umył dokładnie ręce i ochlapał twarz zimną wodą. Gdy odwieszał ręcznik, zadzwonił telefon. Pospiesznie wyszedł z łazienki.

– Linde – rzucił w słuchawkę.

– Już jestem. – Głos Baringa brzmiał jakoś inaczej. – Czekam w barze kawowym. Wygląda na to, że mamy pewien problem.

– Zaraz zejdę – rzekł Emil i odłożył słuchawkę.

Niemal dokładnie w tym samym czasie Kathy i Karla wysiadały z paryskiej taksówki. Kathy kazała kierowcy zatrzymać samochód przy bulwarach nad Sekwaną, tuż przed pont d'Arcole. Zapłaciła, sprawnie posługując się sporymi, szeleszczącymi przyjemnie banknotami. Napiwek musiał być słuszny, albowiem szofer, zamiast zwyczajowego mruczenia pod nosem na cudzoziemki, które nie dają przyzwoitym, ciężko pracującym ludziom zarobić, wyskoczył z samochodu i otworzył dziewczętom drzwi.

– Jeśli panienki pozwolą – odezwał się z zapalem – mogę obwieść po Paryżu. Znam tu każdy zakamarek, każdy zabytek, każdą restaurację, każdą...

– Może kiedy indziej, dziękujemy – ucięła Kathy, wysiadając.

Karla szybko za nią wyskoczyła, a szofer popatrzył na dziewczyny z żalem pomieszanym z podziwem.

– *Magnifiques* – mruknął z uznaniem. Odprowadzał je jeszcze długo wzrokiem, gdy szły przez pont d'Arcole, młode, zgrabne, w ślicznych sukienkach. – Te to sobie pożyją. Nie to co ja i moja Geneviève. Ach, gdybyż tak być bogatym i młodym...

Wskoczył do szoferki i ruszył gwałtownie, niemal zderzając się z innym samochodem.

– Idiota! – wrzasnął przez otwarte okienka w stronę Bogu ducha winnego szofera. Zrobiło mu się od razu lepiej. Zręcznie manewrując pomiędzy riksami i samochodami, skręcił w avenue Victoria.

Karla zatrzymała się w połowie mostu. Przechyliła się przez barierkę i zamknęła oczy. Świeży zachodni wiatr chłodził przyjemnie twarz, niosąc z bulwarów strzępy rozmów i pokrzykiwania sprzedawców z pobliskiego

targu. I jeszcze coś jakby śpiew ptaków dobiegający z oddali. Próbowwała rozpoznawać te głosy, chłonąc dźwięki, wyęzając słuch, lecz bezskutecznie. Kathy stanęła przy niej i przykryła jej dłoń opartą o barierkę mostu.

– Nie mogę uwierzyć – powiedziała Karla, nie otwierając oczu – że tu jestem. Wydaje mi się, że to jakiś sen, że za chwilę otworzę oczy i zbudzę się w naszym krakowskim mieszkaniu tuż przed maturalnym egzaminem z matematyki...

Kathy roześmiała się serdecznie.

– Zaryzykuj – poradziła – i otwórz oczy. Na wszelki wypadek powiem ci, co zobaczysz. Rzeka, kolejny most i jeszcze kolejny...

– I nie będzie to Wisła? – upewniła się Karla.

– Nie będzie – rzekła z przekonaniem Kathy. – Za to jeśli przejdziemy wreszcie przez most, znajdziemy się w sercu Paryża. Na île de la Cité. A tam...

– Katedra Panny Marii – westchnęła Karla, nie otwierając oczu. – Znam ją tylko z powieści... Czytałaś? Frolo i Esmeralda, i Quasimodo...

– Ale wcześniej – ciągnęła Kathy, ignorując zupełnie słowa Karli – zaprowadzę cię w jeszcze jedno miejsce. Spodoba ci się. I pamiętaj, jesteś moim gościem.

Karla otworzyła oczy. Rozejrzała się uważnie wokół.

– To naprawdę Paryż – oznajmiła spokojnie. – I ja nie śnię, czyli wszystko dobrze. Prowadź, idziemy.

Przeszły przez most, Kathy pewnie poprowadziła Karlę wzdłuż Sekwany przez quai d'Horloge i skręciła w boczną, brukowaną uliczkę. Dziewczynie zdawało się, że ptasi harmider, który słyszała z mostu, nasilił się.

– Teraz uważaj – usłyszała od przyjaciółki i poczuła, że ta ciągnie ją gwałtownie w lewo. Odwróciła się w tamtą stronę i... jej oczom ukazała się feeria kolorów. Kwiaty były wszędzie, przepiękne, wielobarwne, różnokształtne, rosły w donicach, stały w ozdobnych naczyniach, stojących na różnej wysokości ławach, i w zwykłych wiadrach na bruku. Mieniły się w rękach przekupek układających bukiety. W nozdrza dziewcząt uderzyła słodka woń.

– To targ kwiatowy – oznajmiła Kathy, obserwując z satysfakcją zachwyty przyjaciółki. – Najbardziej lubię ten przed kościołem Świętej Magdaleny, ale ten też jest ładny. A kawałek dalej jest targ na ptaki.

– Ach, to stąd ten śpiew – westchnęła Karla i spojrzała błagalnie na Kathy. – Tylko proszę, nie idźmy tam. Kiedy widzę ptaki w klatkach, chce mi się płakać albo wydać wszystkie pieniądze, jakie mam, aby je uwolnić...

– Lepiej tego nie rób – mruknęła Kathy. – Radość z tego miałyby tylko okoliczne koty.

Jakby na potwierdzenie jej słów przemaszerował przed nimi dumnie rudy, futrzasty morderca z jeszcze zwisającym mu z pyszczka mysim ogonkiem. Karla wzdrygnęła się lekko.

– Masz rację. Jestem głupia – orzekła samokrytycznie. – Ale i tak mi ich szkoda.

– Mam nadzieję, że nie szkoda ci ciętych kwiatów. – Kathy podeszła do stoiska, zagadnęła kwiaciarkę i wsunęła w jej dłoń monetę. Kobieta kiwnęła tylko głową, wskazując na jedno z wiaderek z kwiatami, i podała Kathy dwie małe metalowe zapinki. Dziewczyna wybrała dwie frezje: dla siebie żółtą, dla Karli białą. Złamała im łodyżki.

– Będzie pasowała – zaśmiała się, przypinając Karli do sukienki biały kwiat. – Czysta, niewinna frezja dla czystej, niewinnej Karli.

– Nie naigrawaj się ze mnie – zgromiła ją Karla z udawaną surowością. – Dziękuję. Daj, przypnę ci twój. Żółta frezja. Kolor zazdrości. O kogóż ty jesteś zazdrosna?

– Och, o mnóstwo dziewczyn – wyznała Kathy – Bo wiesz...

– Masz kogoś?! – zawołała w zdumieniu Karla. – Nic nie pisałaś ani nie mówiłaś!

– O tym później – ucięła Kathy i pociągnęła ją za rękę. – Chodź.

– Nie ruszę się stąd ani na krok, póki mi wszystkiego nie powiesz – oświadczyła stanowczo Karla. – To coś poważnego czy tylko wzdychasz do niego?

– Powiem ci po drodze. To chyba coś poważnego. On jest taki... zawahała się – taki uporządkowany...

– Co ty wygadujesz... – Karla popatrzyła na Kathy z niesmakiem. – Ty zakochujesz się w uporządkowanym mężczyźnie?

– Masz dopiero siedemnaście lat – wytknęła jej Kathy. – Ja jestem już dorosła i stać mnie na związek z kimś poważniejszym.

– Jesteś ode mnie starsza niewiele ponad dwa lata – zauważyła Karla ze złośliwym uśmieszkiem – i jakoś nie pamiętam, aby się kręcili wokół ciebie poważni mężczyźni.

– No właśnie – zgodziła się Kathy. – Czas na odmianę.

– Oszalałaś. – Karla popatrzyła na nią z pobłażaniem. – Kiedy poznam twój wybranka? I kim on w ogóle jest?

– Na imię ma Albert – odrzekła Kathy z rozmarzeniem. – Albert Mildhouse.

– Ładnie – przyznała Karla. – Łagodnie. Uprzejmie proszę, żebyś zaraz mi znalazła parkową ławeczkę z najpiękniejszym widokiem w Paryżu i opowiedziała mi wszystko. Co do najdrobniejszego detalu.

– Opowiem ci, jak będziemy w Avebury. Teraz jesteśmy w Paryżu, mieście światła, radości i kochanków. Może znajdziemy kogoś dla ciebie?

– No wiesz? – obruszyła się nie na żarty Karla.

– Wiem, wiem. – W głosie Kathy słychać było pobłażliwe nutki. – Jesteś wierna aż po grób swemu pierwszemu pocałunkowi, łące pełnej kwiatów, osiodłanym koniom i przystojnemu maturzyście *in spe*...

Karla zarumieniła się.

– Tak właśnie – powiedziała. – Masz rację, dajmy temu wszystkiemu spokój. Prowadź. Jeszcze zdążymy się nagadać. Teraz Paryż!

Gdy wróciły do hotelu, było już dobrze po szesnastej. Recepcjonista w Ritzu, widząc obie panienki, wyszedł zza kontuaru.

– *Mademoiselle Baring et Mademoiselle Linde* – powiedział po francusku i przeszedł na angielski. – Ojcowie młodych dam oczekują je od pewnego czasu w restauracji. Czy ktoś ma je tam zaprowadzić?

– Poradzimy sobie – oświadczyła Kathy. Zerknęła na przyjaciółkę. – Chcesz się odświeżyć czy biegniemy się usprawiedliwić?

Karla zawahała się. Widząc to, Kathy zachichotała.

– Odświeżamy się – zdecydowała. – W pięć minut!

Biegiem przemknęły przez westybul do windy. Kilkanaście minut później wchodziły do restauracji.

– Do pana Baringa i pana Lindego – rzuciła władczo Kathy do szefa sali stojącego przy mahoniowym pulpicie przy wejściu. Mężczyzna zerknął w księgę gości.

– Kelner zaprowadzi panny – powiedział. Kathy kiwnęła głową. Już po chwili znalazły się przy stoliku. Panowie podnieśli na nie oczy, które mówiły wszystko.

– Czekaliśmy na was – powiedział Baring z powagą – ale bezskutecznie. W końcu zamówiliśmy i zjedliśmy. Teraz czekamy na kawę.

Dziewczęta spojrzały na uprzątnięty, czysty stół, a następnie – tym razem z popłochem – zerknęły po sobie.

– Czy to znaczy – jęknęła Kathy – że nie przysługuje nam już obiad?

– Pan Baring żartuje – rzekł Emil. – Za chwilę zamawiamy.

– Och, to dobrze – odetchnęła z ulgą Karla. Choć przywykła do ojcowskich żartów, teraz całkiem serio się przestraszyła, że zjedli bez nich. – Zaczynam już być naprawdę głodna.

Kelner z kartami do zamówienia pojawił się dosłownie za kilka chwil.

– Dla mnie zestaw z *bouillabaise* – zaordynowała bez wahania Kathy, ledwo spojrzawszy w kartę. – I przegrzebkami. Muszę dbać o linię. Dla ciebie to samo – popatrzyła na Karłę.

– Nigdy nie jadłam *bouillabaise* – przyznała Karla. – Brzmi zachęcająco. To zupa?

– Owszem, zupa rybna – odrzekła z namaszczeniem Kathy. – Najlepsza.

– Nasz szef – wyprostował się z dumą kucharz – pochodzi z Lyonu, ale ma rodzinę w Marsylii. Mówimy tutaj, że umiał gotować *bouillabaise*, nim jeszcze nauczył się chodzić.

Dziewczyny roześmiały się.

– No dobrze – rzekł niefrasobliwie pan Baring. – Dla mnie turbot, a dla pana... – zawiesił głos.

– ... sola – dopowiedział Emil. – I pozwólcie, że zamówię wino.

Z prostego zamówienia zrobiła się starannie skomponowana ucztą, znakomicie przyrządzona i podana.

– Jednak nie jedliście obiadu – powiedziała oskarżycielsko Kathy, gdy wszyscy już byli syci, a na stół wjechały desery.

– Odrobinę dobrze ułożonego poczucia winy z powodu spóźnienia nigdy nie zaszkodzi – rzekł łagodnie pan Baring, odkrawając maleńki kawałeczek *pont-l'Évêque* i sięgając po krakersa.

– Naprawdę nie chcieliśmy... – zaczęła Karla i umilkła pod spojrzeniem Kathy.

– Nie widzisz, że nasi ojcowie bawią się naszym kosztem?

– My? – zdumiał się pan Baring. – Nie dość, że czekaliśmy głodni, to jeszcze takie oskarżenia?

Karla nie odezwała się. Nagle zrozumiała, że dziwne uczucie, jakie towarzyszyło jej, odkąd zobaczyła ojca i pana Baringa, nie było tylko nic nieznaczącym wrażeniem. Coś się wydarzyło, coś wisiało w powietrzu. Zupełnie jakby obaj czekali na sposobność, by się podzielić z nimi wiadomością nie do końca korzystną. Zrobiła więc to, co wydało jej się najlepsze. Odłożyła łyżeczkę, którą już, już miała przebić chrupiącą warstewkę karmelu na *crème brûlée*.

Spojrzała na ojca i pana Baringa.

– Czy... – zawiesiła głos – ... coś się stało?

Kathy popatrzyła na nią zdziwiona. Panowie wymienili się spojrzeniami.

– A konkretnie? – spytał ostrożnie Emil.

– Przecież czuję – westchnęła ciężko Karla – że coś się stało, i wcale nie to, że się spóźniłyśmy.

Pan Baring popatrzył na Karłę z wdzięcznością.

– W pewnym sensie – rzekł, ważąc ostrożnie słowa. – Dotyczy to Alberta. Alberta Mildhouse’a.

Kathy zbladła.

– Mów natychmiast – powiedziała, spoglądając z przerażeniem na ojca. – Coś się stało?

– Właściwie... nie do końca wiem, czy coś się stało... – powiedział z zakłopotaniem pan Baring. – Otóż skontaktował się ze mną listownie lord Mildhouse, przekazując wiadomość, że jego syn zniknął z domu dziesięć dni temu, zostawiając tylko list.

– Co takiego? – Kathy aż zapało dech.

– W liście – ciągnął dalej pan Baring – Albert napisał, że musi wyjechać na czas dłuższy i że wszyscy będą z niego dumni, i żeby nie martwić się o niego, bo wzywa go płynący z głębi przekonania obowiązek...

Kathy odetchnęła z wyraźną ulgą.

– Już myślałam, że coś mu się stało – oświadczyła.

Tymczasem Karla nie mogła uwierzyć.

– Ile on ma lat? – spytała. – Szesnaście?

Kathy zgromiła przyjaciółkę wzrokiem.

– Dwadzieścia cztery – oświadczyła sucho.

– I w wieku dwudziestu czterech lat, wyjeżdżając z domu, pisze list pożegnalny, jakby nie mógł po prostu powiedzieć, że wyjeżdża? Chyba czyta za dużo powieści rozbójniczych.

Kathy ponownie spiorunowała ją wzrokiem. Widząc już oczami wyobraźni zbliżającą się kłótnię, Baring podniósł rękę.

– Jeszcze nie skończyłem. Otóż lord Mildhouse, który zaniepokoił się nieco poczynaniami swojego syna, postanowił przeprowadzić dość dokładne dochodzenie w tej sprawie. Okazało się, że Albert, gdy wiosną doszła go wieść o aresztowaniu przez ludowy rząd Hiszpanii José Antonia Prima de Rivery, markiza de Estella, był tak poruszony, że postanowił, kiedy tylko nadarzy się stosowna chwila, wyjechać do Hiszpanii i czynnie wspomóc swoich przyjaciół falangistów...

– Ale jak to wspomóc czynem? – nieomal wykrzyknęła Kathy. – Przecież tam nie ma żadnej wojny!

Pan Baring zakaszłał z zakłopotaniem.

– Cóż, lord Mildhouse podejrzewa, że „czynnie wspomóc” oznacza przekazać cały dostępny Albertowi majątek hiszpańskiej opozycji.

– Ale przecież... – zająknęła się Kathy.

– Cały dostępny majątek – powtórzył z naciskiem Baring. – Przypominam, że Albert od swoich dwudziestych czwartych urodzin, czyli od lutego tego roku, posiadał pełnomocnictwa pozwalające na zarządzanie znaczącą częścią majątku Mildhouse'ów.

Kathy osłupiała. Karla patrzyła na tę scenę z niedowierzaniem. Emil, wiedząc wcześniej o całej sytuacji, wydawał się tyleż rozbawiony, ile zniesmaczony.

– Kiedy świadomość, do czego może zostać użyty jego majątek, dotarła do lorda, cofnął tak szybko, jak to było możliwe, większość pełnomocnictw, więc nie skończyło się to wszystko katastrofą. Skądinąd błogosławił swoją przezorność, choć nie udało mu się powstrzymać realizacji czeku na trzydzieści tysięcy funtów szterlingów, którą to Albert przeprowadził w banku Coutts tuż przed swoim zniknięciem.

– Trzydzieści tysięcy funtów? – jęknęła Kathy. – Przecież to majątek!...

– Jak poinformował lorda urzędnik bankowy – ciągnął beznamiętnie pan Baring – Albert, powołując się na swoje już cofnięte pełnomocnictwa,

zażądał pożyczki hipotecznej w wysokości ćwierć miliona funtów. Odmówiono mu jednak. Wtedy młodzieniec zapytał, na jaką kwotę może zrealizować czek, po czym gdy urzędnik udzielił mu informacji, ów bez wahania zażądał tej sumy, która miała być wypłacona częściowo w złocie...

– Idealizm bywa kosztowny – mruknął Emil. – Bardziej niespokojny byłbym o samego Alberta, w Hiszpanii sytuacja jest doprawdy niepewna.

– Tego samego zdania był lord Mildhouse, bo choć trudno by było podejrzewać, że popiera obecny rząd Hiszpanii, to jednak martwi go los syna. O ile bowiem pieniądze uważa za stracone, o tyle syna raczej nie. Ja uważam, że to tylko zwykłe niepokoje, choć pan Linde zapewne się ze mną nie zgodzi.

Karla spojrzała na zdruzgotaną Kathy i powstrzymała się od cisnących się na usta słów.

– Nie martw się, kochanie – powiedziała tylko. – Wszystko na pewno się jakoś ułoży.

– Dodajmy, że Albert jest obecnie dość pilnie poszukiwany – mruknął pan Baring. – To zapewne dlatego lord Mildhouse przełknął niewątpliwe upokorzenie i zdecydował się wtajemniczyć mnie w całą sprawę. Kathy, nic o tym nie wiedziałaś?

– Nie. – W głosie Kathy pobrzmiwał żal. – Nie rozmawialiśmy od dwóch tygodni. Wiedziałaam, że będę w rozjazdach, więc umówiliśmy się, że będzie pisał do Avebury... Może tam są jakieś listy?

– Niestety nie – odparł pan Baring. – Telefonowałem już do majątku w tej sprawie.

Kathy zacięła usta. Widać, że bardziej niż finansowe historie obeszło ją złamanie obietnicy. Wtem jednak przemknęła jej przez głowę jeszcze gorsza myśl.

– A może mu się coś stało – wyszeptała – że nie pisze?

Pan Baring popatrzył na nią łagodnie.

– Wierzę, że jest cały i zdrow – rzekł. – Lord Mildhouse przekazał mi wiadomość, jakoby dwa dni temu widziano go w Madrycie.

– Niech ja go dopadnę – mruknęła Kathy, wbijając mocno widelczyk w bezę. Karla zerknęła na Emila i zrozumiała, że sytuacja może być poważniejsza, niż się wydaje. Postanowiła jednak robić dobrą minę do złej gry. Wstała i podeszła do Kathy.

– Wszystko się ułoży – powtórzyła, nachylając się nad nią i ogarniając ramionami. – Zobaczysz. Porozmawiamy o tym wieczorem, dobrze?

Zdecydowanie i agresja Kathy zniknęły w jednej chwili. Z jej oczu popłynęły łzy. Wypuszczony z dłoni widelczyk upadł na bezę.

– Ale dlaczego tak się stało? – chlipnęła.

– Nie martw się, naprawdę – szepnęła jej do ucha Karla. – Chodź, kochanie, pójdziemy do ciebie. Porozmawiamy, opowiem ci o czymś zabawnym w Byszewie...

– Do nas – wyjąkała Kathy. – Mamy przecież wspólny apartament!

– Tym lepiej – powiedziała uspokajająco Karla. – A potem, pod wieczór, pójdziemy pooglądać zachód słońca nad Sekwaną i wszystko stanie się lepsze i prostsze. Chodź.

Kathy z trudem wstała.

– Czy pozwolicie? – zapytała Karla pana Baringa i ojca.

– Oczywiście. – Obaj panowie podnieśli się z krzeseł. – My jeszcze chwilę zostaniemy.

Kathy i Karla, obejmując się wzajem, wyszły z restauracji, a panowie usiedli. Natychmiast zjawił się kelner.

– Czy deser był niedobry? – spytał zaniepokojony.

Emil pokręcił głową.

– Był znakomity – odparł. – Bardzo proszę za chwilę wysłać do pokoju dziewcząt ten, którego nie zdążyły napocząć, oraz... – zawahał się i popatrzył na Baringa – dwa kieliszki lekkiej wiśniówki, takiej wie pan, *pour les demoiselles*. Dużo smaku, mało alkoholu. Sery proszę zostawić i za chwilę podać po małym koniaku i kawie.

Baring kiwnął tylko głową, kelner zaś szybko posprzątał desery ze stołu.

– Ale przyznam – rzekł Baring – że pańska córka ma szósty zmysł. Skąd wiedziała, że coś się wydarzyło?

– Nie wiem – rozłożył ręce Emil. – Wiem, że czeka mnie jeszcze mnóstwo niewygodnych pytań. I odnoszę wrażenie, że widzę początek końca związku pańskiej córki z młodym Mildhouse'em.

– Oby – mruknął Baring. – Choć prawdę mówiąc, nie wiem komu bardziej zależy na tym związku: staremu lordowi czy młodemu paniczowi.

– Mam rozumieć, że te zastrzeżenia co do hipoteki w Coutts... – zaczął Emil.

Baring roześmiał się posepnie.

– Jest pan bardzo inteligentnym i mądrym człowiekiem – rzekł. – Nauczyłem się w życiu, że takich należy bardzo uważnie słuchać. Dlatego wycofuję całkowicie wszystkie moje aktywa z banków hiszpańskich, jak również sprzedaję tamtejsze papiery wartościowe. Już rozmawiałem z moimi maklerami. Pan pewnie zrobił to samo już jakiś czas temu.

– Nie mam dość pieniędzy, żeby inwestować, zwłaszcza na taką skalę – odparł Emil. – Żyję raczej skromnie, również i dlatego byłem nieco zażenowany pańskim zaproszeniem.

– Nie wracajmy do tego – zaprotestował żywo Baring. – Jestem pańskim dłużnikiem.

– Bardziej dłużnikiem Dorothy – poprawił go Emil. – To jej pan zawdzięcza najwięcej. Mnie zresztą też bardzo pomogła. Czy ktoś, nawet obdarzony ogromną wyobraźnią, mógł przewidzieć, że ktoś taki jak Dorothy zostanie guwernantką mojej Karli?

– U Dorothy też nie dzieje się najlepiej – mruknął Baring. – Cała rodzina jej zmarłego męża marzy, by uszczknąć coś nieco z majątku. A nikt nie pomyśli, że ten majątek jej się należy, choćby za wszystkie krzywdy, jakich zaznała, za – nie boję się tego powiedzieć – zmarnowane życie. Wie pan, Dorothy kiedyś wspomniała, że choć przecież z urodzenia i języka jest Angielką, to czas spędzony w Polsce, w Klonowie u Donimirskich i w Krakowie, uważa za najlepsze chwile z tych, które przeżyła.

– Najlepszy czas ma teraz – odrzekł stanowczo Emil. – Niech z niego korzysta tak bardzo, jak to możliwe. Proszę jej to powiedzieć.

– Sam jej pan to powie już niebawem – roześmiał się Baring i umilkł. – Niech się pan nie gniewa – podjął z wahaniem – ale czy zgodzi się pan, byśmy wypili poimienne? Proszę mi wierzyć, choć znamy się przecież niewiele ponad rok, wydaje mi się, jakby to było całe me życie. I nie wiem, czy poznałem lepszego niż pan człowieka.

– Będzie mi bardzo miło – rzekł Emil, patrząc przyjaźnie na Baringa. – Nie powiem, że to początek pięknej przyjaźni, bo ten już nastąpił, i to jakiś czas temu. Wieczorem zapraszam na szampana do baru, tam dopełnimy formalności. Tymczasem koniec z formami towarzyskimi.

Wyciągnął do niego dłoń, którą mężczyzna uścisnął mocno.

– Cieszę się, Emilu – powiedział Baring.

– I ja, Williamie.

Zauważył mijającego ich właśnie boya i skinął na niego. Mężczyzna natychmiast się zatrzymał.

– Czy Gaspard jest jeszcze na zmianie? – zapytał.

Boy wyprężył się służbiście.

– Tak jest, proszę pana. Czy mam go zawołać?

– Proszę. Poczekam tutaj.

Baring popatrzył pytająco.

– Tylko jedna sprawa – rzekł przepaszającym tonem Emil. Z wewnętrznej kieszeni wydobył zaklejoną list.

– Jestem, proszę pana – rozległo się gromko. Nieco zdyszany Gaspard stanął na baczność obok Emila.

– Proszę zanieść pilnie ten list na prefekturę policji – oświadczył doktor, podając mu list. Gaspard wyczuł pod kopertą banknot.

– Tak jest, proszę pana – oświadczył, chowając list i banknot z wprawą iluzjonisty.

– To wszystko.

Boy obrócił się na pięcie i zniknął za drzwiami.

– Prefektura? – zdziwił się Baring.

– Nie lubię, kiedy zbyt długo trzymają mój paszport – rzekł ze spokojem Emil. – Wolę go mieć zawsze przy sobie. Co do reszty, opowiem ci później. Widzimy się wieczorem w barze.

W apartamencie Kathy i Karli zapanowała ponura atmosfera. Karla, widząc, że radosne opowiadania mogą odnieść jeszcze gorszy skutek, raczej milczała, niż mówiła. Zwłaszcza że to Kathy żywiłowo i w detalach odmalowywała swoją frustrację i rozczarowanie. Nie do końca jednak.

– Czy ty rozumiesz – rzekła wreszcie, godząc oskarżycielsko palcem w przyjaciółkę – że ja go mimo wszystko kocham?

– Trudna to miłość – mruknęła Karla. Miała już po dziurki w nosie wysłuchiwanie tej mieszanki peanów i skarg. – Z tego, co mówisz, wynika, że kochasz i nie kochasz, lubisz i nie znosisz zarazem. To może mi powiesz w końcu, dlaczego z nim jesteś... – zawahała się – prawie że po słowie?

– Jesteś młoda. – Kathy spojrzała protekcjonalnie na przyjaciółkę. – Na tym właśnie polega miłość. Kochasz kogoś mimo jego błędów, wad

i przywar.

Karla pokiwała smutno głową i nie powiedziała nic.

– O co ci chodzi? – zjeżyła się Kathy. – Myślisz, że go nie kocham?

– Tego nie powiedziałam – mruknęła Karla dziwnie wrogo. – Ale czy on kocha ciebie?

– Jak możesz! – wykrzyknęła oburzona dziewczyna.

– Jeszcze nie skończyłam. – W Karli obudziło się coś dziwnego, co sprawiło, że jej przyjaciółka zamarła z zaskoczenia, wpatrzona rozszerzonymi ze zdumienia oczami. Tymczasem Karla ciągnęła zimno:

– Nieważne, czy jest faszystą, komunistą, narodowym syndykalistą, cokolwiek to znaczy, liberałem czy rojalistą. To znaczy: dla mnie ważne, ale nie dla sprawy, o której mówisz. Jak chcesz, mam dla ciebie radę młodej, nieopierzonej, naiwnej, niedojrzałej i niepełnoletniej panienki, która nic przecież nie wie o miłości. Zapytaj tego swojego Alberta, czy rzuciłby te wszystkie swoje idee, faszyzm, falangę i markiza de Estella, w którego jest tak zapatrzonej, czy zostawiłby to wszystko dla ukochanej kobiety. I nie mów mi, proszę, że to ważne, żeby mężczyzna miał ideały. To ty masz być ideałem tego mężczyzny, a jak on zostawia cię dla innych ideałów, to znaczy, że tak będzie zawsze. Wiem, wy Anglicy macie do tego inne podejście. Jak w tym dowcipie o policjancie. „Gdzie jest pani mąż? – W klubie. – Ale dlaczego od tygodnia?” Ja mam inne rozumienie tych spraw. Twój Albert właśnie oblał egzamin na narzeczonego, a tym bardziej na męża. Przez brak odpowiedzialności za siebie i ciebie. Rozmów się z nim, jak tylko będziecie mieli okazję.

Zerknęła na przyjaciółkę. Kathy nadal była jak skamieniała. Karla zrozumiała, że odrobinę przesadziła. Objęła ją mocno.

– Przepraszam – powiedziała już ciepłej. – Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Pocałowała ją w policzek. To jakby przebudziło Kathy ze snu. W jej oczach znów pojawiły się łzy, które z nagłą determinacją, gwałtownie wytarła brzegiem dłoni.

– Masz rację – rzekła, pociągając nosem. Przyjęła podaną przez Karłę chusteczkę. – Masz rację. Wiesz, skąd to wszystko? Ja gdzieś głęboko czuję, że on mnie zdradził. Że nie miał do mnie dość zaufania. Mógł mi przecież powiedzieć, mógł się zwierzyć ze wszystkiego, z wątpliwości...

„Jeśli je miał”, pomyślała Karla. Z trudem powstrzymała się, by tego nie wypowiedzieć na głos.

– Porozmawiaj z nim – powtórzyła. – Niech się wytłumaczy. I niech ci powie uczciwie, kto jest dla niego najważniejszy.

Zerknęła na zegarek. Było już po dziewiątej wieczór. Czuła takie zmęczenie, jak chyba nigdy dotąd. Podróż, intensywność pierwszych paryskich godzin, a teraz ta historia z Albertem wyczerpały ją niemal do cna. Zmobilizowała całą swą silną wolę.

– Przygotuj się – powiedziała rozkazująco. – Mamy w planach zachód słońca nad Sekwaną. Wystarczy ci pół godziny, żeby zrobić z siebie znowu bóstwo?

Rzeczywiście, Kathy nie wyglądała najlepiej. Miała podkrążone oczy, na policzkach ślady łez. W jej zgarbionej, przycupniętej na skraju fotelika sylwetce nie było nic z radosnej, pewnej siebie dziewczyny, brylującej jeszcze kilka godzin wcześniej na zalanych słońcem paryskich ulicach. Karla popatrzyła na nią z nagłą czułością.

– Może jestem niedojrzałą dzierlatką – powiedziała, wstając – ale wiem, że czasami trzeba mieć chwilę dla siebie. Idę do taty, wrócę za piętnaście minut. Masz być wykąpana, przebrana i wyglądać tak, jakby już dzisiaj cały Paryż miał leżeć u twoich stóp. Zrozumiano?

Kathy nic nie odpowiedziała.

– Zrozumiano? – powtórzyła głośniejszym głosem Karla.

– Dobrze, już dobrze – westchnęła Kathy. – Nie krzycz na mnie. Za kwadrans będę gotowa.

Karla pocałowała przyjaciółkę w czubek głowy i szybkim krokiem wyszła z apartamentu. Przeszła kilkanaście kroków korytarzem i zastukała do drzwi.

– Wejść – usłyszała.

Otworzyła drzwi. Emil siedział przy stoliku w gabinetowej części apartamentu i pisał jakiś list na firmowym papierze Ritza. Podniósł głowę.

– To ty – powiedział z uśmiechem. – Jak Kathy?

– Podbuntowałam ją trochę. – Karla opadła z ulgą na fotel. – I z rozpaczy przeszła w rozsądek. Przejdziemy się na przedwieczorny spacer, teraz dałam jej trochę czasu, żeby się przygotowała.

– Dobrze zrobiłaś – mruknął Emil. Zdjął okulary i przetarł zmęczone oczy. – My tymczasem z panem Baringiem pójdziemy do baru

porozmawiać.

– Między innymi – uzupełniła Karla.

– Między innymi. Między szampanem a szampanem. Macie wolną godzinę.

– Tylko godzinę?

– Tylko godzinę. Jutro macie być wypoczęte i wyspane. Pan Baring przygotował nam program zwiedzania. Jest wynajęty samochód z szoferem, nie wiem dokładnie, co nas czeka, ale atrakcji może być sporo.

– W sumie to dobrze – westchnęła Karla. – Naprawdę jestem zmęczona, ale nie chcę zostawić tak Kathy. Skoro już tu jestem, powiedz mi w skrócie, o co w ogóle chodzi z tą Hiszpanią?

– Co ci mam opowiadać – zachnął się ojciec. – Po prostu. Po jednej stronie masz wspieraną przez Sowietów lewicę, która wygrała wybory. Po drugiej masz falangistów, czyli prawicę, która kiedyś doszła do władzy przez wojskowy przewrót i tak bardzo dopiekle lewicy, że teraz wahadło przechodzi w drugą skrajność i lewica zaczyna się mścić. A jeśli będzie się mściła za bardzo, wybuchnie wojna.

– A kogo ty wolisz? – zapytała Karla zaczepnie. – Lewicę czy prawicę? Emil nie dał się złapać.

– Pytasz mnie, czy lepiej, żeby mnie utopili, czy może lepiej spalili – odparł. – Ani jedno, ani drugie. Po pierwsze, chcę żyć, po drugie, ani w wodzie, ani w ogniu. W zdatnym do życia, umiarkowanym klimacie. A wracając do sytuacji, rozumiesz chyba teraz, że czasy są niepewne, a to, co zrobił ten cały Albert, pominiawszy już kontekst, to zwykła głupota.

– To znaczy?

Emil popatrzył pobłaźliwie na córkę.

– Pomijam historię z dokonaną przez niego próbą finansowej zbrodni na rodzinie Mildhouse'ów, ale przyznasz sama, że aby wziąć z banku kolosalną kwotę trzydziestu tysięcy funtów, częściowo w złocie, po czym zamknąć ten majątek w sakwojażu i ruszać samemu w wir łatwych do przewidzenia wypadków, trzeba być, wprawdzie odważnym, ale jednak kretynem.

Karla aż się skuliła.

– Ile to właściwie jest trzydzieści tysięcy funtów? – zapytała pokornie. – Wiem tylko, że strasznie dużo.

Ojciec uśmiechnął się.

– Funt to jakieś cztery dolary, czyli szesnaście złotych. Prawie pół miliona.

– Pół miliona złotych? – wyszeptała Karla z przerażeniem.

– Lord Mildhouse wydaje się dość zamożnym człowiekiem – zauważył Emil. – Mam tylko nadzieję, że ten nieszczęsny Albert wyjdzie z tego cało. Z tego, co słyszałem, jego ojciec rzeczywiście sięgnął po wszelkie środki, by sprowadzić swojego marnotrawnego syna do domu.

– Czyli mówisz, że wszystko skończy się dobrze?

Emil spojrzał poważnie na Karłę.

– Czy wszystko – nie wiem. Albowiem po całej tej historii nie wydaje mi się, żeby Albert został przyjęty, jeśli przyjdzie mu do głowy prosić pana Baringa o rękę jego córki. Rozumiesz?

Kathy pomilczała chwilę. Ojciec czekał cierpliwie.

– Rozumiem – powiedziała wreszcie. – Trochę to czułam, kiedy pokazywałam Kathy, czego brakuje jej narzeczonemu. Co gorsza, ona to wszystko widzi, ale nie chce dopuścić do siebie myśli, że jej narzeczony...

– ... niedoszły narzeczony – wpadł jej w słowo Emil. – Bo szczęśliwie do niczego jeszcze nie doszło. Widzisz sama, jakie problemy mogą mieć ojcowie, którzy marzą o dobrym życiu dla swoich córek.

Karla uśmiechnęła się.

– Czy i ja będę musiała drzeć o to, czy mój wybór zostanie zaakceptowany? – spytała.

Emil rozłożył ręce.

– Powiedziałaś przed chwilą, że dziwisz się Kathy – rzekł. – *Amantes amantes*<sup>[1]</sup>. Wiem, że... – zawiesił głos – ... przyjaźnicie się z Jankiem Donimirskim. Czy zauważasz u niego jakąkolwiek przywarę? Dostrzegasz cokolwiek, co mogłoby wystawić na szwank wasze... – zawahał się – przywiązanie?

Karla oburzyła się.

– Janek jest cudowny i basta!

– Sama więc widzisz – rzekł zwięźle Emil. – Idź do Kathy, pora na was. Nie porównuję, ale pamiętaj, *quisquis amat ranam, ranam putat esse Dianam*<sup>[2]</sup>. I mam nadzieję, że znajdziesz obok siebie życzliwą duszę, która zupełnie bezinteresownie ci to wytłumaczy. Ja się nie liczę.

Karla westchnęła ciężko, podnosząc się z fotela.

– Nie pocieszyłeś mnie specjalnie.

– Bo nie potrzebowałeś pocieszenia. To nie ty masz niedosłzłego narzeczonego w Madrycie, uwikłanego w politykę, której nie rozumie, z ojcem, który... – przerwał nagle. – Co ja tu zresztą będę opowiadał. Nie znam lorda Mildhouse'a, a jeśli go poznam, zamienimy zapewne kilka zdawkowych słów i rozejdziemy się każdy w swoją stronę. Idź już, muszę dokończyć list i zejść do baru. Pan Baring pewnie już na mnie czeka. Pamiętaj, za godzinę macie się zameldować na powrót w hotelu.

– Dobrze, tatusiu. A mogę cię jeszcze o coś zapytać?

– Byle prędko.

– Od kiedy lakujesz listy? To przecież takie staroświeckie.

– Za to bardzo ładne – zaśmiał się Emil.

– A serio?

Ojciec spoważniał.

– Od czasów, w których zrozumiałem, że w dobrych hotelach obsługa żyje dobrze z policją, a czasem lubi również na własny rachunek czytać cudze listy. Oczywiście przesyłka zawsze może zaginąć, ale co innego ukraść komuś list, a co innego próbować do niego zajrzeć, a nuż będzie tam jakaś godna uwagi tajemnica. A ja nie lubię ułatwiać takim ludziom pracy.

– A masz tam jakieś tajemnice?

– Mniej więcej takiej wagi jak twoje, kiedy piszesz do Janka – zażartował.

– Piszesz więc do... kobiety?

Ojciec przyjrzał się jej uważnie. Półuśmiech nie schodził z jego warg.

– Tak – oświadczył. – Piszę do Dorothy. Ale jeśli ty zaczniesz być moim cenzorem, ja zacznę być twoim. Wścibstwo powinno mieć swoje granice.

Karla nie wahała się ani chwili.

– W takim razie pożyczysz mi lak – oświadczyła. – Niebawem imieniny Janka.

Ruszyła do wyjścia. Emil odprowadził ją wzrokiem.

– Sto pociech, tysiąc kłopotów – mruknął pogodnie. Dopisał jeszcze kilka słów do listu, złożył swój zamaszty podpis, powachlował kartą, czekając, aż atrament z jego wiecznego pióra wyschnie, po czym złożył ją starannie w kopertę. Po chwili rozgrzany lak ściekał na papier. Emil

począł chwilę i delikatnie przyłożył do niego zdjęty przed chwilą sygnet. Poruszył nim lekko, a gdy lak wystarczająco stwardniał, ostrożnie odkleił go od pieczęci. Szybko wstał. Jego smoking wisiał już gotowy w garderobie, przebranie się zajęło mu ledwie chwilę. Wziął list i wyszedł z pokoju. Niemal zderzył się z jednym z boyów, młodym, najwyżej kilkunastoletnim.

– Przepraszam pana – wyrzucił z siebie boy – przysłano z prefektury paszporty dla pana.

– Dziękuję – rzekł Emil, odbierając dokumenty. – A gdzie Gaspard?

Boy zawahał się. Emil sięgnął do kieszeni.

– Kazał mi zanieść panu paszporty – odrzekł chłopak. – Nic więcej nie wiem.

– I bardzo dobrze – zauważył Emil z uśmiechem, wsuwając do kieszonki boya banknot.

– Dziękuję szanownemu panu. – Boy zsalutował i pomknął pędem w kierunku schodów. Emil ruszył za nim, zszedł po schodach i skierował się w stronę recepcji.

– Proszę wysłać ten list jak najszybciej – powiedział, podając opieczętowaną kartę. – To ważne.

– Tak jest, proszę pana. – Recepcjonista uklonił się i schował list pod kontuarem.

Emil odwrócił się i ruszył do baru. Baring już na niego czekał.

– Spóźniłeś się – zauważył.

– Przepraszam. – Emil usadowił się wygodnie naprzeciw. – Miałem nieoczekiwaną wizytę. Musiałem wytłumaczyć Karli zawłości współczesnej polityki. – Uśmiechnął się lekko. – I jej wpływ na relacje między narzeczonymi. Zaraz wołamy kelnera.

– Zamówiłem już butelkę szampana. Swoją drogą, jak ci się udało sprawić, że twoja córka w tym wieku idzie do ojca i pyta go o radę?

– Nie mam pojęcia. Może po prostu nie spieszę się zbytnio z ich udzielaniem?

Baring roześmiał się.

– Czy wiesz... – przerwał, bo pojawił się kelner ze srebrnym wiaderkiem, z którego wystawała szyjka butelki. Błyskawicznie otworzył, nalał obu mężczyznom do kieliszków złocistego, musującego płynu, schował butelkę do wiaderka z wodą i lodem, przykrył śnieżnobiałą

ściereczką, po czym zniknął tak szybko, jak się pojawił. Nie trwało to wszystko nawet minuty.

– O czym to ja mówiłem – zastanowił się Baring. – A, już wiem. Chciałem ci opowiedzieć pokrótce historię, której sam się domyśliłeś. Otóż lord Mildhouse stoi mniej pewnie, niż wynikałoby to z jego buty i tytułu...

– To się chyba dość często zdarza – zauważył Emil. – Pamiętam, jak kiedyś opowiadałeś o znakomitych rodzinach, których członkowie zajmują się solidarnie trwonieniem majątku.

– Ale nie zdążyłem ci opowiedzieć najistotniejszej nowiny – uśmiechnął się lekko Baring. – Otóż zguba, której szukano głównie za moje pieniądze...

– Za twoje? – zdziwił się Emil.

– O tym później. Telefon to fantastyczny wynalazek. Otóż wiem już, że zguba się znalazła.

– Gdzie?

– W Wenecji.

– Wenecja to nie Madryt – zauważył doktor – i nawet nie Hiszpania.

– Niewątpliwie. – Z twarzy Baringa nie schodził uśmiezek. – Uściślając, widziano go w Casino di Venezia. I był to on, bez najmniejszych wątpliwości. Cenna nauuczka: albo chcesz zachować anonimowość, albo dajesz się fotografować przez reporterów. A nasz młody lord lubił w przeszłości rozgłos.

Emil sięgnął po kieliszek.

– Czy mam rozumieć, że...

– To jeszcze nie koniec. Nie był tam sam. Niestety czarująca młoda dama, która mu towarzyszyła, nie jest znana mojemu informatorowi. Przyznasz, że miałem dobry pomysł, żeby najpierw zlecić poszukiwania w kilku dość oczywistych miejscach. Baden-Baden, Monako, Wenecja. Postawiłem na nogi wszystkich moich maklerów, cały świat, który zarabia dla mnie pieniądze. Co chyba oczywiste, ci, którzy je zarabiają, najlepiej wiedzą, gdzie je można najsprawniej roztrwonić. Spójrz, jakie to w dzisiejszych czasach proste, znaleźć człowieka. Zabrało mi to ledwie kilka godzin.

– Trzeba być tylko bardzo bogatym finansistą – zaśmiał się Emil. – Ciekawe tylko, czy chciał pomnożyć te trzydzieści tysięcy funtów i wydać je na pomoc falangistom, czy pożyć sobie radośnie przez jakiś czas.

– Jego linia obrony jest mało istotna. W obu przypadkach ten młody człowiek nie ma czego szukać w mojej rodzinie.

– I co teraz?

Baring pociągnął łyżeczek szampana.

– Mój informator zasugerował tamtejszej policji, żeby pod dowolnym pretekstem zatrzymała na krótko młodego lorda. Na przykład w celu potwierdzenia tożsamości...

– ... i żeby zatelegrafowała do kogoś, kto jest w stanie ją potwierdzić – mruknął Emil. – Sprytne.

– Niestety. – Z twarzy Baringa nie schodził uśmiech. – Po półgodzinie otrzymałem informację, że zamiast lorda Alberta Mildhouse’a zatrzymano niejakiego Alfonsa de Merville’a, którego paszport był sfałszowany. Do licznych swoich kłopotów nasz Albert dodał więc jeszcze jeden.

– Licznych kłopotów?

– Zgrał się niemal do nitki – rzekł spokojnie Baring. – A hipoteka dwóch posiadłości starego Mildhouse’a jest obciążona tak bardzo, że obawiam się dość poważnie o przyszłość milorda. Okażę się wielkoduszny i nie zażądam zwrotu sześciuset funtów, które wydałem na szybkie poszukiwania i opłacenie informatorów, ale odnoszę wrażenie, że Coutts nie będzie aż tak tolerancyjny, a żyranci równie cierpliwi. Posiadłość przeznaczona dla Alberta pójdzie pod młotek. Może jesteś zainteresowany, Emilu? Ja i tak nie wezmę w tym udziału, zwyczajnie mi nie wypada. Nie zmienia to jednak faktu, że tereny zacne, znakomite do polowań na kaczki, choć pałacyk wyjątkowo paskudny.

– Nie poluję, Williamie – roześmiał się Emil. – A ponadto zwyczajnie mnie nie stać. Na razie zadowolam się pilnowaniem, żeby niewielki majątek ziemski mej córki przynosił dochody i pozwolił na spłacenie wujów i ciotek, tak skutecznie wyeliminowanych przez moją teściową z decydowania o jego losach. Znam swoje możliwości. A swoją drogą – wskazał na dopełniany właśnie przez kelnera kieliszek – doskonały ten gosset, który zamówiłeś.

– Za kilka dni – rzekł sentencjonalnie Baring – zagościsz w krainie pięknych trawników, niskich żywopłotów, kamiennych dworów i papierowych fortun. Ale ty i tak miałeś tego świadomość wcześniej.

– Rozmawiałem z Dorothy dość długo, by wyrobić sobie pogląd – przyznał Emil. – Ale nim zmienimy temat, powiedz lepiej, co w tej sytuacji zamierzasz zrobić z Kathy.

Baring niemal zakrztusił się szampanem. Uświadomił sobie nagle, że cała ta historia, która w jego ustach nabierała wymiaru anegdoty, jest w rzeczywistości groteską, na domiar złego sprawiającą ból jego córce.

– Nie wiem – powiedział ciszej. – Naprawdę nie wiem. Czy...

– Możesz liczyć na mnie i Karłę – rzekł Emil poważnie – ale trochę z tych wiadomości musi wyjść od ciebie. Potraktuj to jako mały kawałeczek układanki, której celem jest sprawienie, by Kathy miała do ciebie zaufanie. Wierzę, że zrobisz to dobrze. Przecież została ci tylko ona.

– Prawie, że masz rację – mruknął Baring. – Została mi tylko ona. Wymyślę coś.

– Wierzę w ciebie – rzekł Emil, podnosząc kieliszek. – Za pomyślne wiadomości... – zawiesił głos – ... z Hiszpanii!

Również Baring podniósł z uśmiechem kieliszek.

– Jesteś niezwykły, Emilu – rzekł uroczyście. – Twoje zdrowie.

Pół godziny później, gdy butelka była już opróżniona, do stolika podszedł kelner.

– Panny Linde i Baring czekają w westybulu – oświadczył.

– Dziękuję – rzekł Baring, podnosząc się. – Chyba czas spać. Jutro wstajemy o siódmej rano.

– Powiedz to naszym córkom, nie mnie. Ja sypiam niewiele, ale prawda, że jestem już nieco zmęczony. A, i jeszcze jedno. Jak będziesz wysyłał swoje listy, radzę zrobić to przez pocztę, albo pieczętować listy. Obsługa hotelowej nie można ufać, a poza tym nie jest zbyt rozbawiona.

– Chyba żartujesz – obruszył się Baring. – W Ritzu?

– Sprawdziłem już jednego – roześmiał się Emil. – Wysłałem przez niejakiego Gasparda w kopercie do prefektury bilecik informujący, żeby prefektura pilnie skontaktowała się ze mną w sprawie starszego boya w hotelu Ritz, Gasparda, dostarczającego tę wiadomość.

– Nie zadzwonili?... – domyślił się Baring.

– Nie – uśmiechnął się Emil. – Paszporty przyszły tak czy owak. A Gaspard, choć bardzo chciał się zaprzyjaźnić, zaczął mnie nagle unikać.

– No tak – mruknął Baring. – Człowiek się uczy całe życie.

Wyszli z baru. Na wielkiej, westybulowej kanapie czekały już Kathy i Karla.

– Nareszcie – odezwała się Karla. – Taki piękny wieczór...

– A panowie siedzą w barze – dokończyła Kathy, patrząc oskarżycielsko na ojca. – Może wybierzemy się do miasta...?

Baring powstrzymał ją gestem.

– Ze spaceru dopiero co wróciłyście, więc nic z tego, **ale** mam dla ciebie dobre wiadomości – rzekł uroczyście. – Otóż udało mi się odnaleźć Alberta. Myślę, że za tydzień będzie na powrót w swoim majątku.

Kathy w pierwszym odruchu chciała się zerwać i rzucić ojcu na szyję. Nagle przypomniała sobie tak niedawną przecież rozmowę z Karłą i powstrzymała się jakimś cudem.

– Co z nim? – spytała chłodno.

– O ile wiem – rzekł Baring – jest cały i zdrow. Podróżował pod przybranym nazwiskiem i trafił do aresztu, z którego udało mi się go wydostać. Resztę formalności dopełni lord Mildhouse. Wyjechał w tym celu z majątku, więc nie staraj się z nim skontaktować.

– To dobrze. Kiedy wrócimy do Avebury, wezwę Alberta i rozmówię się z nim. Tymczasem idziemy – zwróciła się do Karli, która właśnie wstawiała z kanapy. Po chwili zniknęły już na schodach.

– Pojedziemy windą, dobrze? – poprosił Baring. – Nie czuję się zbyt silnie, by udawać młodzieniaszka.

– Brawo – rzekł Emil. – Punkt dla ciebie.

– Za to, że nie udaję? – uśmiechnął się Baring.

– Za to, że przeszły ci przez gardła te kłamstwa. Kiedy już będziesz w Avebury, powiesz jej wszystko. Naszego hazardzistę czekają chyba trudne chwile.

– Może i racja.

Podeszli do windy. Windziarz otworzył ją, a Baring odwrócił się do Emila.

– Na szczęście mamy jeszcze tydzień w Paryżu – powiedział. – W każdym razie kamień i tak spadł mi z serca. Nie masz pojęcia...

– Nie mam – przyznał Emil, wchodząc do kabiny. – Na całe szczęście.

[1] *Amantes...* (łac.) – Zkochani [są jakby] pozbawieni rozumu.

[2] *quisquis...* (łac.) – Temu, kto kocha żabę, żaba wydaje się Dianą.

# SHELDON MANOR

– Jesteśmy prawie na miejscu. – Głos siedzącego przy szoferze pana Baringa z trudem przebił się przez warkot motoru i szum powietrza płynącego z otwartych okien dużego samochodu.

Karla, zmęczona drogą i wrażeniami ostatnich dni, wypatrywała celu z niecierpliwością, na razie jednak widziała wciąż to samo co przez ostatni kwadrans, od chwili gdy opuścili Chippenham: zieleń łąk i nieliczne ciemniejsze kępy drzew.

– Przecież nic tu nie ma – zaprotestowała głośno. – Wciąż taki sam krajobraz.

– Pomyśl, kochana – odezwała się Kathy – jak tutaj się jeździ konno...

Karla roześmiała się.

– Marzę o wygodnym łóżku. Później się zobaczy.

– Później – przypomniał Emil – jedziemy do Avebury. Razem z Dorothy.

Siedzieli we czworo w przestronnym, sześćosobowym aucie, które czekało na nich na maleńkim dworcu w Chippenham. Byli już nieco zmęczeni podróżą, nocny rejs do Southampton i podróż pociągiem wyczerpały ich swą monotonią. Karla przyznawała w duchu, że gdyby nie paryskie szaleństwa i spanie po trzy–cztery godziny na dobę, wszystko przebiegłoby trochę inaczej; bardziej niż na perspektywę wypoczynku wyczekiwałyby na spotkanie z Dorothy. Wyjęła nieodłączny aparat fotograficzny i otworzywszy okno, pstryknęła zdjęcie.

– Przecież tam nic nie ma – zauważyła ze śmiechem Kathy. – Po co marnować kliszę?

– Cicho – zgromiła ją Karla. – Nie wiadomo, co zobaczymy, jak już wywołamy zdjęcie.

– A co mamy zobaczyć? Elfy?

– Może elfy. A może jakąś żmijkę, taką jak ty? – Karla szybko przestawiła aparat, nakręciła kolejną klatkę i nim Kathy zdążyła się zorientować, odwróciła na nią obiektyw.

– Dajcie spokój – ofuknął je Emil z uśmiechem. – Naprawdę dojeżdżamy. Spójrzcie w prawo.

Zza drzew wyłoniła się sylwetka piętrowego, kamiennego pałacyku. Trudno było z tej perspektywy oszacować jego rozmiar, w pierwszej chwili zdawał się niewielki, ale Karla, patrząc na dobrze widoczną z drogi pałacową kaplicę, zrozumiała, że posiadłość Dorothy musi być naprawdę imponująca. Nigdy dotąd nie widziała czegoś równie pięknego. Szlachetny, poszarzały przez wieki kamień, z którego wzniesiono budowlę, srebrzył się teraz w słońcu jak klejnot w oprawie lśniących bielą alejek i odcieniami zieleni nieskazitelnych trawników i drzew.

Karla pstryknęła kolejne zdjęcie i schowała aparat.

– Myślałam, że jesteś reporterką – powiedziała z udawanym zawodem Kathy. – A jak się będziesz dalej w tym kierunku rozwijać, zaczniesz sprzedawać swoje zdjęcia jako pocztówki.

– Masz dość swoich portretów z Paryża. – Karla nie wydawała się szczególnie oburzona. – Za to pomysł na zarabianie pieniędzy, kiedy już będziecie mnie miały dosyć, całkiem dobry.

– Żartowałam przecież. – Kathy zerknęła filuternie na Emila. – Zrobiłaś nam najpiękniejsze zdjęcie, jakie kiedykolwiek miałam. Będzie stało u mnie na komódce przy łóżku.

– To przed Luwrem? – zdziwiła się Karla.

– Nie – uśmiechnęła się anielsko Kathy. – To, na którym pan Emil podaje mi szal.

Karla zachichotała. Rzeczywiście, zdjęcie wyszło przepięknie.

– Prawie jakbyś się, tatusiu, oświadczał – westchnęła i zerknęła na ojca. Od kiedy zdjęcie zostało wywołane, temat wracał systematycznie, a Emil z nieustanną pobłażliwością przyjmował coraz to nowe koncepty swej córki i jej przyjaciółki.

– Musicie się na coś wreszcie zdecydować – rzekł, gdy samochód zahamował na podjeździe. – Byłem już rycerzem, konkurentem, paryskim elegantem i jeszcze kilkoma postaciami. Powiedzcie mi, kiedy zostanę opisany jako dżentelmen podający upuszczony szal ślicznej dziewczynie.

– Niedoczekanie – zaprotestowała Karla. – Mamy jeszcze wiele innych pomysłów...

– ... i nie zawahamy się ich użyć – dodała Kathy.

– Dosyć tego – odwrócił się do nich pan Baring. – Nie pozwolę tak żartować z mojego przyjaciela. Nazwę to zdjęcie „pan Linde podający

śliniaczek niedorosłej panience” i skończą się dyskusje. Wsiadajcie. O, jest Dorothy!

Z dworu za wysypującą się służbą podążała spieszonym krokiem Dorothy. Karla wstrzymała odruch, by wyskoczyć z samochodu i rzucić się jej w objęcia, łamiąc tym samym wszelkie zasady i dając służbie temat do rozmów na długie dni. Wsiadła statecznie, za nią wyskoczyła Kathy, na końcu pojawił się Emil.

– Witajcie, kochani – powiedziała Dorothy. Karla przyjrzała się jej dokładnie. Wyglądała na zmęczoną, ale twarz miała pełną pogody: prawdziwej czy udawanej, trudno było w tej chwili dociec. – Mielicie męczącą podróż czy... męczący Paryż?

Karla zaśmiała się.

– Paryż rzeczywiście wart był mszy – powiedziała. – Tyle zabytkowych kościołów, ile zobaczyłam za jednym razem, nie widziałam chyba nigdy w życiu. Dobrze, że w Paryżu było też nocne życie, Kathy była naprawdę zachwycona.

Dwaj służący, którzy rozpakowywali właśnie samochód, spojrzeli po sobie zaskoczeni. Zapowiadano przecież cudzoziemkę, a tutaj...

Dorothy pocałowała Karłę w oba policzki i przywitała się z pozostałymi.

– Chodźcie do środka – powiedziała. – Susan – zerknęła na starszą panią – wskaże ci twój pokój, będzie sąsiedował z pokojem twojego ojca. Kathy z Williamem nie potrzebują przewodnika. Nie mam tu garderobianych, więc będziecie musiały sobie poradzić z bagażami. Dobrze wiem, że potrafisz.

– Mam nadzieję, że wkrótce sama oprowadzisz mnie po domu – zauważyła z uśmiechem Karla.

– O, tak, na pewno – odparła Dorothy. – Kiedy już zamieszkaż u mnie. Będziemy miały mnóstwo dużo czasu. Na razie naszym głównym celem jest Avebury, wyjeżdżamy jutro rano. Za pół godziny zjemy wczesną kolację, a potem dam wam odpocząć.

Karla była zaskoczona. Nie spodziewała się, że już nazajutrz pojedą do Kathy, lecz uznała, że nie ma sensu wypytywać teraz o szczegóły. Susan dygnęła przed Karłą i Emilem.

– Proszę za mną – powiedziała.

Karla uśmiechnęła się ślicznie.

– Dziękuję – rzekła, skinęła głową Dorothy i niemal wpłynęła do wnętrza za idącą przodem Sue.

– Nie udawaj księżniczki – mruknął Emil po polsku, nie mógł się jednak nie uśmiechnąć. Scena była zupełnie jak z filmu.

– Dlaczegoż by nie? – spytała swą śliczną angielszczyzną Karła.

– Trzeba znać miarę – odezwał się tym razem po angielsku Emil. – Zresztą rozejrzyj się. Co czujesz?

Karla z trudem powstrzymała się przed pełnym podziwu westchnieniem. Susan prowadziła ich do kamiennych, prowadzących na piętro schodów przez hall, który wyglądał jak muzeum broni skrzyżowane z galerią obrazów. Nie było w tym jednak nic rażącego, każdy z przedmiotów miał swoje miejsce; ich nagromadzenie było tak naturalne jak mech na starym drzewie, porastający je coraz to wyżej i wyżej.

– Sześć stuleci – odrzekła, wchodząc na schody. – I... niepokój.

Rzeczywiście. Gdzieś głęboko w sobie czuła, jakby ten dom, te kamienne mury witały ją z podszytą niechęcią obojętnością. Tłumaczyła sobie, że to przecież nie drewniany, bielony, ciepły, swojski dworek, lecz surowy, kamienny gmach, ale czyż pałacyk w Klonowie nie witał jej zupełnie inaczej?

– Masz rację – kiwnął głową Emil. – Coś w tym jest.

Susan poprowadziła ich na piętrze w lewo. Dopiero teraz Karla zauważyła, że pan Baring i Kathy szli po schodach za nimi, lecz u ich szczytu skierowali się w prawo.

Susan otworzyła jedno z drzwi.

– To pokój pana – powiedziała. – Panienska pozwoli za mną.

Ruszyła dalej szerokim korytarzem i zatrzymała się przed drzwiami niemal na końcu korytarza.

– To pokój panienski – rzekła, przekręcając w zamku klucz. Mocno pchnęła odrzwia, które ustąpiły z cichym skrzypieniem. – Myślę, że się paniensce spodoba.

Weszły do środka. Narożny pokój urządzony był skromnie, stół, szerokie łóżko, toaletka z lustrem; ściany obite nieco wyblakłą tkaniną we wzory haftowane złotą nicią rozświetlały promienie zachodzącego słońca, padające z dwóch dużych okien. Karla weszła dalej i spojrzała przez szybę. Zobaczyła to, co kochała nad wszystko – zielen traw, drzew i błękit nieba. Odwróciła się do Susan.

– Dziękuję – powiedziała z uśmiechem. – Bardzo piękny pokój. Do kogo kiedyś należał?

Susan wskazała na ścianę, na której wisiał portret. Karla przyjrzała mu się dokładnie. Przedstawiał dziewczynkę dziesięcio-, najwyżej dwunastoletnią, w błękitnej tiulowej sukni, jakby zbyt dorosłej na jej wiek. W dłoni trzymała bukiet białych róż.

– Mieszkała w nim Henrietta Godolphin, druga księżna Marlborough – powiedziała Susan, jakby wygłaszała wyuczoną lekcję. – Była tutaj częstym gościem w dzieciństwie. Wtedy namalowano ten portret.

– Kiedy to było?

– Dwieście pięćdziesiąt lat temu. Zaraz ktoś przyniesie rzeczy panienki.

Dygnęła i zniknęła za drzwiami. Karla usiadła w fotelu. Przygnębienie ponurym hallem ustąpiło w mgnieniu oka, jakby ktoś w jednej chwili zdjął z niej czar. Fotel stał blisko okna, stoliczek aż zachęcał do tego, by postawić na nim filiżankę herbaty i kilka dobrych książek.

– Chyba się polubimy. – Karla zerknęła na dziewczynkę na portrecie. Jej twarz była pogodna, a błysk w oku zwiastował, że malarz dostrzegł prócz godności również jej przyrodzoną skłonność do psikusów. – Mamy mimo wszystko ze sobą coś wspólnego.

Usłyszała ciężkie kroki za drzwiami, a zaraz potem pukanie.

– Proszę – powiedziała.

Drzwi otwarły się na całą szerokość.

– Walizki panienki – rzekł zasapany służący. – Gdzie postawić?

– Proszę je postawić przy drzwiach. Poradzę sobie z nimi.

Zauważyła, że za służącym w drzwiach pojawił się drugi, młodszy od niego, dzierżąc w obu dłoniach jej pudła z kapeluszami. Przez głowę przebiegła jej myśl o bezsensie wyjmowania wszystkich bagaży z samochodu, przecież już nazajutrz mieli jechać dalej, ale zamilczała.

– Pudła też – zarządziła.

Po chwili drzwi się zamknęły i Karla została sama. Podeszła do okna i z niejakim trudem je otworzyła. Zawiasy skrzypnęły rozpaczliwie, widać nie używano ich często. W duszne powietrze komnaty wdarł się świeży, ciepły wiatr niosący zapach łąk. Przymknęła oczy. Pamięć przywołała natychmiast obrazy wakacyjnej beztroski. Przez jedną krótką chwilę zatęskniła za Byszewem, ale otrząsnęła się szybko. Zamknęła okno. Toaleta zabrała jej zaledwie chwilę, i po chwili znów znalazła się na korytarzu. Tak jak chwilę

wcześniej uderzyła ją przygnębiająca, niepokojąca atmosfera, nie poddała jej się jednak i prędko zeszła na dół. Stała przez chwilę bezradnie, nie wiedząc, w którą stronę się skierować. Poczowała dym papierosa i odwróciła się. Stała za nią Dorothy.

– Przepraszam – powiedziała – oprowadzanie musi poczekać do chwili, gdy zamieszkamy tu razem. Za dużo zeszłoby na to czasu. Pewnie jesteście głodni, za chwilę podadzą. Tymczasem chodźmy na zewnątrz.

Ruszyły do głównego wejścia.

– Jak ci się podoba twoja kwatery? – spytała Dorothy, zaciągając się papierosem.

– Bardzo ładna komnata – odparła Karla. – Jest w niej coś pogodnego, inaczej niż...

– Inaczej niż w całym dworze – dopowiedziała Dorothy. – Choć radziłabym poczekać do jutra, może będziesz miała inne wrażenie. Co nie zmienia faktu, że masz sporo racji, my kobiety wyczuwamy dobrze takie rzeczy. Chociaż – zastanowiła się – twój ojciec również to czuł, choć o kobiecość trudno by go było posądzić. Inna rzecz, że nikt, kogo kiedykolwiek poznałam, nie rozumie kobiet tak dobrze jak on.

Karla nawet nie dała po sobie poznać zaskoczenia informacją, że jej ojciec był w Sheldon Manor.

– Więc... dlaczego on... – zaczęła Karla i urwała nagle. Zawstydziała się. Pomyślała o matce, o nieudanym małżeństwie rodziców, o rozstaniu. Opuściła głowę.

Dorothy wyrzuciła papierosa. Delikatnie, zupełnie jak lata wcześniej, w Krakowie, dotknęła podbródka Karli i podniosła jej głowę.

– Właśnie dlatego, kochana – usłyszała Karla. – Właśnie dlatego, że je rozumie. I pamiętaj, mówiłam ci tyle razy. Nigdy nie opuszczaj głowy. Masz być z siebie dumna. Koniec. Chodź, obejździemy dwór, zostało jeszcze kilka chwil.

Ruszyli na zewnątrz. Dopiero teraz Karla zorientowała się naprawdę w jego wielkości. Budynek był nieregularny, widać wielokrotnie przebudowywany i powiększany, sprawiał wrażenie skomplikowanego dodatku do gotyckiej pałacowej kaplicy. Nieco dalej ujrzała budynki stajni i psiarni.

– Psów nie ma – powiedziała z żalem Dorothy – ale trzymam jeszcze cztery konie. Nie mam dość czasu, aby obejździć je wszystkie. Masztalerz

robi to za mnie.

– Chętnie pomogę – zaofiarowała się Karla z błyskiem w oku.

– Nie wątpię – uśmiechnęła się Dorothy. – O twoich umiejętnościach krążą legendy. Zresztą, jak się ma takiego nauczyciela... Karłę po raz kolejny zaskoczyło, jak zmienia się twarz Dorothy, gdy mówi o ojcu, jak inaczej brzmi jej głos. Poczwała, że jest coś, co jej umyka, jakiś niuans, który sprawia, że nie potrafi pojąć natury relacji tych dwojga. Angielskiej guwernantki z wyboru, która okazała się wielką panią, i zwykłego na pozór lekarza, lecz potomka wielkiego domu, tak bardzo jednak lekceważącego ludzi, dla których jedynym tytułem do chwały jest wielkość własnego nazwiska.

– Czy coś cię gnębi, kochanie? – usłyszała.

Otrząsnęła się szybko z myśli.

– Nie, nie – zaprzeczyła nieco zbyt szybko. – Myślałam raczej o tym, że już jutro przyjdzie nam jechać do państwa Baringów. Sądziłam, że zostaniemy tutaj trochę dłużej.

– Plany się zmieniają, ale chyba nie jest to wielkim problemem. Jeszcze będziesz mnie miała dość, zobaczysz.

Karla zatrzymała się nagle i spojrzała Dorothy w oczy.

– Powiesz mi, co się stało?

Dorothy zawahała się. Karla czekała cierpliwie. Stały naprzeciw siebie – dojrzała kobieta u progu starości i młodzianka dziewczyna, dopiero co wkraczająca w dorosłość.

– Tak – rzekła wreszcie. – Zasługujesz na to. Ale dopiero gdy pojedzie twój ojciec, a my zadomowimy się w Sheldon. Nie pora teraz na obciążanie głowy trudnymi sprawami.

– Dziękuję – rzekła dorośle Karla. – Będę na to bardzo czekała.

– Czy mi się wydaje – Dorothy zerknęła na zegarek – że już czas? Chodźmy na kolację.

\*

Kolację podano wyjątkowo nie w jadalni, lecz w pokoju kominkowym. Dorothy stać było na taką ekstrawagancję we własnym domu, nikt zresztą nie miał nic przeciw temu. Było ich przecież tylko pięcioro; usadzenie wszystkich przy olbrzymim stole, mieszczącym bardzo wygodnie

dwadzieścia cztery osoby, nie miałyby sensu. Choć – jak ośmieliła się zauważyć Karla – niejeden snob pewnie by to zrobił.

– Och, kochanie – zbagatelizowała Dorothy – nawet niejeden nie-snob. Ale ja nie zamierzam używać teatralnej lornetki, żeby zobaczyć, kto siedzi naprzeciw mnie przy tak długim stole.

Karla parsknęła śmiechem.

– Pewnie są takie domy, w których by porozumieć się przy stole, trzeba użyć telefonu.

– Prędszej lokaja – uśmiechnęła się Dorothy. Spojrzała na drugą z dziewcząt. – Nie najlepiej wyglądasz, moja droga – rzekła z troską. – Podróż ci nie posłużyła?

Rzeczywiście, Kathy wyglądała nie najlepiej. Była blada, niespokojna, płytko oddychała.

– Wiesz przecież, że nigdy się nie czuję dobrze w Sheldon Manor – odparła niechętnie. – To nie ma nic wspólnego z tobą. Wolałabym po prostu, żebyś mieszkała w Avebury.

Dorothy z pobłażaniem pokiwała głową. Karla nie wytrzymała.

– Dlaczego mówisz, że się tutaj źle czujesz?

– Bo tak, i już – mruknęła niemal wrogo przyjaciółka. Karla nie nastawała, zwłaszcza że akurat wniesiono talerze.

– Rozumiem – rzekła tylko. – Czasami tak bywa, i już.

Wieczorem, gdy leżała już w łóżku, w tej chwili, w której myśli zwalniają i wiemy, że za chwilę nadejdzie sen, wydawało jej się, że rozumiała niepokój Kathy. Przed oczami stanął jej Albert tak, jak opisywała go przyjaciółka, i pojęła, że to on właśnie jest główną przyczyną jej niepokojów. Że chciałyby spotkać się z nim na własnym terenie, w Avebury, jak najszybciej. I że boi się tej chwili, ale też jej pragnie. Pomyślała jeszcze o portrecie ślicznej dziewczynki o filuternym spojrzeniu.

– Dobranoc, Henrietto – wyszeptała i natychmiast zasnęła.

Obudził ją świergot ptaków zza okna. Świtało, zapowiadał się kolejny piękny dzień, zadając kłam straszliwym legendom o angielskiej pogodzie. Przewróciła się na drugi bok w rozkosznie ciepłej pościeli. Przez chwilę zastanawiała się, czyby nie zostać w łóżku, ale czuła się tak rześka i wypoczęta, że postanowiła wybrać się na krótki spacer wokół dworu. Szybko odrzuciła kołdrę i nagle zrozumiała, czemu zawdzięcza swój doskonały nastrój. Poczwała woń róż, tak mocną, jakby za oknem rósł

bezkresny, różany ogród, a nie tylko kilka starych, obsypanych kwieciami krzewów. Już wiedziała, że czeka ją dobry dzień.

Zerknęła na portret.

– Dzień dobry, Henrietto – zaśmiała się.

Umyła się szybko, przebrała w to, co miała najwygodniejszego – swój strój do konnej jazdy, i wyszła cichutko z pokoju.

Korytarz, który poprzedniego dnia wydawał jej się ponury, schody i hall, tak przytłaczające i obce, wydały jej się swojskie i znane. Schodząc na dół, muskała dłonią kamienną balustradę; gładziła ją tak, jak gładzi się kota, z czułością i delikatnością.

Hall był pusty. Przemknęła do wyjścia i otworzyła wrota. Było jeszcze chłodno, słońce stało nisko nad horyzontem, nie ogrzewając łąk, nad którymi unosiła się mgiełka. Mogło być trochę po piątej rano, Karla domyślała się, że służba przy niedzieli nie wstanie wcześniej niż około szóstej. Przeszła przez pusty dziedziniec, minęła kaplicę i odruchowo ruszyła alejką w stronę stajni. Gdy dochodziła do zabudowań, usłyszała nagły ruch. Ktoś był w środku. Karla podeszła bliżej i ku swojemu zdziwieniu ujrzała Dorothy, która właśnie dociągała popręg dopiero co osiodłanemu karemu koniowi. Kobieta spojrzała na Karlę z jeszcze większym zaskoczeniem.

– Popatrz – odezwała się – chyba ściągnęłam cię tutaj myślami. Zastanawiałam się przez chwilę, czy cię nie zbudzić na konną przejażdżkę, ale barbarzyństwo ma swoje granice, jest przecież świt. A ty objawiasz się przede mną, w dodatku w regulaminowym stroju...

Karla uśmiechnęła się.

– Czy mogłabym... – zaczęła.

Dorothy przerwała jej gestem.

– Bierz się do roboty – powiedziała. – Weź Jonathana, to ten z białą gwiazdką na czole. W siodlarni znajdziesz wszystko, weź pierwsze siodło po lewej stronie. Będę niedaleko.

Karli nie trzeba było dwa razy powtarzać. Po kwadransie wyprowadzała wyszczotkowanego, osiodłanego i aż rwącego się do jazdy konia. Dorothy rzeczywiście była w pobliżu, gdy zobaczyła wychodzącą ze stajni dziewczynę, pobudziła swojego konia do szybszego kłusu i po chwili zjawiła się obok. Karla dosiadła swojego i obie ruszyły stępą przez pole.

– Jak ci się spało? – spytała Dorothy. – Mam nadzieję, że nie cierpiałas na bezsenność?

– Spałam doskonale – wyznała Karla. – Zbudziłam się wypoczęta jak nigdy, dawno chyba nie miałam tak dobrego nastroju po przebudzeniu.

Dorothy zawahała się.

– Pachniało różami? – spytała wreszcie. Karla aż wstrzymała konia.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się. – To twoja sprawka?

Dorothy roześmiała się w głos. Sprawiała wrażenie, jakby nagle ubyło jej lat, a doskonały nastrój Karli udzielił jej się w pełni.

– Nie – odrzekła, śmiejąc się. – To sprawka Henrietty.

– Nie żartuj sobie!

– Nie żartuję. – Dorothy spoważniała. – Słyszałaś pewnie mnóstwo opowieści o nawiedzonych domach, prawda? O duchach, jęczących zjawach, skrzypiących podłogach...

– Wierzysz w to?

– W jęczące zjawy nie bardzo. Skrzypiące podłogi to oczywistość i łatwo to wytłumaczyć, podobnie jak w nieustanne przeciągi. Ale w inne rzeczy – owszem.

– Jakie inne?

Dorothy znów się uśmiechnęła.

– Na przykład to, że Henrietta wita gości, którzy jej się spodobają, zapachem białych róż, które trzyma w dłoniach – rzekła filuternie. – I tak jak kiedyś słuchali jej wszyscy domownicy, bo była ponoć miłym i uwielbianym dzieckiem, tak teraz słuchają jej wszystkie kamienie, z których ten dom zbudowano. Masz szczęście, kochana. Nieczęsto się to zdarza.

– To dlatego Kathy czuje się tutaj źle? – spytała ostrożnie Karla.

– Być może – westchnęła Dorothy. – A może po prostu zbyt wiele myśli o tym, co w tym domu się wydarzyło...

– Co takiego?

Dorothy zmierzyła ją wzrokiem.

– Nie będziemy teraz o tym rozmawiać, dzisiaj jedziemy do Avebury. A tymczasem ruszmy tymi końmi, bo widzisz, że zaczyna im się nudzić.

Rzeczywiście, oba karosze parskaly niecierpliwie, znużone wolnym krokiem. Pełne energii po nocy aż zapraszały do galopu. Dorothy wysforowała się do przodu. Podniosła rękę.

– Za mną! – zakomenderowała i poszła w galop. Karla ruszyła jej śladem. Nigdy nie widziała jeżdżącej konno Dorothy i była pod wrażeniem. Starsza pani znakomicie trzymała się w siodle, nawet dyletant byłby w stanie dostrzec dziesięciolecia świetnej praktyki. A przecież Karla nie była dyletantką.

Dojechały do niewielkiej kępy drzew. Karla wyprzedziła gospodynię, skróciła swemu karoszowi krok i przeszła w kłus.

– Pięknie jeździsz – rzekła prawie z zazdrością.

– Ty też – odparła Dorothy. – Niczego innego się jednak nie spodziewałam, Emil mówił mi niejedno.

– Mnie zawsze gani, że za bardzo się męczę przy jeździe. Żartuje, że po długim galopie jestem bardziej zdyszana niż koń.

Dorothy roześmiała się i ściągnęła koniowi wodze. Karla zrobiła to samo. Szły obok siebie teraz stępa.

– Łatwo mu mówić – zauważyła. – Nie znałam nigdy lepszego jeźdźca niż twój ojciec.

– Nawet w Anglii?

– Nawet w Anglii.

Karłę znów uderzyło, że kiedy Dorothy mówi o jej ojcu, jej głos się zmienia, staje się jakby cieplejszy. Zaczęła rozumieć, że ich przyjaźń, o której dowiedziała się w Klonowie, jest dłuższa i głębsza, niż mogłaby przypuszczać.

– Emil był tutaj kilkakrotnie – podjęła po chwili. – Przyjeżdżał latem, kiedy ty byłaś w Byszewie, nie na długo jednak. Ciągnęło go do ciebie.

– Ale ty przecież mieszkałaś w Krakowie.

– Wakacje jednak spędzałam zawsze u siebie – mruknęła Dorothy. – Wtedy gdy on ruszał do Szkocji.

Karla zrozumiała. Mówiąc on, Dorothy miała na myśli swojego męża, tego, z którym, jak słyszała, łączył ją nieudany związek. Wszystko w jej głowie zaczynało się układać. Tymczasem gospodyni zrozumiała, że powiedziała więcej, niż chciała, a jeszcze więcej, niż powinna.

– Nieważne – ucięła. – Nie ma go i niech mu ziemia lekką będzie. Teraz mogę być tutaj cały rok.

– Nie lubiłaś Krakowa?

Dorothy rozpogodziła się.

– Lubiłam – przyznała. – Również dzięki tobie.

– Dziękuję, Mrs Doris – wyrecytowała Karla. Wyciągnęła prawą dłoń do Dorothy. Kobieta chwyciła ją mocno. Jechały tak razem przez chwilę.

– Nie jesteś zmęczona? – spytała wreszcie, zwalniając uścisk.

– Czym? – zaśmiała się Karla. – Kwadrans w siodle?

Dorothy uśmiechnęła się.

– Poradzisz sobie. Przez najbliższy rok wyjeździsz się za wszystkie czasy. Widzisz, że konie mam dobre.

– A dlaczego tylko kare?

– Tak się złożyło – westchnęła Dorothy. – Wiem, ojciec opowiadał mi o twojej Aminie. Gdyby nie to, że nie dotyczy to arabów, powiedziałabym, że wszystkie siwe konie są pretensjonalne.

– A cesarz Franciszek Józef – zaczęła przekornie Karla – miał tylko siwe konie.

– Habsburgowie zawsze mieli osobliwe pomysły – zaśmiała się Dorothy. – Dość żartów. Po prostu lubię czarny kolor. Jedziemy!

Pomknęły galopem ku posiadłości. Kiedy już wolnym krokiem zmierzały do stajni, zobaczyły czekającego w pogotowiu masztalera. Chwilę później oddały konie w jego ręce.

– Możemy tak? – spytała niepewnie Karla.

– Możemy. Idziemy teraz napić się czegoś. Zjesz wczesne śniadanie?

Karla poczuła nagły głód.

– Oczywiście. Nawet bez przebierania się.

Dorothy otoczyła swą młodą przyjaciółkę ramieniem i ruszyły w stronę dworu. Nikt patrzący z boku nie mógłby nawet podejrzewać, że dzielą je dwa pokolenia i przepaść wiedzy i doświadczeń. Jesteśmy młodzi, póki chcemy być młodzi. I nie ma to nic wspólnego z biegiem lat.

\*

Jeśli Karla miała nadzieję na szybki ciąg dalszy rozmowy, zawiodła się srodze. Przy herbacie i wczesnym śniadaniu Dorothy skrupulatnie omijała kwestie, które najbardziej ją zafrapowały i dawały do myślenia. Później, gdy na dół zszedł Emil, a potem Baringowie, nie było już okazji. Zwłaszcza że Kathy wyglądała jak nieszczęście: podkrążone oczy, blada twarzyczka bez cienia uśmiechu. Usiadła ciężko na krześle.

– Nie będę teraz nic jadła – powiedziała ponuro, patrząc z obrzydzeniem na zastawiony stół i z popłochem na objadającą się z lubością Karłę. – Zjem już w Avebury.

– Ale... – zaczęła Karla. Emil spojrział na nie obie. Wyglądały jak stojące obok siebie dwie alegorie: zdrowia i choroby. Zrobiło mu się żal Kathy.

– Oczywiście – rzekł szybko. – Karla, zaraz po śniadaniu ruszamy. Jesteś spakowana?

Dziewczyna, zdziwiona, oderwała się od grzanki z morelowym dżemem.

– Nie zdążyłam się przecież rozpakować – odparła nieco zaskoczona. – Potrzebuję tyle czasu, aby wejść na górę i pożegnać się z Henriettą.

Kathy wzdrygnęła się nieznacznie. Emil uśmiechnął się porozumiewawczo do Karli, która nagle zrozumiała, w czym rzecz, choć cały jej w gruncie rzeczy racjonalny światopogląd mówił, że to zwyczajne żarty. To pewne, Kathy nie była faworytką dziewczynki z portretu. Ale skąd Emil o tym wiedział? I czy...

– Tatusiu – podjęła, przełykając ostatni kęs – czy spałeś kiedyś w moim pokoju?

Emil roześmiał się.

– Nie. Ale ja mam dobre układy z innym portretem.

Karla, przywykła do częstego obracania przez ojca rozmaitych spraw w żart, nie roztrząsała szczegółów.

– W takim razie idę na górę – oznajmiła, wstając. Złowiła spojrzenie kucharki, która na krótką chwilę wyjrzała zza framugi potężnych drzwi prowadzących do salonu. Karla odczytała to spojrzenie jednoznacznie.

– Zaraz schodzę – dodała i ruszyła szybkim krokiem do wyjścia. Zebrani usłyszeli tylko, że Karla mówi coś do kucharki w hallu, rozległ się jakiś śmiech i kroki wbiegającej na piętro dziewczyny.

– Gdyby zobaczył to ten drań, który jakimś cudem był moim mężem – mruknęła Dorothy – powiedziałyby, że dziewczyna psuje mu służbę. Wiercie mi, nie usłyszeli od niego nigdy jednego dobrego słowa.

– A co ty powiesz? – zainteresował się Emil.

– Że nie dbam o to. – Dorothy wzruszyła ramionami. – Już dawno rozumiałam, że Karla będzie przyjaciółką całego świata i nie ma zamiaru

dzielić ludzi na tych, z którymi jej wolno, i tych, z którymi nie wolno rozmawiać. Dlatego wierzcie mi, w tej sferze nie zrobi kariery.

– I bardzo dobrze – zaśmiał się Baring. – A w jakiej zrobi?

Kathy podniosła głowę.

– W żadnej – powiedziała niechętnie. – Bo szanować ją będą tylko ludzie porządni, a ci rozsiani są jak rodzyнки w puddingu.

Dorothy zmarszczyła brwi.

– Zbyt łatwo osądzasz ludzi – powiedziała.

Kathy nie odezwała się, za to Baring, jeszcze przed chwilą roześmiany, wyraźnie się stropił.

– Nie powinnaś tak mówić – napomniął córkę. Kathy wciąż milczała. – Przecież dobrych ludzi jest na tym świecie naprawdę sporo.

– Cieszę się – wycedziła Kathy – że przynajmniej z pierwszą częścią mojego zdania się zgadzasz. Zresztą zobaczymy. Idę po rzeczy.

Wstała i wyszła z salonu. Pozostali odprowadzili ją wzrokiem.

– Czy tylko wam – odezwał się nieśmiało Baring – wydaje się, że dzieją się tu rzeczy dziwne?

Dorothy i Emil popatrzyli na siebie. Pierwsza przerwała milczenie Dorothy.

– Nie dziwne – odparła z ociąganiem. – Tylko takie, których nie rozumiesz.

Kathy szła tymczasem na górę, wolno, noga za nogą, stopień po stopniu. W głowie miała kompletny chaos, przez który przebijała jedna tylko myśl. Dzisiaj pod wieczór, najpóźniej jutro z rana spotka się z Albertem. Nie wiedziała, co mu powiedzieć, ani nie wiedziała, co on powie, w jaki sposób się wytłumaczy. A co najważniejsze – w jaki sposób wytłumaczy się jej ojcu. I czy naprawdę ten związek ma się skończyć, wbrew jej marzeniom i planom. Czy rzeczywiście Albert ją oszukał, ba! oszukał ich wszystkich? Przypomniała sobie, co jej mówiła w Paryżu Karla: czy ona, Kathy Baring, jest dla niego naprawdę ważna? A z drugiej strony, czy jest coś, z czego zechciałby dla niej zrezygnować? I wreszcie, czy ona ma prawo tego wymagać?

Zatopiona w myślach nagle poczuła, że potyka się i traci równowagę. Krzyknąwszy z przestraszeniem, poczuła, że ktoś ją podtrzymuje. Wróciła do rzeczywistości i zrozumiała, że potknęła się o siedzącą u szczytu schodów Karłę.

– Przepraszam – powiedziała szybko Kathy. – Zamyśliłam się. A co ty właściwie tu robisz na tych schodach?

– Czekam na ciebie – odparła niefrasobliwie Karla. Bił z niej dobry nastrój, który zdawał się czymś najzupełniej naturalnym, przypisanym dzisiaj do niej na stałe, jakby cały wszechświat za nią stanął i popychał ją do działania, szepcząc: rób swoje, dzisiaj jesteś dzieckiem szczęścia i cokolwiek się zdarzy, obróci się na korzyść. Twoją i tych, których spotkasz. Poczuela to także Kathy. Dziewczyna powstrzymała przemożną chęć pójścia do swojego pokoju i rozplakania się. Przysiadła obok Karli.

– Co mi chcesz powiedzieć? – spytała. Chciała, aby zabrzmiało to zaczepnie, lecz zawiodła zupełnie. Karla odebrała to właściwie.

– Nie martw się Albertem – rzekła. – Pamiętaj, co ci powiedziałam.

– Nie martwię się – skłamała Kathy. – Tylko się boję.

– Czego?

– Samej siebie. Tego, że znów będę taka głupia jak wtedy, gdy o mały figiel a dałabym się zbałamucić temu malarzowi w Juracie. Jak on się właściwie nazywał?

– Nie pamiętam – westchnęła z udanym żalem Karla, choć doskonale przecież pamiętała.

Kathy nie mogła się nie uśmiechnąć.

– I to znowu będziesz ty? – spytała. – Przecież nie staniesz obok mnie i nie powiesz: nie rób tego, bo ja wtedy, w zaślepieniu, powiem, żebyś zostawiła mnie w spokoju...

Karla objęła ją ramieniem.

– Niekoniecznie ja – szepnęła jej do ucha. – Może to będzie Dorothy, może mój ojciec, może twój tata... Znam cię od przeszło roku i wiem jedno: masz niesłychane szczęście w życiu.

– Ja? – zdziwiła się gorzko Kathy. – Mam nieustającego pecha!

– Jesteś dzieckiem szczęścia – powtórzyła z uporem Karla. – A wiesz, w czym rzecz?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Rozżalenie aż biło z Kathy. Karla nie zwróciła na to uwagi.

– O tym – jej głos brzmiał stanowczo i dobitnie – że jakiegokolwiek głupstwo chciałabyś palnąć, zawsze znajdzie się przy tobie ktoś, kto cię powstrzyma. Skutecznie i tak, jak trzeba.

Puściła Kathy i wstała.

– Chodź. – Podała jej rękę. – Trzeba się spakować, za chwilę wyjeżdżamy.

Kathy wstała ciężko.

– Byle do Avebury. Choćby się tam miało stać najgorsze.

\*

Było po dziesiątej, gdy Karla, ogłuszona rykiem silnika małego, sportowego kabrioletu, zobaczyła dwór w Avebury. Kiedy wyjeżdżali, Dorothy dała Baringowi fory, a i tak zdołała go wyprzedzić. Prowadziła auto wprawnie, szybko, z niejaką nonszalancją. Karli wydawało się, że szybkość, z jaką jadą, związana jest z papierosami: w krótkich chwilach, gdy Dorothy nie paliła, jej styl jazdy zmieniał się zupełnie, jechała spokojnie i bezpiecznie. Z papierosem w dłoni zmieniała się nie do poznania. Karla już jakiś czas temu zrozumiała, że Mrs Doris odeszła w daleką przeszłość, stała się postacią na poły baśniową, jak wtedy gdy wspominając własne dzieciństwo, trudno nam odróżnić to, co wydarzyło się naprawdę, od tego, co chcieliśmy, aby się stało.

Karla zrozumiała, dlaczego jej przyjaciółka aż tak kocha Avebury, gdy tylko podjechali pod dwór. Nieco podobny do Sheldon, choć mniejszy, z jaśniejszego kamienia, otoczony starannie wypielęgnowanym ogrodem, przywodził na myśl pocztówkę z wakacji. Sheldon miało w sobie majestat wieków, Avebury – jasność i radość, choć było zaledwie dwa wieki młodsze. I choć wzajemna sympatia z Henriettą z obrazu sprawiła, że Sheldon przyjęło Karłę jak swoją, to było jasne, że Avebury, nieco po amerykańsku przyjmuje każdego, nie stawiając specjalnych wymagań. Przynajmniej z początku. A gdy jeszcze z dworu wybiegły, ujadając, trzy przepiękne gończe psy – Karla poczuła się zupełnie pewnie.

– U nas myśliwskie psy trzyma się w psiarniach – mruknęła Dorothy, wyłączając silnik. – A domowe w domu. W normalnych warunkach źle to świadczy o właścicielach, ale tutaj wszystko uchodzi. To dom amerykański dla swoich, angielski dla obcych.

Powiedziała to rzeczowo, bez cienia nagany. Karla powściągnęła dziecinną ochotę na zadanie kolejnego pytania i wysiadła z samochodu. Psy zignorowały ją zupełnie, przygotowując się najwyraźniej na burzliwe powitanie pasażerów drugiego auta, które właśnie wtoczyło się na podjazd. Karla wysiadła i zobaczyła, że zwierzęta niemal przewracają

roześmianą, szczęśliwą Kathy, która nie szczędziła im pieśczoł. Uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie ich pierwszy pobyt w Byszewie, psy, które tak samo witały Karłę, i po raz pierwszy, po tak niewielu dniach od wyjazdu, poczuła tęsknotę. Westchnęła tylko i ruszyła w stronę Baringów i ojca. Czworonogi z trudem oderwały się od Kathy i jej ojca, dały się łaskawie pogłaskać Emilowi i podbiegły w stronę Karli i Dorothy. Musiały ją dobrze znać, przyjaźń między dwojgiem domostw sprawiała, że bywali nawzajem u siebie rezydentami, ale psy najwyraźniej na coś czekały. Owszem, przywitały się z Karłą nawet uprzejmie, lecz przy Dorothy przysiadły z łbami uniesionymi wysoko w górę, w niemym, skupionym oczekiwaniu.

– Zawsze to samo – westchnęła w udawanym pobłażaniu. Podeszła do samochodu i sięgnęła po coś do swoich bagaży. Błyskawicznym ruchem wydobyła tenisową piłkę i cisnęła ją mocno w stronę łąki. Psy pognały za zabawką, poszczekując radośnie.

– Mamy je na pół godziny z głowy – powiedziała Dorothy. – Uwielbiają takie zabawy. Jeździłam z nimi w pola i wprawdzie nie zabierałam piłeczki, ale zapewniam cię, że nie nudziły się ani przez chwilę.

Tymczasem kilkoro ze służby podeszło po bagaże. Baring przywitał się z ochmistrem.

– Wielmożny pan ma bardzo dużo poczty – powiedział ochmistrz – a od ósmej rano czeka na pana niejaki pan Christopherson...

Baring spoważniał.

– Mówił coś? – spytał z niepokojem.

Na twarzy starego ochmistrza odmalował się niesmak.

– Wielmożny pan wie dobrze – mruknął – że pan Christopherson nie rozmawia ze służbą.

– Wiem – rzekł Baring. – Jest użyteczny i płacę mu za to, ale przykro mi z powodu, o którym mówisz.

– Nie szkodzi. – Ochmistrz popatrzył Baringowi w oczy. – On nie jest naszym pracodawcą, na całe szczęście.

Baring uśmiechnął się melancholijnie.

– Dopilnuj wszystkiego – powiedział, ruszając w stronę dworu. – I pamiętaj, że choć z mojej woli, to jednak ty tutaj rządzisz.

Ochmistrz kiwnął głową. Odwrócił się i podszedł parę kroków w stronę samochodów, sztorcując po drodze niedorostka, który przez nieuwagę

upuścił na ziemię jedną z walizek. Zanim procesja z bagażami ruszyła do dworu, Baring był już w środku. Minął hall i wszedł do przedsiionka gabinetu, gdzie w fotelu tkwił pan Christopherson, wysoki, przeraźliwie chudy, starszy mężczyzna, z krzaczastymi brwiami i beznamiętnym spojrzeniem.

– Przykro mi, że musiał pan czekać – rzekł sucho Baring. – Rozumiem, że ma pan wieści.

– Pan Albert Mildhouse zamierza złożyć dzisiaj wizytę pannie Kathy – odezwał się Christopherson, nie podnosząc się z fotela. Jego głos był jak skrzypienie wolno otwieranej starej szafy.

– Nie przyszedł pan tutaj tylko dlatego – zauważył Baring. – Na to wystarczył telefon.

Christopherson wyjął z wewnętrznej kieszeni kamizelki dwa listy.

– Wszystko się potwierdziło – rzekł obojętnym tonem, podając Baringowi papiery. – To odpis protokołu przesłuchania Alberta, a to drugie zeznanie jego dawnego kolegi.

– Ile jestem winien?

– Dwieście funtów – odparł Christopherson. – Miałem koszta.

Baring wzruszył ramionami.

– Proszę poczekać.

Otworzył kluczem drzwi do gabinetu i zniknął na moment w środku. Po chwili wrócił z kopertą, którą podał gościowi.

– Gotówka.

Mężczyzna schował kopertę, nie zaglądając nawet do środka.

– Lubię z panem pracować – rzekł wolno. – Cenię sobie zaufanie, a jak dotąd go pan nie zawiódł. Dlatego tytułem premii dwie informacje. Pierwsza: gratuluję wycofania się z rynku hiszpańskiego. Niebawem zamieszki przerodzą się w konflikt, a jak mi donoszą moi informatorzy, niewiele na to wcześniej wskazywało. Akcje spadają, a pan wycofał się z nich szczęśliwie tuż przed krachem. Wolno wiedzieć, skąd miał pan tak dokładne informacje? Chętnie dołączę do listy moich informatorów tego, kto to panu doradził.

– To już moja sprawa – mruknął Baring. – Wtedy to pan musiałby mi płacić, a nie ja panu.

– Dobrze pan zna swojego przyjaciela, pana von Linde?

Lekko amerykański akcent Christophersona wibrował twardszą, niemiecką nutą.

– Wystarczająco. Skąd pytanie?

Christopherson zawahał się.

– Mówią – rzekł wreszcie – że interesuje się nim wywiad.

– Brytyjski? – zdziwił się Baring.

– Nie tylko – mruknął niechętnie Christopherson. – Mówią, że niemiecki i francuski również. Pański przyjaciel, jak się zdaje, wie więcej, niż powinien wiedzieć zwykły lekarz z Polski.

Baring pomilczał chwilę. Christopherson czekał cierpliwie.

– Być może – rzekł wreszcie Baring. – Może dlatego, że myśli więcej niż zwykli lekarze z Polski. Tymczasem dziękuję. I bądź pan z łaski swojej uprzejmiejszy dla mojej służby.

Christopherson wstał. Wyprostowany przewyższał Baringa o głowę.

– Jestem uprzejmy dla tych, którzy są tego warci – rzekł twardo. – Proszę mnie nie odprowadzać.

Skłonił głowę i wyszedł z przedsiönka.

Baring odprowadził go wzrokiem. Wizyty Christophersona, króla informatorów, zawsze wprawiały go w stan zakłopotania połączonego z niepokojem. Poznał go jeszcze w Ameryce, przed wielkim kryzysem. Christopherson, kiedyś policjant, za bliżej niesprecyzowane grzechy usunięty ze służby, z talentu do pozyskiwania informacji uczynił zawód. Nie, nie był detektywem, jak sam twierdził, nie był na to dość bystry. Miał za to niezwykły talent do wyszukiwania informacji. Wszelkich i o każdym – oczywiście pod warunkiem że dobrze mu zapłacono. Baring nigdy nie dowiedział się, dlaczego Amerykanin tak skwapliwie przyjął jego propozycję, aby zmienić Nowy Świat na starą Anglię, choć domyślał się, że jego zawód ściąga kłopoty jak światło ćmy, a ci, którzy wiedzą zbyt dużo, zawsze mogą stać się niewygodni.

– Proszę pana, listy – usłyszał głos ochmistrza. Otrząsnął się z zamyślenia.

– Sporo tego – zauważył.

– Nie było wielmożnego pana sporo czasu.

– To prawda. – Baring popatrzył z namysłem na ochmistrza. – Nigdy nie pytałem cię o takie rzeczy, ale co myślisz o Emilu Linde?

Ochmistrz wyprostował się.

– O sir Emilu Linde – odrzekł z godnością, kładąc nacisk na tytuł. Baring uśmiechnął się.

– Tyle chciałem wiedzieć. Dziękuję.

Ochmistrz ukłonił się i zniknął za drzwiami. Baring wszedł do gabinetu i rozsiadł się wygodnie. Sięgnąwszy po zdobny perłową macicą nożyk, podważył kopertę pierwszego listu.

Pół godziny później nadal tkwił w fotelu, przeglądając nadesłane dokumenty. Musiały być frapujące, bo nawet nie zauważył, jak przez uchylone drzwi gabinetu wsunęła się Kathy.

– Tatusiu? – zapytała cicho.

Baring poderwał głowę.

– Nie słyszałem, jak pukasz.

– Bo nie pukałam. Było otwarte.

Baring odsunął się z fotelem od biurka. Zmierzył córkę spojrzeniem.

– Mam ci coś do powiedzenia... – zaczął.

Kathy wstrzymała oddech i czekała w napięciu. Usłyszała

– Dzisiaj o osiemnastej odwiedzi nas młody lord Albert Mildhouse. Masz pół godziny, aby się z nim rozmówić. Niech opowie ci o tym, co się wydarzyło w Wenecji. Jeśli po tym, co usłyszysz, będziesz chciała go jeszcze znać, przyjdźcie do mnie do gabinetu. Jeśli nie, przyjdź sama.

Kathy wypuściła głośno powietrze. W głowie jej szumiało.

– Dobrze, tatusiu – powiedziała odparła cicho. Odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

– Zaraz, zaraz – powstrzymał ją ojciec. – Przyszłaś, żeby o coś zapytać. Przepraszam.

– To nie tak ważne – westchnęła Kathy. – Chciałam zapytać, czy pójdziesz z nami do kościoła. Wielebny Andrew odprawi dla nas nabożeństwo w południe.

Baring zawahał się.

– Emil i Karla są katolikami – powiedział. – Myślisz, że pójdą? Może należałoby im znaleźć jakieś miejsce z katolickim księdzem? Choć nie wiem, czy byłoby to takie łatwe.

Kathy zerknęła pobłaźliwie na ojca. Poczuła, że jest jej jakby lepiej.

– Pójdą, pójdą – zapewniła. – Karla powiedziała, że Pan Bóg jest wszędzie, więc pewnie i w anglikańskim kościele. Dodała też, niby żartem,

że czytała, iż nasz kościółek stał długo, zanim Henryk VIII wpadł na to, jak w zgodzie z religią pozbywać się własnych żon, więc tym chętniej się pojawi.

– Pójdziemy więc wszyscy – zdecydował Baring. – Zaprosimy też wielebnego ojca na obiad. Kto z naszych krewnych jest teraz w Avebury?

Kathy zawahała się.

– Wygląda na to, że nikt. Kuzynostwo Stockton wyjechało w piątek, wuj Stephen i ciotka Agatha jeszcze wcześniej. Jesteśmy sami.

– Chyba po raz pierwszy od naszego przyjazdu z Polski rok temu. Tym lepiej.

Nastawił ucha. Z wnętrza domu słyhać było stłumione odległością dźwięki fortepianu.

– To Karła? – spytał z niedowierzaniem.

– Tak – zaśmiała się Kathy. – Trzeba ci było widzieć jej minę, gdy zobaczyła naszego steinwaya. Zapytała z nabożeństwem, czy będzie mogła sobie na nim pograć.

– Przynajmniej się nie będzie marnował. – Baring spojrzał na córkę. – To była twoja zachcianka, pamiętasz?

– Pianistki ze mnie nie będzie – przyznała Kathy – ale przynajmniej mogę pośpiewać, gdy ktoś mi akompaniuje.

– Dobrze sobie radzi. – Baring wsłuchiwał się w dźwięki płynące z salonu. – Może powinniśmy przewieźć ten fortepian do Sheldon Manor i wymienić go na tego starego erarda od Dorothy. Karła będzie miała co robić, prócz czytania i przejeżdżania koni...

– Może – zgodziła się Kathy. Przypomniała sobie o wizycie Alberta i znów zrobiło jej się nieswojo. – Idę. Muszę zapomnieć jakoś o tym, co czeka mnie po południu.

Godziny wlokły się Kathy niemiłosiernie. Próby skupienia się w kościele na słowie, które z patosem wygłaszał wielebny Andrew, były daremne, Kathy krążyła wciąż myślami wokół zbliżającej się chwili prawdy. W czasie obiadu wydawała się prawie nieobecna, wprawdzie jadła, uczestniczyła w rozmowie i odpowiadała nawet sensownie na pytania, ale widać było, że dręczy ją niepewność. Kilka razy Karła przytomnie ratowała sytuację, opowiadając pastrowi ze swadą o swoich angielskich wrażeniach, ale wszyscy obecni

nie mieli złudzeń. Kathy stała przed ciężką próbą, może najcięższą w życiu. Kiedy dochodziła szóstka, rozejrzała się w panice za Karłą.

– Błagam – zwróciła się do niej z przestachem – zrób coś! Może powiesz, że mnie nie ma, może...

– Chyba nie najlepiej u ciebie z głową. – Karla spojrzała na Kathy z troską. – Nie pamiętasz, co ci mówiłam? To on ma cię przeproszać, to on ma odpowiedzieć, czy mu na tobie zależy. Jeśli nie zrobi choć jednej z tych rzeczy, niech idzie precz i nie pokazuje się więcej. Rozumiesz?

– Łatwo ci mówić. – Kathy sprawiała wrażenie, jakby się miała zaraz rozplakać. – A moja miłość? Moje marzenia? Moje...

– Ani słowa! – przerwała jej Karla stanowczo. – Więcej godności, kochanie. Idziesz do walki o siebie, o swoje prawo do życia, nie jesteś przecież jakąś byle jaką panienką, która pozwoli pierwszemu z brzegu mężczyźnie powodować sobą tak, jak się powoduje koniem. Nawet gdy jest synem lorda Mildhouse'a. Zrozumiano?

Kathy pociągnęła nosem i kiwnęła głową.

– Nie słyszę – dodała Karla.

– Dobrze – odparła nadspodziewanie głośno Kathy. Wstała i wyprostowała się. Jej przerażenie i niepewność zaczęły ustępować miejsca determinacji.

– Niech już przyjdzie. Schowaj się, chciałabym, żebyś przy tym była.

– Mowy nie ma. Pójdę na górę. Zawołaj mnie, jak już będzie po wszystkim.

– Ale kto mi pomoże jeśli coś pójdzie nie tak? Przecież mówiłaś w Sheldon...

– Dobrze pamiętam, co mówiłam. Podtrzymuję to. I nikt nie powiedział, że to ja mam cię ratować.

Z zewnątrz dobiegł jakiś gwar. Karla wyjrzała na podjazd.

– Trzymaj się dzielnie – rzuciła – myślę o tobie!

Zniknęła błyskawicznie za drzwiami małego saloniku. Kathy z trudem utrzymała swą wyniosłą postawę. Odetchnęła głęboko.

– Godność – wyszeptała. Wróciły jej siły.

Gdy Albert szybkim krokiem wchodził do saloniku, Kathy była już gotowa.

– Kochanie – rzekł, robiąc gest, jakby chciał ją objąć – tak się cieszę, że cię widzę!

Kathy cofnęła się o krok i odepchnęła go. Spojrzała na jego przystojną, bladą twarz pod gładko zaczesanymi, czarnymi włosami. Z trudem zdobyła się na obojętność.

– Może byś się wytłumaczył? – rzekła chłodno. – Twój ojciec odchodził od zmysłów, mój niepokoił się bardzo. Cóż to za pomysł, żeby jechać do Madrytu z pieniędzmi, w sam wir zamieszek, pozostawiając enigmatyczny list? Co to w ogóle znaczy: będziecie ze mnie dumni?

W oczach Alberta błysnęła ulga. Po drodze rozważał niezliczone warianty rozmowy, próbując domyślić się, co Kathy może wiedzieć o jego eskapadzie. Nie wyglądało to dobrze, a wchodząc do Avebury Manor, był już najgłębiej przekonany, że dziewczyna sporo wie zarówno o motywach eskapady, jak i o jej celach. Postanowił zgrabnie połączyć prawdę z kłamstwem.

– Nie jechałem do Madrytu – oświadczył, sadowiac się beztrosko na fotelu. Założył nogę na nogę i spojrzał z wyższością na Kathy. – Jechałem do Wenecji.

– Do Wenecji? – Kathy osłupiała. – Pisałeś...

– Wiem, co pisałem – rzekł lekceważąco. – Pisałem to, czego w tamtej chwili potrzebował mój ojciec. Przecież nie mogłem napisać, że pojechałem najpierw do Wenecji, aby pomnożyć te marne pensy, które zabrałem ze sobą, by wspomóc Falangę...

– Marne pensy? – Kathy nie wierzyła własnym uszom. – Czyli od jakiej kwoty zaczynają się dla ciebie pieniądze? Od czterdziestu tysięcy? Od pięćdziesięciu? Czy od miliona funtów? I jak niby je chciałeś pomnożyć?

– Tu rzeczywiście jest pewien słaby punkt – przyznał Albert. Pojął, że teraz musi uważać na każde słowo. – Ale rozumiesz, że kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa najwyższych nagród... Wiele ryzykuję, również przychodząc do ciebie. Choć robię to z miłości.

– Cóż takiego ryzykujesz? – Głos Kathy jakby złagodniał. Albert odczytał bezbłędnie moment słabości dziewczyny. W jednej chwili porzucił lekceważącą pozę. Wstał błyskawicznie i objął Kathy, która nie zdążyła nawet zrobić gestu.

– Ryzykuję nasz związek – szepnął jej do ucha – naszą przyszłość...

Kathy z trudem – i niechęcią – uwolniła się z jego objęć. Przypomniała sobie słowa Karli.

– Jaki związek? – zapytała. – Jaką przyszłość? Czy myślisz, że wyjdę za lekkomyślnego człowieka, dla którego idea jest ważniejsza niż jakoby ukochana kobieta?

– Nic nie jest ważniejsze dla mnie niż ty – oświadczył żarliwie Albert. – Przecież mnie kochasz, mówiłaś mi...

– Mówiłam, to prawda – w głosie Kathy znów zabrzmiała łagodność – ale jak mogę kochać człowieka tak lekkomyślnego...

– A gdybym był artystą – Albert wziął ją za rękę – dajmy na to, malarzem, żyłbym z dnia na dzień, czy wtedy byś mnie kochała? Przecież byłbym lekkomyślny... A czy wiesz, że można oszaleć dla idei, tak jak można oszaleć dla kobiety? Przychodzę do ciebie, żeby się pokajać, żeby przebłagać naszych ojców... – urwał, pojawiając się, że powiedział za dużo. W oczach Kathy mignęła podejrzliwość.

– Co do tego mają nasi ojcowie? A zwłaszcza mój? Przecież jeśli zechcę, wyjdę za ciebie, choćby się sprzeciwiał.

– A zechcesz? – spytał Albert. Jego czar znów sprawił, że Kathy raz jeszcze zapomniała o radach przyjaciółki.

– Może... – szepnęła – może zechcę.

Albert nie czekał. Złapał ją w objęcia i ucałował.

– Poprośmy zatem twojego ojca o zgodę na ślub – rzekł z mocą. – Tu i teraz. Zgadzasz się?

Kathy, odurzona pocałunkiem, kiwnęła głową.

– A jak się nie zgodzi... – wyszeptwała – uciekniemy razem?

Albert zawahał się.

– Tak nie można. Nasi ojcowie muszą się na to zgodzić. Połączenie rodzin to nie taka prosta sprawa, przecież musimy zapewnić sobie przyszłość. Czy umiesz zarabiać na życie?

– Nie wiem – wyznała Kathy.

– Widzisz więc – szepnął jej do ucha – że sprawa nie jest taka prosta. Oni muszą się zgodzić.

Kathy nie zwracała zupełnie uwagi na ukryte znaczenie tych słów.

– Czy przysięgasz, że nie okłamujesz mnie? I że mnie nigdy nie okłamiesz? Że mogę ci ufać we wszystkim?

– Przysięgam – zapewnił żarliwie. – Przysięgam z całego serca!

– A czy przysięgasz, że porzucisz te swoje idee? Że to ja będę twoją ideą, celem i spełnieniem?

Albert zawahał się.

– Przysięgam – rzekł wreszcie.

– Tęskniłam za tobą – powiedziała Kathy ze łzami w oczach.

Całowali się długo. Wreszcie Kathy oderwała się od Alberta.

– Idziemy do mojego ojca – oznajmiła. – Wiem, że się zgodzi.

Albert skinął głową. Wyszli z saloniku, trzymając się za ręce. Przez ułamek chwili mignęła im twarz Karli, patrzącej z zaskoczeniem i niesmakiem na idących razem. Kathy poprowadziła Alberta do gabinetu ojca. Przeszli przez przedsionek i zastukali.

– Proszę – rozległo się.

Kathy nacisnęła klamkę. Baring siedział za swoim potężnym biurkiem. Czarny hebanowy blat pokryty był mnóstwem listów i papierów.

– Kogo ja widzę – powiedział spokojnie. – Pan Albert Mildhouse. Cieszę się, że pańska historia skończyła się szczęśliwie. Przynajmniej tak sobie to wyobrażam.

Albert zmartwił. Ton głosu Baringa, choć na pozór uprzejmy, wskazywał, że sprawa wcale nie będzie tak prosta, jak wynikało z rozmowy z Kathy. W Albercie zagrała żyłka hazardzisty.

– To szczęście było połowiczne – rzekł – straciłem bowiem sporo przeznaczonych na szczytny cel pieniędzy.

– Rozumiem – pokiwał głową Baring. – Jestem jednak finansistą. Ale rachunek zysków i strat powinien iść w zysk, nie w debet. Co więc pana do mnie sprowadza? Przepraszam, zaniedbałem moje obowiązki gospodarza. Usiądźcie, proszę.

Albert ani drgnął.

– Mam zaszczyt prosić pana o rękę pańskiej córki, Katherine.

Baring drgnął zaskoczony. Spodziewał się raczej tłumaczeń, ale nie czegoś podobnego. Wiedział jednak, co musi odpowiedzieć.

– Zanim o tym zdecyduję – odparł – muszę wiedzieć o panu kilka rzeczy. Siadajcie, proszę.

Albert odetchnął z ulgą. Wyglądało na to, że nie jest aż tak źle, jak podejrzewał. Podsunął Kathy fotelik, a sam usiadł na drugim. Tymczasem

Baring zasiadł za biurkiem i przyjrzał się młodemu uważnie.

– Słyszałem o pańskiej stracie – zaczął. – Czy zechce mi pan wyjawić, co mu przyświecało, gdy wybierał się do... – zawahał się – Madrytu?

– Nieco nierozważna chęć pomnożenia pieniędzy w celu przyjscia potem z pomocą moim przyjaciołom – odrzekł trochę za szybko młodzieniec.

Baring skinął głową.

– Rozumiem to doskonale. Przyjaciołom należy się wszelka pomoc i wsparcie. Rozumiem też, że Falanga ma w panu wiernego zwolennika.

– To prawda. Ale przysiągłem Kathy, że to ona odtąd będzie moją jedyną ideą...

– Pominąwszy, rzecz jasna, pieniądze – wtrącił Baring.

Albert, niepewny, co jego przyszły teść ma na myśli, zachnął się niechętnie.

– Nie rozumiem – mruknął.

Kathy, zdumiona, wodziła wzrokiem pomiędzy ojcem a narzeczonym. Baring ciężko westchnął.

– Co jeszcze ci naobiecował, córeczko? – spytał. – Wspólną przyszłość i wspólne życie?

Kathy patrzyła na ojca z przerażeniem.

– Przysiągł mi prawdę – rzekła.

– Rozumiem – odparł sucho Baring. – W takim razie czas na chwilę prawdy.

Albert oblał się zimnym potem. Zrozumiał, że za chwilę stanie się coś, co sprawi, że już nigdy nie przestąpi progę tego domu. Nie mógł jednak uciec. Siedział jak skamieniały na fotelu, podczas gdy Baring wolnym ruchem zgarniał ze stołu listy.

– Pierwszym obowiązkiem ojca, który wydaje za mąż córkę – rzekł – jest uchronienie jej przed niebezpieczeństwem złego wyboru, którego zaślepiona miłością nie uświadamia sobie dość mocno. Drugim – jeśli uda się to pierwsze – zapewnienie jej bytu. Otóż z satysfakcją mówię, że udało mi się to pierwsze. Panie Mildhouse – głos Baringa zabrzmiał oficjalnie i stanowczo – odmawiam panu ręki mojej córki.

– Ale... – jęknęła Kathy, patrząc bezradnie na ojca. Ten podniósł dłoń.

– Nie skończyłem. Nie byłbym sprawiedliwy, gdybym nie podał uzasadnienia.

Błada z natury twarz Alberta stała się tak biała, jakby odpłynęła z niej cała krew. Kathy siedziała przerażona i czekała, co będzie dalej.

– W imię troski o dobro mojego jedyne dziecko – kontynuował Baring – pozwoliłem sobie na dokładne śledztwo. Przyznaję ze wstydem, że stało się to dopiero, gdy pański ojciec poprosił mnie o pomoc w odnalezieniu pana, a pan znalazł się, zamiast w Madrycie, w Wenecji, i zamiast z przyjaciółmi falangistami, z kochanką, w kasynie, przegrywając beztrąsko pieniądze.

Kathy skamieniała. Bała się spojrzeć na twarz Alberta. Tymczasem ojciec, nieubłaganie jak fatum, mówił dalej.

– Przyjaciele, na których pan liczył, w istocie pomogli, choć nie ci przyjaciele, i nie w sprawie Madrytu. Pański kolega, do którego przegrywał pan spore sumy, na pańską prośbę sfingował wiadomość do lorda Mildhouse'a o tym, że był pan widziany w Madrycie. Wystarczyło rozpytać się w środowisku, by się dowiedzieć, że jest pan zapożyczony u lichwiarzy na wielkie sumy. Raporty – sięgnął po jakiś list – wskazują, że mówimy o kwocie pomiędzy czterdzieści a pięćdziesiąt tysięcy funtów, a może i więcej, nie miałem potrzeby sprawdzać tego dość dokładnie. Rozumiem, że długi hazardowe regulował pan z tych pożyczek, gdyż jak wszyscy wiemy, hazard pochłania swe ofiary i szybko, i bezlitośnie. Pieniądzy zaczęło brakować, hipoteki nieruchomości już zdążył pan obciążyć, a pański ojciec nie stał finansowo aż tak mocno, jak by się mogło wydawać. Stąd plan, by połączyć przyjemne z pożytecznym. Wystarczyło tylko rozkochać w sobie moją córkę. Nie miałem powodów, by panu nie wierzyć, pańska rodzina wydała się dobrze o panu świadczyć, więc dość było poczekać, a dostałby pan tak potrzebny zastrzyk gotówki z posagu mojej córki. Jednak pan nie chciał czekać. Nie ma pan nic, powtarzam: nic wspólnego z Hiszpanią, z Falangą, z – jak pan to mówił – markizem de Estella. Za to mnóstwo z hochsztaplerami, złotą młodzieżą wyścigów i karcianymi towarzystwami w klubach.

Baring wstał nagle.

– Jesteś pan niegodziwcem, Mildhouse – rzekł głośno. – Gdyby moja córka miała brata w pańskim wieku, zawołałbym go, aby przeciągnął panu przez twarz szpicrutą tak, by przez całe życie miał pan pamiątkę po tym

dniu. Ja jestem za stary na takie rzeczy, więc powiem tylko tyle: wynoś się pan z mojego domu. Natychmiast. I nie waż się tutaj nigdy wracać.

Albert poderwał się z fotela i wybiegł, trzaskając potężnie drzwiami. Kathy w pierwszym odruchu chciała za nim biec, ale ugięły się pod nią nogi. Skuliła się w fotelu i rozszlochała się głośno. Baring obszedł biurko i przyklęknął przy córce.

– Przepraszam, córeczko – wyszeptał. Z kieszonki wyciągnął chusteczkę i zaczął delikatnie ocierać jej łzy. Dziewczyna odtrąciła jego dłoń. Spojrzała na niego załzawionymi, czerwonymi oczami.

– Ale czy naprawdę... – z trudem wydobyła z siebie głos.

– Tak – powiedział cicho Baring. – Szukałem Alberta na prośbę jego ojca. Z obawy o niego i z troski o ciebie. A potem – im więcej się dowiadywałem, tym bardziej szukałem. Po to, byśmy wspólnie nie popełnili największego błędu w naszym życiu.

– Okłamywał mnie. – Kathy nie mogła jeszcze dojść do siebie. – Jak on mógł mnie aż tak okłamywać? A może... może to ty mnie okłamujesz?

Ostatnie słowa wypowiedziała głośniej, oskarżycielsko. Baring tylko westchnął.

– Na moim biurku są wszystkie dokumenty. Rachunki, weksle, relacje świadków, protokoły policji. Kosztowało to moich informatorów prawie dwa tygodnie pracy, a mnie mnóstwo pieniędzy, ale to nieważne. Taka jest prawda. Wiem, to boli, niemniej za jakiś czas przyjdzie ulga.

– Karla miała rację.

Baring nie zrozumiał.

– Jak to?

Znów sięgnął chusteczką do łez, które płynęły po policzku córki, i tym razem jego dłoń nie została odtrącona.

– Powiedziała mi – szepnęła Kathy, zupełnie jakby była małą dziewczynką i zdradzała ojcu wielką tajemnicę – że jestem dzieckiem szczęścia, bo zawsze znajdzie się ktoś, kto mnie uratuje.

– Przed kim? – uśmiechnął się ojciec. Wstał z trudem. Podał Kathy dłoń, a kiedy córka podniosła się z fotela, przytulił ją mocno. Zupełnie jak wtedy, gdy była malutką dziewczynką.

– Wtedy też nie wiedziałam – szepnęła mu do ucha. – Teraz już wiem. Przed sobą samą. Przepraszam. I dziękuję ci za wszystko. Wiedziałeś już o tym w Paryżu, prawda?

– Wiedziałem, ale pewność dały mi listy, które otrzymałem. Pamiętaj, jestem bankierem. Przemawia do mnie nie tyle czyjeś słowo, ile to, co za nim stoi. W tym wypadku dowody...

Kathy wydostała się z objęć ojca.

– Muszę znaleźć Karłę i jej podziękować.

– Jesteś bardzo, bardzo dzielna. Moja dzielna, pełna godności córka.

– Godność. Co mi więcej pozostało?

Odwróciła się i wyszła z gabinetu. Drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem. Baring westchnął. Pozostawało już tylko jedno. Złożył wszystkie przygotowane dokumenty w pakiet. Skreślił na osobnej karcie kilka słów, pakiet owinął w papier, wypisał adres, starannie przewiązał sznureczkiem i zalakował. Gdy przesyłka była już gotowa, nacisnął znajdujący się pod biurkiem elektryczny dzwonek. Po chwili zjawił się ochmistrz.

– Charlesie – powiedział niegłośnie Baring – mam przesyłkę do starego lorda Mildhouse’a. Do rąk własnych. Tylko tobie mogę to powierzyć.

– Tak jest – odparł równie cicho ochmistrz. – Coś jeszcze?

– Jedź tam dziś jeszcze – ciągnął Baring. – Wiem, że jest późno, weź mój samochód, przed dziewiątą będziesz na miejscu. Znajdź starego lorda. Powiedz mu, że musisz być przy nim, kiedy będzie otwierał ten pakiet, i że takie jest moje życzenie. Przekażę mu to telefonicznie. Rozumiesz, że nie chcę, by jakimś tajemniczym trafem ktoś, na przykład młody lord, przejął te dokumenty, nim przeczyta je ojciec. Zanocujesz u Mildhouse’ów, a rano wrócisz.

– Tak jest – powtórzył ochmistrz. Przyjął pakiet z nabożną czcią.

– To wszystko. Dziękuję.

Ochmistrz uklonił się i wyszedł. Baring głęboko odetchnął. Sam nie wierzył w to, że wszystko skończyło się tak dobrze. Pomyślał, że musi porozmawiać z Emilem, opowiedzieć mu o wszystkim. Wiedział, co usłyszy – sam też był z siebie dumny. I choć miał pewność, że przed jego córką jeszcze wiele bezsennych nocy, miał też świadomość, że świat wrócił na swoje tory. Przeszedł szybko przez przedsionek i wyjrzał na korytarz.

– Charlesie?

– Słucham wielmożnego pana.

– Nim wyjedziesz, każ mnie połączyć z panią Emily. Będę w gabinecie.

Nagły wyjazd młodego lorda Mildhouse'a, a nade wszystko furia malująca się na jego twarzy i zniszczenie części trawnika, przez który skrócił sobie drogę do dojazdowej alejki, nie mogły ująć uwadze domowników.

Kathy zamieniła ledwie kilka słów z Karłą, przeprosiła ją i poszła do swojego pokoju. Jednak tych kilka słów wystarczyło za długi monolog. Karla wiedziała, że musi, bezwzględnie musi porozmawiać o tym albo z ojcem, albo z Dorothy.

Jej przyjaciółka stała oparta o drzewo w ogrodzie i paliła papierosa. Była rozluźniona, nieco nonszalancka. W niczym nie przypominała ani poważnej, surowej angielskiej guwernerki, jaką grała przez lata w domu Karli, ani też wytwornej damy z najlepszego towarzystwa, jaką widziano na balu w Klonowie.

– Domyślam się, że rozprawa się zakończyła – zauważyła tylko. – Widziałam wściekłego Mildhouse'a i to, jak potraktował trawnik Baringów. Dobrze, że ich ogrodnik tego nie widział. Co się właściwie stało?

– To już nie jest tajemnica. Albert oświadczył się o Kathy, pan Baring odmówił i zdemaskował jego kłamstwa, a przy okazji zdradę. Tyle powiedziała mi Kathy, dodawszy, że mogę o tym opowiadać na lewo i prawo, bo chce tylko, żeby wszyscy wiedzieli, jakim łajdakiem jest jej niedoszły mąż.

Dorothy pokiwała głową z uśmiechem.

– Nic nie mówisz – zauważyła Karla.

– Powiem ci tyle – odparła Dorothy – że nad panną Kathy Baring czuwały niebiosy.

– Jak to się w ogóle stało, że...

Dorothy zaciągnęła się głęboko papierosem. Przyjrzała się z namysłem pięknej czarnej, kunsztownie rzeźbionej hebanowej lufce i przeniosła wzrok na Karłę.

– Że Kathy się zakochała?

– Nie. Że znalazła sobie takiego kandydata. Pan Baring ponoć nie był nim zachwycony.

Starsza dama spojrzała na dawną podopieczną z pobłażliwością.

– Kto wie – westchnęła – może właśnie dlatego. Mówiąc szczerze, wokół Kathy kręciło się mnóstwo ładniejszych i mniej skomplikowanych chłopców.

– A Albert był skomplikowany?

– Źle się wyraziłam. – Dorothy nadal wpatrywała się intensywnie w Karłę. – On nie był skomplikowany. To, że jest rzekomo faszystą...

– Rzekomo?

– Czego się nie robi, aby przypodobać się ojcu, od którego zależy finansowo.

– Ja tego nie robię! – oburzyła się nie na żarty Karła. – Jak możesz tak mówić!

– Mówię o nim. – Głos Dorothy zabrzmiał twardo. – Od zawsze wiedziałam, że to farbowany faszysta, za to prawdziwy birbant, naciągacz i nałogowy hazardzista. I to wszystko w ładnym opakowaniu i przyzwoitym wychowaniu rodziny Mildhouse'ów. A do tego – wybac, kochanie, że to powiem – poszukiwacz łatwych przygód. I nie potrzebowałam wcale tej madrycko-weneckiej afery, żeby się wyzbyć wszelkich złudzeń. Wobec niego i jego intencji.

– Ale jak to? Przecież chciał się żenić...

– Potrzebował pieniędzy i tyle – zauważyła bezlitośnie Dorothy. – Tak jak chciał roztrwonić majątek ojca, roztrwoniłby majątek żony. To częsta tutejsza przypadłość. Zresztą mniejsza o pieniądze. William... pan Baring – poprawiła się – jest człowiekiem rozsądnym, do tego nauczonym doświadczeniem, więc gdyby przyszło mu się zgodzić na ten mariaż, posag Kathy byłby spory, ale wierz mi, intercyza byłaby dla Alberta bardzo bolesna.

Karła słuchała tego z coraz większym obrzydzeniem.

– Ale dlaczego mówisz, że nauczony doświadczeniem? Przecież jego żona umarła.

– Nie mówię, że to było jego doświadczenie. – W głosie Dorothy słychać było pozór beztroski. – William widział niejedno, bądź pewna.

Zgasiła papierosa o pień drzewa i ruszyła przez trawę w stronę ścieżki. Karła poszła za nią, przyglądając się uważnie wyrwanej oponami trawie.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego w takim razie pan Baring nie wyjaśnił tego wcześniej Kathy. Dlaczego zrobił to dopiero wtedy, gdy odrzucił Alberta. I ty? Dlaczego milczałaś?

– Za późno? – Dorothy zatrzymała się w pół kroku i zmierzyła niedowierzającym spojrzeniem dziewczynę. – Uczynił to w najlepszym możliwym momencie. Z drugiej strony, co ty byś zrobiła, gdyby twój święty ojciec zaczął ci odradzać podtrzymywanie relacji z Jankiem Donimirskim?

Powiedziałybyś: tak jest, tatusiu, po czym ruszyłybyś wysłać mu odkrytkę: koniec z nami, tatuś nie pozwolił, żegnaj Janku?

– No nie – mruknęła nieco naburmuszona Karla – ale przecież Janek nie jest birbantem i lekkoduchem, prawda?

– Nie jest – zgodziła się Dorothy – ale wierz mi, nawet gdyby był, i tak byś tego nie dostrzegła. Tak urządzony jest świat. W życiu każdej kobiety zdarza się chwila, gdy jest łaskawa dla mężczyzny, który absolutnie, ale to absolutnie na to nie zasługuje.

– Każdej?

Dorothy wytrzymała jej spojrzenie.

– Każdej – oświadczyła z mocą. – Każdej bez wyjątku. Tylko na szczęście nie zawsze w takiej chwili pojawia się jakiś mężczyzna.

To powiedziawszy, ruszyła dalej przez trawnik. Karla została, przyglądając się, jak Dorothy oddała się w stronę dworu.

– Warto zapamiętać – mruknęła. – Choć pewnie jeśli się to zdarzy, i tak zapomnę.

\*

Nastaly ciche dni. Karla uprosiła domowników, żeby nie próbowali na siłę wyrywać Kathy z żałoby, jaką sama sobie narzuciła, przysięgając, że nic się nie stanie, i zapewniając, że jej separacja nie potrwa długo. Do Avebury zaczęły za to dobiegać odgłosy burzy w rodzinie Mildhouse'ów. Pakiet zawieszony przez Charlesa do starego lorda został otwarty jeszcze tego samego wieczoru. Rezultatem był telefon do Baringa, w którym Mildhouse sucho przeprosił za obrazę, jaką jego syn wyrządził rodzinie Baringa, i dodał, że jest oczywiste, iż rodziny przynajmniej przez czas jakiś powstrzymają się od kontaktów. Baring odetchnął z ulgą, w cichości ducha obawiał się, że Avebury może wkrótce stać się Canossą, do której zechce pielgrzymować młody lord. Teraz jednak sytuacja uległa zmianie. Wiele wskazywało na to, że jego los stał się nie do pozazdroszczenia; finansowe ubezpieczenie, jakiemu poddał go ojciec, było minimum, jakiego należało się spodziewać.

Dwa pierwsze dni Karla wykorzystała po swojemu. Wbrew obietnicom nawet nie tknęła fortepianu – zależało jej na tym, by Avebury pozostało ciche i spokojne. Bogiem a prawdą nie było to potrzebne – dwór był przecież olbrzymi, a do pokoju i garderoby Kathy nie dochodziły z dołu

żadne dźwięki, jednak Karla się uparła. Rozjeżdżała za to konno okolice z Emilem i Dorothy, nie zapominając o psach, które szczęśliwe po całodziennych gonitwach wracały do Avebury tylko po to, by zjeść i zapaść w kamienny sen. Karla miała też dość czasu, by dokładnie zwiedzić dwór, który właściwie można by nazwać niewielkim zamkiem, poczuć jego atmosferę i zrozumieć nastrój. Tak jak Sheldon był domostwem poważnym, nieufnym, wystawiającym nowych gości na próby, tak Avebury w opinii Karli był domem wesołym i niewymagającym. A ponieważ każdy dom tworzą domownicy, Karla zastanawiała się nieraz, kim była matka Kathy, kobieta, która w niewiele lat tak odmieniła Avebury, posiadłość przecież kilkusetletnią. Strzępki wiadomości, jakie Karla zasłyszała, świadczyły o nieżyjącej pani Baring jak najlepiej, i nie tylko dlatego, że *de morituri nihil nisi bene*<sup>[3]</sup>. Karla postanowiła jednak nie wypytywać, wychodząc z założenia, że Kathy wreszcie powie o matce coś więcej, że umieści ją w panteonie publicznie głoszonych wspomnień, zamiast zazdrośnie chować w głębi duszy każdą spędzoną z nią chwilę.

„Żałoba” po Albercie nie trwała zbyt długo. Czwartego dnia, akurat kiedy cudowna, zupełnie nieangielska pogoda ustąpiła miejsca deszczowej aurze, a drobna mżawka siekła falami łupkowe dachówki Avebury, Kathy objawiła się na śniadaniu. Zeszła swobodnie w luźnych spodniach i kolorowej koszuli ze schodów i stanęła w drzwiach jadalnianych. Wyglądała na pierwszy rzut oka jak kolorowy motyl, zjawiskowy i egzotyczny, choć żywość jedwabiu – celowo lub przypadkowo – podkreślała jej bladą, wymęczoną brakiem snu twarzyczkę.

Na plus towarzystwu trzeba przyznać, że przy stole nikt nie zamilkł ani nie zaczął się wpatrywać w Kathy. Pan Baring ze stoickim spokojem zadzwonił po służbę.

– Nakrycie dla panienki – rzekł tylko.

Dorothy przerwała rozmowę z Karłą tylko po to, by zarekomendować Kathy spróbowanie świeżych pomidorów z jednego z należących do Avebury Manor ogrodów warzywnych, po czym przysunęła jej filiżankę, do której naląła kawy, a następnie wróciła do ożywionego dyskursu. Kathy przyjęła to wszystko z wyraźną wdzięcznością i ulgą. Jadła z apetytem; posiłki, jakie jej dostarczała do pokoju służba, przez trzy dni pozostawały niemal nietknięte, musiała więc być porządnie głodna. Karli przeszło przez myśl, że jest to jakiś sposób na wyrzucenie z głowy złych myśli, ostatecznie złe myśli jak złe duchy można wyrzucać – jak to uczył ją w gimnazjum

zaczynać zakonnik – postem i modlitwą. W modlitwę Kathy specjalnie nie wierzyła, za to zbawienne skutki postu widać było jak na dłoni.

Kiedy stało się jasne, że śniadanie dobiega końca, Kathy stuknęła delikatnie łyżeczką w filiżankę. Rozmowy ucichły, całe czteroosobowe grono zwróciło się w jej stronę.

– Chciałam tylko powiedzieć, że przemyślałam dobrze ostatnią historię i już wiem, że niewarta jest mojego smutku i łez. Człowiek, z którym wiązałam przyszłość, okazał się zwykłym, pospolitym oszustem, i choć z pozoru dżentelmen, i znakomitego nazwiska, to jednak trudno nie mówić o nim inaczej niż łajdak.

Wypowiadała te słowa lekko, ale Karla nie miała złudzeń, że jej przyjaciółka długo się zastanawiała, co powiedzieć, gdy przyjdzie jej stanąć przed rodziną i bliskimi. Tymczasem Kathy mówiła dalej.

– Nie będzie więc żałoby. Będzie radość i korzystanie z uroków życia. Na znak tego oświadczam, że w najbliższych tygodniach nikt nie ma prawa spodziewać się po mnie w ubraniu czerni...

– Może z wyjątkiem butów do konnej jazdy – mruknęła cicho Karla. – Brązowe nie pasują aż tak dobrze do twoich białych bryczesów. Pasowałyby może do zielonych, ale tych przecież nie lubisz. Mówiłaś kiedyś, że wyglądasz w nich jak konik polny.

Wszyscy zaśmiali się, razem z Kathy.

– To prawda – rzekła dziewczyna. – Przypomniałam sobie, że mamy przed sobą niemal cztery tygodnie wakacji. Dlatego jutro jedziemy na wycieczkę do Londynu, muszę pokazać Karli wszystko, co w nim najpiękniejsze. Noc możemy spędzić...

– ... to już ja zorganizuję – przerwał jej Baring. – Jeśli wycieczka, to nie obowiązki towarzyskie, więc nie bierzmy pod uwagę krewnych. Weźmiemy dobry hotel.

Kathy pochyliła się do ojca i ucałowała go w łysinę.

– Dobrze, tatusiu – powiedziała. – Ale plan zwiedzania biorę na siebie. Za to kiedy wrócimy do domu, zaplanujemy kolejną wyprawę. W przyszłym roku Karłę czekają studia, pojedziemy do Cambridge i dla pewności do Oksfordu, może mimo wszystko jej się spodoba, tam też my kobiety możemy studiować. A potem... – zawahała się – przyjdzie czas na odwiedzanie znajomych, tych, którzy nie wyjechali jeszcze z Anglii na wakacje, albo tych, którzy jeżdżą latem do swoich wiejskich majątków.

– Zgoda – rzekł Baring, wstając. – Od jutra jesteśmy na prawdziwych wakacjach. Ja mam z końcem tygodnia jeszcze krótki wyjazd w interesach, wrócę pewnie w poniedziałek, ale poradzicie sobie beze mnie.

– W interesach? W weekend? – westchnęła Kathy. – Nigdy się nie nauczysz, tato...

– Pieniądze nie znają dni wolnych od pracy – uśmiechnął się Baring. – Pracują również w niedzielę...

Emil i Dorothy pokiwali głowami ze zrozumieniem.

– Chodźmy – rzekła Dorothy, wstając. – Może nie do ogrodu, bo pada trochę zbyt mocno, ale przynajmniej na werandę. Nie ma nic lepszego po śniadaniu niż papieros do łyka porannej kawy.

Po chwili Kathy i Karla zostały same przy jadalnianym stole. Karla z troską przyjrzała się przyjaciółce.

– Wiele cię to kosztowało kochana – rzekła – ale jestem z ciebie dumna. Naprawdę dumna.

Kathy popatrzyła jej w oczy.

– Miałaś rację. Jestem dzieckiem szczęścia. Głupim, upośledzonym dzieckiem szczęścia.

– Z tym upośledzeniem nie przesadzałabym – uśmiechnęła się Karla. – Wszystko, co zrobiłaś od tamtego wieczoru, zrobiłaś dobrze. Opowiesz mi o całej tej historii?

Kathy kiwnęła głową.

– Opowiem. Dzisiaj śpimy razem.

Wycieczka do Londynu okazała się tylko pierwszym z cyklu wyjazdów, jakie zafundowała im niez mordowana Kathy. Po Oksfordzie i Cambridge, a potem krótkiej przerwie na towarzyskie wizyty i rewizyty przyszła pora na ponadtygodniową wyprawę do Szkocji. Rodzina matki Kathy miała niewielki kamienny kasztel pod Thornhill, gdzie przyjeżdżano głównie na polowania. W lipcu zazwyczaj stał pusty, troje czy czworo zatrudnionej z pobliskiej wsi służby pilnowało, by dom zawsze był przygotowany na przyjazd gości. Takiej okazji nie wolno było zmarnować. Kathy bardzo chciała zrewanżować się Karli w jakiś sposób za Zakopane i Juratę, i choć okazji do spotkań towarzyskich nie było za wiele, to jednak przyroda wynagrodziła ich w dwójnasób. Karla była wdzięczna: zakochała się w krajobrazie pełnym gór i jezior, wiedziała, że mogłaby przez wieczność

wędrować przez wrzosowiska, i zastanawiała się w cichości ducha, czy dwór w Byszewie albo pałacyk w Klonowie to rzeczywiście miejsca, w których warto przeżyć życie. W takich chwilach przypominała sobie Janka – i myśli o porzuceniu Polski pryskały jak bańka mydlana. Postanowiła, że będzie pisać do niego przynajmniej raz w tygodniu, wysyłać mu fotografie; nie mogła zapomnieć jednak o starym panu Donimirskim, do którego w pierwszych dniach pobytu w Avebury napisała długi list, załączając kilka paryskich zdjęć. Teraz gdy zwiedzali Edynburg, a Karla niestrudzenie pstrykała zdjęcia, zastanawiała się, czy gdy wrócą z tego ostatniego etapu wyprawy, będą czekały na nią w Avebury listy.

Tak też się stało. Z końcem trzeciego tygodnia lipca wrócili do majątku, a Karla z niecierpliwością pobiegła do ochmistrza Charlesa, z którym połączyła ją nić wzajemnej sympatii.

Gdy tylko ochmistrz ujrzał Karłę, podniósł dłoń.

– Jest poczta dla panienki – powiedział, zupełnie jakby czytał w jej myślach. – Zostawiłem ją w panienki pokoju.

– Dziękuję, Charlesie. – Karla obdarowała go najpiękniejszym ze swoich uśmiechów. – Zawsze wiedziałam, że można na ciebie liczyć.

Ochmistrz skłonił się lekko i oddalił się do swoich spraw. Karla zaś pobiegła na górę, przeskakując po dwa stopnie. Nacisnęła klamkę swojego pokoju i wpadła do środka. Na ozdobnej, srebrnej tacce leżały listy. Chwyciła z niecierpliwością i zaczęła je przeglądać. Dwa były od Janka, jeden od starego pana Donimirskiego, jeszcze jeden od Winicjusza. Karta od chłopców z Byszewa – Karla zganiła się w myślach, że zapomniała o nich zupełnie – i list od ciotki Anny. Zdławiła w sobie przemożną chęć otwarcia listów od Janka, chłonięcia tego, co napisał, cieszenia się nimi od razu. W zamian za to z namysłem sięgnęła po pozostałą korespondencję, przeciągając chwilę, która miała być najradośniejsza.

Wszystkie listy były ciepłe, pełne tęsknoty i sympatii, nie było ani cienia, ani śladu kłopotów i trosk. Wieczór zapowiadał się cudownie.

Po chwili, z głową pełną myśli o Klonowie, sięgnęła po listy od Janka. Czytała je z uniesieniem i czułością. Kiedy skończyła, miała ochotę przeczytać listy jeszcze raz, ale powstrzymała się. Delikatnie pocałowała tylko malutki, zasuszony fiołek, który znalazła w kopercie, a którego dotykały palce Janka.

– Nadal kocha? – usłyszała za sobą głos Kathy. Po sekundzie poczuła jej dłonie na swoich ramionach.

– Nadal – odrzekła ze śmiechem, odwracając się do Kathy. – Chociaż jest jakaś Wandzia...

– Jaka znowu Wandzia? Opowiadaj!

Karla próbowała zachować powagę.

– Taka pensjonarka w Warszawie. Chyba się w nim zakochała.

– To ma pecha. Ładna chociaż?

– Nie mam pojęcia. Za to natarczywa.

– Jest to pewnie jakaś metoda, choć nie pochwalam. Popatrz na te dziewczyny z sąsiedztwa. Cristine, Alice...

– Nie przepadam. Wiem, że to twoje przyjaciółki, ale...

– Kochana, ja mam tylko jedną przyjaciółkę, i siedzi tu obok mnie. Pozostałe to koleżanki. Przyjaciółka nie wbije ci noża w plecy, kiedy się odwrócisz, koleżanka i owszem. To intrygantki i snobki, które nie dorosły do pięt swoim rodzicom. Jak to się w ogóle dzieje, że tak często dzieci do nich nie dorastają?

– Bo są dziećmi – odparła pogodnie Karla. – Kiedy będą mieli własne dzieci, a nade wszystko, kiedy na starość zmądrzeją, inni też będą tak o nich mówić. Tak się toczy ten świat.

– Siedemnastoletnie mądrości – westchnęła Kathy. – Dorosłe dzieci.

– Wiesz, co mawiał mój tata? – Głos Karli nadal brzmiał beztrudnie. – Że trzeba się uczyć na błędach, ale najtaniej na cudzych.

Kathy roześmiała się serdecznie.

– Wiesz, że czeka nas duże przyjęcie – powiedziała. – Tata organizuje uroczystą kolację przed wyjazdem twojego ojca. Za dziesięć dni. Na jakieś trzydzieści, może czterdzieści osób. Będą wszyscy, którzy się liczą.

Myśl o wyjeździe ojca przesłoniła Karli zupełnie ideę sporego towarzyskiego zebrania.

– To już? – przeraziła się. – Już minęło tyle czasu?

– Niestety – westchnęła przyjaciółka. – Będzie mi go bardzo brakować. Karla milczała.

– Mnie też – odezwała się wreszcie. – Czy wiesz, że po raz pierwszy w życiu będę od niego tak daleko przez tak długi czas? Nigdy nie zostawiał mnie dłużej niż kilka tygodni, i to tylko na wakacjach. Kiedy byłam w Byszewie, zawsze starał się przyjeżdżać, choćby na kilka dni. Jeździliśmy

wtedy konno, śmialiśmy się z byle czego, a on... zawahała się – on tłumaczył mi świat. Ja zaś pytałam i pytałam bez przerwy.

– Mnie nikt nie tłumaczył świata – powiedziała z żalem Kathy. – Mam o to teraz pretensje do ojca, wiesz? Czy ty rozumiesz, że wychowano mnie na kobietę, której treścią życia powinno być bywanie w towarzystwie, wyjście za męża, urodzenie dzieci i... – zawiesiła głos.

– I...? – podchwyciła Karla.

– I pozamałżeńskie flirty i romanse – uzupełniła niechętnie Kathy. – To wcale nie jest sport narodowy Francuzów, jak się to często u nas twierdzi. Tyle że Francuzi się tym chlubią, a Anglicy o tym milczą.

– Jak zresztą o wszystkim – zauważyła Karla. – Ale przecież twoja mama...

– Co moja mama? – zjeżyła się Kathy.

Karla spojrzała zakłopotana.

– Przyrzekłam sobie kiedyś – powiedziała – że nie będę nigdy pytać o twoją mamę. Że opowiesz mi o niej, kiedy sama zechcesz. Przepraszam. Nie było tej rozmowy.

Konfuzja Karli była tak szczerą, że Kathy nie mogła milczeć.

– Nie gniewam się – rzekła. – Tylko wiesz, ja właściwie nie wiem, co dostałam od mamy. Oprócz miłości, bezwarunkowej akceptacji i ciepła.

– To czego ty byś jeszcze chciała? – Z niedowierzaniem spytała Karla. – Dostałaś to, czego ja nie widziałam u swojej matki nigdy. Moja nie umiała kochać, rozumiesz? Ani mnie, ani mojego ojca. Rozkwitała tylko wtedy, gdy pojawiali się obcy mężczyźni. Obcy dla mnie, bo ona znała ich lepiej, niż mogłabym podejrzewać. Czy jesteś w stanie pojąć, że nim nastąpiła Dorothy, jedyną kobietą, która miała dla mnie ciepło i czułość, była nasza służąca? Do Józi mogłam się przytulić, to jej opowiadałam o moich lalkach.... – przerwała. – Choć prawda, że jeśli śniło mi się coś strasznego, biegłam do ojca. – Uśmiechnęła się do swoich wspomnień. – Ale nigdy, przenigdy nie miałam w matce wsparcia ani zrozumienia. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak to bolało!

Kathy objęła ją mocno.

– Może dlatego jesteśmy prawdziwymi przyjaciółkami. Obu nam brakuje czegoś, czego możemy się od siebie nauczyć.

– Pewnie masz rację. Dajmy już spokój. Opowiedz lepiej o tej kolacji.

\*

Dziesięć dni później do Avebury Manor zaczęli ściągać goście. Kathy miała rację. Byli wszyscy, którzy liczyli się w towarzystwie, przedstawiciele najlepszych rodzin, dyplomaci i wojskowi. Pan Baring z niejasnych powodów w zaproszeniach wpisał frak orderowy, być może dla zaspokojenia snobizmu tych spośród gości, którzy ocierając się o działalność publiczną, szukali wręcz okazji do zademonstrowania swoich odznaczeń.

Dzień był długi, więc gości sproszo na dziewiątą wieczór, zakładając, że do kolacji zasiądą nie wcześniej niż po dziesiątej. Służba z Avebury została wsparta przez ekipę ze Sheldon Manor. Oba domy żyły w zgodzie i przyjaźni, nikt więc nie robił z tego problemu. Menu ustalono wspólnie z ochmistrem, który zadbał również o przygotowanie najlepszych trunków.

Przyjęcie toczyło się zgodnie z naturalnym rytmem, poznawania ludzi, niezobowiązującej konwersacji. Niemal wszyscy się znali, wyjątkiem był Emil, który jednak jako specjalny gość gospodarza, pochodzącego przecież ze znakomitej rodziny, był akceptowany. Niewątpliwie przyczyniały się do tego doskonale manieri Emila i lekkość, z jaką prowadził rozmowy, starając się za wszelką cenę unikać tematów poważnych. Choć nie całkiem się to udało. W pewnej chwili do Emila rozprawiającego swobodnie z którymś gości przysunął się nagle jakiś zażywny mężczyzna. Na jego fraku pysznił się łańcuch Orderu Świętego Michała i Świętego Jerzego, a on sam sprawiał nieodparte wrażenie, jakby składał się głównie z tego orderu.

– Wy Polacy – zahuczał, nie zważając zupełnie na to, że przerywa rozmowę – lubicie się chyba chwalić odznaczeniami. Zupełnie jak bolszewicy.

– Dlaczego? – zdziwił się Emil, odwracając się do rozmówcy.

– Ma pan dwa krzyże tego samego odznaczenia – powiedział, dźgając palcem powietrze na wysokości piersi Emila – jeden złoty, drugi srebrny. Wystarczy sam złoty. Cóż to zresztą za odznaczenia?

Trzech innych panów zainteresowało się rozmową i przysunęło bliżej, wymieniając między sobą jakieś uwagi. Również Dorothy przerwała konwersację z panią Ashley i zaczęła się przysłuchiwać z nieznacznym uśmiechem. Emil zachował stoicki spokój. Zmierzył wzrokiem mężczyznę.

– W zasadzie ma pan rację – przyznał. – Jest to jednak nasze jedyne odznaczenie, które należy nosić w ten właśnie sposób.

– To co to za wyjątek? – prychnął lekceważąco mężczyzna.

Emil spojrział na niego chłodno.

– *Virtuti Militari*. W hierarchii odznaczeń odpowiada waszemu *Victoria Cross* – rzekł spokojnie. – Tyle że jest ponad pół wieku starszy. Otrzymałem go dwukrotnie.

Pozostali ucichli, jakby nie chcieli uronić z tej rozmowy ani słowa. Mężczyzna niemal się zatchnął. Poczzerwieniał.

– Słyszałem coś o tym – wydusił z siebie po chwili, a jego tubalny głos zabrzmiał jakby ciszej. Widać było, że próbuje wybrnąć z sytuacji, nie tracąc nic ze swojego wystudiowanego poczucia wyższości. – Widziałem taki, ale najwyższej klasy, order, a nie krzyż. Pan ma zaledwie krzyż?

Emil kiwnął głową.

– Krzyż z gwiazdą *Virtuti Militari* – rzekł – dostaje się albo za bycie dostojnikiem wojskowym zaprzyjaźnionego mocarstwa, albo za planowanie i wygranie wojny. Sam krzyż natomiast za zabijanie na froncie tej wojny. Ma to swoje bardzo mądre uzasadnienie.

– Jakież to?

– Mawiają – ciągnął spokojnie Emil, patrząc mężczyźnie w oczy – że gwiazda orderu ma przypominać jej posiadaczowi kolejne gwiazdki i wężyki na epoletach. Za pracę sztabową za wygodnym biurkiem przy trzygwiazdkowym koniaku.

– A krzyż?

– Większości jego kawalerów nie przypomina zupełnie nic.

– Czemuz to?

– Bo najczęściej dostaje się go pośmiertnie. Za to tym, którzy przeżyli, przypomina krzyże na grobach przyjaciół. *Hodie mihi, cras tibi*<sup>[4]</sup>.

Tego już było dosyć. Zażywny mężczyzna odwrócił się od Emila i gwałtownym krokiem odszedł. Mężczyźni przysłuchujący się rozmowie zaczęli się rozchodzić. Lord Ashley zbliżył się do Dorothy.

– Wydaje się, moja droga – powiedział półgłosem – że naprawdę nie docenialiśmy twojego gościa. I bardzo żałuję, że nie poznaliśmy się wcześniej. Przedstawisz nas?

Dorothy zerknęła filuternie na lady Ashley.

– Pozwolisz, kochanie? – spytała, i nie czekając na odpowiedź, ujęła pod ramię lorda Ashley. Podeszli do Emila. Dorothy odezwała się pierwsza.

– Pozwól, że przedstawię ci lorda Ashleya, męża przyjaciółki, której zawdzięczam naprawdę wiele. A i jemu nie najmniej.

– Emil Linde. – Doktor uścisnął dłoń lorda. – Wiele o panu słyszałem – skłamał.

– Słyszałem pańską, nadzwyczaj krótką rozmowę z komandorem Westmorlandem – rzekł z uśmiechem Ashley.

– Przykro mi, że byłem aż tak brutalny – z udanym ubolewaniem westchnął Emil. – Proszę złożyć to na karb różnic narodowych. Wy Anglicy, jak sądzę, zapominacie o ironii, gdy bronicie honoru rodziny królewskiej. My Polacy zapominamy o ironii, gdy bronimy honoru poległych towarzyszy broni. Stąd mój brak taktu, nad którym czasem tak ubolewam.

– Niech się pan nie martwi – lord Ashley potoczył wzrokiem wokół siebie – w tym towarzystwie zyskał pan uznanie. A o tym, że wychowanie komandora nie dorównuje jego urodzeniu, wiedzą wszyscy. I niech mi pan wierzy, ci wszyscy rozgrzeszają pana.

– Prócz mnie. – Emil pokiwał głową. – Proszę mi wierzyć, zazwyczaj jestem bardziej wyrozumiały.

Kątem oka zauważył, że coraz więcej osób podsłuchuje dyskretnie jego konwersację z lordem Ashleyem. On sam zdawał się nie zwracać na to uwagi, zupełnie jakby miał na tę rozmowę swój własny plan i konsekwentnie go realizował.

– Czym się pan zajmuje, panie Linde? – spytał.

– Jestem lekarzem.

Nawet jeżeli Ashley zdziwił się, nie dał tego po sobie poznać.

– A poza tym?

– Wiadę spokojne życie, zwłaszcza że moja córka dorasta i powoli zaczyna myśleć o opuszczeniu domu. Prowadzę w jej imieniu sprawy rodzinnego majątku ziemskiego, który wraz z uzyskaniem pełnoletności odziedziczy, i staram się być jak najdalej od kwestii, którymi bezproduktywnie zajmują się inni.

– Jakich na przykład?

– Polityki.

Ashley tym razem sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Ale przecież to od nas zależy przyszłość tego świata.

– Jestem realistą, milordzie, i mogę zapewnić, że przyszłość tego świata naprawdę nie leży w moich rękach.

– Jest pan raczej fatalistą.

Emil z rozbawieniem pokręcił głową. Było widać, że chce uniknąć dalszych politycznych rozważań.

– Prędszej stoikiem. Choć bez wątpienia i oni by mnie przekłeli, albowiem nad wodę przedkładam wino. Przy okazji, muszę przyznać, że pańskie wina są znakomite. Czy również jest pan zdania, że to jedyne dobro, którego można się spodziewać od Francuzów?

– Prócz bizuterii, rzecz jasna – odezwała się Dorothy. – I sukien. Spojrzała na Ashleya. – Chyba wystawiamy na próbę cierpliwość twojej żony. Chodźmy do niej.

Lord Ashley sprawiał wrażenie, jakby nie usłyszał.

– Zastanawia mnie to, co pan powiedział – rzekł do Emila. – Walczył pan przecież w Wielkiej Wojnie, był pan jednym z tych, którzy sprawili, że narodził się nowy porządek...

– Walczyłem w wojnie polsko-bolszewickiej – poprawił Emil – w czas Wielkiej Wojny raczej leczyłem tych, których ta wojna omal nie zabiła. A o porządku, jaki się narodził, mógłbym mówić bardzo długo. A w tym otoczeniu dość gorzko, jak sądzę.

Ashley stropił się nieco. Rozmowa zaczęła wymykać mu się spod kontroli.

– Chce pan powiedzieć, że... – zaczął.

Emil przerwał mu gestem.

– Jestem tylko zwykłym lekarzem – rzekł z uśmiechem, zerkając kątem oka na komandora Westmorlanda, który z wyraźną niechęcią spoglądał w jego stronę – nie politykiem. Nie jestem tu również po to, by wypominać Brytyjczykom, że wbrew geografii mają bliżej do Niemiec niż, dajmy na to, Francuzi. I przestrzegać, że często bywa tak, iż wielkość zaślepia.

– Jeśli twoja córka, Emilu – odezwała się Dorothy – ma na sprawy polityczne równie ciekawe spojrzenie i równie szeroki horyzont, to współczuję jej serdecznie.

Linde spojrział na swoją córkę, która rozprawiała właśnie o czymś w żeńskim kółeczku. Uśmiechnął się.

– Rozmowa wygląda na pasjonującą, ale kto wie, czy nie masz sporo racji. Może lepiej rzeczywiście dołączmy do lady Ashley. Ta rozmowa jest dobra na pokolacyjne cygaro, ale na pewno nie na kieliszek szampana przed przyjemnościami stołu. Pozwolisz, Dorothy? – Podał jej ramię.

Lord Ashley nie protestował.

– Rzeczywiście, zaniedbujemy gości – rzekł. – Przepraszam państwa.

Odszedł w stronę któregoś ze stojących samotnie panów i zagadnął go. Z oddali słyhać było śmiechy pań, większość z nich znała się doskonale, więc wzajemnym docinkom i drobnym złośliwościami nie było końca.

Tymczasem nieopodal, w gronie panien, toczyła się w istocie pasjonująca rozmowa.

– Czy masz świadomość, kochanie – zaszcebiotała do Karli z przejściem jej sąsiadka Alice, nieco korpulentna brunetka – że moja matka zostawiła w zeszłym tygodniu...

– ... twojego ojca? – przerwała bezczelnie Karla. Miała już po dziurki w nosie tych bzdurnych, pozbawionych jakiegokolwiek sensu rozmów, którym z zapalem oddawało się jej towarzystwo. Od dobrego kwadransa marzyła, by stało się coś, co pozwoliłoby jej niepostrzeżenie, po angielsku, zniknąć.

Ktoś obok zachichotał głośno.

– Nie, nie – machnęła dłonią dziewczyna – Znacznie gorzej. Swoją krawcową.

– Wstrząsające – przyznała Karla. – Niewyobrażalnie wstrząsające.

– Widzisz – ucieszyła się jej rozmówczyni – ty mnie zrozumiesz. Gdzie ja teraz będę szyła sukienki? Ojciec ma dobrze, pošle po kogoś na Savile Row i już. A co ja teraz zrobię?

– Mogło być gorzej. – Karla zerknęła na jej szyte na miarę rękawiczki. – Mogła porzucić też modystkę.

– Ty mnie naprawdę rozumiesz! – Alice chwyciła mocno za dłoń Karli. – To cudownie, że chociaż z tak daleka, to jednak kobiety potrafią się porozumieć. A ty skąd masz tę sukienkę? Bardzo ładna, chociaż taka... – szukała odpowiedniego słowa – skromna.

– Wprawdzie moja matka również porzuciła swoją krawcową – Karla delikatnie, acz stanowczo wyzwoliła się z uścisku dziewczyny – ale ja nie poszłam w jej ślady.

W oczach Alice błysnęła radość. Już, już otwierała usta, gdy do dziewcząt podeszła Kathy.

– Pozwolisz, Alice – odezwała się – że porwę ci na chwilę moją przyjaciółkę. Mam jej do powiedzenia parę słów,

– Ależ oczywiście. – Alice obdarzyła Kathy mocno nieszczerym uśmiechem. – Jeszcze będzie okazja do rozmowy, i to nie raz, na pewno!

– Na pewno – uśmiechnęła się równie nieszczerze Karla. Kathy wzięła ją pod rękę i poprowadziła przez salon do niewielkiego, przyległego gabinetu, idealnego do odpoczynku znużonych towarzystwem osób. Zamknęła starannie za sobą drzwi. Delikatny, prawie nieuchwytny zapach cygar i starych książek koił myśli i uspokajał.

– Dziękuję. – Karla z ulgą usiadła na obitej brązową skórą sofie. – Uratowałeś mi życie. Za chwilę Alice zaczęłaby rozważać detalicznie, dlaczego mam taką, a nie inną sukienkę, rękawiczki i szal, Cristine, dlaczego nie może rozpoznać marki moich pantofelków, a Gladys, jak to się dzieje, że ludzie z kraju białych niedźwiedzi nie różnią się nadmiernie od tych, których spotyka na co dzień.

Kathy roześmiała się serdecznie.

– Znudziły cię?

Karla zawahała się.

– Znużyły. Jak długo można rozprawiać o modzie, o tym, że jedna się kocha w jakimś chłopcu z Sandhurst, a druga mówi, żeby się nigdy nie zbliżyła do niego nawet na krok, bo jej się nie podoba. I na domiar złego wszystkie, choć nigdy by się do tego nie przyznały, próbują mi zaimponować tytułami, majątkiem i rodzinnymi stosunkami.

Kathy kiwnęła głową.

– Tutaj – odezwała się po chwili – nikt nie opowiada o tym, co naprawdę go ciekawi, i nikt nigdy nie zapyta, czego byś naprawdę chciała. Mój tata mówi, że to tylko dlatego, że my Anglicy zbyt szanujemy prywatność, żeby pozwalać sobie na takie ekstrawagancje. Mnie to nie dziwi, to jest mój świat. Ale czasem chciałabym, żeby było tutaj tak jak u was, w Byszewie...

– Dorothy poświęciła całe lata, żeby mi to wyjaśniać. I pamiętaj, że dla nich jestem zwyczajnie obca.

– Obca, ale intrygująca. – Kathy pogroziła jej paluszką. – Wiem, co mówią o tobie dziewczyny.

– A co mówią? – zainteresowała się Karla. – Barbarzyńska Polka i *shocking* w salonie?

– Mówią – nie dała się zbić z tropu Kathy – że nie rozumieją, bo przecież ty jesteś tak jak one, a jednak inna.

– Bo jestem inna. – Karla spojrzała przyjaciółce prosto w oczy. – I zawsze będę inna. Nie rozumiałam tego, kiedy Dorothy mówiła mi o tym, rozumiem teraz. Zawsze będę tutaj obca.

– Nie inaczej niż Anglicy w Polsce. – Kathy spoważniała wyraźnie.

– Nie – zbuntowała się Karla. – Anglicy są wszędzie Anglikami, w najgłębszy zakamarek duszy mają wszczepione przekonanie, że cały świat jest niedoskonały, tylko oni są wyjątkiem, więc kiedy pojawiają się poza Wyspami, patrzą z wyżyn tej swojej wydumanej cywilizacji i wiedzą, że to wszystko, co ich otacza, jest błędem natury, bo prawdziwa jest tylko angielska wieś, dworek, służba, herbatka...

Kathy słuchała tej tyrady z namysłem.

– Właściwie masz rację. W jednym jej nie masz. Czy Dorothy, która przecież jest Angielką, choć dopiero w pierwszym pokoleniu, nauczyła cię też tego, w jaki sposób imponować Anglikom?

Karla spojrzała zaskoczona.

– Co masz na myśli?

– Spójrz na swojego ojca. Mówi tym swoim dobrym angielskim z niemiecko-polskim akcentem, właściwie nie robi nic wielkiego, a wszyscy w gruncie rzeczy marzą o tym, żeby z nim zamienić kilka zdań. Pasuje tutaj. Nie tylko dlatego, że ma manieri, że nic w nim nie jest wymuszone, przecież większość z gości tak się zachowuje. Nie dlatego, że wygląda, jakby całe życie dwadzieścia cztery godziny na dobę chodził we fraku, bo przecież wszyscy tutaj wiedzą, jak się powinni ubrać. Nie dlatego, że wszyscy widzą również, że ten frak został uszyty u znakomitego krawca, i to nie wczoraj, lecz pokolenie wstecz...

– To źle?

– To bardzo dobrze – odparła z przekonaniem Kathy. – Mój tata mawia, że nowy frak można sobie obstalować tylko wtedy, gdy w pożarze straciliśmy pół starego i już nic się nie da zrobić.

– W takim razie dlaczego ta cała Alice opowiada mi bez przerwy o sukienkach, modystkach, krawcowych...

– Bo jest dziewczęciem, które bardzo chce być kobietą, a na razie nie ma okazji – zauważyła okrutnie Kathy. – Poza tym mężczyźni dotyczą inne zasady elegancji i nie mów, że o tym nie wiesz. Ale do rzeczy. Twój ojciec po prostu nie chce być Anglikiem, ma wszystko, co mają Anglicy, a jego osobista godność jest tak wielka, że nie da się go urazić ani zlekceważyć.

– Sama to wymyśliłaś?

Kathy pokręciła głową.

– Nie. Nie mogłam sobie z tym dać rady i spytałam tatę. To on mi o tym opowiedział i wtedy zrozumiałam.

Karla nie odpowiedziała. Ciszę przerywały tylko przytłumione głosy dobiegające z salonu, ściszony gwar, jak gdyby z innego świata, niczym w dziwacznym śnie, w fantasmagorii, kiedy śledzimy nierealne zdarzenia, ale to, co słyszymy, nie pasuje do nich, zupełnie jakby ktoś w kinie pomylił taśmę z dialogami.

– Zmartwiłam cię? – spytała cicho Kathy, widząc posmutniałą twarz przyjaciółki.

– Nie, nie. Myślałam o czymś innym. Że to wszystko, cała Anglia, to imperium, nad którym nie zachodzi słońce, ten splendor, beztroska i to przekonanie o wielkości, to gra pozorów, domek z kart, który może się w każdej chwili rozsypać. Może my tego nie zobaczymy, ale nasze dzieci już pewno tak.

– Sama to wymyśliłaś? Nie, na pewno nie, jesteś zbyt rozsądna na tak szalone pomysły.

Karla zerknęła na przyjaciółkę.

– Nie – powiedziała poważnie. – Zapytałam kiedyś tatę.

Tym razem to Kathy nie odpowiedziała. Karla mówiła dalej.

– Twój ojciec jest dobrym człowiekiem. Może mojego tatę jakoś tam szanują, ale jest tylko ciekawostką, tak jak i ja. A skoro mówisz o tym szacunku... Opowiem ci coś. Kiedyś, raz tylko w życiu, w mojej obecności ojciec sprzeciwił się Dorothy. Nigdy nie mieszał się do tego, co mi mówi, tak jakby... – zawahała się – tak jakby oddał mnie na wychowanie i albo nie dbał o to, co z tego będzie, albo pokładał w Dorothy tak wielkie zaufanie, że nie widział powodu, by przeszkadzać. Dorothy mówiła o ekstrawagancjach, o tym, że nie można sądzić człowieka po tym, co robi, bo przecież wiele razy w najlepszych domach widziała rozmaite zachowania, jak powiedziała, „na pozór poniżej oczekiwań”. Zdawała się zaskoczona, że tata, który akurat to dosłyszał, tak zareagował.

– Jak?

Karla spojrzała na przyjaciółkę trochę zawstydzona.

– Powiem, że nigdy nie widziałam taty tak wzburzonego – rzekła. – Choć Dorothy chyba tego nie zauważyła. Powiedział jej mianowicie, że

grubiaństwo jest grubiaństwem zawsze, a jeśli ktoś patrzy na nie przez palce tylko dlatego, że grubianin ma tytuł od sześciu pokoleń, to jest zapewne głupcem, a już na pewno snobem.

Kathy słuchała tego, nie dowierzając.

– Naprawdę tak powiedział? A co na to Dorothy?

– Dorothy wydawała się zaskoczona. Powiedziała, że u nich mówi się, że gafa to rzecz ludzka, a takie myślenie to komunizm. Wtedy tata rozsierdził się jeszcze bardziej.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że był jeszcze spokojniejszy niż zwykle, ale takim zimnym, uprzejmym spokojem, który aż ściska serce. Odpowiedział, że nikt go nie zmusi, by się zachowywał grubiańsko wobec ludzi, którzy są gorzej urodzeni albo mniej majątni niż on, a nie mówimy o towarzyskich gafach, bo z tych się wychodzi za pomocą wdzięku, i właśnie tak można rozpoznać rzeczywistą pozycję towarzyską człowieka. Nie rozumiałam tego, do czasu.

Teraz wiem jedno. Jeśli miałam być w tym towarzystwie, to tylko dla ciebie, twojego taty i Dorothy. No, może jeszcze lorda i lady Ashleyów, oni mają w sobie coś realnego. Ojciec za jakiś czas wyjeżdża, ja miałam spędzić rok u Dorothy, a później rozpocząć studia. Wymyśliłam inny plan. Wynajmę mieszkanie w Oksfordzie, postaram się o prawa wolnego słuchacza na którymś z humanistycznych fakultetów, poszukam pracy, choćby nawet w jakimś sklepie, i będę żyła na własną rękę.

Kathy sprawiała wrażenie, jakby nie zrozumiała.

– Pracować? – zdziwiła się. – W sklepie? Ty? Przecież stać cię na studia i na dostatnie życie, za jakiś czas pewnie wyjdiesz za mąż, twój tata jest dżentelmenem, a ty chcesz pracować w sklepie? Chyba się przesłyszałam.

– Nie przesłyszałaś się. – Głos Karli brzmiał stanowczo. – Jeszcze miesiąc temu myślałam zupełnie inaczej. Przestrzegła mnie przed takim myśleniem już dawno temu Dorothy, mówiła, że nigdy nie będę angielską księżniczką, bo nie można być tym, kim się nie jest. Ja jestem córką krakowskiego lekarza i nie widzę żadnej ujmy w tym, że znajdę gdzieś pracę. Pieniądze, które mam od ojca, pójdą na studia, ale nie będę prosiła o utrzymanie. Ani ojca, ani Dorothy, ani nikogo innego.

– Jeśli znajdziesz tę pracę.

– Jeśli znajdę. A jeśli nie znajdę, skłonię ojca, żeby zmienić na ten rok plany, i wrócę do Polski.

– Myślisz, że da się przekonać?

– Nie wątpię. – W głosie Karli brzmiała niezachwiana pewność. – Zawsze dał się przekonać, jeśli miałam rozsądne argumenty.

– A masz je?

Karla zamilkła. W jednej chwili zrozumiała, że wszystko, co powiedziała, pochodziło z impulsu, z kumulacji zdarzeń, uczuć, ze znużenia błahością tego, co ją otaczało. I gdy się zaczęła nad tym zastanawiać, coraz trudniej jej było znaleźć choćby jeden mocny argument, który by się ostał w rozmowie z ojcem.

– To prawda – zmusiła się, żeby podnieść wzrok i spojrzeć w oczy Kathy – nie mam. Ale i tak muszę z nim porozmawiać. Dzisiaj.

Usłyszały skrzypnięcie klamki. Odwróciły się. Ze szpary między drzwiami a framugą wychynęła głowa Cristine.

– Chłopcy przyjechali! – wyrzuciła z siebie radośnie dziewczyna.

– Jacy chłopcy? – zdziwiła się Kathy, ale głowa Cristine schowała się tak szybko, jak się pojawiła. Kathy z ciężkim westchnieniem wstała. – Mam dosyć mężczyzn, i to na długo – wyznała. – Chodźmy jednak. – Podała Karli dłoń. – Trzeba się chociaż przywitać.

Rytuał przedstawiania Karli trwał krótko. Niewiele później trzej młodzi panowie rozprawiali z ożywieniem z Karłą, ignorując zupełnie pozostałe dziewczyny. Po chwili Cristine odciągnęła Alice na bok.

– Zostaw ich – powiedziała, gdy znalazły się poza zasięgiem słuchu młodych panów – niech mają swe świeże mięso. Jak się znudzą, wrócą. Swoją drogą oceniałam ich lepiej.

– Lepiej? – nie zrozumiała Alice.

– Kochana – mruknęła Cristine – popatrz sama. Teraz jakaś Polka, potem pokojówka, a potem kuchta od polerowania sreber. Ale nic się nie martw, wszystko się da wykorzystać w odpowiedniej chwili. Zresztą nie będzie potrzeby. Co to w ogóle jest za konkurencja.

Alice zachichotała.

– Polerowanie sreber... A potem puści się plotkę, że oni z tą kuchtą, no wiesz...

– Cicho – zgromiła ją Cristine. – To ostateczność.

– Mówisz, jakby cię to obchodziło – zauważyła Alice. – A przecież to dla ciebie konkurencja.

Cristine spojrzała na nią zaskoczona.

– Ile ty masz lat? – zapytała z niedowierzaniem. – Sześć?

– Dziewiętnaście – obruszyła się Alice.

– A mówisz jak dziecko. Ile twój przysły małżonkowi w posagu?

– Tyle, że sama nie wiem ile. – Na twarzy Alice wystąpił znów uśmiech.

– Widzisz sama. Ze mną jest podobnie. A teraz jeszcze jedno pytanie. Ile mają na spółkę rocznie ci trzej panowie, którzy tak lgną do tej... jak jej tam...

– Karli.

– Właśnie, Karli. Pewnie ze trzy tysiące funtów rocznie. Są z dobrych rodzin, przyznaję, ale to żebracy, rozumiesz? I jeszcze będą żebrać o nas, więc nic się nie martw. Przecież tylko jakiś kataklizm mógłby sprawić, że będzie inaczej, niż jest. Zarazy nie będzie, krach już był, wojna już była, więc powiem ci, kochanie, że nic, ale to nic nam nie grozi. A jeśli sprawy posuną się za daleko, zawsze będzie można puścić jakąś plotkę. Wiesz, że jestem w tym dobra.

– Wiem – ożywiła się Alice. – Na przykład...

– Tylko bez przykładów. – Cristine podniosła paluszek w geście ostrzeżenia. – Co było, to było, a każdy dostał to, na co zasłużył. A wiesz, że Kathy zerwała z młodym Mildhouse'em? Albert jest do wzięcia.

– Kochana – Alice wyraźnie poczuła się pewniej – on zawsze był do wzięcia. Przynajmniej przeze mnie.

Cristine popatrzyła z niedowierzaniem.

– To dlaczego go nie odbiłaś?

– Bo w sumie lubię Kathy, chociaż jest taka... amerykańska.

– A teraz?

Alice przyłożyła palec do ust.

– Cicho – uśmiechnęła się tajemniczo. – Dowiesz się wkrótce. Tymczasem chodźmy. Proszę do stołu.

Kolacja była wystawna, uroczysta i raczej nudna. Kilka przemów, towarzyski small talk, dobre jedzenie, parę toastów – pod koniec Karla marzyła, żeby to wszystko się już wreszcie skończyło. Na szczęście

większość gości była sąsiadami, bo jak inaczej określić tych, którzy mieszkali lub utrzymywali swoje letnie rezydencje nie dalej niż między Newbury a Swindon. Po pierwszej w nocy zostali więc już tylko Ashleyowie, pani Emily Fawley, Dorothy, pan Baring z Kathy i Emil z Karłą. Siedzieli w małym salonie przy przygaszonych lampach i buzującym w kominku ogniu.

– Nareszcie jak w rodzinie – odetchnął z ulgą pan Baring.

Kathy spojrzała niepewnie na ojca. Przez cały wieczór przyglądała się kobiecie, którą znała najslabiej z całego towarzystwa. Pani Emily Fawley, która choć mieszkała w Londynie, miała wiejską posiadłość gdzieś pod Reading, była drobną, żwawą szatynką dobrze po czterdziestce, może nie najładniejszą, ale to, czego poskąpiła natura jej twarzy, wynagrodziła, dając przepiękne oczy. Koloru ciemnego orzecha, mądre, czasami z figlarnym błyskiem, spoglądały spod modnie, krótko ostrzyżonych włosów, w których błyszcząły pojedyncze, srebrne nitki. Ciekawe, że w przeciwieństwie do Kathy większość obecnych na przyjęciu zdawała się znać ją znakomicie.

– To prawda – potwierdził lord Ashley. Odwrócił się w stronę Emila. – Skądinąd nie wiem, czy ma pan tego świadomość, ale o nikim dzisiaj nie mówiło się bardziej niż o panu.

– Czyli to dobrze, że już jutro wyjeżdżam – uśmiechnął się Emil. – Z Londynu do Antwerpii, a stamtąd statkiem do Gdyni i pociągiem do Krakowa.

– Niezbyt wygodna droga – zauważył pan Baring. – Czy nie prościej byłoby pojechać Nord Ekspresem?

– Cóż, pewnie tak, ale ja lubię morze – odparł wykrętnie Emil. – W tamtą stronę wolałem oszczędzić Karli upokorzeń związanych z chorobą morską, w tę nie mam żadnych skrępułów, bo przecież wracam sam. A tutaj, korzystając z okazji, jeszcze raz polecam ją szczególnej opiece państwa.

– Umiem zadbać o siebie – powiedziała chyba nieco zbyt chłodno Karla. Dostrzegła to Dorothy i pospieszyła jej z pomocą.

– Emilu, pamiętaj, moja przyjaciółka nie jest już dzieckiem. – Dorothy pogroziła mu palcem. – Dzisiaj młodzi panowie nie chcieli jakoś jej opuścić. Spodobał ci się któryś? I o czym rozprawiałś z nimi z takim ożywieniem?

Karla stropiła się nieco.

– O wszystkim tym, o czym nie mogłam rozmawiać z dziewczętami. O koniach i polityce...

– O koniach! Rozumiem – zaśmiał się Emil. – Ale co ty właściwie wiesz o polityce?

– Tatusiu, nie bądź taki – obruszyła się Karla. – Przecież sam mi o wszystkim opowiadasz, a teraz masz do mnie pretensje.

– Ależ skąd. – Emil nie przestawał się śmiać. – Czekam tylko aż zaczniesz mieć na te tematy własny pogląd. Podobnie zresztą jak na inne sprawy. Na szczęście wierzę w twoją przedwczesną dorosłość.

Karla nie odpowiedziała. Widząc jej minę, Emil zrozumiał, że pożegnanie, które miało nastąpić następnego dnia przed południem, może być trudniejsze, niż myślał. Karla najwyraźniej chciała mu coś powiedzieć, ale wolała zostać z nim sam na sam. Z kłopotu wybawił ich Baring.

– Ja też pozwolę sobie zabrać głos – oświadczył. – Skoro jesteśmy w rodzinie, chciałbym przekazać wiadomość przeznaczoną tylko dla niej. Otóż – wstał i podszedł do fotela, na którym siedziała Emily – ostatnie miesiące utwierdziły mnie w przekonaniu, że życie nie skończyło się dla mnie wraz ze śmiercią mej ukochanej żony. Będę troskliwie pielęgnował jej pamięć, będę patrzył z miłością na córkę, którą mi dała, ale nie jestem zdolny do tego, by gorzknieć osamotniony w wielkim domu, zajmując się tylko sprawami majątku, a raz na jakiś czas przyjmując gości. Kathy – zerknął na córkę – zapewne za jakiś czas również mnie opuści, skarby świecące takim blaskiem szybko zaczynają błyszczeć poza rodzinnym domem.

Zamilkł na chwilę. Emil pobłogosławił w duchu rozwałkę pana Baringa, który nie wspominał ani słowem o świeżej historii upadku Alberta Mildhouse'a, ale nie spodziewał się tego, co nastąpi za moment.

– Szanowni państwo – rzekł pan Baring, opierając dłonie o ramiona Emily – spieszę obwieścić państwu, że wczoraj pani Emily Fawley, wdowa po nieodżałowanym sir Samuelu Fawleyu, zgodziła się zostać moją żoną.

Zaskoczona Karla zerknęła na Kathy i przeraziła się. Jej przyjaciółka jak skamieniała siedziała przy niej na kanapie, z jej twarzy odpłynęła cała krew. Tymczasem towarzystwo wstało i zaczęło bić brawo, nie zwracając uwagi na to, co dzieje się z jedyną córką pana Baringa, nadal siedzącą bez życia na kanapie.

– Co ci jest? – szepnęła Karla do ucha Kathy. Dziewczyna nie odpowiedziała. Karla wstała i pociągnęła ją za sobą. Kathy, bezwolna, wstała. Pan Baring zerknął na nie – bladość jej twarzy przeraziła go.

– Kathy?... – zaczął.

Karla podprowadziła przyjaciółkę w stronę drzwi.

– Kathy źle się poczuła – powiedziała cicho do Baringa – ale zaraz będzie dobrze. Przepraszamy na chwilę.

Zatrzymała gestem ojca, który już szedł w ich stronę. Emil zrozumiał natychmiast i tylko kiwnął głową. Zatrzymał się przy Ashleyach i zagadnął ich, odwracając uwagę. Karla i Kathy wyszły z saloniku.

– Chodź. – Karla poprowadziła przyjaciółkę do łazienki. – Zimna woda na głowę dobrze ci zrobi.

– Oszalałaś chyba. – Kathy oprzytomniała w ułamku sekundy. W jej oczach pokazały się łzy. – Nic mi nie powiedział, rozumiesz? Nic mi nie powiedział! To musiało trwać miesiące! Rozumiem teraz te nagłe wyjazdy w interesach, na spotkania, te telefony w nocy...

– Uspokój się. – Karla potrząsnęła mocno przyjaciółką. – Dziewczyno, ile ty masz lat? Zostaw ojca w spokoju, zajmij się sobą, jesteś wolna...

– Jak on teraz pójdzie na grób mamy – zaszlochała Kathy. – Jak z czystym sumieniem będzie mógł zanieść tam kwiaty? No jak?

– Zostaw ojca w spokoju. Ma prawo robić, co chce. Jesteś dorosła, pamiętasz?

– Ty nic nie rozumiesz! – Z oczu Kathy trysnęły łzy. – A jeśli twój ojciec znalazłby sobie kogoś teraz, co byś powiedziała?

Karla zawahała się.

– Co miałabym niby powiedzieć?

– Jesteśmy dla nich tylko przeszkodą – zaszlochała Kathy. – Może dlatego wyjechałaś z Polski? Może twój ojciec chce sobie ułożyć na nowo życie i nie potrzebuje świadka?

– Chwila – przerwała Karla, w której zawrzało. – To ja chciałam uciec. Nie mogłam patrzeć, jak moja matka, która odeszła od ojca, jest teraz z innym człowiekiem. Nie mogłam znieść myśli, że mogę spotkać ich na ulicy, jak idą razem. Nie mogłam znieść myśli, że znów zobaczę, jak moja matka całuje się z innym gdzieś w bramie...

– Ale twoja matka żyje! – wybuchnęła Kathy. – Moja nie! I jak miałabym ją nazywać matką?

Usłyszała skrzypnięcie drzwi. Odwróciła się szybko. Z salonu wysunęła się pani Emily. Musiała słyszeć ostatnie słowa Kathy, bo podeszła do dziewczyn.

– Nie będziesz nazywać mnie matką – powiedziała cicho do Kathy. – Nikt ci jej nie zastąpi. Jeśli sobie zasłużę, będziesz mogła nazywać mnie przyjaciółką. Na razie jestem dla ciebie Emily. Nic więcej, nic mniej.

Jej głos był spokojny i smutny, jakby stało się coś, co przewidywała i na co czekała z rezygnacją przez miesiące. Dotknęła ramienia Karli.

– Dziękuję, że tak pomagasz Kathy – rzekła łagodnie. – Jesteś dobrą dziewczyną. – Przeniosła oczy na przyszłą pasierbicę. – Ale to my musimy ze sobą porozmawiać sam na sam, jak kobieta z kobietą. Nie teraz. Kiedy będziesz gotowa.

Kathy nie odezwała się. Pani Fawley uśmiechnęła się do Karli. Jej twarz odmłodziła w jednej chwili.

– Jeśli chcecie, wróćcie do nas – powiedziała. – Nikt nie powie słowa na ten temat. Jeśli nie, idźcie spać.

Odwróciła się i weszła z powrotem do salonu.

– Chodź. – Karla pociągnęła za sobą Kathy. – Idziemy spać.

– Czy mogę... – Kathy pociągnęła nosem i jak mała dziewczynka, wytarła łzy wierzchem dłoni – czy mogę spać dzisiaj w twoim łóżku? Nie chcę być sama.

– Możesz – uśmiechnęła się Karla. – Tylko przynieś swoją kołdrę. Wiem, że rozkopujesz się w nocy.

Wzięła Kathy za rękę i razem poszły na piętro.

Tymczasem pan Baring na dole spojrzął z namysłem na towarzystwo.

– Czy panie się nie obrażą – rzekł – jeżeli zaproszę panów do gabinetu na cygaro i coś mocniejszego przed snem?

– Ależ skąd. – Dorothy popatrzyła na lady Ashley i panią Fawley. – Chętnie porozmawiamy sobie o sprawach niedostępnych dla mężczyzn.

Baring pozostawił to bez komentarza, Emil uśmiechnął się tylko. Lord Ashley podziękował Baringowi wzrokiem. Najwyraźniej to jemu najbardziej zależało na tym spotkaniu.

Siedli po chwili w gabinecie. Baring odprawił ochmistrza, który chciał pomóc, i sam zaczął pełnić honory. Na stole pojawiła się karafka doskonałej whisky i trzy rżnięte w kryształach szklanki.

Lord Ashley nie wytrzymał długo.

– Rozmawiałem o panu, panie Linde z niektórymi gośćmi – rzekł, wydostając cygaro z podsunętego przez Baringa pudełka. – Jest pan niezwykle intrygującym człowiekiem.

– Naprawdę? – zdziwił się szczerze Emil. – Wydawało mi się, że ci, z którymi rozmawiałem, dobrze kryli swoją niechęć.

– Powiedziałbym, że z niechęcią wyrażali swój podziw – sprecyzował lord Ashley. – Ale pojawił się pewien interesujący głos mojego dawnego przyjaciela, a poniekąd i współpracownika ze sfer rządowych. Otóż zastanawiał się on w rozmowie ze mną całkiem poważnie na temat pańskich możliwych powiązań...

– Powiązań? – Emil obciął koniuszek cygara i przyjął ogień od Baringa. Lord Ashley zakaszłał z zakłopotaniem.

– Mowa o pańskich powiązaniach politycznych.

– Nie zajmuję się polityką – uciął Emil. – Zajmuję się leczeniem.

– Polityka jest też trochę jak medycyna, prawda? – Baring podał ogień lordowi, a potem zapalił swoje. Emil pokręcił przecząco głową.

– Zapewne czytał pan von Clausewitza, lordzie Ashley? Napisał on, że wojna to kontynuacja polityki innymi środkami. Odwracając tę tezę, powiedziałbym, że polityka jest wojną prowadzoną w czasie pokoju. Zgodzi się pan ze mną?

– W pewnym sensie – odrzekł ostrożnie lord. – Jednak pan nade wszystko szanuje wiedzę, nieprawdaż? Widać to z pańskich śmiałych analiz obecnej sytuacji światowej. William opowiedział mi o pańskich niezwykle trafnych przewidywaniach sytuacji w Hiszpanii. To, co wydawało się zamieszkami, staje się na naszych oczach wojną. Wiedzę trzeba skądś mieć, aby móc ją dobrze wykorzystać.

Emil zaczął powoli rozumieć.

– Wiedza – rzekł – jest tam, gdzie ludzie umieją kojarzyć fakty i wyciągać odpowiednie wnioski. Panu nie chodzi o wiedzę, lecz o informacje, milordzie. Czy bardzo się mylę?

Baring przysłuchiwał się tej rozmowie z rosnącym zdumieniem.

– Nie myli się pan – przyznał lord Ashley. – Jest pan niezwykle inteligentnym człowiekiem, panie Linde. A właściwie księżę. Księżę Emilianie Sieniawski – rzekł, uważnie obserwując Emila.

Linde zachował kamienną twarz.

– Przyznaję – rzekł – iż wywiad brytyjski musiał dołożyć starań, by się dowiedzieć o moim pochodzeniu. Czemuż zawdzięczam to zainteresowanie?

– Zagrajmy w otwarte karty – rzekł Ashley. – Istnieją osoby w kręgach brytyjskiego wywiadu, które są przekonane, iż jest pan agentem niemieckim.

Są też takie, które twierdzą równie uparcie, że pracuje pan dla polskiego drugiego oddziału Sztabu Generalnego.

Emil pokiwał głową.

– A nikt nie wpadł na to, że obie te możliwości są raczej mało prawdopodobne?

– Nieliczni. Zaliczam się do nich.

– Przynajmniej to panu chluby. Mam nadzieję, że nikt nie wysunął tezy, że jestem niezwykle głęboko zakonspirowanym agentem brytyjskim, bo tylko to chyba nam pozostało.

– Zostają jeszcze Sowietci, ale mówię o tym dla porządku. Wywiad wie o panu zbyt wiele.

– Naprawdę? – Emil uśmiechnął się ironicznie. – Przecież byłbym szpiegiem idealnym. Nikt nie jest lepszym policjantem niż były przestępca, nikt nie jest lepszym szpiegiem niż były wróg. Niech pan pomyśli, milordzie, wywiady z uporem fabrykują przeszłość dla ludzi, którzy mają im przysporzyć informacji. Nie szczędzą sił i środków, by były jak najwiarygodniejsze. Ileż pieniędzy zaoszczędziłbym wywiadowi tylko dlatego, że w pewnej chwili stanąłem przeciw własnej rodzinie i zmieniłem nazwisko, i prawie dałem się zabić w wojnie z bolszewikami...

Ashley zakaszła nerwowo. Tymczasem Emil ciągnął dalej.

– Nie jestem szpiegiem. Próby werbunku są skazane na porażkę. Nie ukrywam, że polskiemu drugiemu wydziałowi powiedziałem to samo, co powiem panu. Ja już nawalczyłem się dość. Jestem bardziej lekarzem niż żołnierzem, choć oba te zawody będą miały w najbliższych latach mnóstwo pracy. Ale przyzna pan, że ich interesy są przeciwstawne?

– A co pan na to, żeby pracować nad tym, by nie doszło do wojny?

Emil popatrzył na niego z politowaniem.

– Czy pan naprawdę wierzy w to, co pan mówi?. Czy naprawdę pan uważa, że komukolwiek zależy, aby nie było wojny? Każdy chce wojny, ale innej, i z zupełnie różnych powodów. Sowietci chcą zanieść do Europy rewolucję i najchętniej by ją wchłonęli, ale to chwilowo za duży kąsek, zadowolą się mniejszym. Niemcy chcą wielkości, a tę osiąga się przez podboje. Anglia mówi: jesteśmy wielcy, więc walczyć sobie, róbćcie w Europie, co chcecie, póki nie sięgacie ani do naszych granic, ani do granic naszego imperium. Chwilowo tylko Francuzi widzą jakieś zagrożenie w wojnie, widzą Alzację i Lotaryngię, dotknęło ich to osobiście, ale tylko

chwilowo. A my Polacy wiemy jedno: w każdej z tych sytuacji, o których mówiłem, przetoczy się przez nasz kraj wojna totalna. Bo w gruncie rzeczy nikomu nie zależy na tym, by było inaczej. Dlatego skończmy tę rozmowę. Nie przyniesie ona żadnych efektów.

– A Hiszpania?

– Hiszpania, milordzie – odparł Emil, wstając – jest tylko poligonem. I pierwsi będziecie do niej sprzedawali broń, jeśli będą wam mieli czym zapłacić. Jedni albo drudzy. Teraz panów pożegnam. Dobrej nocy.

Odłożył palące się cygaro i wyszedł, zostawiając w szklance nietkniętą whisky. Baring popatrzył na Ashleya niemal z wrogością.

– Jeżeli przez ciebie stracę przyjaciela – rzekł – nie wybaczę ci tego nigdy. Rozumiesz?

Ashley przyglądał się w zadumie rosnącemu na odłożonym cygarze Emila grzybkowi popiołu.

– Rozumiem. Wybacz. Musiałem.

Spotkali się wszyscy przy śniadaniu, które podano na tarasie. Wiał lekki, ciepły wiatr, słońce coraz mocniej przebijało się zza chmur. Karla, która cały poranek przekonywała Kathy, aby nie próbowała wracać do wieczornych tematów, przeprosiła wszystkich za niespodziewane wyjście, tłumacząc to nagłym zasłabnięciem przyjaciółki. Wszyscy przyjęli wytłumaczenie jakby nigdy nic, rozmowa była błaha, toczyła się raczej wokół bliskiego wyjazdu Ashleyów i pani Emily niż innych wydarzeń wczorajszego wieczoru. Zaraz po śniadaniu lokaj zniósł bagaże. Pożegnali się mniej więcej tak, jakby mieli zobaczyć się już nazajutrz, bez przesadnych ceremonii. Gdy samochód odjechał, Dorothy ciężko westchnęła, patrząc na idącą w stronę wnętrza Kathy. Podążał za nią jak na ścieżce pan Baring.

– Zaraz będzie rodzinna rozprawa – rzekła smętnie Dorothy. – Zrobimy najlepiej – zerknęła na Emila i Karlę – jeśli się schowamy w jakieś bezpieczne miejsce. Ja idę do ogrodu, wy pewnie będziecie chcieli porozmawiać przed twoim, Emilu, wyjazdem.

– Rzeczywiście. Tatusiu, możemy porozmawiać?

– Zawsze. Zostawmy ich, a sami chodźmy do środka.

Poszli wysypaną żwirem alejką, obeszlili dwór i weszli frontowym wejściem. Karla poprowadziła ojca do tego samego saloniku, w którym pan

Baring ogłosił wczoraj córce swoje plany. Emil siedł posłusznie. Gdy usiedli w fotelach, Karla zaczęła.

– Wiesz, co stało się wczoraj, prawda?

– Wiem – kiwnął głową Emil. – Za dużo tego wszystkiego naraz na biedną głowę Kathy. Czy chcesz mnie spytać o przyszłość? Jeśli tak, to powiedziałem ci już, że nie zamierzam nikogo wprowadzać w moje, czy jak wolisz, nasze życie.

Karla pokręciła głową.

– Nie w tym rzecz – rzekła. – Musimy zmienić plany.

– Co to znaczy zmienić plany?

Karla pomilczała chwilę.

– Jestem tu od niemal czterech tygodni – powiedziała. – Jest koniec lipca. A ja mam poczucie straszliwie, koszmarnie zmarnowanego czasu. Każdy dzień był podobny do innych, jakby moje życie było nieustającymi wakacjami.

– I tak jest w rzeczywistości.

– To prawda. Mam wakacje. Ale co będzie po tych wakacjach? Kolejne miesiące wakacji? To prawda, było to miłe. Ty prawie nie rozstawałeś się z Dorothy, ja buszowałam po okolicach z Kathy, dwa razy wybraliśmy się do Londynu, raz do Oksfordu, raz do Cambridge, wyjeżdżałam się konno prawie jak w Byszewie...

– Mówili, że sobie dobrze radzisz.

– Nie zmieniaj tematu, proszę. – Karla wyglądała na zdeterminowaną. – Powiem ci jedno. Ty wyjedziesz. Kathy ma swoje problemy z Emily i będzie je pewnie rozwiązywała tutaj, a my wrócimy z Dorothy do Sheldon Manor. I co? będziemy tam siedziały do twojego powrotu albo do czasu, gdy uda się wysłać aplikację na uczelnię?

– *Á propos*, zdecydowałaś już na którą? – zapytał Emil.

– Tato, proszę, nie próbuj zbijać mnie z tropu. Przyrzeknij mi, że jeśli będę miała inny plan na ten czas, nie będziesz mi w tym przeszkadzał.

Emil milczał.

– Dlaczego nic nie mówisz? – Karla zaniepokoiła się. Przyjrzała się ojcu uważnie. – Przecież...

– Pomyśl sama. – W głosie Emila brzmiało wzruszenie. – Przecież ty, moja prawie dorosła córka, prosisz mnie o pozwolenie, choć za dwie godziny wyjeżdżam i przez długi czas nie będę miał nic, ale to nic do

powiedzenia. A jednak zależy ci na mojej zgodzie. Jedynym rozsądnym powodem posłuszeństwa jest to, że chce się być posłusznym.

– Czy to znaczy, że...

– Czy to znaczy, że się zgadzam? Ustaliliśmy wspólnie, że najwcześniej, jak to będzie możliwe, idziesz na studia, i to się nie zmienia. Zgodzę się na każdy rozsądny plan, który wymyślisz, z jednym zastrzeżeniem. Stanie się to nie wcześniej niż w końcu sierpnia. Pomieszkać miesiąc z Dorothy. Wtedy zadzwoń do mnie i powiedz, co wymyśliłaś. Zgoda?

Karla wstała z fotela, podeszła do ojca, pochyliła się do niego i mocno uścisnęła.

– Kocham cię, tato.

– Ja ciebie też kocham. Czasem zastanawiam się, czy całe zło tego świata nie bierze się z tego, że rodzice nie mówią dzieciom, że je kochają.

– A nie mówią?

– Na ogół nie. A w Anglii wysyłają w dodatku te dzieci na cały rok do szkół z internatami, jak najdalej od domu. Ja najchętniej bym tego zakazał, bo wiem, jakie są tego skutki.

– Jakie?

– Mówi ci coś nazwisko Mildhouse? – spytał złośliwie Emil. – Albert Mildhouse?

– Ale przecież nie wszyscy są tacy – zaprotestowała z oburzeniem.

Emil osadził ją jednym spojrzeniem.

– Na pewno – zgodził się. – Ale weź sobie do ręki tę swoją ukochaną *Księgę snobów*, otwórz na odpowiednim rozdziale i poczytaj, co o takim wychowaniu myślał mądry człowiek już sto lat temu.

– Wiem, co myślał – mruknęła Karla. – Czytałam wiele razy. Czy ja kiedyś doczekam, że coś powiem, a ty mi odpowiesz, że mam rację i niczego mnie nie nauczysz?

Emil roześmiał się serdecznie.

– Masz rację. Nazbyt jestem ojcem. Ale umówmy się, że nie wyszłaś najgorzej na moich naukach.

Wstał i przytulił Karłę.

– Pisz do mnie. Choć słówko. Jeśli będzie sposobność, zadzwoń, nie martw się kosztami, Dorothy powiedziała mi, że choćbyś rozmawiała

wieczność, i tak nie nadwerężysz jej oszczędności...

– Sam mówiłeś, że trzeba znać miarę – odparła Karla, oddając uścisk. – Raz na dwa tygodnie, piątek, pół godziny, to aż nadto.

Wyzwoliła się z ojcowskich objęć i zrobiła krok wstecz.

– To się nazywa opuścić dom – mruknął Emil. – A jak z twoimi zdjęciami?

– Włożyłam ci kopertę z odbitkami do bagażu. Ale przyrzeknij mi, że obejrzysz je dopiero w Polsce. Gdybyś chciał komuś zrobić prezent – może cioci Annie? – znajdziesz też negatyw.

– Może zostaniesz fotografem? – spytał żartobliwie ojciec. – Zawsze to jakiś fach w ręku. Łacina nie wystarczy.

– Może – mruknęła Karla. Spoważniała nagle. – Będę tęsknić, wiesz?

– Ja też – westchnął Emil. – Chodźmy, zobaczymy jak poszła, jak to nazwała Dorothy, rozprawa.

W dużym salonie zastali pana Baringa i Kathy siedzących razem na kanapie. Karla przyjrzała się uważnie przyjaciółce – nie dostrzegła ani śladu łez, ani jakichkolwiek oznak, że rozmowa na temat ojcowskiej decyzji się odbyła. Już, już zaczęła podejrzewać, że Kathy odłożyła wszystko na później, gdy usłyszała głos pana Baringa.

– Uzgodniliśmy z Kathy – rzekł, patrząc przeproszająco na Karłę – że spędzi najbliższy tydzień w Avebury ze mną, a jeśli zechce – również z Emily...

– Pomyłka – sprostowała chłodno Kathy. – Uzgodniliśmy, że muszę to wszystko dobrze przemyśleć, a potem pojedę na dwa-trzy dni do tej twojej... – zawahała się – Emily. Porozmawiam sobie z nią.

Pan Baring chciał zaprotestować, ale Karla nie dała mu dojść do słowa.

– Dobrze się składa – wtrąciła lekko – bo i ja mam wrażenie, że zaniedbałam trochę Dorothy. Powinam z nią spędzać więcej czasu.

Zerknęła na nagle zaniepokojoną Kathy i uśmiechnęła się nieznacznie.

– Zadzwońisz do mnie, kochana, dzisiaj wieczorem, zgoda?

Kathy odprężyła się wyraźnie. W jej oczach błysnęło zrozumienie.

– Zadzwonię – przyrzekła.

– Świetnie – skwitowała Karla. – W takim razie tato – zwróciła się do ojca – kończ pakowanie, ja przejdę się na spacer. Nie chciałabym przeszkadzać. Poszukam Dorothy.

Po czym odwróciła się na pięcie, obdarzając uśmiechem pana Baringa, jakby niepewnego całej sytuacji, i wyszła.

\*

Dwie godziny później Emil wyjechał do Londynu, a potem w drogę do Polski. Już wcześniej uzgodnili, że Karla nie będzie towarzyszyła mu na stację, nie mówiąc już o Londynie. Służba załadowała jego bagaże do samochodu, część rzeczy wysłano wcześniej kurierem. Obyło się bez ckliwych pożegnań, choć Emil dłużej niż zwykle trzymał dłoń Dorothy, a sama Karla, gdy sobie uświadomiła, że może nie zobaczyć ojca nawet przez rok, omal nie straciła swego pozornego spokoju. Nie wypadła jednak z formy, uściskała go tylko mocno, mając w świadomości, że za dwa tygodnie czeka ich pół godziny rozmowy telefonicznej. Co ciekawe, znacznie gwałtowniej na wyjazd Emila zareagowała Kathy. Jej pocałunek wyciśnięty na policzku doktora był przepojony taką żarliwością i czułością, jakich chyba nigdy nie doświadczył jej własny ojciec. Karla przyglądała się temu z zaskoczeniem, ale i ze zrozumieniem. Miała w pamięci protekcjonalizm, z jakim przyjaciółka traktowała pana Baringa, te lekceważące cmoknięcia w łysinkę, to mizdrzenie się, podśmiewanie z jego opiętego tużurkiem brzuszka, zupełnie jakby był nierozumnym, ale miłym domowym zwierzątkiem. Karla zaczęła powoli rozumieć, że jej przyjaciółka, przy wszystkich swoich zaletach, nie ma jednej: umiejętności oceny ludzi, jakiegoś dodatkowego zmysłu, czasem wrodzonego, czasem wykształconego przez mnogość doświadczeń. A niedoceniecie pana Baringa, człowieka tak w pojęciu Karli wartościowego, było tego jawnym dowodem.

Karla stała jeszcze dłuższą chwilę na podjeździe, machając chusteczką ojcu. Kiedy samochód zniknął za drzewami, Karla odwróciła się do Dorothy i Baringów.

– Na nas też chyba już czas – powiedziała.

Dorothy kiwnęła głową.

– Jesteś spakowana? – spytała.

– Zrobiłam to jeszcze rano. Wtedy gdy Kathy zaległa w wannie. Bałam się, że się utopiła, siedziała w łazience bez końca.

– Przysnęłam na moment. Obudziło mnie zimno, woda mi wystygła.

– Tylko nie zachoruj – przestrzegła ją Karla. Przeniosła wzrok na pana Baringa. – Dziękuję za te kilka dni. Pewnie wkrótce znów was odwiedzę. Za tydzień, może dwa.

– Będziesz zawsze mile witana – rzekł pan Baring. – Nie tylko przez nas. Również przez służbę i moje konie. Mój masztalerz powiedział mi ostatnio, że teraz rozumie, że opowieści o polskich jeźdźcach nie były tylko wydumanymi, przesadzonymi plotkami...

– Dogadałby się z Bolechem – roześmiała się mile połączona komplementem Karla – i to bez słów, bo przecież nie po angielsku. Pan Baring kiwnął głową.

– Są chwile, kiedy słowa nie są potrzebne. Przyjeżdżaj, kiedy tylko zechcesz. Ciebie, Dorothy, nie muszę chyba specjalnie zapraszać.

Kobieta skinęła z uśmiechem głową.

– Chodź, kochana. Moje rzeczy są już w aucie. Zostawmy ojca z córką. Tylko się nie pozabijajcie, zgoda? Nasz kolejny wspólny wyjazd do Szkocji jest chyba nadal aktualny?

– Ależ oczywiście – obruszył się Baring. – Wszystko jest aktualne. Wyjeżdżamy w sobotę, ósmego sierpnia. Mamy jeszcze sporo czasu. I mam nadzieję, że wykorzystamy go dobrze.

Zerknął na Kathy.

– Niewątpliwie – usłyszał od córki. – Bądź pewien.

[3] *de morituri...* (łac.) – O umarłych [nie mówić] nic, albo dobrze.

[4] *Hodie...* (łac.) – Co dziś mnie, jutro tobie. Napis spotykany na nagrobkach, najczęściej pod wizerunkami czaszek.

ZMIANA

Emil wracał do krakowskiego domu z poczuciem wszechogarniającego zmęczenia. Józia z Piotrem, powiadomieni rozmową z Gdyni o jego przyjeździe, zapewne doprowadzili wszystko do kwitnącego stanu, więc mógł liczyć na doskonałe jedzenie i odpoczynek. Tyle że wiedział, iż najbliższe miesiące będą niezwykle pracowite. Czekał go powrót do praktyki, a prócz tego konieczny wyjazd do Byszewa i przypilnowanie tamtejszych spraw, wyjazd do Klonowa dla przekazania listów i dokumentów, których Dorothy nie chciała powierzać poczcie, słowem – mnóstwo obowiązków. I choć cieszył się na spotkanie z Donimirskimi, świadomość mnogości spraw, nad którymi przyjdzie mu zapanować, odbierała mu siły. Nie chciał przed samym sobą się przyznać, że boi się tylko jednego. Samotności. Stało się to, do czego zmierzał, ofiarował swojej ukochanej córce najlepszy los, jaki mógł dla niej wymyślić, ale tylko on wiedział o cenie, jaką przyjdzie mu za to zapłacić.

W nie najlepszym nastroju wysiadał z taksówki przy rogu Karmelickiej. Zapłacił szoferowi i z jedną walizką i swoim medycznym kuferkiem wszedł w bramę. Reszta bagażu została wysłana pocztą i jak zapewniała Józia, dotarła szczęśliwie.

Wszedł na górę i kluczami otworzył drzwi. Józia natychmiast się pojawiła.

– Boże, jak długo pana nie było! – zawołała. – Zaraz podaję obiad.

– Odświeżę się tylko po podróży – rzekł Emil. Popatrzył na stos listów piętrzących się w hallu. – I to wszystko będę musiał przeczytać – westchnął i spojrzał na Józję. – Ale będzie mi Józia towarzyszyć przy obiedzie? Mam ucałowania i specjalne pozdrowienia od Karli.

– Jeść to już jadłam, ale posiedzę z panem doktorem. Będzie smakowało. W domu to całkiem inaczej niż to angielskie jedzenie. – W jej głosie słychać było najwyższą pogardę.

– Na pewno. – Emil pokiwał głową. – Niech Józia da mi dziesięć minut. Pójdę do łazienki i przebiorę się po domowemu.

– Tak jest, proszę pana doktora – wyrecytowała Józia i ruszyła do kuchni.

Dziesięć minut później doktor, w wygodnych, wełnianych spodniach, koszuli, krawacie i kamizelce usiadł do obiadu.

– Pan doktor to zawsze jak spod igły – zauważyła Józia, kładąc na stole wazę z parującą zupą i zabierając się do nalewania jej do talerza. – Aż dziw bierze.

Emil uśmiechnął się, rozkładając serwetkę na kolanach.

– Co nowego w Krakowie?

– Ano stoi, jak stał – odparła Józia pogodnie.

– Na żarty się Józii zebrało i tyle. Ja pytam poważnie. Wie Józia, o co...

Kucharka spochmurniała i kiwnęła głową. Wiedziała dobrze, że Emil pyta o jej matrymonialne plany.

– No jakby wiem – mruknęła ponuro. – Nic z tego nie będzie.

– A co się stało? – zaniepokoił się Emil.

Józia ciężko westchnęła.

– Nawet nie wie pan, panie doktorze, jak trudno znaleźć dobrego człowieka...

– Że trudno, to racja – zgodził się Emil.

Józia, ośmielona ciągnęła dalej.

– A bo widzi pan doktor, ten Łukasz, co go dzieckiem znałam, okazał się birbant i tylko za wódką się rozgląda. Cud jakiś, że na oczy przejrzałam i go wyrzuciłam na zbity łeb. Jedną noc tu w domu u pana doktora w gościnnym spał, to wypił butelkę tej nalewki na spirytusie, co to ją robiłam zeszłego roku, porzygał wszystko, a rano ukradł tackę na listy i uciekł. Wysprzątałam pięknie, że ani śladu nie zostało, ale przysięgłam sobie, że już nikogo do pana doktora do domu nie sprowadzę, choćby i pan doktor kazał...

– Zaraz, zaraz – rzekł Emil, przełykając znakomitą zupę grzybową z łazankami. – Przecież widziałem, że tacka jest, listy na niej leżą...

– Bo odebrałam – oczy Józii błysnęły wściekłością – nim zdążył ją zastawić. Syna wezwałam, jak w mundurze przyszedł z drugim, to temu gnojowi... przepraszam pana doktora...

– Nie szkodzi. – Emil jadł nadal z apetytem. Tymczasem Józia ciągnęła dalej.

– ... temu gnojowi jeszcze w mordę dał, bo się stawiał.

– Należało mu się za Józiną krzywdę – rzekł doktor i otarł usta serwetką.

Kucharce zaszklily się oczy.

– Pan doktor taki dobry – powiedziała z uczuciem. – Inny by jeszcze mnie skrzyczał, że do domu złodzieja i ochlajtusa żem wprowadziła, a pan doktor mówi, że moja krzywda. Czemu tylko mnie się przydarzają takie rzeczy?

– Nie tylko Józi. – Emil uśmiechnął się, składając serwetkę. – Niech sobie Józia wyobrazi, że panienska Kathy, co to ją Józia tak polubiła, też zerwała narzeczeństwo, bo się okazało, że chłopiec niby z dobrej rodziny, a hulaka, hazardzista i kłamca.

– Co też pan doktor nie powie... – jęknęła Józia. – Hulaka...?

– I tylko dla pieniędzy ojca jej chciał – rzekł bezlitośnie doktor. – Niczego więcej. A do tego niecznie ją oszukał.

– Niecznie!... – powtórzyła Józia z trwogą. Nagle huknęła w stół ręką, tak mocno, że Emil aż wzdrygnął się mimo woli.

– Zabiłabym łajdaka – syknęła i nagle zorientowała się, co właściwie zrobiła.

– Najmocniej przepraszam pana doktora – jęknęła z przerażeniem. – Już biegnę po drugie!

Pomknęła do kuchni. Emil zachichotał i dolał sobie odrobinę zupy. Świat wydał mu się o wiele prostszy i przyjemniejszy.

Akurat gdy skończył dokładkę, pojawiła się Józia z tacą, na której pyszniło się pieczone kurczę w warzywach z frytkami cienkimi jak zapałki.

– Teraz naprawdę czuję się jak w domu – westchnął.

Józia zabrała talerz na zupę, a Emil począł nakładać sobie jedzenie.

– A wracając do naszej rozmowy – ciągnął, wciągając upojny zapach – wygląda na to, że Józia nawet by go nie musiała zabijać. Ponieważ jego ojca nie trafiła apopleksja po tych zdarzeniach, wygląda na to, że niedoszły mąż panny Kathy jest już pozbawionym pieniędzy bankrutem, w zupełności uzależnionym od woli rodziny. A że jest człowiekiem bez zawodu, więc jeśli nie stanie się awanturnikiem albo przestępcą, będzie miał sporo czasu, by pojąć, co właściwie zrobił.

– To i dobrze. – Józia sprawiała wrażenie już całkiem uspokojonej. – I jeszcze jedno się zdarzyło.

– Co takiego?

– Jacyś ludzie się pytali o pana. Mnie i Pawła, i w ogóle rozpytywali w kamienicy.

– Tajniacy? – Emil przełknął smakowity kęs kurczęcia.

– Chyba nie – wyznała z niepokojem Józia. – Zwykli tacy. Cywile.

– I co im powiedzieliście?

– Paweł powiedział, żeby szli do diabła. A ja ino spytałam, co komu do tego.

– Słusznie – rzekł Emil. – Chociaż to dziwne – zastanowił się. – Nigdy tak dotąd nie bywało.

– Dlatego dobrze zamykaliśmy i pilnowaliśmy jak oka w głowie – wyznała Józia. – I zamek w oficynie Paweł też zmienił, i dodał jeszcze jeden, tak dla pewności.

Emil kiwnął głową z aprobatą.

– Ale wejść na siłę nikt nie próbował?

– Aż tak, to nie. I ten Łukasz kluczy do ręki nie dostał.

– O wszystkim pomyśleliście. Ja też pomyślałem. Macie u mnie podwyżkę od pierwszego. A tutaj – sięgnął do kieszonki kamizelki – coś jeszcze.

Podał Józii kopertę.

– List! – krzyknęła Józia. – Od pani Karli!

– Niech Józia pójdzie przeczytać – powiedział Emil – ja sobie zjem spokojnie. Potem kawa do gabinetu, dobrze?

– Już się robi, proszę pana doktora – rzuciła szczęśliwa Józia. – Już biegnę!

– Pomału – uśmiechnął się Emil, ale Józii już nie było.

W gabinecie po obiedzie zaczął przeglądać listy. Większość nie była zbyt istotna, ale dwa przykuły jego uwagę. Pierwszy – od mecenasa Szułdrzyńskiego, drugi – od nieznanego mu bliżej adwokata. Przeczytał uważnie najpierw pierwszy z nich. Już domyślał się, co będzie w drugim. Kończył go czytać akurat, gdy roześmiana Józia wniosła kawę.

– Ależ się rozpisala pani Karli, chyba ze sześć stroniczek. Wszystko już wiem!

Emil skinął głową.

– Pani Barbara nie dzwoniła aby?

– Nie. A jeśli dzwoniła, to nikogo nie zastała.

Nietrudno jej było się zorientować, że w listach doktor nie znalazł dobrych wiadomości. Spojrzała na niego z troską.

– Coś się stało? – spytała zaniepokojona. – Kłopot jakiś?

– Sam nie wiem... – mruknął Emil. – Przyjdzie mi chyba jechać pojutrze do Lwowa. Trzeba porozmawiać z mecenasem Szułdryńskim, chociaż może załatwię to przez telefon. Pani Barbara będzie się sądzić.

– Z panem doktorem?

– Bardziej z Karłą – mruknął pośpiesznie Emil. – Cofa zrzeczenie się udziału w Byszewie i żąda spłaty.

Józia aż zaniemówiła.

– Matka córkę do sądu podała? – wydusiła z siebie po krótkiej chwili. Widać, że nie mieściło jej się to w głowie.

– Ano podała – kiwnął głową Emil. – A właściwie poda, jeśli nie dostanie pieniędzy.

– A to... – zaczęła Józia, lecz zamarła, widząc podniesiony palec Emila.

– Jak już tak wszystko Józio mówię, to jest też jedna sprawa – rzekł, biorąc do ręki drugi list. – Pani Barbara chce stwierdzenia nieważności naszego ślubu.

– Ale jakżeż to?... – szepnęła kucharka bezradnie.

– A normalnie – odparł Emil. – Znalazła jakiegoś adwokata, który chce w sądzie kościelnym to przeprowadzić. Rzecz jasna na mój koszt.

To już przekroczyło wytrzymałość Józio. Rozpłakała się i wybiegła z gabinetu doktora.

Emil łyknął kawy i jeszcze raz się przyjrzał listowi. Podjął decyzję, wyszedł z gabinetu i podniósł słuchawkę telefonu.

– Proszę Stojanów, województwo lwowskie – rzekł. – Numer dwieście osiemdziesiąt trzy, kancelaria mecenasa Szułdryńskiego. – Dzień dobry mecenasowi – powiedział po krótkiej chwili. – Linde przy telefonie.

– Powitać pana doktora. – Głos Szułdryńskiego brzmiał rześko, radośnie. – Doktor listy przeczytawszy?

Emil nie mógł się nie uśmiechnąć. Miał pełną świadomość, że lwowski bałak w ustach mecenasa jest tylko facecją, tak czy owak jednak bawiło go to niezwykle.

– A i owszem – odparł. – Przeczytawszy.

– I co pan doktor na ten kont myśli?

Emil czuł, że nastrój poprawia mu się z sekundy na sekundę. Jeszcze bardziej niż przy rozmowie z Józią.

– Nie wiem sam – przyznał.

– Powiem panu, doktorze. – Szułdryński w ułamku sekundy zatracił cały lwowski zaśpiew. – Że po mojemu pańska małżonka jest w dużej potrzebie, skoro takie dęte pozwy szykuje. Wie pan, że mogę wygrać to na jednej, no, góra dwóch rozprawach? I aż mi się dobrze na duszy robi, jak pomyślę, że tego robaczka Bednarkiewiczza, co go pańska małżonka we Lwowie najęła, paluszkami w sądzie przyduszę. Da mi pan pełnomocnictwo?

– Gdyby chodziło o mnie – rzekł Emil – dałbym bez wahania. Ale choć to ja prowadzę za Karłą interesa, to jednak ona jest spadkobierczynią. Nic bez niej.

– Hmm... – zatroskał się Szułdryński. – Na pewno? Jest pan przecie w prawie.

– Jestem i nie jestem – westchnął Linde. – No nic. To tylko jeden z kłopotów, panie mecenasie. Dostałem pozew z konsystorza.

– Warszawskiego ani chybi – zachichotał Szułdryński. – Czyli pańska małżonka już w protestanckim stanie. A dlaczego to kłopot?

– Bo chce – mruknął niechętnie Linde – żeby sprawa się odbyła na mój koszt. A wie pan przecież, panie mecenasie, ile kosztuje kościelna sprawa. Zwłaszcza taka naciągana.

– Jak naciągana, to trzeba posmarować – zgodził się mecenas. – Za to tym akurat, panie doktorze, nie powinien pan sobie głowy zaprzętać. Koszty będą tylko w podrózach, bilety do Warszawy mają haniebnie zdrożeć...

– Dlaczego nie powinienem sobie zaprzętać tym głowy?

– Bo sąd katolicki – głos Szułdryńskiego brzmiał rześko – lecz przecież pańska małżonka jest teraz protestantka. Swojemu kosztów nie zasądzą, zwłaszcza że to pan doktor jest skrzywdzoną owieczką ze stadka. I to nawet nie zagubioną, jak mniemam.

Emil roześmiał się serdecznie. Humor poprawił mu się, jak się zdało, definitywnie. Telefon do Szułdryńskiego to był naprawdę dobry pomysł.

– Ale, ale... jeszcze ważna sprawa... – Głos Szułdryńskiego spoważniał nagle. – Skoro pan już napisze, że nie zgadza się pan na koszty, choć na rozwód i owszem, a jeszcze jak pańska małżonka się dowie, że

pieniądze z Byszewa to nie taka prosta rzecz, to pewnie powie temu swojemu kapitanowi.

– No i...? – zaciekawiał się Emil. Mecenasowi nie było jednak do żartów.

– Ja to prosto wytłumaczę – rzekł zwięźle. – Pańska małżonka rozwieść się chce nie dla figli-migli, tylko żeby wyjść za mąż, prawda? A komu bardziej na tym zależy: jej czy kapitanowi?

– Pewnie jej...

– A właśnie że nie! – zatriumfował Szułdryński – bo jemu.

Emil autentycznie się zdziwił.

– Dlaczego jemu?...

– Panie doktorze. – Szułdryński był samą wyrozumiałością. – Jak kapitan Wojska Polskiego żyje z mężatką, to niby profit, bo żadnych obowiązków, za to pewnie przyjemności pozamałżeńskiej sporo, prawda? Ale po prawdzie jest inaczej: przełożeni krzywo patrzą, awansu nie będzie, w opinii też kilka słów nie najlepszych się znajdzie, a małżeńskiego dodatku do żołdu ani widu.

– No dobrze, rozumiem – poddał się Emil. – Czyli pieniądze to jakby na posag. Tylko skąd ten pośpiech?

– Nic pan nie rozumie – odrzekł mecenas. – Trzeba im się spieszyć, bo jak się żenić, to do końca roku. Potem wojsko będzie żądać gwarancji, że oficer zdolny utrzymać rodzinę i że w banku ma na to dość odłożonych pieniędzy. Taki posag oficerski. Sumy jeszcze nie znam, ale mówią, że niemały to będzie grosz. Jak te nowe rozporządzenia wejdą, to już będę pewien, że wojna idzie, rozumie pan?

– Rozumiem... – mruknął Emil. – Żonaty oficer zawodowy to dobre w czas pokoju.

– A i to nie na pewno – uzupełnił mecenas. – Teraz niech pan doktor mądrze zarządzi, bo wszystkie potrzebne informacje pan ma.

– A co by pan mecenas radził? – zapytał Emil *pro forma*, bo i tak wiedział, co Szułdryński powie. I nie zawiódł się.

– Rozwieść się jak najprędzej – zabrzmiało z słuchawki – ale ani grosza za to nie dać, im bardziej zależy niż panu doktorowi. Jak pan doktor w formalnościach pomoże i przeszkód nie postawi, to przeżalują te pieniądze. Sprawy Byszewa przeciągać aż do rozwodu i powtórnego ślubu. Jak już się pobiorą, to pańska, już wtedy była małżonka łatwiejsza do

rozmów się okaże. A i pieniędzy nie będzie tyle jej trzeba, to i taka chciwa nie będzie.

– Czyli zarządzone – ucieszył się doktor. Oczekiwał, że Szułdryński potwierdzi, lecz usłyszał tylko chrząknięcie.

– Tylko jest jeszcze jedna rzecz – rzekł ciszej mecenas. – Teraz do ponownego ślubu pańskiej małżonki panu doktorowi uważać na siebie mus, bo kto wie, co kapitanowi z oszczędności do głowy wpaść może...

Emil nie wierzył własnym uszom.

– Mówi pan mecenas, że mógłby się na mnie zasadzić?

Szułdryński zakaszłał.

– Wiele wypadków na tym świecie widziałem – rzekł posępnie – i jednego więcej nie zniosę, rozumie pan doktor? To i mówię: pistolecik w kieszeń i jakby co, pierwsze strzelać, potem pytać. I po ciemnych zaułkach się wieczorami nie włóczyć.

– Zrozumiałem – mruknął Emil. – Już mi o tym jeden przyjaciel mówił.

– To i dobrze – skwitował Szułdryński. – Zawsze jak dwóch to samo radzi, chętniej się słucha.

– Dziękuję panu mecenasowi. Do Byszewa wybiorę się wkrótce, to i do Stojanowa zajrzę pana mecenasa uściskać.

– Zawsze miło witam. No to z Panem Bogiem. – Jego głos zabrzmiał filuternie. – Protestanckim czy katolickim.

Emil roześmiał się.

– Do zobaczenia. Jeszcze raz dziękuję panu mecenasowi.

– Do zobaczenia.

Emil odłożył słuchawkę, konotując sobie w pamięci kwotę, jaką winien wysłać Szułdryńskiemu za poradę i dla pewności mnożąc ją przez dwa. Poszedł w stronę kuchni. Zza drzwi wyjrzała Józia, która kończyła właśnie zmywanie naczyń.

– Józiu – poprosił – proszę świeżą kawę do gabinetu, dobrze? Musiałem pokonferować przez telefon i tamta mi wystygła.

– Już się robi, panie doktorze – powiedziała Józia.

Doktor wrócił do siebie. Wyjął listowy papier i zaczął pisać. Zapowiadało się pracowite popołudnie.

Pierwsze dni w Sheldon Manor miały Karli spokojnie. Ósmego sierpnia miały jechać z Baringami do Szkocji, czasu nie było za wiele, więc Karla postanowiła dostosować się do trybu życia Dorothy. Nie było to specjalnie trudne, rytm życia wyznaczała głównie pogoda. W pierwsze bezdeszczowe dni z samego rana ruszały wspólnie na konną przejażdżkę, potem Karla zasiadała do książek albo fortepianu, a popołudniami oddawały się niezobowiązującym rozmowom. Wieczorem siadały wspólnie przy kominku w salonie, Dorothy z papierosem i szklanką whisky, Karla – z filiżanką herbaty. Wszystko to dzielone było posiłkami, prostymi i smacznymi. Karli, zmęczonej aktywnością w Avebury, odpowiadał taki tryb życia, w pełni zaakceptowany przez dom, który – wraz z Henriettą z obrazu – zdawał się Karli sprzyjać we wszystkim.

Wszystko zmieniło się, gdy któregoś poranka Karłę obudził siekący w okna deszcz. Przeciągnęła się rozkosznie i jak zwykle zerknęła na obraz.

– Dzień dobry – wymruczała.

Odpowiedzi jak zwykle nie było, choć nie wątpiła, że dziewczynka patrzy na nią figlarnie. W komnacie panował mrok, wyglądało na to, że pogoda się na dobre zmieniała. Karla odrzuciła od siebie myśl, by przeleżeć w łóżku do śniadania. Było chłodno, wolała usiąść z książką przy kominku albo pogawędzić z Dorothy, która odkąd została z Karłą sama – bardziej niż zwykle była skora do rozmów. Opowiadała o swoim dzieciństwie, o szkołach, czasem przypominała sobie zabawne anegdotki z pierwszych lat pobytu w Krakowie. A ponieważ była świetnym gawędziarzem, a Karla doskonałym słuchaczem, rozumnym, uważnym i spostrzegawczym, to czas im się nie dłużył. Jednak dziewczynę dręczyło niedopowiedzenie, wszystko, czego słuchała, wydawało się raczej przykrywać, niż odsłaniać prawdziwą, czy raczej kompletną historię Dorothy.

Ubrała się szybko i zeszła na dół. Przy kominku zastała już swoją przyjaciółkę.

– Wcześniej dziś wstałaś – rzekła gospodyni na powitanie. Podniosła dzwonek i potrząsnęła nim. Chwilę później zjawiała się Susan. Dorothy spojrzała pytająco na Karłę.

– Proszę herbatę – powiedziała Karla. – I dwie grzanki.

– Nie jesz jeszcze śniadania? – zdziwiła się Dorothy.

– Dla mnie trochę za wcześnie. Powiedz, od jak dawna tu siedzisz?

– Wiesz, że mało śpię. Wstałam przed piątą. Na konną przechadzkę pada za bardzo, ale leżenie w łóżku to nie dla mnie. Cieszę się, że i ty nie lubisz barłóżyć.

– W przeciwieństwie do Kathy – roześmiała się Karla. – Co będziemy dziś robić?

– Chyba nic specjalnego. – Dorothy popatrzyła z namysłem na dziewczynę. – Myślałam, żeby zacząć uczyć cię jeździć samochodem, ale pogoda jest naprawdę paskudna, a dach w moim kabriolecie wymaga naprawy. Nie martw się jednak, kochana, to cię nie ominie.

– Wspaniale! – zapaliła się Karla. – W pierwszy pogodny dzień...

– ... boję się – rzekła Dorothy, sięgając po papierośnicę – że taki dzień nastąpi dopiero po naszym powrocie ze Szkocji. Na razie zaznasz tego, co na kontynencie zwie się angielską pogodą. Przynajmniej przez kilka najbliższych dni, kto wie, co może nas spotkać w Szkocji.

– Jeśli coś podobnego – Karla wskazała na lejący strumieniami deszcz – to nic wielkiego. Będziemy siedzieć przy kominku, ja siądę do fortepianu, Kathy może wróci do śpiewania... Ma dobry głos, wiesz o tym? Zresztą opowiadałam ci chyba w Byszewie.

– Pamiętam – potwierdziła Dorothy. Zapaliła papierosa i wydmuchała dym w stronę płonących w odkrytym palenisku polan. – Nie ciekawi cię, jak się mają sprawy z przyszlą macochą Kathy?

– Ciekawi mnie bardzo, ale tego nie dowiem się przed jej przyjazdem.

– Zapewne. – Dorothy kiwnęła głową. – Obserwowałam cię, nie wydawałaś się przesadnie zdziwiona całą sytuacją.

– Byłam zaskoczona. Chociaż chwilę później przypomniałam sobie, że pani Emily sprawia wrażenie, jakby była dobrze znana, ba! akceptowana przez towarzystwo. To nie był ktoś znikąd tak jak tata czy ja.

– Nie zapominaj, że i was to towarzystwo przyjęło jak swoich – zganiała ją łagodnie Dorothy. – Co w zasadzie w ogóle się nie zdarza.

– Zawdzięczam to twoim naukom – zaśmiała się Karla.

Dorothy pokręciła głową.

– Zawdzięczasz to swojemu ojcu – poprawiła ją. Przerwała na chwilę, bo Susan przyniosła herbatę i grzanki. Karla podziękowała i z rozkoszą zatopiła zęby w świeżo przyrumienionym, pokrytym cieniutką warstwą masła pieczywie. Gdy Susan odeszła, Dorothy ciągnęła dalej: – Większość z nich przez skórę czuje, kto jest kim. Nie potrzeba do tego fraków

z orderami ani rytowanych wymyślnie wizytowych biletów czy sfabrykowanych genealogii...

Karla natychmiast przypomniała sobie odpowiedni fragment prezentu od Dorothy.

– Od Noego począwszy, prawda? I z drzewem genealogicznym rodu autorstwa tego patriarchy?

Dorothy roześmiała się serdecznie.

– Tak właśnie. Widzę, że lektura przypadła ci do gustu.

– Znam ją prawie na pamięć. Ale czy są tacy, którzy nie wiedzą, kto jest kim?

– Ależ oczywiście. Tacy na wszelki wypadek traktują wszystkich wyniośle. Jednak nie o tym chciałam mówić. Jeśli tylko chcesz zostać w tym towarzystwie, ono cię przyjmie. Za to będziesz wystawiona na ciężkie próby.

– Już zostałam – mruknęła Karla. – Nawet sobie nie wyobrażasz, ile mnie kosztowała rozmowa z tymi panienkami...

– Cii... – Dorothy przyłożyła palec do ust. – Wiem, że w głowie kielkuje ci jakiś pomysł, ale jeszcze nie jesteś gotowa...

Karla spojrzała na Dorothy z prawdziwym przestraczem.

– Jesteś jasnowidząca? Bo nie uwierzę, że podszeptała ci to w nocy Henrietta, która przecież patrzy na mnie i zapewne też słucha.

– Nie – zaprzeczyła Dorothy – ale jestem kobietą, która na równi z twoim ojcem wychowywała cię, i przekonuję się, że to właśnie wychowanie ojca wygrywa. Z czego zresztą wypada się cieszyć.

Karla wolała zmienić temat. Z filiżanką w dłoni spojrzała na Dorothy.

– Może skoro nie wychodzimy, oprowadzisz mnie dzisiaj po domu? – spytała. – Czy wiesz, że nigdy nie byłam w kaplicy, nigdy nie byłam w północnym skrzydle, nigdy nie byłam...

– ... na strychu ani w piwnicach... – uzupełniła bez uśmiechu Dorothy. Wahala się najwyraźniej. – Zresztą zgoda. – Wstała. Cisnęła niedopałkiem do kominka. Zmierzyła Karlę wzrokiem. – Jesteś w całkiem odpowiednim ubraniu – powiedziała. – Tam jest zimno i brudno, te spodnie będą w sam raz. Możemy iść zaraz, jeśli tylko Charles jest gotów, zaczniemy od części kuchennej, pomieszczeń dla służby i piwnic, a nie masz nawet pojęcia, jak ciężki jest pęk kluczy. Nie mam zamiaru go sama nosić.

Przez kuchnię, kredens, jadalnię i pokoje służby przeszli szybko, Karla nie chciała przeszkadzać, choć wiedziała, że czasy największej świetności dworu już dawno minęły, a Dorothy zatrudniała ledwie kilkanaście osób. Z kolei przejście przez same piwnice zajęło im dobre pół godziny. Karla pozwalała sobie otwierać kolejne wrota i z podziwem przyglądała się lochom, z których znaczna część mieściła tylko starannie ułożone butelki trunków, pokryte festonami pajęczyn. Charles okazał się w tym wypadku prawdziwym znawcą, opowiadając o najciekawszych butelkach z taką czułością, jak entomolog opowiada o najcenniejszych okazach motyli. Karle zaciekawił mocno lamus, ale w zasadzie nie było możliwości wejścia doń bez konieczności wyciągnięcia na korytarz szczątków zabytkowych, złoconych mebli, resztek ram obrazów czy nawet samych obrazów, pozostawionych na zatracenie w piwnicy po jakiejś przebudowie sprzed dwustu lat. Kiedy wyszli znów do hallu, Dorothy odetchnęła głęboko.

– Co dalej? – spytała.

– Północne skrzydło?

Dorothy kiwnęła głową. Karli wydało się, że robi to z jakąś rezygnacją. Wzięła kilka kluczy od Charlesa i odprawiła go.

– Chodźmy – powiedziała z determinacją. – Zaprowadzę cię.

Po czym ruszyła szybkim krokiem, tak że Karla ledwo za nią nadążała. Do północnego skrzydła nigdy nie miała potrzeby się zapuszczać, szła tam z czystej ciekawości, ale im bardziej zagłębiała się w długi, ciemny korytarz, tym bardziej traciła ochotę na zwiedzanie. Miała wrażenie, że pogoda i zrozumienie, jakimi darzył ją dom – pewnie za sprawą Henrietty – tutaj znikają z każdym krokiem w głąb.

Dorothy zatrzymała się. Otworzyła jakieś drzwi.

– Tutaj był jego buduar – oznajmiła.

Karla zrozumiała, że mówi o swoim nieżyjącym mężu. Zajrzała do środka. Olbrzymie łoże z baldachimem, biureczko, orientalny parawan, zdobiony tłoczonymi z laku pelikanami, kącik toaletowy i – co ją zaskoczyło – złocona, rokokowa toaletka z olbrzymim, ślepnącym powoli lustrem i mnóstwem szufladek.

– Dbał o cerę – mruknęła złośliwie Dorothy.

Karla objęła wzrokiem wyposażenie pokoju, dziwne, niepasujące do reszty dworu i gospodyni. Czuła się źle, ten pokój, z pozoru dość zwyczajny, urządzony bez gustu jakby przypadkowo dobranymi meblami, zabierał jej

oddech i chęć do życia. Cofnęła się, nie próbując nawet wchodzić do środka. Dorothy dostrzegła to. Sięgnęła do klamki i zamknęła drzwi.

– W tamtym pokoju toczyło się jego marne życie – powiedziała. – Ale tutaj...

Przeszła kilkanaście kroków. Wyciągnęła klucz i otworzyła pozbawiony okien pokój. Sięgnąwszy do włącznika, zapaliła światło. Żarówka zamrugła i rozświetliła wnętrze.

– Pokój myśliwski.

Weszły do środka. Karli aż zapało dech. Broń była przepiękna, pokolenia najlepszych rusznikarzy trudziły się latami, by kolekcja podobna do tej mogła powstać. Wzdłuż ścian ciągnęły się oszklone szafy, w dolnych szufladach przechowywano zapewne amunicję. Na blacie leżał myśliwski sztucer. Dorothy wskazała coś na suficie.

– Spójrz tam – rzekła.

Karla przyjrzała się i zobaczyła tkwiący w miękkim drewnie pocisk.

– To stało się tutaj – rzekła Dorothy beznamyślnie. – Postarałam się, żeby w przyczynę śmierci wpisano „wypadek przy czyszczeniu broni”. Nie było to łatwe, strzelił sobie ze sztucera w podbródek tak, że kula wyszła czubkiem głowy. Widziałas kiedy taki wypadek? I widziałas, żeby ktoś czyścił naładowaną broń?

Karla patrzyła to na sztucer, to na Dorothy, niepewna, czy Dorothy nie żartuje. Zresztą jak można było żartować w podobny sposób.

– Mówisz poważnie? – spytała wstrząśnięta. – Ale czy to znaczy...

– Zostawiłam to na pamiątkę – mruknęła Dorothy – kazałam tylko posprzątać, ale zostawić kulę. Niełatwo było przekonać do tego koronera, ale tu akurat nie były potrzebne pieniądze, raczej znajomości.

– Dlaczego... – zaczęła Karla.

Dorothy odwróciła się do niej.

– Wieczorem – powiedziała. – Nie teraz.

– Już raz tak mówiłaś.

– Wieczorem – powtórzyła. Podeszła do drzwi i zgasiła światło. – Idziesz, czy zostajesz?

Karla podeszła do niej i objęła Dorothy. Zrozumiała w jednej chwili, ile ją kosztowało przyjscie w te dwa miejsca.

– Przepraszam – powiedziała cichutko. – Byłam głupia i niewrażliwa. – Ale naprawdę nie wiedziałam...

– Cicho – rzekła Dorothy z czułością, wyzwalając się z jej uścisku. – Idziemy. Mam teraz sprawy, nie będzie mnie też na obiedzie. Dom jest twój, rób, co chcesz. Spotkamy się wieczorem.

Wyprowadziła Karłę z pokoju myśliwskiego i starannie, na klucz zamknęła drzwi.

– Wieczorem – powtórzyła i szybkim krokiem oddaliła się w stronę swoich pokoi.

Karla wolno ruszyła za nią. Im bardziej zbliżała się do hallu, tym jaśniej myślała, tym bardziej czuła, że w jej serce wlewa się otucha.

– Dzięki, Henrietto – wyszeptała.

Dorothy odwróciła się z pytaniem w oczach.

– Nic, nic – rzekła szybko Karla. – Widzimy się wieczorem. Tak jak obiecałaś.

Cały dzień upłynął Karli w oczekiwaniu. Nie mogła znaleźć sobie miejsca. Snuła się po olbrzymim pustym dworze, nie spotykając nikogo, służba nie zapuszczała się do dworu, a że dzwonki w pokojach milczały – nikt nie przebiegał w pośpiechu przez korytarze. Karla zaczęła powoli rozumieć, że Sheldon Manor umiera. Wolno, kamień po kamieniu, pokój po pokoju odchodzi do historii wraz z tymi, którzy go zaludniali, którzy sprawiali, że gwar i ruch trwały w nim nieprzerwanie, w dzień i w nocy. A gdy zaczęło się ściemniać, gdy po późnym podwieczorku siedziała w ciszy w salonie, wpatrując się w płonący w kominku ogień, zrozumiała wreszcie z całą jasnością, jak upiornie samotna jest w tym domu Dorothy. Że to, iż niemalże nie śpi, siedząc przez pół nocy w salonie, i wstaje świtem, by iść do stajni i osiodłać któregoś z koni, to jedyne, co może zrobić, by choć przez chwilę poczuć się wolna, swobodna i młoda. Ona, sześćdziesięcioletnia kobieta, wdowa, bez dzieci i z majątkiem, który jest bardziej ciężarem niż wygodnym dodatkiem do szczęścia. Pojęła też, dlaczego jej ojciec prosił, by pomieszkała przez kilka tygodni z Dorothy, zanim podejmie jakąś decyzję. On wiedział.

– Zamyśliłaś się – usłyszała znajomy głos. Poderwała się nagle.

– Tak – odpowiedziała.

Dorothy usiadła obok.

– Jak ci minął dzień?

Karla popatrzyła na nią poważnie.

– Samotnie.

Dorothy kiwnęła głową, jakby zgadzała się na tak lapidarną odpowiedź.

– Byłam w Chippenham. U mojego prawnika.

– Myślałam, że to prawnik przyjeżdża do ciebie, w razie potrzeby.

W Byszewie zawsze tak bywało.

– To inna sprawa.

Wstała i podeszła do barku. Wyjęła z niego karafkę whisky i nalała sobie.

– Chcesz? Jesteś już prawie dorosła.

– Raczej nie, dziękuję. Nie piłam jeszcze mocniejszego alkoholu. Tylko szampana i raz, w Paryżu, wiśniówkę...

Dorothy przyjęła to na poły dziecięce zwierzenie uśmiechem, kiwnęła głową i zamknęła szafkę. Sięgnęła po papierosa.

– Od początku czy od końca?

– Od końca.

Dorothy spojrzała zdziwiona.

– Nic się nie dzieje bez przyczyny – dodała dziewczyna. – Dlaczego się zabił?

Dorothy zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko. Karla obserwowała ją uważnie. Podziwiała opanowanie kobiety, której nie zadrżała nawet dłoń. A miała mówić o rzeczach dla niej najtrudniejszych.

– Zabił się – rzekła Dorothy – bo wyszło na jaw to, co robił.

– A co robił?

Dorothy popatrzyła dziewczynie w oczy.

– Sprowadzał do Sheldon Manor chłopców. Kilkunastoletnich, często młodszych – odpowiedziała spokojnie. – I gwałcił ich. W buduarze, który ci pokazałam.

Karla poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Spokój i bezwzględność, z jaką Dorothy powiedziała te słowa, przeraził ją jak nic w życiu. Przed oczami stanęła jej komnata w północnym skrzydle.

– Potem obdarowywał ich – ciągnęła beznamiętnie Dorothy. – I odsyłał.

– Dokąd? – jęknęła Karla.

– Do sierocińca – odrzekła głucho Dorothy. – W okolicy Chippenham.

Karla była bliska utraty zmysłów. Opanowała się tylko cudem.

– Dorothy – szepnęła cichutko – czy możesz nalać mi odrobinę whisky?

Dorothy podsunęła jej swoją szklaneczkę. Wstała i wyjęła drugą oraz karafkę. Karla drżącą dłonią ujęła kryształ. Wzięła do ust mały łyżeczek ognistego płynu i przełknęła. Westchnęła głęboko. Alkohol palił jej przełyk, czuła rozchodzące się od żołądka ciepło. Tymczasem Dorothy nalała sobie z karafki i dołożyła do kominka. Po krótkiej chwili kolejne polano zajęło się ogniem. Patrzyła na Karlę, która zdawała się powoli dochodzić do siebie.

– Wszystko, co teraz powiem – rzekła Dorothy – będzie błahostką. Chciałaś od końca, może to i lepiej, wiesz, czego się spodziewać.

Zawiesiła na chwilę głos. Karla czekała z napięciem.

– Wyszłam za mąż – kontynuowała Dorothy – co trudno w tej chwili zrozumieć, z miłości. Czasy były piękne, tysiąc dziewięćset piąty rok. Uwierzysz, że miałam wtedy dwadzieścia siedem lat? Że w ogóle kiedykolwiek miałam dwadzieścia siedem lat? Bardzo późne małżeństwo, niektórzy myśleli, że zostanę starą panną, bo choć nie brakowało mi majątku, a starał się niejedyn, to jednak bardzo nie chciałam wyjść za kogoś, z kim będzie mnie łączyło tylko małżeństwo...

– Nie jesteś stara – powiedziała Karla.

Dorothy zaśmiała się cicho.

– Przyznaj, że kiedy po raz pierwszy mnie zobaczyłaś, wydawałam ci się babcią. Miałam ledwo pięćdziesiątkę i bardzo się starałam wyglądać na kostywną nauczycielkę.

– Prawie ci się udało – wtrąciła z uśmiechem dziewczyna.

– I wtedy – ciągnęła Dorothy – w tysiąc dziewięćset piątym roku spotkałam kogoś, kto stał się moim ideałem. James: dobra rodzina, przystojny, czuły, delikatny, i zdawało się zakochany. Przyszła chwila, o której ci mówiłam, chwila, która jest przekleństwem kobiety, gdzie pragnienia i marzenia spotykają się z potrzebami, przysłaniając oczy i pętając rozum. Wydawało mi się, że jestem szczęśliwa, że to, co czułam wtedy, potrwa całe życie. Wszyscy zakochani tak mają, ale tylko nielicznych spotyka to szczęście. Wyszłam za niego rok później.

Zaciągnęła się papierosem i wyrzuciła niedopałek.

– To były piękne czasy – ciągnęła – pięć lat wcześniej zmarła królowa Wiktorja, tron objął jej syn, Albert Edward. Powiało świeżością, nowością,

poczuliśmy się jak w innym świecie. Nie na długo wprowadzie, ale to był dobry początek. Szybko wszakże się okazało, że nie dla mnie. Mój ukochany, James Fitzpatrick, który jak się zdawało, był wzorem antycznego piękna i mądrości, okazał się człowiekiem o bardzo antycznych upodobaniach erotycznych. Krótko mówiąc, gustował w mężczyznach. Bardzo szybko mieliśmy już osobne sypialnie. Wkrótce trafiła się okazja, spadkobiercy Sheldon Manor wystawili go na sprzedaż, dom i majątek kupił mój ojciec i podarował nam na szóstą rocznicę ślubu. Zapis w akcie darowizny był jasny – póki jesteśmy małżeństwem, domostwa nie wolno sprzedać ani zastawić. Ojcu bardzo zależało na tym, by ta nowa gałąź rodziny kwitła, z jego majątku szła dość spora roczna suma na utrzymanie kolejnego gniazda, choćby i po kądzieli. Tyle że ja przecież nie miałam dzieci...

Sięgnęła po swoją szklaneczkę i wychyliła ją duszkiem.

– Wkrótce – podjęła – wybuchła wojna. Mój mąż został zmobilizowany, dowodził jakimś oddziałem Indyjskich Sił Ekspedycyjnych w Persji. Nie pytaj mnie, co Persja ma wspólnego z Indiami, nie mam pojęcia. Dość, że na samym początku dostał ranę w pachwinę i odesłano go z honorami i odznaczeniem do domu. Powitano go rzecz jasna jak bohatera, częściej bywał w rozjazdach niż w domu, odwiedził wszystkich możliwych krewnych, tworząc mit swojego bohaterstwa. Zapewne wtedy – uśmiechnęła się złośliwie – odkrył, że nową formą erotycznych awansów do wybranych skrupulatnie mężczyzn może być pokazanie blizny, którą miał w prawej pachwinie, nieszczęściem dosłownie dwa-trzy cale za bardzo w prawo i w dół.

Karla uśmiechnęła się nieznacznie, ale opanowała się niemal natychmiast. Wesołość nie była jednak na miejscu.

– Rozumiesz chyba – mówiła dalej Dorothy – że zgroza, z jaką mężczyźni określonych upodobań oglądali jego ranę, zwiększała skuteczność późniejszych podbojów. Kłopot był jednak w czymś innym. Otóż zaczął pokazywać bliznę coraz to młodszym mężczyznom. Również i takim, którzy nie chcieli jej oglądać. Na domiar złego zaczął sprowadzać ich do Sheldon. Nie mogłam tego znieść. Był rok dwudziesty trzeci, ja miałam czterdzieści pięć lat, męża, z którym nie sypiałam, rodzinę męża, która zapatrzona w bohatera wojennego ślepa na jego zachowania – i groby rodziców. Umarli krótko po sobie, ojciec w dwudziestym, mama w dwudziestym drugim roku. Na pogrzebie mamy był wuj Hieronim. Bardzo

mnie zawsze lubił. Przypomniałam sobie, co mi powiedział na pogrzebie: jeżeli kiedykolwiek zechcesz być wśród ludzi, którzy cię kochają, a nie wśród takich, którzy zaledwie respektują twoje nazwisko, przyjeźdź do nas. Klonów zawsze będzie twoim domem. Z dnia na dzień spakowałam się, oświadczyłam mężowi, że wobec faktu, że rozwód w naszej sytuacji nie wchodzi w rachubę, wyjeżdżam na większą część roku do krewnych w Polsce. Ten dom będę traktowała jako letnią rezydencję, w której ma go nie być od czerwca do września. Zgodził się...

– Dlaczego się nie rozwiodłaś? Przecież...

– Przecież u nas to możliwe. Wiedziałam, że zniszczył mi życie, ale nie czułam się na siłach wtrącać go do więzienia. Pamiętaj, tutaj homoseksualizm jest nielegalny, choć gdyby rzeczywiście karano wszystkich, więzienia by się przepełniły, a jest w nich nadal dość miejsca. Gdybym chciała rozwodu i utrzymania tego, co moje, musiałabym podać powód. Wtedy nie wybaczyłby mi nikt. A zwłaszcza jego rodzina.

Karla nie odezwała się. Sięgnęła po swoją szklanekę i pociągnęła znów mały łyk.

– Hieronim przywitał mnie z otwartymi ramionami. Wszystko to, co powiedział na pogrzebie, było prawdą. Było mi dobrze, byłam spokojna, prawie szczęśliwa. Przeżyłam tak dwa lata, wracając do siebie na lato i zjeżdżając do Hieronima zimą. Zrozumiałam jednak szybko, że muszę coś zrobić, że nie pozwolę sobie na zgnuśnienie, na pławienie się w błogiej beczynności. Wtedy – w jej głosie coś się zmieniło – wtedy poznałam twojego ojca. Przyjechał do Klonowa nie jak zazwyczaj, końcem sierpnia, gdy byłam jeszcze w Sheldon, lecz w październiku. Nie rozumiałam, kim jest ani dlaczego mój wuj traktuje go jak syna, ale wiedziałam, że jest mężczyzną niezwykłym. Szybko się zaprzyjaźniliśmy, niestety musiał wyjechać, nasza znajomość przeszła w wymianę listów, potem się częściej widywaliśmy. Emil rozumiał od początku, że bycie – jak to mawiają Polacy – panną respektową u Donimirskich może ciążyć, choćby i respekt był prawdziwy. Jakiś czas później zaproponował mi, żebym się przeniosła do Krakowa i wprowadziła w życie jego małą córeczkę. Może mogłam się tego spodziewać, ale nie przewidziałam, naprawdę nie przewidziałam, że stanie się moją ukochaną przyjaciółką. A jej ojciec – najbliższym z przyjaciół.

Zamilkła. Karla patrzyła w ogień. Było zupełnie ciemno, światło dawane przez żarzące się polana nie rozświetlało salonu. Dorothy podeszła

do żaru, rozgrzebała go i wrzuciła dwa nowe polana. Sięgnęła do włącznika elektrycznej lampki.

– Nie pal światła, proszę – odezwała się cichutko Karla. – Powiedz, co było dalej.

Dorothy usiadła w fotelu.

– W Krakowie życie nabrało rumieńców – powiedziała. W jej głosie Karla słyszała uśmiech. – Nie wiem, czy kiedykolwiek do ciebie dotarło, że pokochałam cię tak, jakbyś była moją własną córką.

– Zrozumiałam to późno – szepnęła Karla – ale zrozumiałam.

– To dobrze. Wiesz, uczyłam w Krakowie angielskiego różnych ludzi, mój polski, który pamiętałam z wczesnego dzieciństwa, stawał się coraz lepszy, ale zawsze czekałam na te kilka godzin, które dawałyśmy sobie. Miałam w tobie wierną, mądrą i pilną uczennicę. Widziałam w tobie ojca... – przerwała. – A w Anglii – podjęła szybko – było coraz gorzej. Przez dwa ostatnie lata jeden z chłopców, który przedwcześnie osiągnął dorosłość, z poczucia krzywdy i zemsty zaczął szantażować mojego męża. Ten ugiął się. Dawał mu pieniądze, coraz więcej pieniędzy, szantażyści zawsze przecież wracają po więcej, ale nigdy nie było dość. Sheldon Manor nie dało się sprzedać, nie dało się zastawić, na utrzymanie szły środki z zapisu po moim ojcu, więc mąż nie miał innej możliwości, jak zapożyczać się na prawo i lewo. Wreszcie, gdy nie miał już żadnej furtki, żadnego sposobu na wypłacenie się, próbował zabić szantażystę. Ten jednak ocalał i poszedł na policję, zanosząc wszystkie dowody i oskarżając mojego męża o próbę zabójstwa i wielokrotny homoseksualny gwałt. Dotarł nawet do tych nieszczęśników z sierocińca, zebrał ich zeznania. Tego mój mąż nie mógł znieść. Zrozumiał, co go czeka.

Dorothy zamilkła.

– Służbę obudził strzał – podjęła. – Znaleziono go w pokoju myśliwskim. Rodzina dołożyła starań, aby zeznania zostały wycofane, a dowody zniszczone. Wydali na to fortunę, ja zaś przekonałam się, że nawet angielska policja może być przekupna, to tylko kwestia ceny. Moją ceną za spokój było przekonanie konstabla, że był to wypadek, nie samobójstwo. Honor rodziny Fitzpatrick został zachowany – rzekła zgryźliwie. – Nie do końca jednak. Ponieważ po jego śmierci Sheldon Manor przeszło na moją własność, rodzina, której majątek został mocno nadszarpnięty przez lata birbantki i wypłacania się szantażyście, nie mówiąc już o finale historii, postanowiła wytoczyć mi proces o część majątku.

– Co takiego?!

– Tak. – Dorothy kiwnęła głową. – Jeśli wygrają, będę zmuszona sprzedać Sheldon Manor i połowę środków przekazać przedstawicielom rodziny byłego męża. Co gorsza, nie mam w tym wsparcia mojej rodziny, która już ma dość egzekwowania testamentu ojca i łożenia środków na utrzymanie dworu i służby. To, co dostaję z dzierżaw terenów, wystarczy na moje godziwe utrzymanie, ale jeśli sprzedam dwór, to na pewno wraz z ziemią, i w ten sposób stracę dochody. Jeśli tak się stanie, kupię jakiś niewielki dom, resztę pieniędzy ulokuję na procent i będę spokojnie żyła aż do śmierci.

– A pan Hieronim...

– Hieronim bardzo mi pomaga w sprawach majątkowych, podtrzymuje mnie też na duchu w mojej walce, ale nie chcę się stać uciążliwa. Prawie podjęłam decyzję. Prawie, bo jeszcze nie mogę się zdobyć na sprzedaż Sheldon Manor. Potrzebuję jednego dobrego powodu. Choćby i pretekstu.

– A... – zająknęła się Karla – ... pan Baring?

– William jest człowiekiem bardzo bogatym. Pochodzi też z dobrej rodziny i wszystko rozumie. Myślał nawet, aby odkupić ode mnie majątek dla córki, ale wiesz, że Kathy nie czuje się tutaj dobrze. Dlatego sam radził mi, abym pozbyła się dworu.

– Będiesz umiała tak żyć?

Dorothy nie odpowiedziała. Karla dopiła resztę whisky ze szklaneczki. Widać było, że zbiera się na odwagę. Jej przyjaciółka sięgnęła po karafkę i dołała sobie i Karli. Czekwała, co powie.

– Wysłucham – zapewniła. – Nie bój się.

– Nie boję się – skłamała Karla.

Dorothy tylko się uśmiechnęła.

– No dobrze – przyznała Karla. – Boję się. Bo widzisz... – zawahała się – wszystko, co zrobiłam, wszystkie decyzje, które podjęłam, wszystko to wydarzyło się za szybko. Nic nie mogę, mam ledwie siedemnaście lat...

– ... choć myślisz i mówisz, jakbyś miała o pięć lat więcej – wpadła jej w słowo Dorothy.

– To niczego nie zmienia. – Karla trzymała teraz kryształową szklaneczkę i wpatrywała się przez złoty napój w ogień. – Nie mogę nic. Mogę tylko marzyć. I pytać przyjaciół, czy zechcą w tych marzeniach wziąć udział.

Dorothy czekała cierpliwie.

– Kiedy parłam do tego, by zdać maturę, by wyjechać, by uciec – mówiła Karla – nie zdawałam sobie sprawy, dokąd uciekam. Wydawało mi się, że znalazłam w szafie ukryte drzwi do baśniowego świata, przez które starczy tylko przejść. A gdy przez nie już przeszłam, zrozumiałam, że to nie dla mnie. Nie chcę żyć życiem panienek z dworów, czekając na księcia z bajki albo intrygując, jak by tu podmienić ten pantofelek, który znalazł na balu księżę, na swój. Nie chcę dzielić losu Kathy, nie chcę, aby spotkało mnie to samo, co spotkało ciebie. Powiedziałam to ojcu, choć nieco inaczej.

– Zrozumiał, prawda?

Karla kiwnęła głową, nadal patrząc w szklanekę, która wyglądała, jakby dziewczyna trzymała w niej płynny ogień.

– Dorothy – powiedziała nagle – mam dla ciebie propozycję. Szaloną. Może nawet zupełnie szaloną.

Dorothy przyglądała się jej uważnie w półmroku rozświetlanym płomieniami z kominka i nagle, po raz pierwszy w życiu, dostrzegła w niej kobietę. Nie przedwcześnie rozwinięte dziecko, ale kobietę. Świadomą i mądrą.

– Nic tu po nas – ciągnęła Karla – i dobrze o tym wiesz. Trzymają cię tutaj tylko wspomnienia dawnych nadziei z czasów, gdy królem był Edward VII, świat był piękny, a ty właśnie z wielkiej miłości wychodziłaś za mąż.

– I konie... – mruknęła Dorothy.

– I konie – zgodziła się Karla. – To rzeczywiście problem, ale niewielki i łatwy do rozwiązania. Mnie trzymasz tutaj tylko ty. Nie pozwolę, żebyś tkwiła sama w olbrzymim, pustym dworze, wypalała setki papierosów i wypijała morze whisky, żyjąc przeszłością, z jedyną rozrywką w postaci rannych przejażdżek albo raz na jakiś czas wizyt Ashleyów, Baringów czy innych jeszcze. Byłaś szczęśliwa w Krakowie, bo zobaczyłaś w życiu jakiś cel. Nie wiem jaki, ale miałaś go bez wątpienia. Zostawmy Sheldon Manor i poszukajmy jakiegoś celu. Wynajmijmy niewielki, niedrogi dom, gdzieś niedaleko Oksfordu. Ja rozejrzę się za pracą, ty za ciekawym zajęciem. Będę dokładać się z zarobionych pieniędzy do kosztów utrzymania, a latem pojedziemy na wakacje do Klonowa, odwiedzimy Byszewo, może przekonasz się do siwych kłaczy... Przez ten czas zdecydujesz, czy sprzedać Sheldon Manor, a jeśli tak, to na jakich warunkach. Zgadzasz się?

Dorothy zaśmiała się. Propozycja była niezwykła. I – nie sposób było zaprzeczać, że kusząca.

– Przemyślę to – odparła. – Naprawdę to przemyślę.

Podniosła szklaneczkę.

– Karła, wypijmy za nowe plany i nowe możliwości.

Rozległ się cichy, dzwoneczkowy dźwięk stukających w siebie szklanek.

– I w ten oto sposób – rzekła Dorothy – deprawuję moją nieletnią przyjaciółkę, niemal upijając ją whisky.

– Niemal – uśmiechnęła się Karła i wstała. Sądziła, że świat zakołuje wokół niej, że będzie musiała znów usiąść, ale nic takiego się nie stało. – Pójdę już spać. Nie siedź za długo.

Dorothy zachichotała.

– Czy mi się tylko zdaje, czy zamieniłyśmy się rolami, kochana?

Karła roześmiała się serdecznie. Było jej błogo i lekko.

– Dobrej nocy – powiedziała i lekkim krokiem poszła w stronę światła przesączonego się z uchylonych na hall drzwi. Dorothy odprowadziła ją wzrokiem. Westchnęła. Gdy usłyszała cichy stukot bucików o kamienne schody, odezwała się cicho:

– Gdybyś wiedziała, jak bardzo bym chciała mieć córkę taką jak ty...

Dopiła resztkę whisky ze szklanki.

– Z Emilem – dodała prawie szeptem, wpatrując się w ogień.

Karła zbudziła się o świcie. Świadomość wracała jej powoli, w głowie miała ucisk i delikatny szum. Przez dłuższą chwilę nie rozumiała, co się stało.

– To ta wczorajsza whisky... – wymamrotała wreszcie. – Dzień dobry, Henrietto.

Otworzyła oczy i spojrzała w okno. Po wczorajszych ulewach nie było nawet śladu, przez błękitne niebo przemykały gnane wiatrem niewielkie chmurki. Postanowiła zebrać się jak najszybciej; chciała dołączyć do Dorothy, która pewnie wybierała się właśnie na swoją codzienną konną przejażdżkę.

Wstała i poszła do łazienki. Strumień chłodnej wody na głowę koił, porządkował myśli i wracał wspomnienia ostatniego wieczoru. Gdy po szybkiej toalecie ubrana w strój do konnej jazdy schodziła pośpiesznie na

dół, próbując ułożyć sobie w głowie wydarzenia, niemal zderzyła się z Susan.

– Dzień dobry panience – dygnęła Susan.

– Dzień dobry – uśmiechnęła się przyjaźnie Karla. – Czy pani poszła już do stajni?

– Pani wyjechała dziś przed świtem do Londynu – wyrecytowała Susan. – Kazała powiedzieć, że wróci jutro.

– Tak nagle wyjechała? – zdziwiła się Karla. – I beze mnie? Nic mi nie mówiła.

– Mnie też nie, proszę panienki. Czy przygotować śniadanie?

– Za godzinę, półtorej – zdecydowała Karla. – Idę osiodłać.

– Masztalerz powinien być jeszcze w stajni. Ale lepiej niech się panienka pospieszy.

Karla nie trzeba było dwa razy powtarzać. Pomknęła do wyjścia. Kwadrans później jechała samotnie przez pola. Tereny wokół Sheldon były olbrzymie, tylko najbardziej zewnętrzne były uprawne, większość z nich stanowiła nieużytki, koszone od przypadku do przypadku. Starannie utrzymane było za to najbliższe otoczenie dworu. Teraz dopiero Karla zrozumiała, że nikt się nie zajmuje poważnie interesami Sheldon Manor. Pozostawienie takich terenów bez opieki wydało jej się czymś na pograniczu zbrodni. Pamiętała staranność, z jaką rządcza babci Aleksandry planował wykorzystanie otoczenia dworu. A może nie było tu podobnych zwyczajów?

Zastanawiała się, co skłoniło Dorothy do nagłego wyjazdu, bo przecież chyba nie ich wczorajsza rozmowa? Karla aż wzdrygnęła się na myśl o północnym skrzydle dworu, o bezradności i samotności gospodyni – i pewnie o wywołanej przez alkohol śmiałości, z jakim zdradziła przyjaciółce jej szalony plan.

– Najwyżej nic z tego nie będzie – mruknęła do siebie i mocniej dołożyła łydki. Koń, któremu też chyba znudził się leniwy stęp, zagalopował natychmiast. Karla z uznaniem zerknęła na koński łeb.

– Dobrze się nam współpracuje – pochwaliła z uśmiechem. Zauważyła, że powoli nabiera wprawy, że już się nie męczy w galopie tak bardzo jak kiedyś. „Tata byłby ze mnie dumny” – pomyślała i nagle sobie uświadomiła, że to już środa, w najbliższy piątek miała zadzwonić do ojca, a w sobotę mieli ruszyć do Szkocji. Czas zleciał naprawdę szybko.

Karosz galopował rażno. Karla nie chciała zmuszać jego ani siebie do dużego wysiłku, raczej chciała, by wyparowały jej z głowy resztki wczorajszej whisky. Kwadrans później dojeżdżała do stajni. George czekał już na nią.

– Wyczyszczę sama, dobrze? – powiedziała, zeskakując.

– Jak sobie panienka życzy – rzekł George. – Mogę pomóc.

– Nie trzeba. – Karla przełożyła wodze przez głowę karosza, podciągnęła strzemiona i popuściła popręg. – Lubię być z końmi.

– Ja też, proszę panienki.

Karla roześmiała się.

– W takim razie podzielimy się pracą. Rozsiodłaj go, a ja wyczyszczę i wykopystкую.

– Dobrze, proszę panienki.

Masztalerz sprawnie rozsiodłał konia, zdjął uprząż i założył kantar, gdy tymczasem Karla przygotowywała narzędzia. George przyglądał jej się z ukosa, gdy czyściła konia. Doświadczenie podpowiadało mu, że nie ma tu mowy o przypadku. Panienka Karla rzeczywiście wszystko wiedziała o koniach. Szukał jakiegoś błędu, jakiegoś przeoczenia, czegoś, co będzie mógł poprawić, ale bezskutecznie. A co najważniejsze, ta sprawność dowodziła niezłej praktyki.

– Czy mogę o coś panienkę spytać?

– Właśnie pytasz – zaśmiała się Karla, gładząc konia po boku szyi. – Słucham.

– Kto panienkę uczył?

– Ojciec – odparła bez wahania. – A w moim rodzinnym dworku – twój odpowiednik. Nazywa się Bolech. Trzecie pokolenie jego rodziny zajmuje się u nas końmi.

– A pani ojciec to...

– Emil Linde.

George aż się wyprostował.

– To panienka jest córką pana Emila Lindego? – Z jego głosu było przejęcie. – Przepraszam, naprawdę nie wiedziałem. Nikt mi nie powiedział. A mogłem się domyślić...

– To naprawdę nieważne. – Karla biła się z myślami, dlaczego dla George'a było to aż tak ważne.

– Proszę panienki, jeśli tylko panienka zechce, możemy razem pojechać gdzieś dalej – rzekł uroczyście George. – Panienki ojciec opowiadał o waszych wycieczkach konnych, tyle o panience wiem!...

– Tata opowiadał o mnie...?

– I lady Hamilton-Smythe również!

Karla roześmiała się.

– Tymczasem pewnie trzeba będzie przejechać pozostałe konie – powiedziała. – Czy ktoś oprócz Dorothy na nich jeździ?

– Tylko pan Emil, kiedy przyjeżdża – posmutniał George. – Pusto w tym dworze, proszę panienki.

– Co zrobić – westchnęła Karla. – Idę. Jestem już głodna. A czy mogłabym...

George popatrzył pytająco.

– Czy mogłabym przejechać jeszcze ze dwa konie dzisiaj? – spytała. – Taki piękny dzień...

Masztalerz rozpromienił się.

– Oczywiście, proszę panienki – rzekł. – Niech tylko panienka powie Susan, ona już szepnie któremuś z chłopców, a ci mnie zawiadomią. Jestem tu cały dzień.

– Świetnie. – Z kieszeni kurteczki wyjęła kawałek wczorajszego jabłka i podała ogierowi. Ten schrupał przysmak bez wahania. – Wrócę pewnie przed obiadem, Dorothy nie będzie dzisiaj.

George kiwnął aprobująco głową.

– Będę czekał niecierpliwie – powiedział.

Karla szybkim krokiem poszła w stronę dworu. Susan chyba widziała, jak wraca, bo gdy weszła do jadalni, wszystko już było przygotowane, a bekon jeszcze skwierczał na talerzu.

– Tego mi było trzeba – mruknęła Karla, biorąc do rąk sztucce.

Śniadanie zjadła z apetytem. Wstała, podziękowała Susan i poszła do siebie. Kwadrans później przebrana zeszła na dół i otworzyła wieko fortepianu. Grała na nim już sporo, instrument miał dźwięk ładny, na pewno mniej piękny, szlachetny i potężny niż u Baringów w Avebury, ale były w nim ciepło i miękkość. Karla wstała, podniosła wielką mahoniową pokrywę, podparła ją i znów usiadła do instrumentu. Zaczęła od rozćwiczenia palców. Jeden pasaż, drugi... Nagle w dźwięki fortepianu wdarł się dzwonek telefonu. Po chwili przybiegła Susan.

– Proszę panienki – wysapała – telefon.  
– Kto dzwoni tak wcześnie? – zdziwiła się Karla.  
– Panienska Kathy Baring z Avebury.  
– Kathy? – Karla zdziwiła się jeszcze bardziej. – Biegnę! – Zerwała się z fortepianowego stołka. – Gdzie telefon?

Susan wskazała jej drzwi do hallu. Karla skierowała się w tamtą stronę. Niecierpliwie podniosła słuchawkę.

– Jak się masz, kochana? – spytała radośnie. – Chyba doskonale, skoro dzwonicz o tak wczesnej porze.

– Przeciwnie, nie najlepiej – dobiegło z słuchawki. Głos Kathy brzmiał, jakby nie spała od co najmniej doby.

Karla przysiadła na niewielkim stołeczku.

– Powiesz coś więcej? – spytała z troską.

– Rozmówiłam się z Emily – rzekła Kathy ponuro. – Mamy zawieszenie broni.

– Dobrze i to – stwierdziła Karla.

– Nie wiem.

– Dlaczego?

– Będzie długie. Ślub dopiero wiosną przyszłego roku. – Głos Kathy pobrzmiwał smutkiem.

– Naprawdę? – Ucieszyła się Karla. – A dlaczego mówisz, że macie zawieszenie broni?

– Bo Emily... jak by tu powiedzieć...

Karla pokiwała tylko głową.

– Kathy – rzekła – kocham cię bardzo, więc pozwól, że powiem ci to, co tobie nie przejdzie przez gardło. Emily ci się spodobała, pewnie jest dobrym człowiekiem, ale masz pretensje do taty, że o niczym ci nie powiedział, więc myślisz, że powinnaś zachować rezerwę i dystans...

Słuchawka nie odpowiedziała.

– Halo, halo, jesteś tam? – zaniepokoiła się Karla.

– Jestem – rzekła ponuro Kathy. – Jak zwykle masz rację. Dlaczego mój własny ojciec uważa mnie za głupią dzierlatkę, której nie może powiedzieć o najważniejszych sprawach?

– Pewnie dlatego – zauważyła stanowczo Karla – że spotyka go z twojej strony głównie pobłażliwe lekceważenie. Powtarzam ci o tym od

dawna, lecz nie wyciągasz wniosków.

– Nie sierz się na mnie, mam już dość – jęknęła Kathy.

– Gdzie jesteś?

– W Avebury. Wróciłam wczoraj.

– W takim razie przyjeżdżaj – zażądała Karla. – Dorothy nie ma dzisiaj, wyjechała za jakimiś swoimi sprawami, porozmawiamy tylko we dwie. Możesz przecież zanoćować.

– Wezmę szofera, odwiezie mnie wieczorem. Wiesz, że nie lubię spać w Sheldon.

– Weź też strój na konie. I spiesz się, żebyśmy zdążyły jeszcze pojeździć przed obiadem.

– Zrobione. Całuję!

Dwie godziny później Kathy zjawiała się w stroju jeździeckim. Szofer, który ją przywiózł, nawet się nie zatrzymał, objechał podjazd i ruszył w dalszą drogę.

– Wróci po mnie wieczorem – zapewniła Kathy, witając się z przyjaciółką. – Stęskniłam się za tobą.

– Ja za tobą też – uśmiechnęła się Karla. – Idziemy. George będzie trochę zawiedziony, myślał, że przejeździmy wspólnie konie...

– To nieistotne – zbagatelizowała Kathy. – Mam ci przecież tyle do powiedzenia!...

\*

Była punktualnie godzina jedenasta, kiedy Dorothy pojawiła się przed wrotami banku Coutts w Londynie. Portier otworzył przed nią drzwi, skinęła mu głową i weszła do środka. Podeszła do stolika, przy którym siedział urzędnik. Mężczyzna zerknął na Dorothy i szybko wstał.

– Lady Dorothy Hamilton-Smythe – powiedział, kłaniając się. – Pozwoli pani, że zaprowadzę ją dalej.

Ruszyła za urzędnikiem. Po chwili znalazła się w jednym z gabinetów. Siedzący w nim starszy mężczyzna podniósł się na powitanie.

– Dzień dobry, Ellis – powiedziała Dorothy.

– Dawno pani nie widzieliśmy – rzekł mężczyzna, ściskając jej dłoń. – Proszę siadać.

– Czy przygotowaliście bilanse, jak prosiłam?

Mężczyzna chrząknął zakłopotany.

– Mieliśmy mało czasu – przyznał – dzwoniła pani godzinę temu. Jednak wszystkie najpotrzebniejsze rzeczy już mamy. Co nie zmienia faktu, że...

– Przejdźmy do rzeczy. – Dorothy nie bawiła się w ceregiele. – Jaki jest stan moich bieżących aktywów?

– W porównaniu do czasów, które pamiętam, pozwolę sobie go ocenić jako nie najlepszy – odparł mężczyzna. Z pliku papierów wyjął jeden. – W obecnej chwili na pani rachunku znajduje się kwota niespełna sześćdziesięciu ośmiu tysięcy funtów i taką gotówką pani dysponuje. Co do pozostałych aktywów w papierach wartościowych jest to w obecnej chwili niewiele ponad dziesięć tysięcy funtów. No i oczywiście, tytuł własności do Sheldon Manor, nieobciążony hipoteką. Wprawdzie, jak pani kiedyś wspomniała, rodzina nieodżałowanej pamięci pana Jamesa Fitzpatricka usiłuje skłonić panią sędownie do spłacenia połowy wartości tego majątku, ale z pewnych źródeł wiem, że usiłowania te są skazane na porażkę.

– Z jakich źródeł? – zainteresowała się Dorothy.

Ellis zakaszłał z zakłopotaniem.

– Powiedzmy, że nie mogę ich ujawnić nawet tak czcigodnej klientce jak pani. Za to zapewniam, iż zasięgamy w takich sprawach rad najlepszych adwokatów.

– A jaki byłby koszt, gdyby ci najlepsi adwokaci zajęli się moją sprawą?

Bankier najwyraźniej był przygotowany na takie pytanie. Wyjął z pliku kolejną kartę.

– Koszty reprezentacji na czterech rozprawach wraz z kosztami odwoławczymi przy szacowanych stawkach wyniosłyby przy tej wartości przedmiotu sporu około ośmiu tysięcy funtów.

– Sporo – skrzywiła się Dorothy. – Choć prawda, że Sheldon jest warte mszy.

Bankier rozłożył tylko ręce. Chciał coś powiedzieć, ale Dorothy ubiegła go.

– Koszty trzeba minimalizować – orzekła. Jej głos stał się twardszy. – Czy będzie pan w stanie umówić mnie na dzisiaj z jednym z tych najlepszych adwokatów, których radził się bank?

– Zapewne.

– Zatrzymałam się tam, gdzie zwykle. Spotkanie o osiemnastej w hotelowym lobby.

Bankier kiwnął głową i zapisał coś w notesie.

– Za to mam dla pana teraz przyjemniejsze wiadomości. Czy bank podtrzymuje ofertę pośrednictwa w sprzedaży Sheldon Manor dla swojego wyjątkowego klienta, o której to ofercie powtarza pan od roku?

– Jeżeli tylko proces sądowy zostanie pomyślnie zakończony w tym roku, bez wątpienia – ożywił się Ellis.

– Dobrze. Zostanie zakończony za miesiąc. Szacuję mój koszt na tysiąc funtów. Czyli zaoszczędzę siedem.

Bankier popatrzył z niedowierzaniem, ale nic nie powiedział.

– Jakiś czas temu zakładałam w państwa banku rachunek dla panny Karli Linde. Proszę przekazać na jej konto kwotę pięciu tysięcy funtów. A tego tysiąca, o którym mowa, potrzebuję gotówką.

Bankier uklonił się.

– To załatwione. Wychodząc, udamy się do kasy.

– I jeszcze ostatnia sprawa. Czy jestem dość wyjątkową klientką, aby – podobnie jak dla potencjalnego kupca Sheldon Manor – bank wziął na siebie za stosowną prowizją pilne znalezienie mi wygodnego, choć niedużego majątku w okolicach Oksfordu?

– Bez wątpienia – zapewnił bankier. – Ma pani jakieś specjalne wymagania i... – zawahał się – limity?

– Jutro o tej samej porze pojawię się u pana i przedstawię listę moich wymagań. Nie będą nadto skomplikowane. A co do limitów – dom wraz z przyległościami nie może kosztować więcej niż dziesiątą część majątku Sheldon Manor, a jego roczne koszty utrzymania nie mogą być wyższe niż procent z pozostałej różnicy.

Bankier kiwnął głową.

– Zajmiemy się tym niezwłocznie – obiecał.

Dorothy wstała.

– Chciałbym również zapewnić panią o moim podziwie – rzekł uroczyście Ellis. – Kobiety z pani rodziny zawsze znakomicie radziły sobie zarówno z pieniędzmi, jak i z podejmowaniem trudnych decyzji.

– Dobrze, że tylko niektóre z tych decyzji widzą światło dzienne – mruknęła Dorothy. – Dziękuję. Proszę mnie odprowadzić do kas.

- Oczywiście, proszę pani. – Bankier ukłonił się. – Życzę dobrego dnia.
- Będzie taki. Niewątpliwie.

Wieczorem Dorothy spotkała się z poleconym przez Coutts adwokatem. Podpisała mu stosowne pełnomocnictwa do reprezentacji wobec rodziny Fitzpatricków i wtedy wtajemniczyła go w swój plan. Adwokat patrzył z niedowierzaniem. Z jeszcze większym niedowierzaniem spojrzął, gdy przeczytał podany mu list.

– Ale przecież to... – zaczął.

– Niech pan uważa na słowa – ostrzegła Dorothy – bo zwątpię w zasadność opinii, jaką ma o panu mój bank. Jeśli chciał pan powiedzieć, że szantaż, to na pewno nie pan jest jego stroną. Ma pan tylko przedstawić pełnomocnikowi rodziny przekazaną przeze mnie informację i ten list, który znalazłam, zaczynając porządki w papierach po nieodżałowanej pamięci sir Jamesie, porządki konieczne w sytuacji, w której przyjdzie mi sprzedać majątek. I tak wygrałabym ten proces, ale nie widzę powodu, by płacić za to zwycięstwo więcej, niż trzeba. Jutro jestem umówiona z dyrektorem na odbiór dokumentów...

– Podobnej treści? – spytał z niesmakiem adwokat.

– Nie – pokręciła głową Dorothy. – Nowej książeczki czekowej. Tymczasem, jakie jest pańskie honorarium?

– Czterysta gwinei – powiedział spokojnie adwokat, pomnożywszy przez cztery stawkę, o której początkowo myślał. Kwota była niebotyczna, ale Dorothy kiwnęła tylko głową.

– Płacę z góry – odparła, wyciągając z torebki plik banknotów. Odliczyła czterysta dwadzieścia funtów i przekazała adwokatowi. – Jeśli zawiadomi mnie pan o zrzeczeniu się roszczeń i prześle potwierdzenie wycofania pozwu sądowego do końca sierpnia do opiekuna moich interesów w Coutts – otrzyma pan kolejne czterysta gwinei tytułem premii.

Adwokat skinął głową i wypisał pokwitowanie.

– Jeszcze jedno – dodała Dorothy złowróźnie. – Ten list...

– Chciała pani powiedzieć, że mam go tylko pokazać?

– Nie – uśmiechnęła się cierpko. – Ofiarować im w prezencie na koniec rozmowy. Niech będą przekonani, że porządki w papierach mogą przynieść jeszcze mnóstwo niespodzianek.

– Rozumiem. – Adwokat wstał. – Do zobaczenia.

– Czekam na wiadomość. – Głos Dorothy był jak odprawa.

Adwokat wstał i skinął głową. Gdy tylko wyszedł z lobby, kobieta podniosła się z fotela i poszła do restauracji. Kelner pojawił się w jednej chwili.

– Zaczniemy chyba od szampana – powiedziała. – Krug, rocznik dwudziesty dziewiąty. Trzeba obchodzić nasze małe święta.

– Czy będzie pani sama?

– Tak, i mam cały wieczór. Dlatego proszę o stolik przy oknie. Jeśli spędzę u was aż tyle czasu, potrzebuję wygodniejszego miejsca.

– Tak jest, milady – ukłonił się kelner. – Stolik zaraz zostanie przygotowany.

– Dobrze. Znacie moje upodobania.

– Tak jest, milady – powtórzył kelner. – *Diner gourmand* dla jednej osoby. Szef zaraz przyjdzie złożyć uszanowanie.

– Świetnie. Zapowiada się naprawdę miły wieczór.

\*

Nazajutrz pod wieczór Dorothy wracała do Sheldon Manor zadowolona. Było jej lekko na duszy. W wyobraźni widziała coś, co w gruncie rzeczy było jej marzeniem, a co tak dobrze rozumiała Karla: życie spokojne, pozbawione bagażu wspomnień, wypełnione zajęciami, które mogłyby ją cieszyć. I rezygnacja z samotności, z godzin spędzonych samotnie przy kominku z książkami, papierosami i szklanką whisky. Z tym, co dawało pozorną, chwilową ulgę, a co w rzeczywistości było tylko paniczną ucieczką przed myślami. Wsiadła z pociągu w Chippenham. Jej samochód stał na swoim miejscu, wrzuciła niewielki bagaż do środka i ruszyła do Sheldon Manor.

Gdy podjeżdżała pod dwór, zobaczyła, że Karla, widać zwabiona dźwiękiem silnika, już na nią czeka. Przywitały się serdecznie.

– Co się stało, że wyjechałaś tak nagle? – spytała dziewczyna. – Martwiłam się.

– I dziwiłaś się, że nie zabrałam cię ze sobą, prawda? Musiałam załatwić kwestie prawne.

– Czyli...

– Tak, kochanie. Posłuchałam cię. Sheldon Manor umiera, jeśli jest puste. Wystawiłam je na sprzedaż, Coutts ma klientów, których na taką

fanaberię stać. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, opuścimy majątek do końca października.

– A dokąd pójdziemy?

– Jeszcze nie wiem – odrzekła beztrąsko Dorothy. – Chciałam kupić dom gdzieś pod Oksfordem. Kiedy już wynajmiesz swój studencki pokój na uczelni albo mieszkanie dwa kroki od twojego kolegium, będziesz miała do mnie dość daleko, żeby czuć się samodzielnie, ale dość blisko, by w każdej chwili zajrzeć.

– Brzmi cudownie – przyznała Karla – ale mamy pewien problem.

– Jaki znów problem? – zaniepokoiła się Dorothy.

– Problem – rzekła z namysłem Karla – przyjechał do mnie wczoraj przed południem, w pełnym stroju amazonki, i miał na imię Kathy.

– Chodź do środka – zażądała Dorothy. – Tam porozmawiamy.

Weszły razem do środka. Dorothy skierowała się do saloniku i usiadła przy dopiero co rozpalonym kominku.

– A teraz mów.

– Nie wiem, co na to powiesz – w głosie Karli czaiła się niepewność – Kathy oznajmiła, że nie chce już mieszkać w domu. Chce zacząć żyć na własny rachunek.

– Chciałaś powiedzieć: na rachunek pana Baringa? – spytała złośliwie Dorothy.

Karla poczuła się dotknięta.

– Nie bardziej niż ja na rachunek mojego ojca – zauważyła.

Dorothy podniosła w górę obie ręce.

– Przepraszam, może niezbyt jasno się wyraziłam – powiedziała. – Ty poradziłabyś sobie nawet, gdybyś nie miała żadnego, ale to żadnego wsparcia. Ale Kathy... Przecież ona naprawdę nic a nic nie potrafi.

– Ja też nie mam zawodu – przypomniała Karla.

– Nie mówiłam o zawodzie – rzekła Dorothy z naciskiem. – Mówiłam o tym, co się potrafi.

Karla zamilkła.

– Kathy zapytała mnie, czy nie zamieszkałybyśmy razem – podjęła. – Przynajmniej do moich studiów. Nie chciałam jej opowiadać o naszej wczorajszej rozmowie, nie wiedziałam też, co się stało w Londynie, nie

wiedziała, że podjęłaś decyzję. Dlatego nie powiedziałam tak, nie powiedziałam nie, ale mnożyłam tylko trudności.

Dorothy roześmiała się.

– Jak rasowy dyplomata – zauważyła. – A gdzie tu problem?

Kathy popatrzyła na nią z zawstydzeniem.

– Wiesz – rzekła – chyba jestem jednak jeszcze egoistycznym dzieckiem. Tak bardzo chciałam mieszkać tylko z tobą...

Dorothy wzięła ją za rękę.

– Nie martw się – powiedziała pogodnie. – Zamieszkamy we trzy. Zrobimy dom trzech czarownic. Pamiętasz? – *Hail to thee, thane of Glamis!* – zachrypiała.

Karla roześmiała się serdecznie.

– *Hail to thee, thane of Cawdor!*<sup>[5]</sup> – wyrecytowała nienaturalnym głosem.

– No widzisz – westchnęła Dorothy. – Kathy nawet nie wiedziałyby, kto to napisał. Ale masz rację, potrafi być miła. Co zaś do egoistycznego dziecka... dzieci nie miewają rachunków w Coutts. Pomogłaś mi podjąć decyzję, której nie chciałam i nie umiałam podjąć. Przy okazji załatwiłam jedną sprawę więcej. Na twoim rachunku pojawiła się wczoraj pewna suma pieniędzy na studia. Niech to będzie coś ode mnie. Coś więcej niż *Księga snobów*, którą czytasz po raz chyba setny i raczej nie tylko po to, by mi zrobić przyjemność.

– Dorothy – rzekła poważnie Karla – ja nie chcę takich prezentów. – Nie chcę być wróblem, który udaje kanarka. Nie zapracowałam na te pieniądze.

– I nie zapracujesz, bądź pewna. Tutaj świat dzieli się na ludzi, którzy pieniądze zarabiają, i tych, którzy je dostają lub dziedziczą. Wyjątkiem jest William Baring, który odziedziczył tylko nazwisko i wyłamał się ze zwyczaju, bo zamiast korzystając z niego, pożyczać, zaczął zarabiać. Dlatego weź te pieniądze i wykorzystaj dobrze. Nie pytasz, ile tego jest?

– Wolę nie wiedzieć – westchnęła Karla. – Dziękuję za to i za wszystko.

Wstała, podeszła do przyjaciółki, uściskała ją mocno i ucałowała w policzek.

– A czy mogę zrobić ci jakiś prezent? – zapytała. – Kiedy tylko będę w Londynie?

– Byle nie nazbyt kosztowny – uśmiechnęła się Dorothy. – Jeśli zaś idzie o Kathy, możesz jej powiedzieć o decyzji. Mam nadzieję, że doczeka do ślubu ojca. Inaczej będzie musiała zamieszkać w Sheldon Manor, a wiesz, że Henrietta nie darzy jej sympatią.

– A nas? – zapytała Karła. – Myślisz, że nas znienawidzi?

– Wiele rodzin – westchnęła Dorothy – było właścicielami Sheldon Manor. Chciałabym wierzyć, że ta, która go kupi, będzie tu szczęśliwa przez wiele pokoleń. Henrietta jest przyzwyczajona. Ostatecznie jest tu ponad dwieście lat.

Karla uśmiechnęła się.

– Wiem! – wykrzyknęła nagle. – Wiem, co może robić Kathy!

– Co takiego? – zaciekała się Dorothy.

– Może pomóc nam objeżdżać twoje konie! – roześmiała się Karla. – Bo przecież chyba weźmiesz je ze sobą?

– Pewnie tak – skinęła głową. – Zaproponuję też trojgu moich najwierniejszych spośród służby przejście do nowego domu. Ale poczekajmy, wszystko to zdarzy się za miesiąc. Teraz Szkocja.

– Nie będzie Szkocji – wyznała Karla ze smutkiem. – Pan Baring ma mnóstwo spraw i musiał odwołać wyjazd. Ma do ciebie dzwonić w tej sprawie z przeprosinami.

Dorothy wstała.

– W takim razie – oświadczyła – w sobotę we dwie jedziemy do Londynu. Pokażę ci moje ukochane miejsca. Zostaniemy tam parę dni, zaszalejemy. Co ty na to?

– Umowa stoi! – odrzekła rozradowana Karla. – Jedziemy!

\*

Sierpień okazał się dla Emila pracowitym miesiącem, a przynajmniej takim, który spędził w rozjazdach. Byszewo, Lwów, Klonowo, mało przyjemna wizyta w Warszawie, gdzie złożył wyczerpujące zeznanie w konsystorzku biskupim, osłodzone krótkim spotkaniem z Krzeczunowiczem. Zaledwie kilka dni po jego powrocie do Krakowa na sławetnej srebrnej tacce w przedpokoju pojawiła się koperta zawierająca wydaną ze zdumiewającą szybkością decyzję o stwierdzeniu nieważności jego ślubu z panią Barbarą z Sokolnickich. Przyczyną było protestanckie odstępstwo od wiary, które – jak przekonywał akt – sięgało jeszcze czasów sprzed ich ślubu. Emil

uśmiechnął się tylko pod wąsem, złożył starannie dokument i schował go do szufladki w sekretarzyku. Wprawdzie religijność Barbary była umiarkowana, jednak w czasach gdy pojmował ją za żonę, nie wiedziała o protestantyzmie więcej niż, dajmy na to, o zaratustrianizmie. Jednakże, ponieważ nie brak świadków na tym świecie, znalazł się podobno i taki, który żarliwie zaświadczył o tym, że od dzieciństwa była szczerą protestantką.

Barbara nad podziw spokojnie przyjęła odpowiedź Emila, który w uprzejmym liście przypomniał, że właścicielem Byszewa jest bawiąca w Anglii Karla, a on jest zaledwie plenipotentem i nie zamierza podejmować jakichkolwiek decyzji bez jej wiedzy i zgody. W liście wyznaczył termin decyzji Karli na połowę września, tłumacząc to chwilowym brakiem z nią kontaktu. Skłamał wyjątkowo gładko, Karla bowiem zgodnie z umową zadzwoniła już dwukrotnie, ale Emil ani myślał psuć jej wakacji. Inna sprawa, że z wyjątkiem opowieści o londyńskim wypadzie i kilku gładkich, wymijających słowach co do przyszłości oraz zapewnieniach o tęsknocie nie dowiedział się niczego nowego. Z niecierpliwością czekał na pocztę od Dorothy, ta jednak z niewiadomych przyczyn nie nadchodziła.

Był spokojny, sobotni wieczór, gdy trochę po dziesiątej w domu zadzwonił telefon.

– Doktor Linde? – odezwał się nieznajomy głos. Był niespokojny, czuło się w nim pośpiech i przejęcie.

– Przy telefonie. Kto mówi?

– Był wypadek – mówił z przejęciem głos. – Automobilowy. Tuż, tuż, na rogu Szewskiej. Pomoc jest potrzebna. Szukałem lekarza w pobliżu. Wjechał w dziewczynę, bandyta...

– Dzwońcie po pogotowie, ja zaraz będę – rzucił w pośpiechu Emil.

Złapał marynarkę i spieszenie ją włożył. W kieszeni zaciążył pistolet, lecz Emil nie tracił czasu na chowanie go w bezpieczne miejsce. Chwycił swój kuferek i pobiegł do drzwi. Na korytarzu po omacku sięgnął do włącznika światła, przekręcił go, bez skutku. Zaklął pod nosem i trzymając się poręczy, po omacku zaczął schodzić po schodach. Na dole było odrobinę jaśniej, matowe szybki w wejściowej bramie przepuszczają nieco światła z ulicznych latarni. Emil ruszył pewniej. Miał już dłoń na mosiężnej, rzeźbionej klamce, gdy bardziej wyczuł, niż usłyszał czyjaś obecność. Szósty zmysł zaalarmował go w ułamku sekundy. Nacisnął klamkę, pociągnął drzwi i rzucił się na ziemię, cudem unikając potężnego ciosu

pałką. Upadając, puścił kuferek, przetoczył się po płytach posadzki i poderwał się, sięgając do kieszeni po pistolet. Przeciwnik na chwilę stracił równowagę i zatoczył się na ścianę. Upuszczona pałka z hukiem upadła na posadzkę.

– O żeż, ty kurwi synu – zaklął wściekle. W słabym świetle błysnął nóż. Emil nie wahał się ani chwili. Cofnął się gwałtownie, przeładował broń i mierząc krótko, ze zgiętych łokci strzelił w dół. Huk spotęgowany przez kamienne okładziny ścian był potworny, lecz zagłuszył go wrzask napastnika, który runął jak ścięty.

– Zabił mnie, kurwi syn! – wrzeszczał z energią świadcząca o tym, że nie były to jego ostatnie chwile. – Zabił mnie!

Emil, trzymając w dłoni pistolet, pchnął bramę i zablokował ją, otwartą na oścież. Światło z latarni padło na leżącego, trzymającego się za udo mężczyznę. Krwawił mocno.

– Co się dzieje? – Emil usłyszał znajomy głos. To stróż Paweł biegł od strony podwórka.

– Pawle?! – zawołał.

– Pan doktor! – krzyknął stróż. – Co tu się dzieje, na miłość boską!

– Pawle, biegnij na górę i dzwoń po policję, natychmiast – rzucił Emil, przyklękając przy napastniku i chowając broń. – I po pogotowie. – Daj latarkę.

Niemal wydarł ją Pawłowi. Rzucił snop światła na napastnika, który stracił właśnie przytomność. Krwawił mocno, kula trafiła go w udo. Paweł patrzył na scenę z przerażeniem.

– Na co czekasz? Biegnij!

Paweł posłusznie ruszył biegiem po schodach w górę. Emil klęknął przy postrzelonym. Sięgnął do kufereka, wyjął skalpel i szybkim ruchem rozciął materiał spodni. Kula utkwiała w mięśniu, tuż przy kości. Emil nie dziwił się, że mężczyzna zemdłał, ból musiał być dotkliwy, a upływ krwi dodatkowo tego człowieka osłabił. Doktor zatamował krew i z całej siły walnął na odlew napastnika w twarz. Ten ocknął się w ułamku sekundy.

– Co jest, kurrrrr.... – zaczął.

Dostał w twarz po raz drugi.

– Kto cię wynajął? – warknął Emil

– Bładź – syknął wściekle mężczyzna i zacisnął zęby.

– Gadaj. – Emil jeszcze raz trzasnął napastnika w policzek. – Ja nie z takich, co kapują, poniał? Dla siebie wiedzieć chcę. W żopie mam, coś ty za jeden, i o to nie pytam.

– Jakiś facet... – wydusił mężczyzna.

– Jaki facet?

– Nie wiem – dyszał szybko napastnik. – Nie wiem. Jak się wściekł, ryczał jak kapral...

– Chciał ze mną na sucho czy na mokro? – Emil złapał za klapy mężczyznę.

– Mówił, że nie ma różnicy. – Gość jęknął z bólu i zemdłał. Emil puścił go z obrzydzeniem. W samą porę, na ulicy usłyszał ryk syreny i trzask samochodowych drzwiczek. W bramę wpadło trzech policjantów, za którymi wszedł spokojnie czwarty.

– Co jest? – rzucił pierwszy.

– Nazywam się Emil Linde – rzekł doktor, wstając. – Jestem lekarzem, to moja kamienica. Zaatakował mnie, kiedy wychodziłem, zaczął się w środku. Próbował uderzyć mnie pałąką, potem rzucił się na mnie z nożem. Postrzeliłem go, ale nic mu nie grozi, udzieliłem mu pomocy.

– Ma pan zgodę na posiadanie broni? – usłyszał zza pleców policjantów.

– Mam – odparł Emil. – Jestem oficerem w stanie spoczynku.

Na zewnątrz zrobiło się zbiegowisko. Z koszmarnym wyciem syreny przed kamienicę zajechało pogotowie. Na szczęście policjanci szybko opanowali zamieszanie. Po chwili zostały tylko cztery osoby: Emil, dwóch policjantów, w tym jeden w cywilu, i Paweł, który stał przy drugich drzwiach od oficyny.

– Komisarz Swoboda – przedstawił się. – Wiem, w moim fachu takie nazwisko to ironia losu. Powinienem zabrać pana na komisariat, ale przecież zaatakowano pana, jakby nie było, w pańskim domu.

– Zapraszam pana komisarza piętro wyżej. I pańskiego podwładnego.

– Tu zawsze tak ciemno?

– Nigdy – wyrwał się Paweł od drzwi.

Emil odwrócił się do niego i spojrzał groźnie. Szczęście, że było ciemno, wzrok Emila mógłby go zabić.

– A pan to...? – zawiesił głos komisarz.

Paweł wyraźnie stracił kontenans. Wybawił go Emil.

– To nasz stróż – rzekł.

– Rozumiem, rozumiem – mruknął komisarz. – Niełatwo się przyznać, że się nie dba o światło.

Paweł zrozumiał. Zmełł w ustach jakieś niecenzuralne słowo.

– Przepraszam pana. To się już więcej nie powtórzy.

– I dobrze – skwitował Emil. – Porozmawiamy później. Teraz mam zaszczyt pana gościć, komisarzu.

Policjant zerknął na posterunkowego.

– Sam porozmawiam z panem doktorem – powiedział. – Zobaczymy się na komisariacie.

Posterunkowy zasalutował służbiście i zrobił regulaminowe „w tył zwrot”.

– Niech mnie pan poprowadzi – poprosił komisarz. – Ciemno tu strasznie, nie na moje słabe oczy.

Po chwili byli już na górze. Emil z całym spokojem zaprosił komisarza do gabinetu. Policjant przyjrzał mu się uważnie.

– Nie wygląda pan na przejętego – zauważył. – A przecież mógł pan zginąć.

– Kiedy ktoś prawie zginął – zauważył Emil – nie boi się śmierci. Byłem żołnierzem. Prawie zginąłem w wojnie bolszewickiej. Poza tym jestem lekarzem, ludzie umierali na moich oczach pewnie częściej niż na pańskich.

– Pewnie tak – zgodził się komisarz. Z kieszeni wyjął notes. – Pozwoli pan, że zadam kilka pytań?

– Oczywiście – skinął głową Emil. – Wybacz pan, że nie poczęstuję kawą, moja kucharka ma wychodne, a boję się wkraczać w jej królestwo. Rozumie pan, komisarzu, że złość kobiety jest bardziej niebezpieczna niż stu bandziorów z nożami.

Komisarz zdawał się rozumieć. Może nawet zbyt wiele.

– Jest pan żonaty? – zapytał.

– Byłem – odrzekł lakonicznie Emil, wściekły na samego siebie, że skierował rozmowę na niewłaściwe tory. – Czy to ma coś wspólnego ze sprawą?

– Wierzę, że nie – rzekł komisarz, zapisując coś w notesie. – A często chodzi pan z pistoletem w kieszeni?

Emil zawahał się.

– Szczerze mówiąc, prawie wcale. Chce pan sprawdzić, czy naprawdę mam prawo do broni?

– Proszę mi ją pokazać – zażądał komisarz.

Emil wyjął z kieszeni pistolet, wysunął magazynek i pociągnął za suwadło. Nabój wyskoczył jak z katapulty, komisarz wykazał się refleksem i złapał go w locie. Podał go Emilowi, który wprawnie włożył go do magazynka, a pistolet podał komisarzowi.

– Nie, nie – rzekł policjant – już wiem, że ma pan potrzebne zezwolenia. To vis, tych pistoletów nie można kupić na targu.

– Umie pan łączyć fakty.

– Pan też, doktorze. Mamy w gruncie rzeczy podobne zawody, prawda? Trochę jakbyśmy byli detektywami. Ja szukam winnych, pan również, ale pana winni, mikroby, są jednak mniejsi.

– Za to jest ich więcej. Teraz powinien pan spytać, czy nie mam wrogów.

– Nie – skrzywił się komisarz – pańskich wrogów poszukam sobie sam. Zresztą najpierw przesłucham tego bandziora. Skądś go znam, może sprawa nie będzie aż tak trudna.

– Może to jednak był zwykły przypadkowy rabunkowy napad?

Swoboda spojrzał na niego z niesmakiem.

– Chyba pan sam nie wierzy w to, co mówi – rzekł. – Pana stróż był oburzony na insynuację, że nie dba o światło w kamienicy. Bandyta czekał na pana. Nic się wcześniej nie zdarzyło?

– Nic – skłamał Emil.

Komisarz pokręcił głową.

– Panie doktorze – rzekł z wyrzutem – pan mnie nie docenia. Rozumie pan przecież...

Emil rzeczywiście zrozumiał. Nie mógł nie docenić przeciwnika. Pozostało mu tylko jedno.

– No dobrze – powiedział z rezygnacją. – Coś się zdarzyło. Nie chciałem o tym mówić, bo pomyślałem sobie, że może... – zawahał się – ...

że może się nie podobam komuś ze sfer rządzących, może oficerskich. Sam pan wie, co się w kraju dzieje.

Komisarz zaciął usta. Emil nieoczekiwanie pojął, że znalazł w nim sojusznika. Policjant wywodził się z tych, co stoją za prawem, nie za rządem, czuło się w nim frustrację po wielu śledztwach i zdarzeniach, które choć wyjaśnione, nigdy nie ujrzały światła dziennego.

– Rozumiem – rzekł ostrożnie. Widać było, że waży słowa. – Wiem, co się dzieje i co się stać może. Niech pan opowie.

Emil streścił krótko ostatnie minuty przed swoim wyjściem. Komisarz pokiwał głową.

– Gdyby nie pańskie lekarskie powołanie, nie wyszedłby pan z domu.

– Owszem, ale zawsze istniała szansa, że to była prawda...

– Szanuję pana. – Swoboda pokiwał głową. – Sam bym pewnie nie wyszedł.

– Na policję dybią pewnie częściej niż na lekarzy.

– Nie, nie. – Komisarz uśmiechnął się chyba po raz pierwszy. – Jaki jest pożytek z zabicia policjanta? Zawodowiec ani o tym nie pomyśli, ma pan pojęcie, co by to było za zamieszanie? Jaki ruch, ile szukania sprawców? Solidarność zawodowa, panie doktorze, kazałaby byle policyjnej ciurze, co to pewnie bierze łapówki, choć nikt za rękę nie złapał, szukać do utraty tchu, demaskować informatorów, otwierać oczy na to, na co je zwykle przymyka. Nie, panie doktorze. Z zabicia mnie nie ma profitów. To tylko gra. Ci, których wsadziłem, wiedzą, że okazali się w tej grze gorsi i nie mszczą się, bo to poniżej ich godności.

– Piękne – westchnął Emil. – Świat jednak nie jest aż tak parszywy, jak mówią.

– Świat jest parszywy – poprawił komisarz.

Doktor spojrzał na niego niemal z czułością.

– Niech pan nie potwierdza tego, co powiem, ale wiem, o czym pan myśli – oświadczył. – Chce pan powiedzieć, że wśród opryszków, złodziei, morderców, jest czasem honor, któremu brakuje tym, co wykrzykują o nim na rogach ulic.

Wstał. Komisarz odebrał to jako koniec rozmowy. Zresztą i tak się nie czuł na siłach ciągnąć ją dalej. Ale Emil zrobił coś nieoczekiwanego. Podszedł do szafki, pomanipulował przy niej i otworzył drzwiczki. Wyjął dwa kieliszki i karafkę.

– Niech pan mi tylko nie mówi, komisarzu – rzekł, nalewając po odrobinie złocistego płynu do kieliszków – że jest pan na służbie. To znakomity koniak. Czy będę miał ten zaszczyt, że wypije pan ze mną?

Komisarz zawahał się. Wziął do ręki kieliszek i powąchał trunek. Tymczasem Emil ciągnął dalej.

– Może pan liczyć na moją współpracę – rzekł. – Nie jestem komisarzem, nie wiem, czy z mojej śmierci byłaby jakaś korzyść, czy nie. Pozwoli pan, że wzniosę toast.

Podniósł kieliszek.

– Za życie – powiedział.

– Za życie – powtórzył jak echo Swoboda. Upił łyk i odstawił kieliszek.

– Dziękuję, panie doktorze – powiedział. – Skontaktuję się z panem, jeśli będzie taka potrzeba.

– Będzie pan zawsze mile widziany – powiedział szczerze Emil. Odprowadził komisarza do drzwi. Gdy się żegnali, komisarz spojrział bystro na Emila.

– To był w gruncie rzeczy bardzo pouczający wieczór – rzekł. – Rozumiem – podjął szybko, jakby się bał odpowiedzi Emila – że czasem człowiekowi przychodzi na myśl straszne pytanie: co lepsze: była żona czy obecna sanacja?

Wyszedł, zostawiając Emila pokonanego.

Doktor pozbierał się szybko. Chwilę później podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Barbara odebrała.

– Jesteś sama? – zapytał doktor.

Barbara chyba pomyślała, że ugoda jest bliższa, niż mogłoby się wydawać.

– Tak – odrzekła tylko.

Emil nie bawił się w dyplomację.

– Powiedz swojemu kapitanowi, że istnieje sporo lepszych metod na pozbycie się człowieka niż nasyłanie na niego bandziora od mokrej roboty. Chcę wierzyć, że przynajmniej ty nie miałaś z tym nic wspólnego.

– Ale... – zaczęła Barbara.

Słyszając ton jej głosu, Emil zrozumiał, że naprawdę, ale to naprawdę nic nie wiedziała.

– Nie ma żadnego „ale”. Bandzior w szpitalu, a śledztwo w toku.

– Chcesz mi powiedzieć, że... – Barbara znów nie dokończyła zdania. Gdyby udawała, byłaby najlepszą aktorką świata, a przecież Emil wiedział, że wiele jej do tego brakowało.

– Postarałem się, jak mogłem, aby nie trafili na ciebie. Nie licz na więcej. Swoją drogą widzę, że honor oficera znika, gdy w grę wchodzi pieniądze, a to zły znak.

– Wierzysz jeszcze w honor oficerów? – prychnęła Barbara. Wyraźnie zaczynała odzyskiwać pewność siebie.

– W swój jeszcze tak, ale ja jestem starej daty.

– Lubiłam to u ciebie.

Emil roześmiał się.

– Nienawidziłaś – poprawił. – Zresztą nie robi to na mnie wrażenia. Ciesz się, że nie jestem mściwy.

I nie czekając na odpowiedź, odłożył słuchawkę. Dopiero wtedy poczuł, że miękną mu nogi. Usiadł na stołeczku w hallu. Siedział tam długą chwilę wpatrzony w drzwi swojego gabinetu. Ze stuporu wyrwał go szcęk kluczy w zamku. Do domu wracała Józia. Ze zdumieniem zobaczyła doktora siedzącego przy telefonie.

– Na rany boskie – jęknęła – co się stało?

– Nic się nie stało, Józiu. – Emil podniósł się z trudem. – Miałem dużo pracy, idę spać. Udała się kolacja u syna?

– Udała się. – Józia popatrzyła niepewnie na doktora.

– To świetnie. Dobrej nocy.

Wszedł do sypialni i zamknął dokładnie drzwi.

Na drugi dzień cała kamienica przerzucała się coraz fantastyczniejszymi, coraz bardziej skomplikowanymi opowieściami o strzelaninie w bramie. Na szczęście Emil zdołał powstrzymać jeszcze nieco obrażonego Pawła przed opowiadaniem na prawo i lewo, jak to doktor postrzelił bandziora, który się na niego zasadził. Stało na tym, że policja ścigała kogoś i zapuściła się aż do ich kamienicy. Śladów nie było już żadnych, Paweł zadbał o to ze zwykłą dla siebie starannością. Można więc było liczyć na to, że niebawem sprawa ucichnie.

\*

Kapitan Świąt-Rozbicki wracał do domu w niedzielny poranek niewyspany i zły. Nocna służba zwykle go drażniła, konieczność bezsensownego

przesiadania w koszarach była czymś ponad jego siły, zwłaszcza w sobotni wieczór. Dziś jednak, bardziej niż na służbę, był wściekły na własną głupotę.

Wciąż wracał pamięcią do tego wieczoru, gdy pokłócił się z Barbarą i zły wyszedł z domu, w cywilnych rzeczach, zapominając kapelusza. Błąkał się potem bez celu po mieście, pił po kilka kolejek w podrzędnych, tanich knajpkach, aż wreszcie gdzieś na Pawiej, w maleńkim szynku maskującym nieudolnie wejście do burdelu, spotkał tego człowieka. Nie wiedział, jak to się stało, ale tamten nie dość, że naciągnął go na wódkę, to jeszcze sprawił, że kapitan opowiedział mu o swoim problemie. Koniec końców, za dziesięć złotych i jeszcze jedną wódkę nieznajomy pomógł mu znaleźć człowieka, które niejeden taki problem już rozwiązał, po czym zainkasował, wypił i dyskretnie zniknął. Święs-Rozbicki został sam z bandziorem. Targ nie trwał długo, choć wściekły, pijany kapitan pomstował na cenę.

– Masz pan to z gwarancją – usłyszał.

Widząc jego wygląd, trudno było w to nie uwierzyć. Zapłacił z góry.

Do domu przyszedł kompletnie pijany, nad ranem. Barbara spała lub udawała, że śpi, kapitan miał dość instynktu, by nie sprawdzać. Zwalił się na kanapkę w salonie i zasnął.

Dopiero wieczorem dotarło do niego, co właściwie zrobił, i oblał go zimny pot. Barbarę przebłągał szybko, nie zależało jej widać na zwadzie, ale nie powiedział ani słowa o nocnym spotkaniu. Wytłumaczył sobie zresztą, że dał się oszukać, że te ostatnie sto złotych jakby mu ukradziono, jest bowiem niemożliwe, by ktoś za tyle chciał zabić człowieka. Co innego na wojnie, tam się zabija za darmo. Ale i tak została w nim zadra, pamięć o tych kilku chwilach, kiedy złość, wódka i jakiś utajony resentyment kazały mu zapłacić temu zbirowi.

Przekręcił klucz w zamku i nacisnął kłamkę wejściowych drzwi. Wszedł do przedpokoju.

– Jestem, kochanie – powiedział półgłosem. Zajrzał do sypialni – łóżko było puste, co gorsza, starannie pościelone. Korytarzykiem poszedł do salonu. Zobaczył, że Barbara siedzi w fotelu przy oknie ubrana jak do wyjścia i wygląda na ulicę.

– Jestem – powtórzył. Czuł, że coś wisi w powietrzu, że wydarzyło się coś, czego nie przewidział. Natychmiast pomyślał o Emilu Lindem. Barbara odwróciła się do niego, na jej twarzy zobaczył wściekłość.

– Ty kretynie – wycedziła zimno. – Ty durniu skończony. Cóż ty zrobił najlepszego? To mi się nie mieści w głowie, żeby takiego idiotę święta ziemia nosiła i nie jęczała...

– Obrażasz mundur – rzekł urażonym tonem, żeby powiedzieć cokolwiek.

– Nie będę czekała, aż się rozbierzesz, żeby ci powiedzieć, co o tobie myślę, ty łajzo, ty fagasio skończony. Coś ty zrobił z Emilem?

Patrzyła na niego rozszerzonymi, pełnymi furii oczami. Wyglądała upiornie, staro, zniknął gdzieś jej czar, który tak na niego działał. Zrobiło mu się gorąco.

– Co z nim? – spytał niepewnie.

– Więc to ty. – Jej głos ochłodził jeszcze bardziej. – Czegoś takiego się po tobie nie spodziewałam. Są granice, rozumiesz, durniu?

– No co? – spytał napastliwie. – Masz, czego chciałaś. Teraz to ty jesteś panią na Byszewie. I ta twoja córka.

– Ją też spróbujesz zabić? – wrzasnęła wściekle Barbara. – Ty baranie! Nic mu się nie stało, rozmawiałam z nim. Wie, że to ty!

Kapitan opadł bez sił na fotel naprzeciw Barbary.

– Ja tylko...

– Mów.

Święs-Rozbicki zaczerpnął głęboko powietrza i zaczął chaotycznie opowiadać. Po chwili Barbara wiedziała już wszystko.

– No tak – powiedziała na pozór spokojnie – rzeczywiście jesteś niespełna rozumu. Nie rozumiem, jak człowiek, który swoje dwunaste urodziny obchodził wszak dawno, może być tak strasznie głupi. Nie rozumiesz, co zrobiłeś?

– Wiem. Byłem głupi.

– Czyli nie rozumiesz – podsumowała Barbara, zacinając wargi. – Co teraz? Żałujesz, żeś go nie zabił, durniu?

Kapitan z trudem, ale jednak wciąż znosił inwektywy Barbary.

– Teraz już żałuję – mruknął.

– Ciesz się, bo byłoby jeszcze gorzej – wysyczała. – A nie wpadło ci do głowy, że jeśli cokolwiek się stanie z Emilem, to nie ja będę opiekunką Karli? A zanim bym to wyprocesowała, ona skończyłaby osiemnaście lat. A skąd wiesz, czy nie napisał testamentu? Czy ty w ogóle myślisz?

– Mówiłem ci. Byłem wtedy pijany, i...

– Na przyszłość nie pij tyle – przerwała mu Barbara i wstała z fotela.

– I co teraz?

– Nic – rzekła mściwie. – Czekaj na policję, jak do ciebie dotrą, i zaprzeczaj wszystkiemu, powołuj się na honor polskiego oficera i wrzeszcz, że cię zniesławiają. Rób zresztą, co chcesz.

– A ty... ty coś zrobisz?

– Nic nie zrobię – wzruszyła ramionami Barbara – bo nic nie będzie. Gorzej, że teraz wiem, że Emil nie skłoni Karli do ustępstw. Jestem przegrana, rozumiesz?

Wzięła torebkę, odwróciła się i wyszła. Kapitan został na swoim miejscu, rozbity, w poczuciu kompletnej porażki. Minęły wieki, nim wstał, zrzucił z siebie mundur i półnagi powłókł się do łazienki. Oparłszy się na marmurowym postumencie umywalki, spojrział w lustro. Coś niepokojącego przykuło jego uwagę w lustrzanym odbiciu łazienki. Odwrócił się gwałtownie. Z szafki zniknęły wszystkie rzeczy Barbary, na drzwiach nie wisiał już jej jedwabny szlafrok w maki, w którym często paradowała wieczorami przed czekającym niecierpliwie w łóżku Rozbickim. Pobiegł do garderoby. Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że wszystkie jej rzeczy zniknęły. Co do jednej. Nie było wątpliwości, Barbara odesłała swoje rzeczy i odeszła. Jak w amoku rzucił się do salonu. Po chwili, w mundurze, wybiegł na ulicę. Była pusta, tylko nieliczni ludzie szli do kościoła na poranną mszę. Pobiegł jeszcze do rogu ulicy, licząc na to, że gdzieś dojrzy znajomą kobietą sylwetkę, lecz po Barbarze nie było ani śladu.

Opanował się z trudem. Przez chwilę przemknęło mu przez myśl, by wziąć taksówkę i pojechać do mieszkania Emila Lindego, ale odrzucił pomysł jako absurdalny. To wszystko było dla niego niepojęte. Postanowił wrócić do domu i poszukać Barbary telefonicznie, zaczynając od Elżbiety i Antoniego, a potem przechodząc przez niedługą listę tych, z którymi utrzymywali kontakty.

\*

Mniej więcej w chwili, gdy Świąś-Rozbicki wchodził na schody swojego mieszkania, Barbara wysiadła z taksówki na rogu Dunajewskiego i Karmelickiej. Zapłaciła szoferowi i ruszyła w stronę bramy. W przedsionku

natknęła się na Pawła. Stróż był w niedzielnym ubraniu, wymuskany i wyszykowany.

– Pan w domu? – spytała.

Paweł spojrzał wrogo.

– Co komu do tego – mruknął nieuprzejmie.

Barbara nie przejęła się tym zupełnie.

– Byłby Paweł miłszy przy niedzieli – zauważyła spokojnie.

Paweł, choć nie przejął się tym przesadnie, uznał jednak, że może powiedzieć coś więcej.

– Jest w domu – rzekł zwięźle. Ominął Barbarę i wyszedł na ulicę. Kobieta ruszyła schodami w górę. Po chwili stuknęła już do drzwi. Otworzył jej sam Emil. Z mieszkania dobywał się zapach przygotowywanego właśnie śniadania. Doktor nawet nie starał się ukrywać zaskoczenia.

– Nigdy się nie da wszystkiego przewidzieć. Czemu zawdzięczam ten honor?

– Przyszłam porozmawiać – powiedziała krótko.

Emil cofnął się i otworzył szerzej drzwi. Za jego plecami pojawiła się Józia. Spojrzała na Barbarę z takim przerażeniem, jakby zobaczyła ducha.

– Niech Józia poda drugie nakrycie – poprosił doktor.

Józia, niepewna, czy dobrze usłyszała, spojrzała na niego uważnie. Doktor kiwnął głową, Józia niechętnie odwróciła się i poszła do kuchni.

– Ostatecznie – kontynuował Emil, wskazując Barbarze drogę do jadalni – mimo wszystko jesteśmy ludźmi cywilizowanymi, prawda? Kłócimy się, wytaczamy sobie sprawy, zlecamy zabójstwa. Taki jest świat. Dawniej załatwiał to pojedynek, ale rozumiem, że takie rozwiązanie twemu nowemu mężowi nie przyszło do głowy, prawda? A nawet jeśli przyszło, to szybko je porzucił. Efekt niepewny, a jeśli coś pojdzie nie tak, to jeszcze życie można stracić.

– Nie pastw się tak. Rozbicki nie jest i nie będzie moim mężem.

– To już jak chcecie – zgodził się Emil, odsuwając jej krzesło. – Sądziłem, że skoro tak intensywnie chcesz się rozejść, to nie po to, by pozostać na zawsze w panieńskim stanie.

– Odeszłam od niego – rzekła Barbara, sadowiąc się przy stole.

Emil zamarł na ułamek sekundy bez ruchu.

– Mogłem się spodziewać – mruknął. – Twój spokój wskazywał na rozwiązania radykalne. Nie wiedziałem tylko, czy przyszłaś mnie zabić, czy może zastrzeliłaś Rozbickiego, a teraz chcesz, żebym ci dał alibi.

Barbara uśmiechnęła się wymuszenie. Zrozumiała, że Emil już wie, do czego zmierza, i że właściwie nie warto próbować. Mimo wszystko spróbowała.

– Wiesz, że ten dureń Rozbicki zrobił to bez mojej wiedzy, prawda? Upił się i dał pieniądze jakiemuś bandycie. Pewnie chciał cię postraszyć, zresztą sama nie wiem, co w tym pustym łbie zakołatało nagle.

– Chcę wierzyć.

– Dlatego odeszłam. I pomyślałam, że moglibyśmy jednak...

– Znów być razem?

– Powiedzmy – uściśliła Barbara – być obok siebie.

Emil spojrział z niesmakiem.

– Gdybym chciał mieć sublokatora – zauważył cierpko – zapewne byłbym go sobie zgodził. Tyle że nie chciałem.

– Sublokatorce również?

– Również.

– Myślałam raczej o spółce.

– Byliśmy w spółce – przypomniał Emil. – Od osiemnastego roku. Jaka ta spółka była, wolałbym nie przypominać.

Tymczasem Józia przyniosła nakrycie i tacę przykrytą kloszem. Postawiła wszystko na stole, odkryła klosz i poszła sobie. Emil nałożył Barbarze jajecznicę i nalał filiżankę kawy. Jego była żona skinęła głową. Doktor przyglądał się jej uważnie. Zmieniła się przez ten rok, cienie pod oczami i zmarszczki świadczyły albo o zgryzocie, albo o tym, że czas, tak dotąd dla niej łaskawy, postanowił jednak wziąć co swoje.

– To prawda – zgodziła się Barbara, biorąc widelec. – Teraz trzeba jednak pomyśleć o innych, nie o sobie. Jak się miewa Karła?

– Nie wiesz? – zdziwił się nieszczerze Emil.

– Nie wiem. Nie pisze do mnie.

– Ty do niej też nie. Ma się dobrze.

– Prowadza się po Londynie z byłą guwernantką?

– Być może – rzekł sucho Emil.

Barbara nie odpowiedziała. Jedli przez chwilę w milczeniu.

– Jak Karla zareagowała na mój pozew? – spytała po chwili.

– Powiedziała, że się zastanowi – skłamał Emil. – Czyli jest nadzieja, choć mała.

– Doradzisz jej, żeby czekała na proces?

Emil odsunął od siebie talerzyk z na wpół zjedzonym śniadaniem.

– Posłuchaj – rzekł. – Przychodzisz tutaj po tym, jak twój kochanek, przez jakiegoś podstawionego bandytę, mało co mnie nie zabił. Proponujesz wspólne mieszkanie i spółkę, cokolwiek przez to rozumiesz. A teraz mnie wypytujesz o wybory Karli. O co ci właściwie chodzi?

Barbara zrozumiała, że musi zagrać w otwarte karty.

– Zrobiłam błąd – powiedziała niechętnie. – Dobrze, że odeszłam, niedobrze, że do niewłaściwego człowieka. Takiego, który nie potrafi się zająć odpowiednio kobietą...

– O ile pamiętam – rzekł zimno Emil – to odeszłaś do niego właśnie dlatego, że odpowiednio potrafił się tobą zająć. Jak zresztą inni twoi kochankowie.

Barbara przełknęła upokorzenie.

– Nie potrafił nas utrzymać – powiedziała wprost. – Nie mogło to trwać długo. Przywykłam do czegoś innego.

– I chciałaś wrócić do dawniejszych przyzwyczajeń – kiwnął głową Emil. – Skoro nareszcie mówisz szczerze, ja też będę szczerzy. Powrotu nie ma. Jeżeli potrzebujesz pieniędzy, mogę ci pożyczyć pewną kwotę. Co do Byszewa, proces przegrasz bez najmniejszych wątpliwości, więc szkoda opłat na sąd i adwokata. Mogę co najwyżej spytać Karłę, czy nie zechce spłacić cię tak, jak spłaca teraz twoją siostrę i brata. Kto wie, może się zgodzi.

– Czyli nie powiedziałaś jej o tym – zatriumfowała Barbara. – Bałeś się, że się zgodzi, prawda?

– Nie chciałem jej psuć humoru – wzruszył ramionami Emil. Przysunął znów talerzyk z wystygłą jajecznicą i nabrał odrobinę. Spróbował i skrzywił się nieznacznie. – Pewnych tematów nie powinno się jednak poruszać przy śniadaniu. Wszystko na nic.

Barbarze zaświtała jakaś nadzieja.

– Czyli mówisz, że Karla się zgodzi – rzekła. – A ile to będzie dokładnie pieniędzy?

– Z takimi pytaniami zwrócisz się do reagenta Mosia. Na piśmie. I to dopiero gdy Karla się zgodzi i przeprowadzi to sądownie. Nie wcześniej.

– A co mam robić teraz? Nie widzisz, że jestem sama, bez środków do życia...

– Wyprowadziłaś się od twojego kapitana. Dokąd posłałaś rzeczy?

Barbara zacięła usta.

– Czyli do Elżbiety – domyślił się. – Miałyście zawsze do siebie blisko. Więc niech i tak będzie. Jedź do Bilczyc. Ktoś skontaktuje się z tobą w sprawie Byszewa.

Wytań serwetką usta i rzucił ją na stół. Podniósł się. Barbara zrozumiała, że nic więcej nie osiągnie.

– Nie jesteś zbyt miły.

– Miły już byłem. Przez całe lata, kiedy dla Karli udawałem małżeństwo, żeby nie czuła braku matki. Pewnie i tak by nie czuła, bo przecież nigdy nie byłaś dla niej matką. Teraz dość.

Barbara odwróciła się i poszła do wyjścia. Emil eskortował ją do przedpokoju.

– Więc nic mi nie powiesz?

– Owszem – oświadczył chłodno. – Nie mam złudzeń, jeszcze się zobaczymy, więc do widzenia.

Barbara nie odpowiedziała i wyszła z mieszkania. Emil zamknął za nią drzwi. Jak duch zmaterializowała się za nim Józia. Doktor zerknął na nią.

– Zmarnowała mi jajecznicę – rzekł z udaną beztroską. – Czy Józia mogłaby...

– W te pędy, panie doktorze – odparła szybko. – Tylko czy...

– Jedno nakrycie – poprosił Emil. – Nic się w tym domu nie zmieni.

– Już biegnę, panie doktorze. – W jej głosie była ulga. Zniknęła tak prędko, jak się pojawiła. Emil westchnął cicho i wszedł do salonu. Otworzył wieko fortepianu, dotknął klawiszy. Poczł, jak bardzo brakuje mu Karli. Usiadł za klawiaturą i zaczął cichutko grać.

– Jajecznicę przyniosłam! – rozległo się bezlitośnie z jadalni.

Emil roześmiał się pod wąsem.

– Już idę! Józia to zawsze potrafi człowieka przywołać do porządku.

Wstał. Do Szuldrzyńskiego postanowił zadzwonić w poniedziałek, z Karłą porozmawia z końcem tygodnia. Ostatecznie nic nadzwyczajnego się

przecież nie stało. Choć mogło.

\*

W piątek, gdy Dorothy z Karłą już zupełnie oprzytomniały po weekendowych szaleństwach w Londynie, do Sheldon Manor bez zapowiedzi zjechała Kathy. Nie byłoby w tym może nic dziwnego, gdyby nie to, że przyjechała z gigantyczną ilością bagaży, zupełnie jakby się przeprowadzała na stałe. I tak w istocie było. Dorothy, którą Kathy zastała siedzącą z papierosem nad książką w ogrodowej altance, popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

– Dorothy – powiedziała Kathy tuż po przywitaniu – musisz mi wybaczyć. Nie mogę wytrzymać w Avebury, ojciec bez przerwy jeździ do Emily albo przyjmuje jej wizyty, w przerwach spotyka się w interesach z mnóstwem ludzi. Pokłóciłam się z Cristine, Alice emabluje Alberta, który daje się pocieszać i liczy na więcej, Wendy wyjechała, Ursula wyjechała, Andrew wyjechał...

– Dobrze już. – Dorothy bezlitośnie przerwała tę wyliczankę. – Do czego zmierzasz?

– Zatrzymam się u ciebie, póki się da, dobrze?

Dorothy spojrzała z niedowierzaniem.

– Przecież nie lubisz tutaj mieszkać.

– Nie mam wyjścia. – Kathy wyglądała na zdesperowaną. – Wolę źle spać, niż siedzieć w Avebury, widzieć uśmiechniętego ojca, który jak młodzieniaszek emabluje moją przyszłą macochę, a w przerwach nudzić się setnie.

Dorothy wzruszyła ramionami.

– W Sheldon Manor – zauważyła – mieszkało nieraz i czterdziestu ludzi, nic się nie stanie, jeśli prócz służby będą tu mieszkały zamiast dwóch trzy osoby. W piątek jedziemy do Oksfordu, wybierzesz się z nami. Każ wyładować swoje rzeczy.

– A gdzie Karla? – Kathy rozejrzała się wokół, jakby przyjaciółka skrywała się za którymś z żywopłotów.

– Od rana pisze listy, na górze. Możesz do niej zajrzeć, ale nie rękę za efekt.

– Dlaczego?

– Mnie wyrzuciła – zachichotała Dorothy.

Kathy spojrzała na nią z ukosa. Gospodyni sprawiała wrażenie odmienionej. Niewiele zostało z nonszalanckiej, wyniosłej arystokratycznej damy. Wyglądała teraz, jakby odmłodziła o dziesięć lat. Kathy zrozumiała, że coś jej się wymyka. Relacje między Karłą a Dorothy musiały się diametralnie zmienić przez ostatnie tygodnie.

– I do tego dzwoni do ojca – kontynuowała Dorothy – więc tym bardziej uważaj. Lepiej każ zanieść swoje rzeczy do pokoju i wróć do mnie.

– Już kazałam. – Kathy rozsiadła się wygodnie na altanowej ławeczce. – Przecież byś mnie nie wyrzuciła, prawda?

– Prawda – przyznała Dorothy. – Znam cię, od kiedy byłaś zaledwie w planach, więc wyrzuciłabym cię tylko, gdybyś zaczęła robić głupstwa, których nawet ja nie byłabym zdolna tolerować.

– Jakie na przykład?

Dorothy zaciągnęła się głęboko papierosem i wyrzuciła niedopałek do kosza.

– Na przykład wyjście za Alberta Mildhouse’a – rzekła.

– Nie wypominaj mi – mruknęła ponuro Kathy. – To było głupie, ale sama robiłaś takie rzeczy w życiu.

– Ale teraz zmądrzałam. A ty dalej robisz głupstwa. Słyszałam o tobie i o Jeffreyu Adamsie...

Kathy podskoczyła jak żgnięta szydłem.

– Skąd wiesz? – szepnęła przerażona.

– Nieistotne. – Dorothy popatrzyła na nią poważnie. – Przestań wreszcie mylić przelotne zauroczenia i drobne przyjemności ze związkiem na całe życie. Jeśli nie możesz się powstrzymać, wpuszczaj czasem mężczyzn do alkowy, ale nie myśl, że jedna udana noc daje im prawo do twojego życia, rozumiesz?

Kathy była zdruzgotana.

– Na pewno nie mówisz takich rzeczy Karli.

– Nie mówię – zgodziła się Dorothy. – Po pierwsze, jest niepełnoletnia, a ja za nią odpowiadam, więc mimo tego, że wierzę w jej rozsądek, to trzymam ją z dala od przelotnych związków mogących mieć katastrofalne skutki. Po drugie, ma swojego Janka, który zasługuje na szacunek i może nawet na znacznie więcej. Po trzecie, ona to rozumie, choć jeszcze wstydzi się o tym mówić wprost. A po czwarte... – przerwała, widząc Karłę wchodzącą do ogrodu.

– Dzień dobry, Kathy – powiedziała. Widać było, że jest strapiona. Dorothy spojrzała na nią z troską.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Właściwie... właściwie to nie wiem. Rozmawiałam z ojcem.

– Stało się coś? – zaniepokoiła się Kathy.

– Nic, nic. Przyjechałaś na dłużej?

– Mam nadzieję, kochana.

Kathy objęła Karlę i pocałowała w policzek.

– Świetnie – rzekła szczerze, choć bez uśmiechu Karla. – Usiądę na sekundę, potem pójdę na górę dokończyć listy i jestem wolna, dobrze?

– Ja tymczasem przypilnuję rozpakowywania rzeczy – rzekła Kathy. – Widzimy się za chwilę?

Odwróciła się i szybko poszła w stronę podjazdu. Karla wyczekała, aż dziewczyna zniknie. Wtedy popatrzyła na Dorothy.

– Matka wróciła – powiedziała niechętnie.

– Co to znaczy: wróciła? – zdumiała się Dorothy. – Znów pobrała się z twoim ojcem?

– Nie – mruknęła Karla. – Zostawiła tego swojego kapitana i poszła znów mieszkać do siostry i szwagra.

– Nie sądzisz chyba, że ojciec przyjął ją z otwartymi ramionami – zauważyła rozpogodzona Dorothy.

– Nie przyjął – potwierdziła Karla – ale matka została bez środków do życia.

– Sama jest sobie winna – mruknęła mściwie Dorothy. – Nic się nie da tutaj zrobić.

– Może się da – powiedziała z wahaniem Karla.

Dorothy popatrzyła na nią uważnie.

– Uważaj – ostrzegła – przed chwilą przestrzegałam Kathy przed robieniem głupstw, teraz mogę cię zacząć przestrzegać.

Karla uśmiechnęła się z wysiłkiem. Dorothy zrozumiała, że rzecz jest poważna.

– Mów – zażądała. – Tylko szybko, póki nie ma Kathy. To nie jest temat do paplaniny, tylko ważna sprawa.

Karla streściła jej rozmowę.

– Czyli mówisz, że tak ni stąd, ni zowąd twoja matka rzuciła człowieka, dla którego rozeszła się z twoim ojcem? – zastanowiła się Dorothy. – I potem przyszła do niego po pomoc? Nic z tego nie rozumiem.

– Ja się nawet nie staram – powiedziała cicho Karla. – Wiem tylko tyle, że nie mogę tego tak zostawić.

– Chcesz ją spłacić?

– Tak – rzekła stanowczo dziewczyna. – Najlepiej od razu.

– Skąd weźmiesz pieniądze?

Karla zawahała się.

– Myślałam – powiedziała powoli – o moich pieniądzach na studia...

Dorothy popatrzyła na nią jak na kogoś niespełna rozumu.

– Zwariowałaś?

– Może – mruknęła Karla.

Dorothy pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Nie może, ale na pewno. Nigdy do tego nie dopuszczę. Choćbym miała ci zablokować konto bankowe.

– Nie rozumiesz – zbuntowała się Karla. – To moja matka!

– Niewątpliwie – przyznała Dorothy. – *Mater semper certa est*<sup>[6]</sup>. Co nie zmienia faktu, że miłości macierzyńskiej nie było w tym za wiele. Powiedziałaś o tym ojcu?

– Powiedziałam.

– I co ci odpowiedział?

– Że mam myśleć o swojej przyszłości, a nie o sprawach, które załatwią między sobą dorośli. Prawie się pokłóciliśmy, a byłoby to chyba po raz pierwszy w życiu.

– Nie wierzę, żeby nie powiedział ci, jaki ma na to plan. Gdyby go nie miał, byłby to pierwszy taki przypadek, jaki znam, a wręcz pierwszy przypadek w jego życiu.

– Powiedział mniej więcej to samo co ty – przyznała Karla ze spuszczoną głową. – I że wrócimy do sprawy, gdy rządca przedstawi jesienne bilanse. Dopiero co skończyły się żniwa. Powiedział też, że matka nie umrze z głodu u ciotki Elżbiety, a jeśli przestanie przez jakiś czas bywać w krakowskich, lwowskich i warszawskich kawiarniach, restauracjach i modnych dancinгах, wyjdzie jej to tylko na dobre...

Dorothy uśmiechnęła się.

– Sama widzisz – skwitowała. – Ja też nie zamierzam się mieszać do spraw dorosłych i powiem, że twój ojciec ma rację. Gdyby nie to, że głęboko wierzę w ciebie, poprosiłabym, żebyś na jakiś tydzień, do chwili aż ochłoniesz, zdeponowała swoje książeczki czekowe, bo jeszcze gotowaś matce wysłać jakieś fundusze...

Karla spaşowiała.

– Czyli już o tym pomyślałaś – pokiwała głową Dorothy. – Wiem, że serce u ciebie idzie przed rozumem, ale rozum jest znacznie bardziej skomplikowany niż ta pompa do tłoczenia krwi w twojej lewej piersi. Jako córce lekarza nie muszę ci chyba o tym przypominać, nieprawdaż?

Pokonana Karla kiwnęła głową. Tymczasem Dorothy ciągnęła dalej.

– Pamiętaj, nie rób na razie nic. Prześpij się z tą sprawą, a jutro uruchom rozum i pomyśl, czy jedna noc... – urwała nagle. – Zabawne – podjęła innym tonem – o tym samym mówiłam przed twoim przyjściem z Kathy, choć w nieco innym kontekście. Czyli jednak świat jest całością, a wszystkie sprawy łączą się ze sobą w określonym porządku.

Karla nie zrozumiała z tego nic.

– Czyli poczekać – westchnęła. – Już dobrze. Poczekać. Tylko nie wiń mnie za to, że myślę to, co myślę. Nie dlatego, że matkę jakoś specjalnie kocham. Przeciwnie. Chcę, by jak najszybciej stała się dla mnie obcym człowiekiem. Żeby się nie zastanawiać, jak się czuje, czy żyje, czy nie...

– Nie kończ. Lepiej przypomnij sobie *Księgę snobów* i akapit o rachunku, który pewien kadet przedstawił swojemu ojcu. Rachunku za wyposażenie oficera Drugiego Pułku Jabłkowitych Ułanów Królowej. I pomyśl sobie, że to ty masz być tym ojcem. Zrozumiałaś?

Karla nie wytrzymała i roześmiała się serdecznie. Śmiała się tak, że w kącikach jej oczu pojawiły się łzy. Dorothy śmiała się wraz z nią.

– Zrozumiałam – wykrztusiła, gdy już mogła się uspokoić. – Należał do najoszczędniejszych w swoim pułku, niech go Bóg błogosławi!

Oboje zanosły się śmiechem. Z drzwi prowadzących do ogrodu wyjrzała Kate.

– Coś mnie ominęło? – spytała pogodnie.

– *Ditto pelisa* – wyjąkała Karla i znów zaczęła się śmiać. Kathy roześmiała się również.

– I tak nic nie rozumiem – rzekła – ale dobrze, że przynajmniej jest wesoło.

\*

Odpowiedzi na listy, które pisała Karla, przysły już w pierwszym tygodniu września. Dwa ucieszyły ją szczególnie. Pierwszy pochodził od Janka, który wracał niechętnie do ostatniej klasy gimnazjum, po odbytej w wakacje praktyce rolniczej, o której barwnie i szczegółowo opowiadał. Ucieszyły ją szczególnie pozdrowienia od pana Hieronima, który zapowiedział, że w sposobnej chwili skreśli do niej list, jak i dołączona do listu odkrytka od Winicjusza i Krystyny. Jak zwykle Karla wśród kart znalazła zasuszony kwiatek zerwany na tej polance, na której po raz pierwszy całowała się z Jankiem. Z uśmiechem zauważyła, że tym razem była to niezapominajka, która jakimś cudem dotrwała wśród ziół do końca lata. Drugi z listów był w szarej kopercie, zaadresowanej ozdobnym, pełnym zawijasów pismem. Karla otworzyła go z niecierpliwością. Aż krzyknęła z radości, gdy zobaczyła list i drugą, zamkniętą kopertę.

– To od profesora Przychockiego! – zawołała. – Mojego łacinnika!

Prędko przebiegła wzrokiem po kilkunastu zdaniach listu.

– Nie byłby sobą, gdyby nie napisał po łacinie.

– A co napisał? – zainteresowała się Dorothy.

Siedziały obie w salonie przed wygasłym kominkiem. Kathy im nie towarzyszyła, jak zwykle poszła się zdrzemnąć po obiedzie.

– Napisał, że dołącza list polecający do jednego ze swoich znakomych kolegów w Oksfordzie – powiedziała Karla, pokazując zamkniętą kopertę. – Prosiłam go o to, zwierając mu się ze swoich planów.

– Nadal zastanawiasz się, czy studiować sztukę, filologię klasyczną, czy ekonomię i prawo? – zaśmiała się Dorothy.

– Nadal. Musimy jechać do Oksfordu. Koniecznie!

– Pojedziemy. Zwłaszcza że mamy po temu dodatkową okazję. Otóż wszystko wskazuje na to, że znalazłam odpowiedni dom. Musimy jechać go zobaczyć. Wszystkie trzy. Ostatecznie Kathy też należy do stowarzyszenia wiedźm z Makbeta, więc zasługuje na to, by być przy oględzinach.

Karla roześmiała się pogodnie.

– Kiedy pojedziemy?

Dorothy zastanowiła się chwilę.

– Najlepiej pojutrze. Licz się tylko z tym, że swojego profesora nie spotkasz na uczelni, całe grono rozjechało się na wakacje i zjadą na uczelnię

zapewne dobrze po połowie miesiąca.

– Ten nie wyjechał. Jeśli wierzyć profesorowi Przychockiemu, profesor Penbridge z wyjątkiem zajęć, snu i posiłków przebywa w uniwersyteckiej bibliotece i jest tam o wiele częściej i dłużej niż większość bibliotekarzy, a co dopiero naukowców. Nawet nie wiesz, jak na to czekałam!

– Chyba wiem. A pamiętasz o naszych postanowieniach?

– Owszem. Wytypowałam zawody, w których mogłabym pracować.

– Zamieniam się w słuch.

– Do pierwszych dwóch potrzebuję, niestety, agenta – powiedziała z żalem. – Przecież nie pójde do redakcji gazety z artykułem politycznym albo fotografią jakiegoś spektakularnego wydarzenia i nie powiem, że ja, siedemnastoletnia panienka z dalekiego kraju, w którym jak wierzą niektórzy, białe niedźwiedzie chodzą po ulicach miast...

– Zaraz, zaraz – przerwała jej Dorothy. – Chcesz powiedzieć, że piszesz komentarze polityczne? I że to zajmuje cię ostatnio popołudniami?

– Owszem.

– I to stąd te prenumeraty gazet? Zastanawiałam się, skąd u mnie ten polityczny śmietnik...

– Musiałam mieć wszystkie opcje. Robiłam ćwiczenia.

– Pokażesz?

– Ale pod warunkiem że nie będziesz się śmiała...

– Nigdy w życiu. Czekam.

Karla zerwała się z miejsca. Już po chwili była z powrotem, trzymając w ręku gruby plik papierów.

– Przeczytaj to. – Podała jej kilka kartek. – Każdy o tym samym, ale dla innej gazety.

Dorothy, z trudem zachowując powagę, wzięła kartki. Karla z absolutną satysfakcją obserwowała, jak jej przyjaciółce zmienia się wyraz twarzy.

– To, co czytasz, jest dla „Timesa” – powiedziała, obserwując z satysfakcją reakcję Dorothy. – Teraz zobacz to samo, ale dla „Morning Post”...

– „The Morning Post” ma upaść – mruknęła Dorothy. – Słyszałam jakiś czas temu od Williama, że będzie na sprzedaż.

– Nie szkodzi. Trzeci jest dla „Heralda”. Co ty na to?

Dorothy szybko przebiegała wzrokiem ładne, czytelne pismo Karli. Po dłuższej chwili podniosła na nią oczy.

– To naprawdę ty pisałaś?

Karla zaśmiała się cichutko.

– To takie ćwiczenia ze stylu – powiedziała. – Wypisałam sobie ze sto najczęściej używanych przez dziennikarzy określeń, poprosiłam tatę, aby opowiedział mi o jednym wydarzeniu politycznym, i napisałam. Skąd wiem, kto zaproponuje mi pracę?

– Nikt – odparła bezlitośnie Dorothy, składając papiery. – Zaatakowałaś premiera Baldwina w konserwatywnej gazecie, pochwaliłaś go w centrolewicowej, a w brukowcu stwierdziłaś, że rząd wie, co robi. I tak dobrze, że nie napisałaś jeszcze czegoś w stylu „The Morning Star”, bo gdyby się o tym dowiedział Emil, chyba by cię wydziedziczył. Ale przyznaję, styl masz znakomity, choć orientację polityczną – żadną.

Tym razem to Karli zrzęda mina.

– W razie czego – powiedziała pokornie – mogę też szyć lalki z gałganków. Pamiętasz, jakie umiałam kiedyś robić, gdy byłam mała?

– Nie, nie – zbagatelizowała ją Dorothy – to zostaw dla Kathy.

– To co właściwie mam zrobić?

Dorothy zatarła rękę.

– Po pierwsze, kupić maszynę do pisania – rzekła z zadowoleniem. – A po drugie, będziemy musiały zwrócić się o drobną pomoc.

– Do kogo?

– Do mnie – skłamała w ostatniej chwili Dorothy. – Będiesz pisała na zamówienie. Zostanę twoją agentką, w redakcjach będę mówiła, że jeden z moich najbliższych, bardzo wysoko sytuowanych przyjaciół, który pragnie pozostać anonimowy, pisze te komentarze. Wiesz, jak będą zachodzić w głowę, kim jest ten człowiek? Czy to nie jakaś fronda w rządzie albo cichy sprzymierzeniec w opozycji?

– Więc mówisz, że nie był to taki głupi pomysł?

– Pomysł był genialny, tylko wymaga dopracowania. Biorę. Ale ja też potrzebuję agentki.

– Ty? – zdumiała się Karla. – Przecież to ty masz być moją.

– Ja będę rysowała. Uczyć dzieci tutaj mi nie wypada, wszyscy wiedzą, kim jestem, z jakiej pochodzę rodziny i kto był moim mężem. Ekstrawagancja musi mieć swoje granice.

– A umiesz rysować? – zapytała nieśmiało Karla.

Dorothy zaśmiała się.

– Daj kartkę i ołówek – zażądała.

Karla natychmiast zgięła na pół zapisaną do połowy kartę i podała jej czystą stronę. Z kieszeni wyjęła krótki ołówek. Dorothy potrzebowała najwyżej pół minuty, kilkadziesiąt kresek i chwilę na cieniowanie. Podała Karli kartkę.

– Podoba się? – spytała.

Zauroczona Karla długo nie mogła się przestać wpatrywać w swój portret.

– Dasz mi dedykację?

– Kiedyś narysuję ci lepszy. Jesteśmy umówione, stawki dla gazet ustalę później. Tylko co z Kathy?

– Co z Kathy? – rozległo się od strony schodów.

Po chwili do salonu weszła Kathy, ziewając rozgłośnie.

– Nie mogłam spać w nocy – usprawiedliwiła się jak zwykle. – Ale w dzień idzie mi znakomicie.

– Pamiętasz nasze postanowienia? – spytała Dorothy. – Mamy coś robić zarobkowego.

– Po co? – zdziwiła się Kathy, przysiadając przy Karli na fotelu. – Jesteśmy bogate.

Dorothy i Karla spojrzały na siebie.

– Kathy – powiedziała Karla poważnie – od ojca słyszałam taką historyjkę. Pozwolisz sobie ją opowiedzieć?

– Pewnie – ożywiła się dziewczyna. – Od twojego taty zawsze.

– Otóż – zaczęła Karla – kiedy mój kraj był pod zaborami, pewna jego część należała do Austro-Węgier. Aż do Wielkiej Wojny rządziła nimi dynastia cesarska Habsburgów i cesarz Franciszek Józef I. Mówi ci to coś?

– Oczywiście – oburzyła się Kathy. – Ale co to ma do rzeczy?

– Wiesz, kim był cesarz Franciszek Józef I z zawodu?

Kathy sprawiała wrażenie, jakby nie zrozumiała, co Karla do niej mówi.

– Jak to, kim był z zawodu? – spytała niepewnie.

– Czy ja naprawdę tak źle mówię po angielsku? – rozeźliła się Karla. – Kim był z zawodu. Jaki miał wyuczony zawód.

– Cesarz? – roześmiała się Kathy.

Karla pokręciła głową.

– Nie. Introligator.

– Przestań ze mnie kpić – zezłościła się tym razem Kathy. – Chcesz powiedzieć, że najbogatszy człowiek tej części Europy był introligatorem?

– Dynastia Habsburgów – tłumaczyła cierpliwie Karla – pamiętała rewolucję francuską. Wszystkich jej członków obejmowały podobne zasady: trzeba było mieć jakiś zawód w razie rewolucji, utraty majątku i wszelkich praw, które płyną z urodzenia.

– Niebawem. – Kathy zerknęła na Dorothy, która z uśmiechem pokiwała głową. – Więc mówisz, że cesarz był introligatorem. Ale jaki ma to związek z nami?

– Mam nadzieję, że żaden, ale skoro cesarz miał swój zawód, to córka bankiera też może.

– No dobrze. Mogę doradzać paniom, jak się ubierać stosownie do okazji.

– Jesteś tego zupełnie pewna? – spytała złośliwie Dorothy, patrząc na dość przypadkowy, domowy strój dziewczyny. Kathy nie przejęła się zupełnie.

– Oczywiście – zapewniła. – Mam w tym wysokie kwalifikacje.

– Gorzej, że nikt nie będzie chciał za to płacić – zauważyła Karla. Dorothy tylko uniosła oczy ku niebu. – Może potrafisz zabawiać dzieci? – zapytała.

– Nie bardzo – wyznała dziewczyna. – Drażnią mnie tylko.

– To co ty właściwie potrafisz robić?

Kathy zakłopotana się.

– Chyba tylko śpiewać – przyznała. – I układać kwiaty.

Dorothy i Karla znów popatrzyły na siebie.

– Masz dziesięć minut – powiedziała Dorothy. – Znajdź ogrodnika, powiedz mu, że pani chciała nieduży bukiet kwiatów, ale ty masz mi go ułożyć.

Kathy nawet nie odpowiedziała, zerwała się i pobiegła do wyjścia.

– Wiedziałaś, że umie układać kwiaty? – spytała Karla.

– Nie miałam pojęcia. Ty też nie, prawda?

Karla pokręciła głową.

– Za dziesięć minut zobaczymy – rzekła Dorothy. – I tak nie bardzo jest z czego zrobić ten bukiet, w ogrodzie zostały już tylko róże i te drobne goździki, które tak lubisz.

Po dziesięciu minutach Kathy wsunęła się do salonu, dzierżąc coś za sobą. Postępował za nią z namaszczeniem ogrodnik, niosąc wazę z wodą.

– Jak poszło? – zagadnęła nieśmiało Karla.

Kathy szybkim ruchem wysunęła zza pleców bukiet. Dorothy aż westchnęła. Nie było wprawdzie w nim nic z florystycznego szaleństwa, ale bukiet i tak tchnął pięknem i spokojem. Siedem drobnych różyczek splecionych kunsztownie z różnokolorową, wysoką trawą, którą Karla musiała dopaść gdzieś blisko stajni, uzupełnionych ligustrem z żywopłotu.

– Coś z niczego – rzekła z podziwem Karla. – Ale naprawdę piękne. Przyjmujemy cię. Prawda, Dorothy?

– Zawsze uważałam, że potrzeba wydobywa z nas ukryte talenty. – Dorothy pokiwała głową. – Pojutrze jedziemy oglądać dom. Postanowione.

\*

Dom, który wynaleziono dla Dorothy, stał jakieś trzy mile od centrum Oksfordu, na północny zachód od Headington. Był to niewielki, przebudowany na podmiejską rezydencję kamienny, piętrowy cottage, przylegający do zabudowań gospodarczych i domku dla służby. Na dole były salon kominkowy, jadalnia, kuchnia ze spiżarnią i łazienka, na górnym piętrze, na które prowadziły drewniane schody, znajdowała się druga łazienka i cztery pokoje.

– Jakby dla nas – powiedziała z podziwem Karla, gdy przeszły już po wszystkich pomieszczeniach, do których uczynny agent zostawił klucze.

– I dla mnie – wyznała Kathy. – Spójrz tylko na ogród.

Rzeczywiście, ktoś, kto go projektował, znał się na rzeczy. Część była sztucznym skalnikiem porośniętym przez różnobarwne porosty i oplatające kamienie powoje. I choć był już wrzesień, w przedpołudniowym słońcu mienił się cudownie różnokolorowym, drobnym kwieciem.

– Pamiętaj tylko – mruknęła Dorothy, przyglądając się feerii barw skalnika – jeśli kupię ten dom i zamieszkamy w nim, nie wolno ci nawet tknąć tych kwiatów. Bukiety będziesz sobie komponowała w pracy.

– Postanowione – odparła Kathy.

Karla rozejrzała się uważnie i poszła w stronę stajni. Uchyliła wrota – stajnia była przygotowana na sześć koni, miała wszystkie potrzebne udogodnienia. Jednak najbardziej ucieszył ją stojący w jednym z boksów rower. Wyprowadziła go na zewnątrz. Dorothy kiwnęła głową z aprobatą.

– Będziemy musiały sobie sprawić rowery – powiedziała. – Nie wiem, do kogo należy ten, ale pewnie właściciel nie będzie miał nic przeciw, jeśli pożyczysz go sobie na jakiś czas.

– Zapewne – zgodziła się Karla, sprawdzając opony.

Były dobrze napompowane. Z trudem wsiadła – rower miał zdecydowanie męskie gabaryty, ale gdy ruszyła – było już łatwiej. Pojechała kawałek do wyjazdu i zawróciła.

– Jadę na uniwersytet – oznajmiła. – Przebiorę się tylko.

– Na pewno nie chcesz, żeby cię podwieźć? – spytała Dorothy.

– Dziękuję, nie.

– Jak chcesz. My pojedziemy chyba do miasta później. Umówiłam się z agentem na oddanie kluczy na szóstą.

Zerknęła na zegarek.

– Mamy dziesiątą. Może umówimy się na drugą na lunch? Spotkajmy się przed kościołem uniwersyteckim, znajdziemy coś w pobliżu.

Kwadrans później Karla pedałowała z zapalem na męskim rowerze w stronę Oksfordu. Z początku się obawiała, że wzbudzi sensację, ale szybko się przekonała, że w tutejszych warunkach dziewczyna na rowerze jest zjawiskiem równie naturalnym jak pieszy na ulicy. Nikt nie zwracał na nią uwagi, i wcale nie przez angielską zasadę szanowania czyjejś prywatności. Rower był tutaj głównym środkiem transportu, niezależnie od zamożności i stanu. I wprawdzie rok akademicki jeszcze się nie rozpoczął, to jednak im bliżej uniwersytetu, tym częściej Karla napotykała młodych ludzi na rowerach, przemieszczających się szybko wąskimi uliczkami. Dojechała do Holywell Street i zatrzymała się. Zerknęła na plan i aż się zaśmiała – Biblioteka Bodlejańska była tuż-tuż. Skręciła w lewo, podjechała kawałek Catte Street aż do biblioteki. Zahamowała, zeskoczyła z roweru, prawie się przy tym przewracając, oparła go o mur i podeszła do bramy. Pchnęła ją mocno – nie ustępowała. Niewiele myśląc, pociągnęła za drut z rączką. Mosiężny dzwonek zadzwęczał donośnie, tak głośno, że się aż przestraszyła. Po chwili wrota uchyliły się i wyjrzał z nich umundurowany starszy, niski mężczyzna z imponującym brzuchem.

– Nie można zwiedzać – oznajmił, srogo patrząc na Karłę. Dziewczyna nie stropiła się.

– Mam list do profesora Penbridge’a – powiedziała.

Mężczyzna wyciągnął rękę. Karla wyjęła z torebki kopertę, pokazała, ale jej nie podała.

– Tu jest napisane: przekazać do rąk własnych.

– Gdzie?

– Nie umie pan czytać po łacinie? – zdziwiła się Karla. – Wyraźnie jest napisane: a.m.p. *Ad manus proprias*.

– Proszę dać. Przekażę do rąk własnych. Obcych nie wpuszczę.

– Mowy nie ma – zbuntowała się Karla. – To ja przekażę do rąk własnych.

– W takim razie życzę powodzenia – skwitował mężczyzna i zaczął się zbierać do zamykania bramy. Karla w niepojętym odruchu wsunęła stopę w szczelinę, nie pozwalając domknąć wrót.

– Chwileczkę – rzekła stanowczo. – List do profesora Penbridge’a nie jest ode mnie, lecz od jego przyjaciela, profesora uniwersytetu krakowskiego. Powierzył mi jego przekazanie, nie mogę go zawieść. Zapewniam, iż zrobię wszystko, łącznie z zawołaniem policji, by mi to umożliwiono.

– Tutaj policja nie ma władzy – burknął mężczyzna.

– I bardzo dobrze – usłyszała zza siebie. – Ale mnie pan wpuści, prawda?

– Dzień dobry, sir – powiedział o wiele grzeczniej mężczyzna.

Karla odwróciła się. Stał za nią chłopak, może dwudziestoletni, w koszuli, pod krawatem, w jasnym blezerze. Miał kręcone blond włosy i twarz, do której aż się chciało uśmiechnąć. Karla nie zamierzała tłumić tej chęci. W jego oczach widziała nic porozumienia.

– Ta pani jest ze mną – powiedział stanowczo. – Mamy pewną naukową kwestię, do której powinniśmy się przygotować.

– Ale przecież, sir... – zaczął mężczyzna.

– To prawda – kiwnęła głową Karla. – Musimy napisać traktat na temat *Utraque manus in benedicendo clericis inferioribus necessaria est*<sup>[2]</sup>. Pomagam mu w łacinie.

Kątem oka zauważyła, że chłopak z najwyższym trudem utrzymuje powagę. Stropiony odźwierny otworzył szerzej wrota.

– Odpowiadam za tę panią – powiedział chłopak. – Jest podporą fakultetu klasycznego. Idziemy. Pozwolisz, że poprowadzę?

Podał jej dłoń, którą bez wahania przyjęła. Weszli do obszernego westybulu i skierowali się w lewo.

– Skąd ci przyszedł do głowy ten cytat? – zapytał chłopak, kiedy znaleźli się poza zasięgiem wzroku odźwiernego. – Myślałem, że parsknę śmiechem, przypomniałem sobie natychmiast nieszczęsnego Aramisa dyskutującego z księżmi...

– Ten odźwierny przypominał mi Bazina – zaśmiała się Karla. Wypuściła ze swojej dłoni dłoń chłopca.

– Rozumiem – skwitował. – Na imię mi Peter, jestem studentem w Merton College.

– Co studiujesz?

– Politykę, ekonomię i prawo.

Wyczuła żal w jego głosie.

– A wolałbyś....

Peter ożywił się wyraźnie.

– Literaturę – rzekł z tęsknotą.

Karla poczuła, że nie ma sensu drażnić tematu. Nie teraz.

– Mam na imię Karla. Studia rozpocznę pewnie dopiero za rok, ale mój łacinnik dał mi list polecający do profesora Penbridge'a.

– Idziemy do niego. Uroczy człowiek, zwłaszcza gdy mówić do niego po łacinie. Umiesz?

– Spróbuję – uśmiechnęła się Karla. – Dobrze sobie radziłam.

– Po raz pierwszy widzę tak śliczną łacinniczkę.

– A wiele ich znasz?

– Kilka. Moi koledzy są w efekcie głęboko przekonani, że skłonność do czytania łacińskich tekstów najwyraźniej idzie w parze z nieumiarkowaniem w jedzeniu.

– I picciu?

Przeszli przez westybul i skierowali się do schodów.

– Nie sprawdziłem. W każdym razie jeśli trafisz do Świętej Hildy, będziesz pewnie tamtejszą miss piękności.

– A jeśli nie trafię?

– To będziesz nią gdzie indziej.

Karla poczuła się miło polechtana komplementem. Weszli do przepięknej czytelnicy. Dziewczyna z zapartym tchem spoglądała na dziesiątki tysięcy książek na ściennych regałach.

– To część klasyczna czytelnicy – powiedział cicho Peter. – Tam na końcu siedzi profesor Penbridge. Pozwolisz, że zniknę teraz, wolę mu zejść z oczu, nim mnie dostrzeże. Powodzenia!

– Dziękuję – szepnęła. Zrobiła głęboki wdech i wydech, po czym ruszyła do siedzącego za stołem mężczyzny.

– Profesor Penbridge? – zapytała nieśmiało.

Profesor podniósł głowę.

– Tak, to ja – powiedział uprzejmie. – Czym mogę służyć?

Karla wyjęła z torebki list.

– Mój wielki nauczyciel, czcigodny profesor Gustaw Edward Przychocki – powiedziała płynnie po łacinie – przekazuje swojemu najczcigodniejszemu koledze, profesorowi Horace'owi Penbridge'owi, wyrazy najwyższego szacunku i ten oto list. – Podała profesorowi kopertę.

Penbridge aż podskoczył. Jego uprzejmość przeistoczyła się nagle w radość.

– Usiądź, proszę – rzekł po łacinie, wskazując krzesło obok siebie. Karla przysiadła niepewnie. Tymczasem Penbridge już się zabierał z niecierpliwością do rozcinania koperty za pomocą małego zgrabnego nożyka do listów. Zagłębił się w list z wyraźną rozkoszą, pomrukując z ukontentowania. Podniósł nagle wzrok na Karłę.

– Twój czcigodny mistrz – odezwał się po łacinie – pisze, że mimo bardzo młodego wieku wykazujesz liczne cnoty przynależne raczej osobom starszym...

– Mój czcigodny mistrz – zauważyła również po łacinie Karla – jest wzorem uprzejmości i skromności. Żałuję tylko, że mnie nigdy jeszcze nie obdarzył pochwałą.

Penbridge zachichotał jak sztubak. Czytał dalej, Karla czekała cierpliwie. Wreszcie złożył na powrót list i przyjrzał się jej uważnie.

– Cóż ja mogę z panią zrobić? – rzekł tym razem po angielsku. – Zamierza pani wstąpić na uczelnię już w tym roku?

– Uniwersytet nie przyjmuje osób niepełnoletnich – westchnęła Karla. – Złożyłam egzaminy kończące szkołę średnią rok przed terminem.

– Zapewne celująco.

Karla tylko się uśmiechnęła.

– To, co pisze o pani profesor Przychocki – kontynuował Penbridge – to chwalebna zgodność formy i treści. A styl profesora, dodajmy, jest nadzwyczajny.

Zastanowił się chwilę.

– Myślę – dodał z wahaniem – że jeśli zgodzi się pani studiować pod moim kierunkiem aż do uzyskania stopnia naukowego, uda mi się przekonać władze uczelni, aby zrobiły wyjątek. Mieszka pani w Oksfordzie?

– Już niebawem tak.

– W takim razie nie ma przeszkód – ucieszył się Penbridge. Popatrzył na stropioną Karłę i uśmiech zniknął z jego twarzy. – Jednak jest jakaś... Czy... – zawahał się – natury finansowej?

– Nie, nie – zaprzeczyła szybko Karla. – To nie ten problem. Raczej... – zawahała się – problem mojej uczciwości. Ojciec wysłał mnie do krewnych w Anglii, abym przyjrzała się innemu światu, ale jak się domyślam, chciał również, żebym się zastanowiła nad tym, co chcę zrobić z moim życiem.

Płynnie przeszła na łacinę.

– Jeśli powiem teraz tak – rzekła, jakby deklamowała poezję – przesądzę na zawsze swój los, a nie jestem na to gotowa.

– O losie przesądzają tylko bogowie – zauważył również po łacinie Penbridge. – Wszystko inne to złudzenie niemądrych śmiertelników...

Karla uśmiechnęła się ślicznie. Penbridge ważył coś w sobie przez chwilę.

– Proszę złożyć jak najszybciej swoje dokumenty, z adnotacją, by skierować je do mnie osobiście za moją wiedzą i zgodą – oświadczył wreszcie po angielsku. – Pod koniec września proszę pojawić się znowu u mnie. Zostanie pani wolnym słuchaczem na trzy trymestry, ale będzie pani musiała napisać wszystkie prace jak zwykły student. Po tych trzech trymestrach, jeśli uznamy, że bogowie przesadzili pani los jako filologa – zaliczę pani rok i rozpocznie pani pełne studia na drugim roku. Jeśli zaś nie – zyskam miłą przyjaciółkę, z którą od czasu do czasu zamienię w moim ukochanym języku kilka słów. Czy to pani odpowiada?

– Profesor Przychocki miał rację – odparła Karla. Wyjęła z torebki kartę od Przychockiego. – Napisał mi w liście tak oto: „Bóg dał nam łacinę, abyśmy jej służyli, więc jesteśmy sługami sługi bożego. Ale czyż nie tak się mówi o najwyższym kapłanie? A tym jest w Albionie przesławny profesor, do którego kieruję twoje kroki, a którego mądrość równa jest jego wiedzy”.

– Kochany Gustaw – mruknął z rozrzewnieniem Penbridge. – Niech pani już idzie. Muszę jeszcze raz przeczytać ten list.

Karla dygnęła, odwróciła się i szybkim krokiem odeszła w stronę wyjścia. Przy schodach niemal wpadła na Petera.

– Jak pajak – popatrzyła oskarżycielsko. – Czatowałeś tu na mnie.

– Czy dasz się zaprosić na lunch? Dobrze będzie porozmawiać.

– Jestem już umówiona, ale jeśli zechciałbyś mnie oprowadzić po uczelni...

– Jestem najlepszym przewodnikiem na świecie. – Peter wyprostował się służbiście. – Do twoich usług. Każde twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

– Przyznaj lepiej – rzekła Karla, gdy schodzili po schodach – że nie oprowadzałbyś równie skwapliwie tych łacinniczek, o których wspomniałeś uprzednio...

Peter się zaśmiał.

– To prawda – przyznał. – Nic nie poradzę, mam pewną słabość do urody połączonej z klasą, inteligencją i poczuciem humoru.

– Już myślałam, że lubisz egzotykę.

Peter nie zrozumiał.

– Dlaczego?

– Nie jestem Angielką – przyznała się Karla.

Chłopak popatrzył zdumiony.

– Ale...

– Mam zacząć wyliczać moje wady? – Dziewczyna się uśmiechnęła.

Peter kiwnął głową brzuchatemu odźwiernemu, który wypuścił ich na ulicę.

– Nie rozumiem. Dlaczego mówisz, że nie jesteś Angielką? Pochodzisz ze Szkocji? A może z Irlandii? Ale to przecież niemożliwe. Mówisz bez akcentu, tak jak ja.

– Jestem... – zaczęła Karla i urwała nagle. – Boże, mój rower! Ktoś go zabrał!

Rzeczywiście, po rowerze nie było śladu. Peter rozejrzył się.

– Tutaj nie kradnie się rowerów – powiedział pewnie. – Chodźmy. Prędzej czy później się znajdzie.

Była punktualnie czternasta, gdy Peter, po obejściu wszystkich najważniejszych miejsc, odprowadził Karłę pod kościół uniwersytecki. Dorothy i Kathy już na nią czekały.

Widząc zbliżających się Karłę i Petera, wymieniły między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Kathy dłużej zatrzymała wzrok na Peterze; Karla dostrzegła to i uśmiechnęła się pod nosem. W oczach przyjaciółki widać było już ślub, gromadkę dzieci i małżeńskie szczęście.

– Dorothy, pozwolisz, że przedstawię ci studenta Merton College, sir Petera...

– ... Benjamina Cressleya – dopowiedział szybko Peter.

Karla podziękowała mu spojrzeniem.

– Peter, to moje dwie drogie przyjaciółki: lady Dorothy Hamilton-Smythe oraz Kathy Baring.

Podali sobie ręce.

– Miło mi panie poznać – ukłonił się chłopak.

– I ja – powiedziała szczerze Kathy.

Peter zerknął na Karłę.

– Rower – powiedział z uśmiechem – dałem pod opiekę Bazinowi.

Karla roześmiała się serdecznie i pomachała mu ręką. Gdy chłopak zniknął za rogiem, Kathy zatarła dłonie.

– Oddasz mi go? – poprosiła. – Śliczny chłopiec, a ty przecież masz Janka.

– Muszę cię zmartwić – wyznała szczerze Karla. – Jest już zajęty.

– On jest zawsze zajęty – roześmiała się Dorothy. – Wprawdzie widziałam go wiele lat temu i on mnie zupełnie nie pamięta, ale spotykam się czasami z jego stryjem, sir Cliffordem Cressleyem, który z chęcią opowiada o miłosnych podbojach bratanka...

Karla popatrzyła z niedowierzaniem na Dorothy.

– Chyba żartujesz – powiedziała. – Spotykam na ulicy przypadkowego studenta, który pomaga mi dotrzeć do profesora Penbridge'a, nawiązuję

z nim znajomość, on oprowadza mnie po okolicach, sympatycznie rozmawia, po czym się okazuje, że go znasz? A tego, na przykład – wskazała dłonią jakiegoś jegomościa – też znasz?

– Tego nie – odrzekła pogodnie Dorothy, ale tego drugiego – tak. To pan Simpleton, największy nudziarz świata. Radzę, żebyśmy uciekły czym prędzej.

Szybko przeszły na drugą stronę ulicy, chowając się za kościół.

– Teraz idziemy coś zjeść – rzekła Dorothy. – Ja zapraszam. A ty, Karla, masz nam wszystko opowiedzieć. W każdym szczególe.

\*

– Wszystko pan przewidział, panie mecenasie – rzekł Emil. – Nawet to, że nasz dzielny kapitan zrobi coś głupiego.

– Tego, co się potem wydarzyło, nie przewidziałem – odparł Szułdryński. – Skąd mogłem wiedzieć, że pańska była małżonka resztką honoru się uniesie? A może tylko prysły zmysły, panie doktorze, po czym się okazało, że kapitan jest już jej do szczęścia niepotrzebny?

– Niech pan lepiej powie, panie mecenasie, co pan radzi.

Szułdryński westchnął.

– Toż to ja sam nie wiem, co mam z panem doktorem zrobić.

Był początek października. Siedzieli z Szułdryńskim na piętrze jego domu w Stojanowie przy herbacie. Emil przyglądał się mecenasowi uważnie. Lata odcisnęły piętno na jego twarzy, ale prócz zmarszczek – przybyło mu chyba zgryzot. Tymczasem Szułdryński ciągnął dalej.

– Córczyną miłość rozumiem, zaślepiac umie nie gorzej niż matczyna, ale żeby pan doktor? Toż przecież związek małżeński już dawno diabli wzięli, więc pana była małżonka to już, formalnie rzecz biorąc, nieboszczka małżonka i dosyć podobne ma prawa, znaczy żadne.

Emil podniósł dłonie w obronnym geście.

– Wie pan, panie mecenasie – powiedział – że utopiłbym moją, jak to pan mecenas mówi, nieboszczkę małżonkę w łyżce wody. Ale Karla chciała inaczej, a ja zwyczajnie nie mogę powiedzieć nie. Niechże już będzie, jak miało być. Spłacimy ją i kwita, co do grosza.

– Skoro tak, panie doktorze, to radzę inaczej. Skoro pańska małżonka do spółki z siostrą i bratem przystąpiła, niech i oni koszty poniosą. Zmniejszyć im tenutę, a sobie zostawić tyle, ile trzeba.

– Ale... – zaczął Emil.

Szułdryński pokręcił głową.

– Spłaty będą takie – rzekł – jakby od początku nieboszczka małżonka w nich partycypowała. A że pani Elżbieta z panem Konstantym chcieli więcej, to niech do siostry pretensje mają, że do spółki z nagłą przystąpiła.

– Może i tak – zastanowił się Emil. Spojrzał trzeźwo na Szułdryńskiego. – Tymczasem niech mi pan powie, mecenasie, co pana tak martwi.

Stary wyga lwowskiej palestry zamilkł na chwilę.

– To, co i pana, panie doktorze – rzekł wreszcie. – Idą trudne czasy. Ci od większych interesów, takich, co je trzeba przygotować przez dwa, trzy lata, już mówią, że przenoszą się do Ameryki, ci od mniejszych zaczynają mówić, że czas kupować złoto. A biedota się modli.

– Mówi pan o Żydach, panie mecenasie?

Szułdryński kiwnął głową.

– Toż kto u nas inny robi interesy? – spytał retorycznie. – Nawet pan, panie doktorze, z taką głową interesów nie robi, tylko płaci i płaci. Dobry był rok, ale pan z tego nic nie dostanie, tak jak i Karla, jak się zdaje. Wszystko pożerają ciotki, wujki i matka. Niech pan uważa, żeby nie było tak, że spłaci pan wszystkich, a sam zostanie z niczym. Studia Karli też kosztować będą niemało.

– Na to mam – uciął Emil. – Mam też na utrzymanie Krakowa, na posag i na skromne życie przez jakieś pięć lat. Powinno wystarczyć. Potem i tak będzie wojna.

– Za pięć lat, pan doktor mówi – zastanowił się Szułdryński. – Znaczy, że pewnie nie dożyję. To i dobrze. Ale pamięć jeszcze mam dobrą, to pamiętam, jak mi pan rok czy dwa lata temu mówił, że za dziesięć.

– Wszystko dzieje się coraz szybciej, panie mecenasie – rzekł bez uśmiechu Emil. – Niech pan patrzy na Hiszpanię. Jeszcze parę miesięcy temu mówili: niegroźne zamieszki, południowe temperamenty. Teraz jest regularna wojna, z której każdy ma swoją korzyść. Prócz, oczywiście, Hiszpanów.

– Bieda w tym – mruknął niechętnie Szułdryński – że nie wiadomo, kto ma korzyść największą.

Emil zerknął na zegarek.

– Czas na mnie, panie mecenasie – powiedział, wstając. – Trzeba mi zdążyć na lwowski pociąg, pojutrze mam pacjentów.

– Wraca pan do praktyki – pokiwał głową mecenas. – To i dobrze. My pana majątku troskliwie popilnujemy. Tylko niech się pan za blisko nieboszczki małżonki pańskiej nie trzyma, bo ona gotowa jeszcze na głowie stanąć, by sprawy między wami nabrały rumieńców, a rozumie mnie pan, doktorze, że to byłby nieprzystojny widok...

Emil uśmiechnął się.

– Dziękuję – powiedział, ściskając dłoń starego adwokata – aż żałuję, że bliżej nie siedzę, żeby do pana mecenasa zajść po towarzyską konwersację, a nie w interesach.

– I ja żałuję – mruknął mecenas. – Ale jak to mówią, takie fata.

[5] *Hail to...* (ang.) – Pozdrawiam cię, o, thanie hrabstwa Glamis! Pozdrawiam cię, o thanie hrabstwa Cawdor! Tak w *Makbecie* Szekspira wiedźmy witają tytułowego bohatera.

[6] *Mater...* (łac.) – Tylko matka jest pewna.

[7] *Utraque...* (łac.) – Duchownym niższych święceń potrzeba dwojga rąk do błogosławienia.

# DOM POD TRZEMA WIEDŹMAMI

Sheldon Manor zostało oficjalnie sprzedane w połowie października, bez cienia sprzeciwu ze strony rodziny Fitzpatricków, którzy wycofali się całkowicie z roszczeń. Bogiem a prawdą, sam fakt sprzedaży niewiele zmienił, bo już z końcem września Dorothy, Karla i Kathy mieszkały w nowym domu Dorothy pod Oksfordem. I choć Kathy w pierwszych dniach trudno się było przyzwyczaić do – jak to mówiła – ciasnoty, to jednak właśnie ona z największą ulgą przyjęła przeprowadzkę.

– Nareszcie się wyśpię – tłumaczyła. – Całymi nocami słyszę, jak coś chodzi, coś skrzypi, jak zimno powiewa... Boję się tej waszej Henrietty, nikt nie wie, co też jej strzeli do głowy...

– Przesadzasz, kochana. – Karla jako jedyna naprawdę żałowała wyprowadzki. Henrietta odwdzięczała jej się za to w dwójnasób, wiedząc, że zapach róż nigdy jej się nie znudzi, a sen, choćby i krótki, musi przede wszystkim być mocny i zdrowy. Gdyby nie surowe zapisy w umowach, które kazały im zostawić w całości wyposażenie, Karla zabrałaby pewnie ze sobą portret niesfornej dziewczynki z bukietem róż.

Całe szczęście, że klauzula umowy nie obejmowała piwniczki z winami, szampanem i whisky. Dorothy z ochmistrem, który szczerze żałował zmiany właścicieli, gruntownie przetrzebiła jej zawartość, ostrożnie przewożąc co ciekawsze egzemplarze do piwnicy nowego domu. Ochmistrz przez chwilę chciał nawet zrezygnować z dożywocia, jakie miał przy Sheldon Manor, ale Dorothy wyperswadowała mu to skutecznie. Susan, pokojówka Irene oraz masztalerz George z radością się zgodzili na przejście do nowej siedziby; zajęli mały domek dla służby.

W gruncie rzeczy najmniej zadowolone z obrotu sprawy były konie, choć dość szybko zrozumiały, że nie zbraknie im rozrywek, tereny jeździeckie na północ i północny wschód od Headington były co najmniej wystarczające. Dorothy i Karla nie pozwalały im się lenić, zachowując tradycję porannych przejażdżek. To wszystko jednak już wkrótce mogło ulec zmianie. Szła jesień, przynosząc wraz z krótszymi dniami coraz chłodniejszą i bardziej deszczową pogodę.

Dorothy wkrótce po przeprowadzce spotkała się z lordem Ashleyem. Rozmowa była początkowo niezobowiązująca, choć lord z niezawodnym

wyczuciem czekał na to, aż się pojawi właściwy temat. Na razie go nie dostrzegając, dyskurs krążył wokół przeprowadzki i planów Karli.

– Trzeba ci wiedzieć – rzekła, siedząc w palarni gospodarza z nieodłącznym papierosem – że ta dziewczyna może zrobić karierę. Mam teorię, która mówi, że marnujemy tutaj, w Anglii, potencjał młodych ludzi. Zamiast otaczać ich troską i miłością, uczyć ich, pokazywać im życie i świat, wysyłamy ich do prywatnych szkół tylko po to, by nawiązali znajomości, często zupełnie zbędne, i powtarzali później przy każdej okazji: byłem w Eton... byłem w Eton...

– Nie sądzę. – Lord Ashley najwyraźniej nie podzielał rewolucyjnych opinii Dorothy. – Gdyby nie szkoły prywatne, Anglia straciłaby moralny kręgosłup.

– Po raz pierwszy słyszę, żeby kręgosłup prostował się za pomocą różeg – zadrwiła Dorothy. – Co innego edukacja uniwersytecka, co innego wysyłanie dzieci do szkół na cały rok. Popatrz na Karłę. Nie spotkałam rozsądniejszej dziewczyny.

– Dziewczynki są inne – zauważył Ashley.

Dorothy nie dała za wygraną.

– Spójrz na moich krewnych. Opowiadałam ci wiele o Donimirskich...

– Oni też wysłali syna do gimnazjum w Warszawie, nieprawdaż?

Dorothy pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Ty naprawdę nic nie rozumiesz, czy raczej masz głębokie przekonanie, że to, co ciebie spotkało, winno również spotkać innych? Co pamiętasz z Eton prócz dyscypliny i starszych kolegów, którzy pewnie tłukli cię przez co najmniej dwa pierwsze lata?

– Niewiele – przyznał Ashley. – To było dawno.

– A co pamiętasz z Cambridge?

Ashley zamilkł.

– *Touché* – rzekł. – Z Cambridge pamiętam wszystko. – Ale nie spotkaliśmy się, jak sądzę, by wieść jałowe dyskusje o systemach wychowawczych.

– To prawda – zgodziła się Dorothy. Wyjęła z torebki dwie strony maszynopisu. – Przeczytaj to.

Lord z niechęcią wziął dwie karty. Zerknął na koniec tekstu i skrzywił się, artykuł nie był podpisany.

– Nie patrz, kto pisał, ale co napisał. I jak.

Ashley posłusznie zaczął czytać. Dorothy obserwowała uważnie, jak zmienia się jego twarz. Doczytał do końca i znów zerknął na początek.

– Masz tego więcej? – zapytał zaskoczony. – Bardzo celna analiza. Rzekłbym nawet, że ożywcza.

– Mogę mieć. Myślisz, że „Times” by to kupił?

Lordowi zaczęło coś świtać w głowie.

– Czy... – zawahał się – te analizy pisze pewien nasz wspólny znajomy?

– Być może on, być może nie on – uśmiechnęła się słodko Dorothy. – Jakże ma to znaczenie?

– Ma to znaczenie – mruknął Ashley, jeszcze raz wodząc wzrokiem po liniijkach – dla tego, kto to kupi. I nie myślę wcale o gazetach.

Dorothy spoważniała.

– Zapomnij – powiedziała sucho. – To mają być artykuły do gazet, a nie dla twoich przyjaciół z brytyjskiego wywiadu lub kręgów rządowych. Chociaż Baldwinowi przydałoby się trochę świeżości i rozsądku.

– Uważaj – ostrzegł Ashley – lubisz Baldwina za prawa wyborcze dla kobiet, ale ma wielu wrogów. Lepsze spójne, ugruntowane poglądy niż wybujałe ambicje i niczym nie poparty entuzjazm.

– Powiedziałeś mi właśnie, kto będzie następnym premierem – zakpiła Dorothy. – Chamberlain. Nigdy w to nie uwierzę.

Ashley pokiwał z politowaniem głową.

– Dlatego właśnie ani ty, ani ja nie zajmujemy stanowisk w rządzie. Ja dlatego, że nie mam złudzeń, ty dlatego, że nie wierzysz. Wróćmy do tego tekstu. Chcesz go dla czytelników „Timesa” czy dla czytelników wewnętrznego biuletynu rządowego?

– Dla „Timesa”.

Lord spokojnie i metodycznie przedarł kartki, po czym podał je Dorothy.

– Niech twój autor napisze to samo, ale w tonie wątpliwym i pytającym. Wyślij to do gazety. Na pewno przyjmą. Oni wolą podnosić bezpieczne wątpliwości, niż serwować bezlitosne odpowiedzi.

– Cenna rada. – Dorothy troskliwie schowała podarte kartki. – Co mi możesz jeszcze powiedzieć?

– Coś, czego i tak nie posłuchasz. Nie publikuj niczego przed końcem roku. Chyba że chcesz, aby za chwilę nikt o tym nie pamiętał.

– O czym mówisz?

– Tematem miesiąca – rzekł z półśmiechem lord Ashley – będzie rozwód pani Wallis Simpson. A wiesz dobrze, co się później wydarzy. Przez całe miesiące gazety milczały o tej sprawie, co przynosi chlubę brytyjskiej prasie, ostatecznie król Edward nie mógłby się przecież bronić, nie pozwala mu na to etykieta...

– To wygodne – zauważyła złośliwie Dorothy. – Bo przecież to, co z nią robi, jest nie do obrony. Dawno już król nie obnosił się ze swoją kochanką tak ostentacyjnie.

Ashley spoważniał.

– Nie do obrony są inne rzeczy, które robi. Jego intymne relacje z Amerykanką mnie nie obchodzą. Bardziej obchodzi mnie to, że próbuje prowadzić własną politykę, czego, jak wiesz, robić mu nie wolno.

– Mniejsza o to, co robi – prychnęła Dorothy. – Ta niepamięć, o której mówiłeś, to też nie taka zła sprawa. Jaka jest stawka za taki artykuł?

– Nie mam pojęcia. – Lord wzruszył ramionami. – Czy myślisz, że kiedykolwiek interesowało mnie, ile zarabiają dziennikarze, służące czy kucharki?

– Powinno zacząć – zauważyła Dorothy. – Ja już zauważyłam pewną delikatną dysproporcję. Zapłaciłam adwokatowi za jedną misję i koszty reprezentowania mnie w sprawie spadkowej więcej niż trzyletnie pobory kucharki i wcale mi się to nie podoba.

– To, że adwokaci zarabiają tak dużo, czy to, że kucharki tak mało?

– I to, i to – westchnęła Dorothy, po czym wstała. – Czas na mnie. Dziękuję za wszystko.

– Prawdę rzekłszy, nie ma za co – odparł lord, wstając. – A gdyby twój... autor jednak zmienił zdanie, chętnie go zatrudnię. Odprawdę cię.

Dorothy kiwnęła głową.

– Dziękuję. Do zobaczenia w mojej nowej posiadłości. Macie tam oboje serdeczne zaproszenie.

– Nie wątpię, że z niego skorzystamy – rzekł Ashley, prowadząc Dorothy do wyjścia.

Gdy wsiadała do swojego kabrioletu, nachylił się nad nią.

– Pozdrów ode mnie sir Emila – rzekł cicho – i przekaż, proszę, że mimo wszystko na niego liczę.

– Przekażę – kiwnęła głową Dorothy.

Włączyła silnik i odjechała.

\*

Pierwsze symptomy kłopotów pojawiły się pod koniec miesiąca. W całym imperium, jak się zdawało, nie było gwałtowniej dyskutowanej sprawy od rozwodu pani Simpson, orzeczonego 27 października 1936 roku. Sympatie były podzielone: jedni mówili, że miłość nie zna granic ani stanowisk czy godności; inni twierdzili, że nawet małżeństwo morganatyczne nie jest do przyjęcia w obliczu tego, że pani Simpson jest rozwódką. O paskudnych plotkach, jakie kolportowali paszkwilanci, nie warto nawet wspominać.

Jeśli całe imperium mówiło wtedy o pani Simpson, wyjątkiem był dom Dorothy. Tego popołudnia do salonu wpadła z impetem rozwścieczona Kathy.

– Czy masz pojęcie? – sapnęła wściekle do Dorothy, która siedziała akurat przy szkicowniku i szybkimi ruchami coś rysowała. – Dostałam pierwszą wypłatę za pierwszy tydzień!

– Gratuluję. – Dorothy nawet nie podniosła głowy znad notesu. – Panna Young była zadowolona z twoich bukietów?

– Powiedziała, że bardzo. – Wściekłość Kathy była widowiskowa. – I zapłaciła mi dwa funty! Czy ty to rozumiesz? Dwa funty i cztery szylingi za sześć dni pracy!

Cisnęła wypłatę na stół. Drobne pieniądze potoczyły się na podłogę. Dorothy podniosła głowę.

– Pozbieraj te pieniądze, i to natychmiast – rzekła twardo.

– Ani myślę. – Złość Kathy nie przeszła ani na moment. – Takie pieniądze to...

– Takie pieniądze – wycedziła Dorothy – zarabia Susan, i to tylko dlatego, że płacę jej więcej, niż dostałaby gdziekolwiek indziej, bo lubię ją, cenię i nie chcę, żeby odeszła.

– Ja nie jestem Susan – zbuntowała się Kathy. W jej oczach pojawiły się łzy.

– To prawda. – Dorothy spojrzała okrutnie. – Ile byś chciała zarobić za układanie kwiatów? Sto funtów tygodniowo? A może tysiąc? Marzenia nie

znają granic.

– A co ty w ogóle o tym wiesz? – Furia Kathy zwróciła się przeciw Dorothy. – Jesteś bogata. Czy kiedykolwiek zarabiałaś na życie?

Nie wiedziała, że właśnie popełnia w oczach Dorothy wyjątkowo bolesny rodzaj samobójstwa. Kobieta odłożyła szkicownik i spojrzała na nią spokojnie.

– Przez lata – powiedziała zimno – mieszkałam w Krakowie i uczyłam dzieci angielskiego i dobrych manier. Zarabiałam dobrze, może dwa razy więcej niż ty, dwudziestolatka ładnie układająca kwiaty, i mając przeszło dwa razy więcej lat niż ty teraz. Nie tknęłam ani grosza z tego, co było w banku, choć nawet przy mężu miałam tyle, że stać by mnie było na wydawanie balów, nie tylko zapraszanie na herbatkę. Więc nie wąż się więcej pytać mnie o to. Natychmiast pozbieraj te pieniądze co do pensa. Jeśli tego nie zrobisz, będziesz musiała spakować się i opuścić ten dom. Jeszcze dzisiaj.

Kathy zrozumiała, że żarty się skończyły. Chlipiąc, przykucnęła i zaczęła zbierać monety. Gdy pozbierała już wszystko, wrzuciła je do torebki i z płaczem ruszyła w stronę schodów prowadzących do jej pokoju. Nawet nie zauważyła Karli, która wstrząśnięta przypatrywała się całej scenie, a gdy zorientowała się, że Kathy wychodzi, schowała się za portierę. Po chwili rozległ się trzask drzwi na górze.

– Możesz już wyjść – powiedziała zmęczonym głosem Dorothy.

Karla posłusznie wysunęła się z za ciężkiej, szarozłotej kotary. Podeszła niepewnie i usiadła naprzeciwko.

– Nic nie powiesz?

Karla spuściła głowę.

– Co miałabym powiedzieć? – spytała. Z jej głosu biło przygnębienie i poczucie winy.

– Ty już wiesz co – zauważyła Dorothy.

W jednej sekundzie Karla podniosła głowę i wyprostowała się.

– A jednak mam sobie coś do zarzucenia – powiedziała. – Mogłam przygotować ją jakoś na to, co się wydarzy. Powiedz mi, czy to jej wina?

– Pewnie nie, choć mogła dołożyć większych starań. Przecież ty też nigdy nie zarobiłaś ani grosza.

– Do dzisiaj – powiedziała nieśmiało Karla. – Przyszedł czek z „Timesa”. Na pięć funtów, ale proponują stałą współpracę. Tylko błagam,

nie zdradź mnie przed Kathy, bo znienawidzi mnie do cna.

Dorothy kiwnęła głową bez uśmiechu.

– Zależy ci na niej?

– Trochę tak – odpowiedziała Karla po chwili wahania. – Żal mi jej, jesteśmy przyjaciółkami, zżyłyśmy się ze sobą. A skoro mówisz o zarabianiu pieniędzy, rzeczywiście nie zarabiałam, ale też wiedziałam, ile są warte pieniądze. Matka nie mówiła o tym za dużo, choć nie rozpieszczała mnie prezentami. Za to ojciec od czasu do czasu, gdy zatrzymywaliśmy się przy witrynach, a ja podziwiałam jakieś niepotrzebne, za to drogie rzeczy, mimochodem przeliczał, ile kto musi pracować, żeby sobie coś takiego sprawić...

– Gdyby pan Baring nie chronił tak przed światem swojej ukochanej córki – zachnęła się Dorothy – może wyglądałoby to trochę inaczej. Boję się, że to, co się miało stać, już się stało. Żeby się czegoś nauczyć, wystarczy zapamiętać, ale żeby naprawdę coś wiedzieć, trzeba to zrozumieć.

– Jakbym słyszała mojego matematyka z gimnazjum. – Karla ciężko westchnęła. – Pomyśleć, że weszłam tu, żeby się pochwalić, i to nie czekiem na pięć funtów, ale czymś zupełnie innym.

– Czym mianowicie?

– Profesor Penbridge przyjął moją pierwszą pracę pisemną z literatury łacińskiej – powiedziała z dumą – i zapowiedział, że mam ją odczytać. Poprosił tylko, żebym zmieniła sposób wymawiania na klasyczny, a nie – jak mówił – z piątego wieku po Chrystusie. A wszyscy i tak mówią tutaj po łacinie z angielską wymową, więc o co ten cały hałas?

Dorothy roześmiała się szczerze.

– Gratulacje, kochana – powiedziała. – Zostaniesz u niego?

– Jeszcze nie wiem – przyznała się Karla. – Obawiam się, że nie, i że czeka mnie na ten temat trudna rozmowa. Pójdę raczej na fakultet polityczno-ekonomiczno-prawniczy i przeniosę się do innego kolegium.

– Do Mertona? – zażartowała Dorothy, wspominając historię z młodym sir Peterem.

– Może, ale na pewno nie dlatego – zapewniła szybko Karla. – U Świętej Hildy jest straszliwie wilgotno...

– Rozumiem – rzekła Dorothy, wstając. – Mój pomysł jest taki, żeby iść razem do Kathy. Mam nadzieję, że ochłonęła trochę. Jestem skłonna ją

zaprosić gdzieś na herbatkę. Zapłacimy za nas trzy znacznie mniej niż dwa funty i cztery szylingi, jestem tego najzupełniej pewna.

– To jeszcze jedna sprawa. – Karla zawiesiła głos. – Musisz mi w czymś pomóc. Janek ma w listopadzie osiemnaste urodziny. Chciałabym zrealizować ten czek od „Timesa” i za pierwsze zarobione samodzielnie pieniądze kupić mu jakiś prezent... Pomóż mi, proszę...

W głosie Karli słyhać było ton błagania. Dorothy poczuła, że mięknie wewnątrz jak wosk.

– Zabieram cię jutro do Londynu – oświadczyła. – Na pewno sobie poradzimy. A teraz chodź do Kathy.

Poszły na górę. Karla delikatnie zapukała do drzwi. Odpowiedziała jej cisza. Zapukała mocniej i nacisnęła klamkę. Drzwi nie ustąpiły.

– Kathy, otwórz – powiedziała prosząco Karla. – Jesteśmy tu razem. Już dobrze.

– Idźcie sobie! – dobiegło z pokoju.

Karla popatrzyła znacząco na Dorothy.

– Ja to załatwię – wyszeptała.

Dorothy kiwnęła głową i ruszyła do schodów. Ich skrzypienie słyhać było w całym domu. Tymczasem Karla nie drgnęła ze swojego miejsca. Już po krótkiej chwili usłyszała przekręcanie klucza w zamku. Nie wahając się, nacisnęła klamkę.

– Ale... – wykrzyknęła oburzona Kathy, widząc wślizgującą się do jej pokoju przyjaciółkę.

Karla zamknęła drzwi, przekręciła klucz i wrzuciła go do kieszeni. Odwróciła się z powrotem. Kathy wyglądała jak wcielenie rozpacz.

– Nie wyjdę stąd – powiedziała stanowczo Karla – póki mi nie powiesz, co się stało. Mogłaś oszukać Dorothy, że chodziło o te nieszczęsne dwa funty z kawałkiem, ale mnie nie oszukasz. Co się stało, na miłość boską?

Kathy zacięła się w sobie. Przysiadła na swoim łóżku.

– Nic nie powiem.

Z jej oczu znów popłynęły łzy.

– Jak chcesz. I tak się w końcu dowiem. Tylko czy chłopcy są naprawdę tego warci?

Kathy podskoczyła jak żgnięta szydłem.

– Skąd wiesz? – wyszeptała. – Kto ci powiedział?

– Nikt – zapewniła Karla. – Liczę na to, że ty mi powiesz.

Przysiadła przy niej na łóżku i objęła ją. Kathy znów się zalała łzami.

– Rzuciłam Jeffreya – wychlipała. – Dla Petera!...

Karla poczuła, że robi się jej ciepło z wrażenia. Z Peterem spędziła trochę czasu, status wolnego słuchacza nie zapewniał jej jedzenia w kolegium, więc umawiali się czasem na lunch. Był świetnym kompanem, znakomitym rozmówcą, fantastycznie odczytanym, czuła się przy nim dobrze i bezpiecznie, ale zupełnie, ale to zupełnie nie wyobrażała go sobie jako chłopaka przyjaciółki.

– Ale przecież on jest z kimś innym.

– Już nie jest. – Pociągnęła nosem. Kathy podsunęła jej chusteczkę.

– To ja już nic z tego nie rozumiem.

– Peter już kogoś kocha. Kogoś innego!

– A kogo?

– Ciebie! Jestem tego pewna!

Karla po raz pierwszy od dawna straciła mowę. Popatrzyła na Kathy, niepewna, czy przyjaciółka nie żartuje z niej aby okrutnie.

– Ale przecież my... – zaczęła. – Jadaliśmy parę, no, może paręnaście razy lunch, pokazywałam mu zrobione przeze mnie w Oksfordzie zdjęcia, pośmialiśmy się trochę, opowiadałam mu o mojej miłości do *Księgi snobów*, porównywaliśmy, co się czyta w Polsce, z tym, co jest tutaj... To dla mnie bratnia dusza, nie chłopak. Zresztą on przecież wie o Janku.

– I cóż z tego? – Łzy Kathy zdawały się płynąć na zawołanie. – On jest w tobie zakochany, widzę, jak mu się świecą oczy, gdy o tobie mówi... Naprawdę ci na nim nie zależy?

– Zależy, ale nie tak, jak myślisz. Zaprzyjaźniliśmy się, lubię z nim rozmawiać, ale nie sądz, że za chwilę napiszę do Janka coś w stylu: *sorry, my dear*, teraz poznałam kogoś innego, zapomnij o mnie i bądź szczęśliwy. To raczej nie w moim stylu.

– To co ja mam zrobić? – jęknęła Kathy.

– Postaraj się bardziej, ale nie mizdrząc się do niego. Więcej czytaj, więcej się ucz, miej o czym z nim rozmawiać. Peter jest nowoczesny, zależy mu na tym, żeby kobieta była dla niego równą partnerką, żeby spędzać czas z nią, a nie tylko w klubie. A ponadto – jeśli chcesz, porozmawiam z nim, choć nie mogę dać żadnych gwarancji, co z tego będzie. Rozumiesz?

– Jesteś prawdziwą przyjaciółką.

Jej łzy wyschły prawie natychmiast. Po raz kolejny Karla zaczęła się zastanawiać, czy jej przyjaciółka nie minęła się z powołaniem. Wierzyła w jej szczerość, ale zdolności aktorskie Kathy miała również niebywale.

– Od jutra zabieram się do czytania. Możesz mi zrobić listę lektur?

– Pewnie – przytaknęła Karla. – Tylko proszę, nie idź do niego i nie opowiadaj mu każdej przeczytanej przez ciebie książki, bo skutek będzie żaden.

– Nie będziesz mnie uczyła, jak rozmawiać z chłopcami. – Kathy zaczęła wracać do formy. – Dam sobie radę.

– W takim razie doprowadź się do porządku, potem zejź na dół i przeproś Dorothy. Powiedz, że twoja furia wynikała z problemów sercowych i że to się więcej nie powtórzy.

– Ale przyznasz, że dwa funty i cztery szylingi to bandycka płaca?

– Niczego nie będę przyznawać. Jeśli chcesz to zmienić, zapisz się do jakiegoś stowarzyszenia na rzecz podniesienia płac początkującym florystkom, na pewno gdzieś takie jest. Wy, Anglicy, macie ich wiele.

– Nie żartuj ze mnie – ofuknęła ją Kathy. – Ale już dobrze. Przepraszę Dorothy.

Karla kiwnęła głową i ruszyła w stronę swojego pokoju. Przyszło jej na myśl, że to jest właśnie to, czego się obawiała najbardziej. Początek końca Domu pod Trzema Wiedźmami.

\*

Grudzień stał pod znakiem największego wstrząsu, jakiego doznała monarchia angielska w ostatnich stuleciach. Król Edward VIII abdykował na rzecz swojego brata, prasa angielska natomiast zerwała kompletnie ze swoimi zasadami i po raz pierwszy w historii ośmieliła się skrytykować króla. Jednak gdy po abdykacji Karla napisała kolejny artykuł do „Timesa”, Dorothy, która czytała z urzędu wszystkie jej próby, przejrawszy treść, poprosiła o dzień zwłoki, tłumacząc, że musi się z tym dokładnie zapoznać. Karla zdziwiła się nieco, lecz przystała na to, uznając, że termin oddania artykułu mija dopiero za dwa dni, więc tak czy siak nie stanowi to problemu. Zapomniała zresztą szybko o sprawie, gdyż kończył się trymestr, a liczba tematów do przedyskutowania z profesorem Penbridge’em była naprawdę spora.

Tymczasem Dorothy poprosiła o pilne spotkanie Ashleya. Przyjął ją jak zwykle w swojej londyńskiej rezydencji, poczęstował papierosem i sam zapalił. Dorothy podała mu bez słowa dwie kartki maszynopisu. Ashley przeczytał je uważnie.

– Ani się waż dawać to do gazet – powiedział.

– Przecież to ciekawe – zaprotestowała Dorothy.

Lord spojrzał na nią poważnie.

– Nie po to rząd wydaje masę pieniędzy, żeby przykryć właściwe przyczyny abdykacji, żebyś teraz publikowała w „Timesie” taką insynuację.

– Insynuację? – uśmiechnęła się Dorothy. – Ile lat się znamy, mój drogi?

– Masz rację – kiwnął głową Ashley. – Krótko mówiąc: wersja oficjalna jest taka, że nasz Edward Albert, zwany do niedawna Edwardem VIII, abdykował z miłości do kobiety. Niech ma sympatię plebsu, niech brukowce opowiadają o romantycznej historii, niech zostanie w dziejach jako ten, który zrezygnował z korony dla kobiety. Nie widzę powodu, żeby ktoś kiedyś, sięgając do starych roczników gazet, przeczytał felieton ukrytego pod pseudonimem autora, w którym sugeruje on, że Edward Albert ma poglądy polityczne, które według naszego rządu są sprzeczne z racją stanu imperium. Wywołałoby to niepotrzebne zamieszanie. Niech zajmują się innymi sprawami.

Dorothy kiwnęła głową.

– W takim razie sprawa jest jasna – powiedziała. – Przekażę autorowi, że „Times” odrzucił felieton.

– Nie – sprzeciwił się Ashley. – Przekaż autorowi, że nie wydrukują felietonu tylko ze względu na okres przedświąteczny, w którym się nie powinno poruszać tematów tak drażliwych jak fascynacja Hitlerem.

– Fascynacja kobietą jest za to na miejscu? – zakpiła Dorothy.

– Zawsze – odparł z uśmiechem Ashley. – Nie tylko przed świętami.

Dorothy całą drogę zastanawiała się, jak wytłumaczyć Karli nieoczekiwaną sytuację. W końcu uznała, że w podobnych wypadkach najlepsza jest prawda. No, może nie cała.

– Kochanie – powiedziała, wchodząc do salonu, w którym dziewczyna ślęczała nad książkami – powinnaś dzisiaj pić szampana. Po raz pierwszy odrzucono twój felieton.

Karla poderwała głowę znad książki.

– Mój felieton do „Timesa”? – spytała zaskoczona.

– Tak – rzekła Dorothy. – Problem polega na tym, że choć w swej istocie prawdziwy, artykuł jest dość niewygodny. Rozumiesz, że w pewnych kręgach zbyt żywe kontakty z Hitlerem są oceniane o wiele gorzej niż zbyt żywe kontakty z rozwódkami, rozumiesz?

– Ale przecież wszyscy utrzymują kontakt z Hitlerem.

– Ale nie wszyscy go kochają.

Karla zadumała się.

– W tym wszystkim jest jakieś drugie dno – powiedziała wreszcie. – Niejeden mówi, że Edward nie jest zbyt mądry, może zwyczajnie za dużo mówił nieodpowiednim osobom?

Dorothy nagle olśniło. Rzecz stała się oczywista, zrozumiała, że lord Ashley nie powiedział jej wszystkiego. Karla miała absolutną rację, i niezależnie od tego, czy wymyśliła to sama, czy wymyślił to Emil, było to jedyne rozwiązanie. Zasugerowanie prasie, że król mógł nieświadomie przekazywać ważne informacje przedstawicielom obcego państwa, byłoby co najmniej nierozważne.

– Może – rzekła lekko Dorothy. – Faktem jest, że w tym tygodniu nie zarobisz swoich pięciu funtów.

– Trudno – westchnęła Karla. – Będę musiała mniej jeść.

– Jeszcze mniej? – Dorothy zaśmiała się, patrząc na szczupłą sylwetkę dziewczyny.

– Żartowałam. Mam nadzieję, że następny felieton mi puszcza.

– Ja też mam taką nadzieję. I zostaw już tego nieszczęsnego Edwarda Alberta. Niech inni się nad nim pastwią.

\*

Koniec Domu pod Trzema Wiedźmami był bliższy, niż się można było spodziewać. I choć Karla nie miała złudzeń, że tak się musi stać, nie spodziewała się, że wydarzy się tak szybko.

W same święta, które wszyscy spędzili w Avebury u Baringów, Dorothy i Karla zostały formalnie zaproszone na ślub pana Baringa i pani Emily Fawley. Uroczystości zaplanowane były na koniec marca w Avebury.

Karla liczyła po cichu, że na ślubie pojawi się również jej ojciec, lecz codwutygodniowe rozmowy telefoniczne pozbawiły ją złudzeń.

– Mam pacjentów – westchnął ciężko Emil, gdy po życzeniach noworocznych zapytała go o plany. – I mnóstwo spraw wiosennych związanych z Byszewem. Taki wyjazd to wyprawa na dwa tygodnie co najmniej, nie mógłbym sobie na nią teraz pozwolić.

Karla westchnęła równie ciężko. Tak ciężko, że Emil aż się zaśmiał.

– Nie martw się – powiedział. – Przecież się zobaczymy późną wiosną. Chyba że coś się zmieniło w twoich planach?

– Niewiele. Na pewno nie zostanę u profesora Penbridge’a, choć jest kochanym wariatem. Za to już wiem, że Oksford to miejsce dla mnie. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, ile tam się dzieje, ile ruchu, ile ciekawych spraw... I ile mnie omija, ponieważ wolny słuchacz pozbawiony jest wielu praw.

– To Oksford. Nie ma czasu na nudę.

– Czy wyobrażasz sobie, jak się czułam w Sheldon Manor i w Avebury? Masz pojęcie, że już prawie zapomniałam, jak się gra w brydża, póki nie zaczęłam się pojawiać na uczelni?

Emil słuchał córki ze wzruszeniem. Miał świadomość, jaką drogę przeszła, jak szybko z przedwcześnie dojrzałego dziecka staje się dorosłą kobietą. Jak inaczej z nim rozmawia, jak innych słów używa. Przychodził czas trudnych, dorosłych pytań.

– Mogę się domyślać – odpowiedział. – Za to dziękuję, że zajęłaś się Dorothy. Bardzo tego potrzebowała. Wiem, że pomogłaś jej we wszystkim, nawet w opanowaniu szaleństw Kathy...

Karla roześmiała się.

– Kathy nie jest tak szalona – powiedziała. – Chyba udało jej się rozkochać w sobie chłopca, któremu się bardzo spodobałam, ale sama do niego niewiele czułam...

– To ta historia z Peterem? Nie powiesz mi chyba, że u Baringów będzie niebawem drugie wesele?

– Może jeszcze nie teraz, ale za rok czy dwa na pewno – powiedziała ze śmiechem Karla. – Wierz mi, staropanieństwo i Kathy to jak ogień i woda.

– A ty?

– Piszemy z Jankiem raz w tygodniu – przyznała z zawstydzaniem Karla.

Emil uśmiechnął się pod wąsem.

– Był bardzo wzruszony twoim prezentem. Gratuluję dobrego smaku.

– Miałam limity. To miało być za swoje.

– Słyszałem, że było. Miałaś mi opowiedzieć, jak zarobiłaś te pieniądze, pamiętasz?

– Legalnie – rzekła wykrętnie Karla. – Opowiem, jak się zobaczymy, nie mogę ci przecież mówić wszystkiego.

– Te czasy niestety minęły – westchnął z nieudawanym żalem Emil. – Ale rozumiem, każdy powinien mieć swoje tajemnice. Dziecko czy dorosły. A wracając do tematu, rozumiem, że nie zostaniesz na trzeci trymestr i przyjedziesz już w kwietniu?

– Tak postanowiłam. Kto wie, czy nie wezmę ze sobą Dorothy. Kathy raczej nie ruszy się z miejsca, aż się boję myśleć, jak będzie wyglądał dom po naszym powrocie.

– Będzie, jak zechcesz. Pamiętam, że chciałaś bardzo, aby twoje osiemnaste urodziny świętować w Klonowie, spytałem o to Hieronima, ucieszył się nieskończenie.

– Jak się czuje? – spytała z troską Karla.

– Żartuje, że starość poszła w nogi, nie w głowę – powiedział ojciec ze smutkiem. – Z trudem chodzi o własnych siłach, stara się, jak może, ale coraz częściej korzysta z wózka. Za to rzeczywiście zachował ducha młodości. Powiedział mi, że to dla niego zaszczyt, i żebyś się nie martwiła, choćby siłą woli dożyje twojego pierwszego dorosłego balu. A, i prosił, aby ci podziękować za fotografie. Te jesienne były bardzo piękne.

– Uściskaj go ode mnie, proszę.

– Nie wybieram się teraz do Klonowa – przypomniał Emil – ale jeśli będę z nim rozmawiał przez telefon, przekażę. I jeszcze jedna sprawa. Ostatnio bardzo intensywnie i coraz wnikliwiej pytasz mnie o politykę. Nie interesowała cię dawniej tak bardzo?

– Przecież wiesz, że waham się co do wyboru fakultetu. Tato, muszę już kończyć. Porozmawiamy za dwa tygodnie. Kocham cię.

– Ja ciebie też, córeczko. Trzymaj się dzielnie.

Karla odłożyła słuchawkę. Zarejestrowała kątem oka Susan paradującą z całym rynsztunkiem służącym do sprzątnięcia. Zerknęła na grafik, nie tak dawno wprowadzony edyktem Dorothy, która postanowiła, że wszystkie trzy będą solidarnie pomagały Susan w utrzymaniu domu. Kucharka i po trosze przyjaciółka wprowadziła boczyła się na to, obawiając się po cichu, że zostanie jej to potrącone z wynagrodzenia, ale Dorothy rozwiązała skutecznie jej obawy, tłumacząc, że gnuśność jest jednym z największych wrogów

ludzkości. I choć służąca prywatnie zgadzała się z tym zdaniem, uznała, że jej pani popada w łagodne szaleństwo, a jak wiadomo, z wariatami lepiej nie dyskutować.

Na grafiku stało jak wół, że tego dnia miała pomagać jej Kathy.

– Czy wiesz, gdzie się podziała panienka Kathy? – zagadnęła Karla.

Susan zatrzymała się zziębnięta.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Może u siebie?

– Miała dzisiaj pomagać.

Susan wzdrygnęła się lekko, co nie uszło uwagi Karli.

– Lepiej, żeby już nie pomagała, prawda?

Susan z wahaniem kiwnęła głową.

– Tak czy owak, idę po nią. Może wreszcie nauczy się posługiwać chociaż miotłką do kurzu.

Poszła do pokoju przyjaciółki i zapukała.

– Dzisiaj twoja kolej sprzątanina – powiedziała przez drzwi.

Nikt nie odpowiedział, więc nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte. Z rozbebeszonej szafy wystawała tylna połowa Kathy próbującej wydostać coś z górnej półki.

– Robisz porządki w pokoju? – zdziwiła się Karla.

Kathy wydostała się z szafy.

– Pakuję się – rzekła ponuro.

– Wyjeżdżasz? Dokąd? – wykrzyknęła Karla.

– Wracam do Avebury. Przeprowadzam się jeszcze dzisiaj.

– Ale dlaczego tak nagle?

Kathy podeszła do Karli.

– Nagle? – spytała, patrząc jej w oczy. – Spytaj raczej, dlaczego dopiero teraz. Mam już tego wszystkiego dość, tej zabawy w zarabianie pieniędzy, samotności, nudy. Tego, że często nawet nie rozumiem, o czym rozmawiacie z Dorothy, z czego się śmiejecie. Tego, że Dorothy mnie nie lubi...

– Nie lubi? Jak w ogóle możesz tak mówić?

– Nie lubi tak, jak lubi ciebie. Faworyzuje cię na każdym kroku. Już wszystko rozumiem. Wychowała cię, żeby mieć idealną przyjaciółkę, żeby trzymać cię przy sobie...

– Jak możesz! – Karla oburzyła się nie na żarty. – Wiele jej zawdzięczam!

– To spłacaj długi – rzekła mściwie Kathy.

Karla poczerwieniała z oburzenia.

– Rozumiem, że potrzebujesz ułożyć się z macochą, ale nie kosztem Dorothy czy mnie. Chcesz wrócić do domu, twoje prawo, ale nie dorabiaj do tego skomplikowanych idei. Powiedz po prostu, że odchodzisz, i to wystarczy.

– To nie wszystko. – Kathy była zdeterminowana. – Myślałam, że kiedy zamieszkać z wami, czeka mnie swoboda. Tymczasem to nie swoboda, lecz niewolnictwo. Wieczne obowiązki, wieczne narzekanie...

– Narzekasz tylko ty – powiedziała ze złością Karla – i mówisz, jakbyś była dzieckiem. Czy ty nie rozumiesz, że na tym właśnie polega dorosłe życie?

– Może twoje. – Kathy znów odwróciła się do szafy. – Idź sobie, kierowca przyjedzie za godzinę, muszę spakować rzeczy.

– Jak chcesz. – Karli przeszła złość, ustępując miejsca smutkowi. – Miałaś chociaż zamiar się pożegnać?

– Wyobraź sobie, że tak. – Kathy sięgnęła do szafy i wydobyła dwa liściki. – Jeden do ciebie, drugi do Dorothy. Miałam je zostawić. Ty miałaś wyjść, Dorothy jeszcze nie wróciła...

– Czy w tych listach jest to, co już mi powiedziałaś? – spytała Karla chłodno.

– List do Dorothy zawiera jeszcze kilka innych rzeczy – mruknęła Kathy.

– W takim razie spalę je oba. Dla twojego dobra. Za dużo czasu spędziłyśmy razem, za dużo mam dobrych wspomnień, żeby psuć je wszystkie jednym głupim epizodem. Pamiętasz nasze wakacje w Polsce? Zakopane? Juratę? Pamiętasz, jak udawałyśmy głupie gęsi, żeby wygrać pieniądze od tych brydżowych, zadufanych w sobie typków?

Kathy nie mogła się powstrzymać, żeby się nie uśmiechnąć. Zachęcona tym Karla ciągnęła dalej.

– Może i masz rację. Tylko pamiętaj: to ty chciałaś się kiedyś uczyć samodzielności. To jest właśnie prawdziwa samodzielność, bo jak możesz nazwać nią jeżdżenie po Europie i beztrudne wydawanie pieniędzy ojca? Teraz jest nudniej, trzeba mieć obowiązki, trzeba zarabiać pieniądze. Ty

traktowałaś to jako zabawę, która stała się uciążliwa. Ja tak tego nie rozumiem. Mów, co chcesz, ale ja dzięki temu czuję, że nie jestem już dzieckiem. Oddałam coś w zamian za coś. Wierz mi, łatwo byłoby spędzić beztrudnie czas w Polsce jako córka wziętego, szanowanego lekarza, w dodatku na wydaniu. Łatwo byłoby siedzieć w Byszewie przy fortepianie z ciotką Olgą, łatwo byłoby balować w Klonowie. Ja chcę czegoś więcej. I choć szanuję i kocham ojca, nie dopuszczę, żeby ktoś mówił: patrzcie, to jest córka doktora Lindego. Chcę, żeby mówił: patrzcie, to jest Karla Linde. Rozumiesz mnie? I nie masz racji. posądzając Dorothy o zaborczość. Kiedy jeszcze nie było mowy, że będziemy tutaj żyły we trzy, miałyśmy umowę. Kiedy już zacznę studia, zamieszkam w bursie kolegium albo wynajmę mieszkanie w Oksfordzie, a do Dorothy będę zaglądała w weekendy czy w wolnej od nauki chwili, porozmawiać, poplotkować czy pojeździć konno...

– Muszę iść do łazienki – przerwała jej gwałtownie Kathy. – Czekać tutaj.

Nie wracała dłuższą chwilę. Karla przyglądała się pobojuwisku w pokoju, skłębionym na łóżku i podłodze ubraniami, bielizną, otwartym pudłom z kapeluszami, setkom drobiazgów, fatalaszków, zalegających na każdym wolnym miejscu; wydawało jej się, że powoli zaczyna rozumieć Kathy, próbującą gorączkowo urozmaicać sobie życie kupowaniem coraz to nowych rzeczy i niezdającą sobie sprawy z tego, że te rzeczy ją pożerają, zabierają czas i miejsce w jej duszy na sprawy naprawdę ważne i nowe. Wszystko to umknęło z jej głowy, gdy zobaczyła znów Kathy. Dziewczyna wyglądała, jakby osłabła do reszty, to jednak nie była desperacja, lecz ulga, bezgraniczna ulga. Przysiadła na łóżku, nie zadając sobie trudu, by odsunąć leżące na nim rzeczy.

– Co się stało? – zapytała z niepokojem Karla.

– Nic – odpowiedziała spokojnie Kathy i położyła się.

Karla przyklęła przy niej.

– Na pewno nic?

– Mam okres – powiedziała cicho.

– Wiem, mój też się zbliża – kiwnęła ze zrozumieniem Karla. – Boli?

– Ale ja... – szepnęła Kathy, nie zwracając uwagi na jej słowa – bałam się, że... że tym razem nie przyjdzie, rozumiesz?

Do Karli dotarło wreszcie wszystko.

– Peter? – zapytała z niedowierzaniem. – Masz romans z Peterem?

– Jeffrey – wyszeptała Kathy. – Rozstałam się z nim. Nalegał na ten ostatni raz, zgodziłam się, choć poszłam do niego tylko, żeby powiedzieć, że z nami koniec...

– Kathy – rzekła Karla, biorąc ją za rękę – jak to jest, że to ja, dziewczyna, która jeszcze z nikim nie spała, mam ci tłumaczyć, że nie wolno robić takich rzeczy? Co by było, gdybyś zaszła w ciążę? Co by było, gdybyś zachorowała?...

– Właśnie dlatego – pociągnęła nosem Kathy – nic jeszcze nie rozumiesz... Pomożesz mi się spakować?

– Przez chwilę pomyślałam, że jednak zostaniesz.

– Muszę wrócić. – W głosie Kathy zabrzmiała gorycz. – Muszę się jakoś ułożyć z ojcem i Emily.

– Dopiero teraz mówisz jak dorosła. Zobaczymy się pewnie dopiero na ich weselu. A tymczasem wstań. Te dwa kapelusze, na których leżysz, kosztowały majątek, a teraz przypominają dwa naleśniki.

Kathy uśmiechnęła się z trudem.

– Ja jednak cię bardzo lubię – powiedziała. – Dobrze, że jesteś.

– Wyjątkowo jestem tego samego zdania. Tylko przysięgnij, że pożegnasz się z Dorothy jak z przyjaciółką, a nie z wrogiem. Powiedz jej, że musisz wrócić do Avebury ze względu na rodziców. Ona zrozumie.

– Dobrze już – powiedziała. – Zadzwoń, żeby szofer przyjechał godzinę później, Dorothy powinna już być w domu.

\*

Miesiące spędzone z Dorothy w domu, od teraz Pod Dwoma Wiedźmami, były dla Karli prawdziwą idyllą. Gwoli sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że obie bardzo się o to starały, mając świadomość nieuchronności rozstania, kiedy Karla rozpocznie prawdziwe studia. Rozstania – to może zbyt wiele powiedziane, ale czy jeśli przez wiele tygodni każdego wieczoru rozmawia się o wszystkich historiach świata, sprowadzenie tego do weekendowych wizyt nie można nazwać rozstaniem?

Dni toczyły się swoim rytmem, odmierzonym przez konne przejażdżki, coraz uciążliwsze ze względu na pogodę wyjścia na uczelnię, wspólne wieczory przed kominkiem. Rutyna została przełamana tylko przez dwa wydarzenia: spędzony w Avebury czas świąteczno-noworoczny i ślub

państwa Baringów, na którym Kathy i Karla były druhnami. Z początku Kathy nie dawała się namówić, twierdząc uparcie, że byłoby to *shocking*. Przekonała ją dopiero lista gości. Ku zdumieniu dziewczyny, choć tego typu uroczystość zdawała się zmierzać do nieuchronnego sprowadzenia pułku bliższych i dalszych krewnych, lista była nadspodziewanie krótka. Zaskoczona, wczytywała się w jej treść. Kilka bardzo blisko zaprzyjaźnionych rodzin z sąsiedztwa, Ashleyowie, Dorothy z Karłą, a z liczego i rozgałęzionego klanu Baringów tylko jeden z braci z żoną i synem, najpewniej wydelegowany przez rodzinę. Kathy zaczęła rozumieć wreszcie delikatność i złożoność sytuacji, w jakiej się znaleźli. Jej ojciec dziedzicem tytułu być nie mógł, w kastowej hierarchii znaczył najmniej, był jednak najmłodszy z rodzeństwa. Na domiar złego oderwał się od rodzinnej tradycji trwonienia majątków i zaczął zarabiać pieniądze, co samo w sobie było podejrzane, pieniądze należało przecież po prostu mieć. Z drugiej jednak strony miał opinię krezusa, a wobec coraz bardziej skomplikowanej sytuacji majątkowej pozostałej części rodziny – mógł być użyteczny. Wyglądało na to, że przed oczami Kathy rozegra się kolejna próba rozwiązania nierozwiązywalnego dylematu: jak mieć pieniądze od Williama Baringa i nie mieć równocześnie z nim nic wspólnego.

To, co jednak ją zaskoczyło i zaniepokoiło, to obecność na liście lordostwa Cressleyów. Rzecz jasna z dopisanym imieniem, na którego widok Kathy zabiło mocniej serce. Na uroczystość zaproszony był bowiem młody Peter Benjamin Cressley, w dodatku przy wszystkich nazwiskach widniała informacja o potwierdzeniu zaproszenia. Długo zastanawiała się nad tym, skąd i w jaki sposób na tej liście pojawili się Cressleyowie, i im bardziej się nad tym zastanawiała, tym mniej rozumiała ten fenomen. Wydawało jej się dotychczas, że doskonale się orientuje, z kim utrzymuje przyjaźnię jej ojciec. Nie trzeba chyba mówić, że swój poczynający się właśnie związek z Peterem utrzymywała w najgłębszej tajemnicy. Zdesperowana, postanowiła zadzwonić do Karli.

– Kochana, musimy porozmawiać – powiedziała po krótkim przywitaniu.

– Zmieniłaś koncepcję sukienek? – zaniepokoiła się Karla. – Bo nic poważniejszego nie mogło się przecież stać.

– Peter będzie na ślubie mojego ojca – powiedziała dramatycznym głosem Kathy. – Jego rodzice również. Przyjęli zaproszenie.

– No i? – Karla nie bardzo rozumiała problem.

– Skąd wiedział?

– Kto wiedział i co? – zniecierpliwiła się Karla. – Peter na pewno wie, jak się nazywasz, jeśli o to chodzi.

– Skąd o Peterze wie mój ojciec? – niemal wykrzyknęła Kathy. – Powiedziałaś mu?

– Nigdy w życiu – oburzyła się Karla. – Przecież prosiłaś.

– A Dorothy?

– Też nie – oświadczyła z absolutnym przekonaniem Karla.

– To kto???

Karla westchnęła ciężko.

– Dlaczego wciąż nie jesteś w stanie przyznać przed samą sobą, że twój ojciec jest niezwykle bystrym człowiekiem, który w dodatku ma niezwykle rozległe znajomości? I zapewne w niezwykle ciekawych kręgach...

– Skończ już z tym „niezwykły” – zaprotestowała Kathy. – Znajdę ci kilka innych angielskich przymiotników znacznie lepiej oddających stan rzeczy.

– Zapewne: nudny, pocziwy, misiowaty, łysy... – zakpiła Karla. – Możesz być pewna, znam dużo więcej określeń, które odpowiadają talentom twojego ojca, niż mogłabyś się spodziewać.

– Na przykład?

– Przenikliwy – odrzekła bez wahania Karla.

– Czyli chcesz powiedzieć, że mój ojciec już planuje moje zamążpójście? – oburzyła się śmiertelnie Kathy. – To nieludzkie!

Karla miała dość tej rozmowy.

– Kochana – powiedziała perfidnie – a czy sama nie miałabyś na to ochoty? I powiem ci jeszcze jedno: gdyby nie to, że kocham Janka, sama zajęłabym się Peterem, i to bardzo troskliwie. Rozumiesz?

– Ani słowa więcej – ostrzegła Kathy – bo przestaniesz być druzną na moim ślubie w trybie natychmiastowym.

Karla zanosła się śmiechem.

– Wiesz, jak się nazywa takie przejęzyczenie? Chyba że naprawdę już myślisz o ślubie swoim, nie twojego ojca?

– Muszę kończyć – rzekła spieszenie dziwnie zakłopotana Kathy. – Ściskam cię, kochanie!

– Do zobaczenia – odrzekła pogodnie, po czym odłożyła słuchawkę i wróciła do salonu.

– Coś się stało, kochanie? – spytała Dorothy.

– Nie, nic. – Ton głosu dziewczyny wskazywał na to, że sprawa była rzeczywiście bagatelna. – Kathy wydziwiała nad listą gości.

– Za mało rodziny? – zaśmiała się Dorothy.

– Za dużo Cressleyów – zachichotała Karla.

Dorothy zaniósła się śmiechem.

– Gdyby Kathy więcej czytała – powiedziała, gdy uspokoiła się troszkę – wiedziałyby zapewne, że Baringowie byli spowinowaceni z Cressleyami.

– Chyba żartujesz? – wykrzyknęła Karla. – Kiedy?

– Jakieś trzysta lat temu. – W głosie Dorothy był spokój. – Pamiętasz, opowiadałaś mi kiedyś anegdotę o hrabinie Potockiej, która gdy ulubiona lektorka gubiła się w jej rodzinnych koligacjach, wzdychała ciężko: „Szczególne, jak to dzisiejsza młodzież nie zna historii Polski...”. Tu mamy dokładnie to samo.

Karla roześmiała się serdecznie.

– Ale nie jest to przeszkodą?

– Ani trochę.

– To dobrze. Niech się pobiorą. Zwolni mnie to z myślenia, co by było, gdyby...

– Gdybyś nie miała Janka... – dokończyła Dorothy.

– Podśluchiwałaś! – oburzyła się Karla, patrząc na nią z wyrzutem.

– Kochanie, czy naprawdę myślisz, że twoja przyjaciółka, która niejedno przeszła w życiu, jest aż tak głupia?

– Przepraszam, Dorothy. Wiem, że ty wiesz wszystko, ale czasem wygodniej jest myśleć, że ktoś coś podśluchał, niż to, że tak łatwo nas przejrzeć.

– Nic się nie martw – odrzekła z pogodą Dorothy. – Twój ojciec lubił mawiać, że przeświadczenie, iż panujemy nad swoim losem, to źródło pewności głupców.

– Ładnie powiedziane. A myślisz, że Kathy kiedykolwiek zrozumie, że jej ojciec jest mądrzejszy niż jej i komukolwiek z bliskich się wydaje?

– Nigdy – powiedziała stanowczo Dorothy. – Williamowi, zdaje się, wcale to przeszkadza. Powiem ci natomiast, że poznanie ze sobą obu panów było jednym z najszczęśliwszych kroków w moim życiu. I wierz mi, pan Baring niejedno twojemu ojcu zawdzięcza.

– Wypytam o to kiedyś tatę...

– Możesz spróbować. – Dorothy wzruszyła ramionami. – Bądź pewna, że się niczego nie dowiesz. A właściwie owszem, dowiesz się. Tego, jak omijać postawione wprost pytania tak, by pytający nawet nie zauważył, że nie otrzymał na nie odpowiedzi. Twój ojciec powinien być zostać dyplomatą.

– Więc dlaczego nie został?

Dorothy pomilczała chwilę. Widać było, że szuka właściwych słów.

– Bo... – rzekła wreszcie z wahaniem – bo twój ojciec wie, że dyplomata to ktoś, kto nie prowadzi własnej polityki, a jego zawodem jest niezrażanie do siebie ludzi. I nie jestem pewna, czy naprawdę by mu to odpowiadało. Zresztą o czym my w ogóle tutaj rozmawiamy. Za miesiąc wesele. Żałuję, że nie będzie Emila, za to mam dla ciebie niespodziankę.

– Jaką? – zacięła się Karla.

– Zdecydowałam, że pojedziemy do Polski razem. Stęskniłam się za Emilem i Donimirskimi.

Karla z radości zrobiło się gorąco. Miała ochotę uwiesić się na Dorothy i okryć ją pocałunkami, ale powstrzymała się jakimś cudem. Ostatecznie były w Anglii, a ona przecież przestała już być dzieckiem.

– Czy będzie wystarczająco angielskie, jeśli powiem, że jest wielce rada? – spytała dziewczyna z uśmiechem, ale Dorothy wiedziała, że jest szczęśliwa.

– Kochana – rzekła pobłaźliwie – zapamiętaj: angielskie jest wszystko, co robią ludzie, których sami Anglicy uważają za Anglików, rozumiesz? Wszystko pozostałe to fikcja, pozory, kontynentalne wymysły.

– To wygodne – zauważyła Karla.

Dorothy roześmiała się serdecznie.

– Masz po tysiąckroć rację – rzekła. – I dlatego wciąż działa.

\*

Ślub Williama i Emily odbył się w Saint James Church, kamiennym, gotyckim kościółku nieopodal majątku. Karla była przejęta swoją nową rolą. I choć funkcja okazała się tytularna, to jednak ze wzruszeniem uczestniczyła

w ceremonii. Zaskoczyła ją jej skromność, miała okazję widzieć krakowskie śluby, pełne splendoru i przepychu, zdawało się tym większego, im mniejsze było znaczenie tych, którzy się pobierali. Tutaj było inaczej.

Gdy zaśpiewano pierwszy hymn, miała łzy w oczach. Przysięgła sobie, że gdy tylko wróci do Oksfordu, wynajdzie gdzieś nuty i przegra sobie tę melodię, pełną dumy i chwały. Dorothy, która siedziała tuż za nią, zauważyła to wzruszenie i szybko, po swojemu, postanowiła je odpowiednio zredukować.

– Pssst... – szepnęła cichutko.

Karla odwróciła się nieznacznie.

– Właśnie widziałas angielskość w stanie czystym – wyszeptała. – Tylko Anglik mógł wymyślić, że Chrystus poszedł na pieszą pielgrzymkę do Glastonbury. Masz pojęcie?

Karla opanowała wybuch śmiechu niewyobrażalnym wysiłkiem woli.

– Nie znasz się – szepnęła. – To bardzo ładne i tyle.

Dorothy już chciała coś odpowiedzieć, lecz pastor akurat uroczystym głosem zaczął wygłaszać formułę wzywającą obecnych do podniesienia sprzeciwu wobec związku lub zachowania wieczystego milczenia, więc nie było wyboru, trzeba było zamilknąć.

Sprzeciwu nikt nie zgłosił. Przysięga małżeńska została zawarta, a roześmiani William i Emily nałożyli sobie obrączki.

Kiedy nabożeństwo dobiegło końca, a orszak wyszedł z kościoła, Dorothy odciągnęła Karłę na bok i wróciła do poprzedniego tematu.

– Nie spodziewałam się – szepnęła – że patos weźmiesz za wielkość.

Karla spiorunowała ją wzrokiem.

– Nic o tym nie wiesz – odszepnęła jadownicie. – To my Polacy jesteśmy prawdziwymi specjalistami od patosu. Nie spodziewałam się, że kiedykolwiek będę broniła Anglików, ale wielkość tkwi w codzienności, nie w nadludzkich, historycznych zrywach. To dlatego wy jakoś przetrwacie, a my będziemy się zawsze miotać od szlachetnego zrywu do szlachetnego zrywu.

Dorothy spoważniała. Podeszła do niej bliżej.

– Przepraszam – rzekła. – Nie czas na takie żarty.

Na co Karla odrzekła cytatem:

– *Tunc etiam fatis aperit Cassandra futuris*

*Ora dei iussu non umquam credita Teucris*<sup>[8]</sup>.

A po chwili dodała:

– Dajmy spokój, dzisiaj jest dzień radości. Zresztą popatrz, druga družka znalazła już družbę.

Dorothy zerknęła w lewo i zobaczyła rozpromienioną Kathy pod rękę z Peterem. Zerknęła na Karłę. Zobaczyła w jej oczach tęsknotę i... jakby odrobinę zazdrości.

– Nie martw się – mruknęła. – Już niedługo. Tymczasem czyni honory.

Samo wesele okazało się tak naprawdę kolacją na jakieś trzydzieści osób, radosną niczym spotkanie dobrych przyjaciół. Prawda, nie było wyzute z konwenansu, ale Karla nauczyła się już rozumieć i doceniać towarzyskie formy. Nie chcąc się do tego przyznać przed sobą, czekała na jakieś istotne wydarzenie, na coś, co przełamie błahość prowadzonych przy stole rozmów. A takim wydarzeniem mogłyby być na przykład oświadczyzny Petera. Po wielokroć tłumaczyła sobie, że nie obeszloby ją to wcale, bo jest przecież Janek, bo przecież z Peterem łączyły ją więzy przyjacielskie, i nie było w tym niczego więcej. Mimo tych wszystkich tłumaczeń wiedziała, że oświadczyzny zraniłyby ją. A przynajmniej zaboląły.

Jednak, jak to zwykle bywa, dzieją się rzeczy, których trudno się spodziewać. Pod koniec przyjęcia, gdy atmosfera zrobiła się mniej formalna, a kolacja stała się zupełnie niezobowiązującym *standing party*, do Karli podszedł lord Ashley.

– Już niebawem wyjeżdżasz na wakacje – powiedział z uśmiechem.

Karla zdziwiła się nieco.

– Rzeczywiście, planowałam to od dawna.

– Mam nadzieję, że pozdrowisz ode mnie ojca. – Lord westchnął ciężko. – Zastanawiam się, jak „Times” poradzi sobie bez twoich błyskotliwych felietonów – rzekł, obserwując uważnie, jaka będzie reakcja na jego słowa.

Karla zachowała kamienną twarz.

– Nie czytuję „Timesa”, milordzie – odrzekła. – Ostatnio cały mój czas zajmował Wergiliusz, tak bardzo, że zaczynam nim powoli mówić. Nie dalej jak kilka godzin temu cytowałam Dorothy passus o Kasandrze, która wieszczy, ale nikt jej nie słucha...

Ashley popatrzył z uznaniem.

– Jesteś nieodrodną córką swojego ojca – powiedział. – Dziedziczysz też jego talenty, więc tym bardziej się cieszę, że zamierzasz zrezygnować z łaciny u profesora Penbridge’a na rzecz tego, czym wszyscy żyją.

– A czym żyją? – spytała zaczepnie Karla.

Lord Ashley zastanowił się.

– Prawem – rzekł wreszcie – polityką, trochę ekonomią, choć z tego ostatniego nie zdają sobie sprawy...

Kamienna twarz Karli dowodziła, że powinna była zrezygnować z brydża i zacząć się zajmować pokerem.

– Nie uwierzę, że poświęcił pan, milordzie, tyle swojego cennego czasu na prostą dziewczynę z Polski, która choć była podopieczną pańskiej przyjaciółki, lady Dorothy, to jednak dla Anglików jest tylko nietypowym zjawiskiem...

– ... które mówi po angielsku jak Angielka z wyższych sfer – dopowiedział lord – i tak się też zachowuje, a jeżeli pokaże swój paszport policjantowi, opowiadając jakąś historię, niechybnie zostanie aresztowana pod zarzutem podawania się za Polkę, lub wręcz sfałszowania paszportu.

– To miłe, że docenia pan moją ciężką pracę – powiedziała chłodno Karla. – Czego, milordzie, właściwie pan ode mnie oczekuje? Bo przecież pozdrowić mojego ojca może pan zawsze, pisząc list lub dzwoniąc do Krakowa. Nie jestem do tego niezbędna.

– To prawda – przytaknął Ashley. – Prawdę mówiąc, mam *déjà vu*, albowiem odbyłem niedawno dość podobną rozmowę z twoim ojcem. Może inną w słowach, ale podobną w treści.

– Ta treść mi umyka. – W głosie Karli zabrzmiała ironia. – Może przybliży mi pan temat? I proszę pamiętać, jestem tylko głupiotką nastolatką, nie znam się ani na subtelnościach polityki, ani na meandrach prawa, nie mówiąc już o zawłościach ekonomii. Dlatego właśnie wymarzyłam sobie Oksford, który wleje nieco światła do mojej głowy...

Lord nic nie robił sobie z kpiny Karli.

– Rozmawialiśmy z twoim ojcem – powiedział – na temat jego zdolności przewidywania wydarzeń politycznych, ekonomicznych i społecznych...

– Czy mam rozumieć, że odmówił panu, milordzie, wieszczenia na zawołanie i teraz szuka pan kolejnej Kasandry? – uśmiechnęła się słodko Karla.

Ashley zeszywniał.

– Przyjmuję za pewnik, że sir Emil nie rozmawiał z tobą o naszym spotkaniu.

– Czyli trafiłam – roześmiała się Karla. – Proszę powiedzieć, czego pan tak uporczywie szuka, milordzie.

– Informacji.

– Nie wierzę. – Karla pokręciła z powątpiewaniem głową. – Jeśli tak łatwo dowiedział się pan o moich planach, musi mieć albo szpiega w moim domu, albo w Oksfordzie. Dorothy nie zdradza przyjaciół, więc to drugie. Ciekawe, kto nim był.

– Nie potrzebowałem szpiega – uśmiechnął się lord. – Przecież oczywiste, że skoro wyjeżdżasz w kwietniu, nie skończysz trzeciego trymestru, a skoro tak – nie wierzę, żebyś została u Penbridge’a. Masz jednak sporo racji. Powiem wprost. Mam mnóstwo informacji, ale co innego mieć informacje, a co innego wyciągać z nich odpowiednie wnioski. Mistrzem w czymś takim jest twój ojciec, a i ty, o ile rzecz jasna nie korzystasz z jego pomocy.

– Nie korzystam! – prychnęła z oburzeniem Karla.

– To dobrze. Niestety twój ojciec odmówił, hm... skorzystania z jego talentów.

– Niczego innego nie mogłam się spodziewać. – W głosie Karli znów dźwięczała ironia. – On robi tylko to, co sam uważa za słuszne, i nikt jeszcze go nie zmusił do zrobienia czegoś, czego sam by nie miał ochoty zrobić. Jeśli chciałby pan, milordzie, abym na niego wpłynęła, proszę o tym zapomnieć.

– Nie mam takiego zamiaru. Raczej chciałbym, żebyś to ty rozważyła moją propozycję. To nic wielkiego, od czasu do czasu napiszesz artykuł do „Timesa” na podstawie dostarczonych przeze mnie informacji. Czasami oczywiście twoje tezy będą zbyt rewolucyjne jak na tę skostniałą gazetę, ale z tym trzeba się już pogodzić. Ja będę zawsze wiernym czytelnikiem... i sumiennym płatnikiem.

Popatrzył na Karłę i zrozumiał, że popełnił błąd. Powiedział o jedno zdanie za dużo. Oczekiwał na wybuch, ale Karla zaskoczyła go i tym razem.

– Obawiam się – odrzekła z doskonale udawanym żalem – że moja współpraca z „Timesem” skończy się z chwilą wyjazdu do Polski. Gdy wrócę tutaj we wrześniu, będę miała mnóstwo zajęć i nie stać mnie będzie

na poświęcanie czasu na analizowanie swoich informacji, a co dopiero cudzych, z pewnością zebranych w całej Europie przez licznych pańskich współpracowników. Było mi bardzo miło, lordzie Ashley. Proszę pozdrowić lady Ashley, gdybym nie miała sposobności się z nią zobaczyć tego wieczoru. Obawiam się, że zanadto wyczerpał mnie ten wieczór.

– Rozumiem, milady. – Lord Ashley ukłonił się. Przyszło mu to znacznie łatwiej niż odzywianie się do niej jak do dziecka lub prostej dziewczyny. Nagle uświadomił sobie, dlaczego Karla tak uporczywie go tytułowała, i poczuł się pokonany. Delikatny przytyk tylko potwierdzał jego porażkę.

– Lady Caroline? – dodał po sekundzie zastanowienia.

– Mam na imię Karla – przypomniała z uśmiechem.

Ashley był jednak poważny.

– Powiem tylko to, co powiedziałem o pani ojcu – rzekł. – Nie doceniałem pani, milady. Proszę przekazać ukłony ojcu i pogratulować.

Karla dygnęła ceremonialnie, na co lord Ashley skinął głową.

Po chwili szła wolno przez chłodniejszy korytarz, chcąc nieco ochłonąć. Przez głowę przemknęła jej myśl, że należy dokładnie wypytać Dorothy, ale myśl ta uciekła w jednej chwili, gdy zobaczyła przez wychodzące na zewnątrz okno dwie sylwetki. W słabym blasku światła z bocznego skrzydła Avebury Manor wydawały się niewyraźne, ale Karla nie miała wątpliwości. Byli to Peter i Kathy. Rozmawiali ze sobą, stojąc przy ogrodowej alejce; twarze mieli blisko siebie. Karla poczuła się dziwnie, coś ukłuło ją w sercu. Odwróciła się szybko i poszła z powrotem w stronę wielkiej sali. Po drodze spotkała Dorothy, która też wyszła, pewnie chcąc chwilę odpocząć od towarzystwa, albo – co bardziej prawdopodobne – wypalić w samotności papierosa. Przyjaciółka zmierzyła ją wzrokiem.

– Wyglądasz na wzburzoną, kochanie – powiedziała. – Co się stało?

– Nic wielkiego – zbagatelizowała ją Karla. – Właśnie widziałam, jak Peter i Kathy sobie coś wyznają, więc może nie wychodź ogrodowym wyjściem.

– Ja za to widziałam lorda Ashleya – uśmiechnęła się Dorothy. – Wyglądał na poruszonego rozmową z tobą.

– Powinam się była domyślić – mruknęła Karla – do kogo jeździsz z moimi felietonami.

– Nie – odrzekła stanowczo. – Nie miałaś ku temu żadnych podstaw. Skąd miałybyś wiedzieć, kim jest lord Ashley?

– A jest...

– ... kimś, kto ma tak szerokie kontakty, tak dużą wiedzę i takie stosunki w rządzie, że mógłby bez kłopotów zastąpić lorda Baldwina na stanowisku premiera rządu Jego Królewskiej Mości. – Zabrzmiało to dość ceremonialnie.

– To dlaczego tego nie zrobi?

Dorothy roześmiała się serdecznie.

– Zapytaj twojego ojca, dlaczego nie chciałby zostać na przykład ministrem spraw zagranicznych, będziesz wtedy wiedziała.

– Odpowiedziały mi na pewno, że nikt mu tego nie zaproponował, więc dyskusja jest akademicka. – Karla sprawiała wrażenie zaintrygowanej. – A tak poważnie, nie wiem. To ciekawe, że o to samo, choć innymi słowami zapytał Ashley.

– I co ty na to?

Karla streściła jej zwięźle rozmowę. Dorothy pociągnęła ją do drugiego wejścia, wyszły na zewnątrz. Dziewczyna zadrżała w pierwszej chwili z chłodu i mocniej owinęła się szalem.

– Przejdźmy się kawałek dla rozgrzewki – zaproponowała Dorothy.

Wyciągnęła z torebki papierośnicę i zapalniczkę. Zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko i obie ruszyły szybkim krokiem wokół Avebury Manor.

– W takim razie wiesz już wszystko – rzekła. – Ashley marzył o tym, żeby wykorzystać umiejętności twojego ojca, bo potrzebuje kogoś z zewnątrz, kogo wnioski będą na tyle logiczne, by pobudzić do myślenia zadufków zasiedziały w ławach Izby Gmin i Izby Lordów. Chce prowadzić własną politykę. Z twoim ojcem mu nie wyszło, więc próbował trafić do niego za twoim pośrednictwem. Gdy i to zawiodło, odkrył karty i przyznał, że liczył na to, iż twoje wnioski będą odbiciem idei Emila, więc tak czy owak dostanie to, czego potrzebuje.

– A ty? Co ty na to?

– A ja skorzystałam z okazji, by dać ci zarobić kosztem „Timesa” – rzekła bez żenady Dorothy. – Dzięki temu Ashley nie zaczął stosować innych metod.

– O czym myślisz? – zaniepokoiła się Karla.

– Lord Ashley, jak wspomniałam, ma licznych przyjaciół, którzy zrobią dla niego wiele. Mogliby na przykład podszeptać wywiadowi polskiemu, że najwygodniej byłoby dla nich pozbyć się go z Polski, mogliby nawet poświęcić jakiegoś znanego im rezydenta polskiego wywiadu, żeby wymienić go na rzekomego angielskiego szpiega, Emila Lindego.

– Chyba żartujesz! – zawołała z oburzeniem Karla. – O czym my mówimy? O filmie sensacyjnym?

– Nie. – Dorothy pokręciła głową. – O polityce. I wierz mi, twój ojciec robi rzecz mądrą, nie przyjeżdżając do Anglii.

– Nie wierzę, że zrobił to właśnie dlatego.

– Pewnie nie, ale był to jeden z powodów. I wierz mi, nie najbliższy.

– Muszę się z nim rozmówić, gdy wrócę. I może nawet w twojej obecności.

– Trzymam za słowo. Zwłaszcza że pewnie masz takich tematów całą listę. Choć tematów dla Janka w Klonowie niechybnie jeszcze więcej...

– Tęsknię za nim... Chociaż... – Utknęła, mając w oczach obraz Petera i Kathy.

Dorothy przyjrzała się jej uważnie.

– Zmarzaś – rzekła. – Chodźmy do środka.

Karla spojrzała z wdzięcznością.

– Chodźmy. Tu jest naprawdę chłodno.

\*

Rozmowa z profesorem Penbridge'em, której tak Karla się obawiała, okazała się znacznie łatwiejsza, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

– Mogłem się tego spodziewać – rzekł niemal pogodnie profesor, gdy Karla, przychodząc na pierwsze spotkanie trzeciego trymestru, zapukała do jego gabinetu i wyłuszczyła sprawę. – Jest pani dzieckiem współczesności, rozdarła między szacunkiem dla czcigodnych łacińskich przodków a niecierpliwością poszukiwania rzeczy nowych. Rozumiem to doskonale, choć – proszę wybaczyć – na starość zrozumie pani, że rasa ludzka nie zmienia się tak łatwo, a wszystko, co mogło zostać powiedziane, już zostało powiedziane. I aby to pojąć, starczy nam sięgnąć do wielkiej literatury.

– A Wielka Wojna? Przecież ona zmieniła obraz świata...

– Ludzie nadal się rodzą, żyją i umierają – rzekł pobłaźliwie Penbridge. – Nadal kochają się, nadal rozpaczają po stracie, nadal bywają

wielcy i mali...

– ... nadal potrafią być dumni jak Dydona – uzupełniła Karla – i nadal, jak Eneasz, zostawiać miłość dla władzy i chwały.

– Tylko czy nadal będą posłuszni bogom – zastanowił się Penbridge – tego nie wiem. Choć znając inwencję ludzi, szybko wymyślą sobie nowych bożków, którym będą oddawać cześć. Widzi pani, znów ma pani coś, co trwa od tysiącleci, a co ja nazywam niezmiennikiem. Życie każdego człowieka nieuchronnie zmierza do ziemi, w której go pochowają, więc łatwiej ludziom szukać bożków materialnych niż nieuchwytnego, boskiego tchnienia. I tak oto mam jak na dłoni – roześmiał się nagle – ile tracę wraz z panią. Z kim ja będę dyskutował, gdy wejdzie pani w krąg nowych idei, w grono ludzi próbujących wytłumaczyć teraźniejszość i przewidzieć przyszłość, ale którzy zapominają, że wyświechtana, powtarzana po stokroć sentencja Cycerona jest prawdziwa od początku istnienia świata i będzie prawdziwa po kres jego dni... To historia uczy nas życia, a właściwie uczy, że żyjemy zbyt krótko, aby budować przyszłość, za to w sam raz, aby zachłannie czerpać ze świata, niszcząc go, w imię zagłuszania w sobie żalu, że przecież trzeba będzie odejść...

– Przyrzekam – oznajmiła uroczyście Karla – że począwszy od jesiennego trymestru, będę odwiedzała pana profesora raz w tygodniu. Nawet nie zdaje pan sobie sprawy, panie profesorze, jak bardzo to, co pan przypomina, pomaga mi zrozumieć ten świat, a nawet... – zawahała się – moich bliskich.

Penbridge położył jej dłoń na ramieniu.

– Nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć pani powodzenia – rzekł. – Wspomniała pani o swoim wyjeździe. Życzę miłych wakacji i oby bogowie pozwolili nam się zobaczyć jesienią.

Karla trawiła w myślach tę rozmowę przez całą drogę z Oksfordu do domu. Żałowała niezwykle tego pogodnego łacinnika, tak innego od wszystkich, których miała okazję poznać przez pierwsze pół roku osvajania się z uczelnią.

Wszystko wyparowało z jej głowy, gdy weszła do domu. Zrozumiała, że wizyta u profesora Penbridge'a była ostatnią sprawą, którą musiała zakończyć, i przed wakacjami nie znalazłoby się nic, co zatrzymywałoby ją w Anglii. Kathy była chyba szczęśliwa z Peterem, choć o ich narzeczeństwie jakoś nie było słyhać. Zaskoczyło ją tylko, że nie wiedziała nic o tym, gdzie przyjaciółka się podziewa; czy zdecydowała się jednak wyjechać na

południe Francji wraz z ojcem i macochą, czy też została w Avebury lub w londyńskiej rezydencji Baringa. Postanowiła zadzwonić. Niestety nie dowiedziała się wiele, służba nie była najlepiej poinformowana; znając ogólną sympatię, jaką budziła wśród niej Karla, trudno byłoby podejrzewać, że zataja przed dziewczyną istotne fakty. Pewną przesłanką było jedynie to, że bagaże Kathy były raczej niewielkie, co sugerowało Londyn, ostatecznie jej londyńska garderoba była niewiele uboższa niż ta w Avebury.

Kolejny telefon rozstrzygnął wątpliwości.

– Rezydencja państwa Baringów, słucham – odezwał się nieco piskliwy głos Florence, londyńskiej pokojówki Baringów.

– Dzień dobry, Florence – powiedziała pogodnie Karla. – Czy panienka Kathy jest u siebie?

– Dzień dobry, lady Caroline – rzekła niepewnym głosem Florence. – Ja... ja właściwie to nie wiem...

Wszystko wskazywało na to, że Kathy dała Florence tyle skomplikowanych wskazówek, co i komu ma mówić, gdyby zadzwonił telefon, że dziewczyna nie może się połączyć. W końcu zdecydowała się powiedzieć prawdę.

– A właściwie to myślę, że wiem – rzekła.

Karla uśmiechnęła się ciepło. Gdyby dodała: choć nie jestem do końca pewna, pomyślałaby, że nauczyła się tego od pana Baringa.

– Znakomicie – pochwaliła. – W takim razie, gdzie jest?

– W swojej sypialni – wyszeptała trwożnie.

Karla błysnęła dość oczywista myśl.

– Sama? – spytała niefrasobliwie.

– Nie... niezupełnie – wyjąkała Florence. Tylko na litość, niech mnie lady Caroline nie wyda!...

– Masz moje słowo. Zapisz, proszę, wiadomość dla niej. Niech zadzwoni do mnie dzisiaj, kiedy wróci z zakupów, rozumiesz?

– Tak jest. – W głosie pokojówki zabrzmiała ulga. – Przekażę.

– Do widzenia – rzekła Karla i odłożyła słuchawkę. Znów odniosła niemiłe wrażenie jakiegoś ucisku w żołądku. Pomyślała, że tym kimś pewnie jest Peter. Starła się zdławić w sobie tę myśl, ale ta wracała uporczywie, krążyła wokół niej, nie dając spokoju. Żeby zająć czymś umysł, siadła do fortepianu i zaczęła grać. Pomysł był dobry, chwilę potem zastanawiała się, jak przywita ją Olga w Byszewie, może małym recitalem?; słyszała, że

ciocia niemal nie wstaje od instrumentu. Minęły, jak się zdaje, czasy, w których Olga swój straszliwy, przerażający żal po stracie dławiała w sobie. Muzyka pozwoliła jej zrozumieć, że swą żalobę przeżyła po wielokroć.

Karla nie mogła się powstrzymać.

– *Une jeune fillette...* – zanuciła, cicho sobie akompaniując. W tym momencie usłyszała trzask wejściowych drzwi. Przerwała.

– Dorothy?! – zawołała.

– A któż by inny – Dorothy weszła do salonu, strzepując z siebie wodę. – Uwierzysz, że zaczęło padać? A takie było ładne przedpołudnie. Byłaś u Penbridge’a?

– Byłam. Przyjął to bez żalu.

Dorothy pokiwała głową.

– Chciałaś powiedzieć: przyjął to, nie okazawszy żalu – poprawiła. – To zasadnicza różnica.

Karla nie czuła się specjalnie na siłach dyskutować. Tymczasem Dorothy wyjęła z torebki jakieś papiery.

– Mamy już plan podróży – powiedziała. – Do Polski popłyniemy statkiem. Przez cieśniny duńskie do Gdyni. Po drodze zatrzymamy się w Kopenhadze, wprawdzie pewnie nic tam ciekawego nie zobaczymy, ale zawsze to nowość. Nigdy nie byłam w Kopenhadze.

Karla przyjęła podany jej bilet i obejrzała go z ciekawością.

– Ale...

– ... wiem, wiem – przerwała jej Dorothy – to wcale nie wygląda na bilet, raczej na rachunek. Tak czy owak, za dwa tygodnie ruszamy.

– Dorothy, dlaczego nie pojedziemy pociągiem? Byłoby na pewno i szybciej, i wygodniej, a może i taniej.

Dorothy nie odpowiedziała. Karla, przyzwyczajona do tego, że jej przyjaciółka raczej dobrze waży słowa, czekała cierpliwie.

– Zapytasz Emila – rzekła wreszcie. – To on zdecydował.

Przyjrzała się Karli uważnie.

– Coś cię gnębi – rzekła. – Przecież mi nie powiesz, że się nie cieszysz z wyjazdu.

Trudno było przed nią cokolwiek ukryć.

– Dzwoniłam do Kathy – powiedziała ciszej Karla. – Jest w Londynie, nie pojechała z ojcem i Emilią do Paryża.

– W sumie trudno się jej dziwić. Ale to jeszcze nie powód, żebyś patrzyła na mnie, jakbyś była wyżłem, któremu odmówiono wyprawy w teren...

Karla przypomniała sobie byszewskie psy i uśmiechnęła się.

– To prawda. Mam wrażenie, że Kathy... wynagradza sobie wszystko, co ją ostatnio spotkało. Ktoś z nią był i jestem pewna, że swoją kolację połączyli ze śniadaniem.

Dorothy zaśmiała się.

– Moja droga – rzekła, sięgając po papierosa – nie jestem nadmiernie staroświecka w tych sprawach, więc osobiście wypada mi jej pogratulować, pod warunkiem że jest na tyle mądra, że nie sprawi sobie niepotrzebnych kłopotów. Wiesz, z kim była?

– Podejrzewam, że z Peterem.

Dorothy spojrzała na nią uważnie.

– Boli cię to, prawda?

– Nie, skądże. – Karla wzruszyła ramionami. Nie wyglądało to jednak przekonująco.

Dorothy pochyliła się nad nią i objęła ją.

– No dobrze – przyznała niechętnie Karla. – Boli mnie. Nie mam z Peterem od dawna kontaktu, ostatnio widzieliśmy się na ślubie Baringów, ale od tego czasu nie dał znaku życia. Wiesz, jak nam się dobrze rozmawiało, ile mieliśmy wspólnych tematów...

– Kathy ciężko pracuje – przerwała jej łagodnie Dorothy, prostując się – żeby osiągnąć swój cel.

– W łóżku? – prychnęła Karla.

Dorothy spojrzała na nią z rozbawieniem.

– Wiem od Williama – ściszyła konfidencyjnie głos – że w ostatnim czasie wydała na książki znacznie więcej niż na kapelusze, a przyznasz, że to spore osiągnięcie. Sama jej podpowiedziałaś, jak to zrobić. Nie miej więc do niej pretensji, że korzysta z okazji. Przyznaj się, ty byś tego nie zrobiła?

– Mam Janka Donimirskiego – przypomniała Karla.

Wspomnienia przyszły same, jego pocałunki, dotyk... Poczuła, że robi jej się gorąco.

Dorothy przyglądała się jej ze zrozumieniem. Miała w tym spojrzeniu coś ze starszej siostry, śledzącej pierwsze prawdziwe oznaki tego, że Karla

naprawdę się staje kobietą, i przypominającej sobie własne uniesienia sprzed lat. Dawne, ale mocno wryte w pamięć, niedające się niczym zatrzeć. Takie, które pozostają już na zawsze.

– Zobaczysz go niebawem – powiedziała z uśmiechem. – I nie zawiedziesz się, zapewniam.

– Powtarzasz mi to od dłuższego czasu – odparła z wyrzutem. – Skąd wiesz, jak będzie?

– Wymieniasz z nim wciąż listy. – Dorothy zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko. – Opowiadacie sobie o wszystkim. Wysyłasz mu fotografie, a on tobie kwiaty, pewnie też i wiersze...

– Janek nie umie pisać wierszy. – Karla nie mogła się nie uśmiechnąć. – Napisał mi, żebym nie liczyła na to, gdyż nie chce się kompromitować, robiąc rzeczy, o których nie ma pojęcia.

– Za to o innych sprawach ma pojęcie. – Dorothy kiwnęła głową. – Wiesz na pewno, co chce robić po maturze.

– Chce iść na studia rolnicze...

– ... i zarządzać majątkiem klonowskim. A zapewniam cię, kochanie, jest czym zarządzać, i nie jest to łatwe. Janek ma do tego wielki talent i jeśli mu się na to pozwoli, pokaże, ile jest wart.

– Mam nadzieję, że mną nie będzie zarządzał – mruknęła Karla.

Dorothy zaśmiała się cicho.

– Tylko na tyle, na ile mu pozwolisz. Za to pamiętaj: musicie sobie zaufać. Cokolwiek by się działo. Jeśli któreś to zaufanie złamie, to koniec, ale tymczasem czujecie, że jesteście razem i nic się nie może zdarzyć. Zrozumiałaś?

– Tak jest, Mrs Doris.

Jej dłonie przebiegły po klawiaturze w szybkim, zwiewnym pasażu. Wstała od instrumentu i zamknęła wieko.

– Czy nie myślisz – spytała z namysłem Dorothy – że powinnaś wziąć sobie dobrego nauczyciela fortepianu? Nie będziesz nigdy zawodową pianistką, ale szkoda marnować to, co potrafisz.

– Byłam uczennicą Szymanowskiego, opowiadałam ci przecież. – Uśmiechnęła się. – Może jesienią. Tymczasem nie mogę się doczekać wyjazdu. Zadzwoń wieczorem do taty, może zastanę go w domu.

Dorothy zawahała się.

– Nie mówiłam ci, co przeczytałam ostatnio. Karol Szymanowski umarł.

Karla popatrzyła na nią zdumiona.

– Co ty mówisz?!

– Była jednozdaniowa wzmianka w jakiejś gazecie – powiedziała smutno Dorothy. – Zmarł w Lozannie. Z końcem marca. Pewnie w Polsce piszą o tym więcej.

Karli zaszkliły się oczy. Przypomniała sobie niezwykłość pana Karola, jego ciemne oczy, cudownie przystojną twarz, jego nieskazitelność, klasę w każdym geście i słowie.

– Dlaczego tacy ludzie muszą umierać?

– Wszyscy umrzemy. Prędzej czy później. Żal tylko, że zawsze samotnie.

Przytuliła Karłę stojącą przy fortepianie jak figura żalu.

– Nic nie poradzisz – powiedziała. – Jutro jedziemy do Londynu na zakupy przed wyjazdem. Kupimy prezenty i zobaczymy, czy u Petersa nie znajdą się jakieś nuty. Dla ciebie i dla cioci Olgi.

– Dziękuję – szepnęła jej w ucho Karla. – Dziękuję, że mi pomagasz.

– Po to dla siebie jesteśmy – usłyszała cichutką odpowiedź. – Choć przytulanie się jest takie nieangielskie...

[8] „Tylko Cassandra usty rozwartymi wieści przyszłe losy, lecz z woli boga nie dają jej wiary Teukrowie”. Publius Vergilius Maro, *Eneida*, II 246, tłum. Wanda Markowska, Warszawa 1974, s. 43.

SZCZĘŚLIWE DNI

Był ostatni dzień kwietnia. Karla i Dorothy trochę ponad tydzień wcześniej wsiadły w Hull na jakiś duński frachtowiec, który zgodnie z dobrą zasadą tamtych czasów utrzymywał również kabiny pasażerskie. Gdy przed wypłynięciem dzwoniły z biura agenta okrętowego, umówili się, że do Krakowa będą telefonować, tylko jeśli wydarzy się coś nadzwyczajnego. Telefon w mieszkaniu doktora milczał, należało się więc spodziewać, że przyjadą wieczornym pociągiem warszawskim.

Emil tego popołudnia wrócił z gabinetu zmęczony i zniecierpliwiony. Coraz częściej się zastanawiał, czy porzucenie kliniki i pozostawienie sobie tylko praktyki prywatnej nie było błędem. W klinice przynajmniej diagnozował ludzi rzeczywiście chorych, a nie chorych z urojenia, jak to się coraz częściej zdarzało. W dodatku miał nieodparte wrażenie, że od pewnego czasu pojawiła się u niego nowa kategoria pacjentów. Takich, którzy wprawdzie bez szemrania płacili honorarium, ale którym jakby bardziej niż na lekarskiej poradzie zależało na rozmowie na temat bieżącej polityki polskiego rządu. Doktor zbywał ich, niestety wciąż wracali. W różnych wcieleniach, ale z podobnymi pytaniami.

Jak zwykle po wejściu przywitał się z Józją, po czym poszedł się umyć i przebrać. Gdy wracał, w jadalni czekał już na niego obiad. Podziękował kucharce i sięgnął po serwetkę. W tym momencie zadzwonił telefon.

– Powiem, że pana doktora nie ma – zaofiarowała się Józia.

– Nie – zaoponował Emil. – Niech Józia odbierze. Już idę.

Ciężko westchnął i na powrót odłożył serwetkę na stół.

– Pan rotmistrz Krzeczunowicz prosi! – zawołała z przedpokoju Józia. Emil wstał i podszedł do telefonu.

– Emil – powiedział do słuchawki.

– Kornel – usłyszał.

Mimo woli się uśmiechnął.

– Jak tam wasz triumwirat? – spytał. – Mówi się, że Mościcki z Beckiem zdrowi jak Rydz...

Krzeczunowicz przełknął drwinę. Jako sanacyjny poseł nasłuchiwał się od Emila niejednego.

– Rzeczywiście – przyznał. – Rydz słabował ostatnio. A jak się ma angielski szpieg?

Emilowi wydawało się, że się przesłyszał.

– Angielski szpieg? – powtórzył z niedowierzaniem.

Krzeczunowicz zachichotał szatańsko.

– No przecież jasne. Do Anglii jeździ, córkę za morzem trzymie, to i szpiegiem być musi.

Emil uśmiechnął się pod wąsem. Uśmiech zamarł mu jednak na ustach, gdy usłyszał ciąg dalszy.

– Te łebki głupie z „dwójki” – ciągnął rotmistrz – raport napisały, że jesteś szpiegiem brytyjskim o niewiadomej randze i niewiadomym charakterze. Charakter ty masz wiadomy, złośliwy jesteś aż strach boski, ranga też znana, bo rotmistrz, to i nie wiem, co takiego zagadkowego by w tym wszystkim być miało. Durnota to wszystko. I tak w te raporty nie uwierzą.

– Jakbyś dwójkarzy nie znał – mruknął Emil. – Uwierzą, uwierzą. Już mi nasyłają niby że pacjentów, co to nie pytają: panie doktorze, czy ja umrę, tylko: panie doktorze, co pan na kont króla Jerzego myślisz, a? Ciekawe tylko, co ich tak nagle przypiliło.

– Tego nie wiem – Krzeczunowicz wciąż był pogodny – bo i nie wiem, z kim w Anglii gadałeś i po co.

– I o czym – uzupełnił Emil. – Kornelu, pomyśl. Nie zajmuję się polityką. Nie zajmuję się armią. Armatę na lawecie widziałem ostatni raz na paradzie w trzydziestym trzecim, i to tylko dlatego, że mi przejechała pod oknem. Byłem w tej Anglii, bo Karla i przyjaciele. Jak już dokądś jeżdżę, to tylko w cztery miejsca. Do Klonowa, do Byszewa, do Lwowa, gdzie czasem nocuję, no i do Stojanowa do mecenasa. Jeszcze gdybym gdzieś wkoło budowy COP-u się kręcił, tobym zrozumiał, ale tak?

Krzeczunowicz kaszlnął, jak zawsze, gdy był zakłopotany.

– Bo widzisz – wymamrotał – to przez tego łebka, coś go postrzelił.

– Przydała się broń od ciebie. No i co z nim?

– Nie zdziwiłeś się, że policja tak nagle zamilkła?

– Zdziwiłem się, i owszem, ale mało. Mówiłem ci, jak było, i kto go napuścił.

– Ano właśnie. Dwójka sobie to powiązała wszystko, przesłuchali łebka...

– Nie powiesz mi chyba, że się przyznał, że miał na mnie zlecenie od obcego wywiadu. – Emil roześmiał się. – Do kilku lat odsiadki za próbę zabójstwa doszłoby mu kilkanaście za współpracę.

– Emil, jesteś jak dziecko – rzekł z wyrzutem Krzeczunowicz. – Toż dla dwójkarzy to właśnie był dowód, że się nie przyznaje, prawda?

– A gdyby się przyznał, też by był dowód.

– No widzisz, już rozumiesz.

– To już rozumiem, dlaczego mówisz mi to przez telefon. Jak mówisz o takich rzeczach na podsłuchu – to dowód. Jak nie mówisz, też dowód, ale to jeszcze gorzej, bo widać przemyślność i wyrafinowanie, za którym na pewno stoi coś więcej.

– A tam, telefon – zbagatelizował Krzeczunowicz. – Żadnej tajemnicy nie zdradzam.

– A to o dwójkarzach?

Krzeczunowicz zachichotał.

– Jak kto podsłuchuje, niech słucha uważnie: powiedział mi o tym generał Pełczyński. Ich szef. Na przyjęciu, przy innych oficerach. I mówił, że kretyni zajęliby się lepiej moskiewskimi agentami niż mniemanym agentem sojusznika.

W słuchawce coś trzasnęło. Emil roześmiał się w głos.

– No i masz twoich dwójkarzy – powiedział. – Jeszcze nie daj Bóg, że mi zaczną zrywać połączenia, jak będę rozmawiać w języku, z którego nie mają tłumacza.

– Dlatego też mówią, żeś szpieg. – Krzeczunowicz był w znakomitym humorze. – Bo nie pojmują. Karla kiedy przyjeżdża?

– Powinna dzisiaj. Będą długie wakacje. Do września.

– Może przyjedziecie do mnie? Małżonka się ucieszy, wciąż ma cię w dobrej pamięci i modli się za ciebie.

– Przyda się. Ręce ucałuj ode mnie. Jak Bóg da, przyjedziemy. Dziękuję ci, Kornelu.

– Szczęścia życzę – dobiegło z słuchawki, nim szcęk w głośniczku dał znak, że rozmowa została zakończona.

Emil z uśmiechem wrócił do jadalni, do której zajrzała z drugiej strony Józia.

– Dobrze – powiedziała – że zimne wędliny na obiad pan doktor zarządził. Ja to chyba odłączę ten telefon panu doktorowi, bo życie ludzi nie dają. Głuche telefony, rano, w południe, wieczorem, coś się psuje to wszystko. Może technika Paweł zawoła?

Emil zawahał się.

– Nie trzeba – rzekł po krótkim namyśle. – I tak przecież więcej będziemy poza Krakowem niż w Krakowie. Chociaż kto wie, przecież Karla mi mówiła, że za Józią tęskni, bo nie ma do kogo się w ludzkim języku odezwać, a jedzenie w tej Anglii może i dobre, ale choćby i najlepsze, to do Józi pyszności się nie umywa. Tak że może dłużej w Krakowie zostanie.

– Naprawdę to wszystko mówiła? – wzruszyła się Józia, choć słyszała to zdanie przez ostatni rok po wielokroć.

– Naprawdę. – Emil kiwnął z powagą głową. – Wieczorem idę przywitać panie na dworcu. Jeśli nic się złego nie zdarzy, to dzisiaj kolacjęjemy razem. Nie zapomniała Józia pościelić?

– Jakże mogłabym zapomnieć – oburzyła się Józia. – Dla panienki Karli w jej pokoju, dla pani Dorothy w sypialni pani, a panu doktorowi też świeżo w sypialni posłałam.

– Józia jest niezawodna... – westchnął Emil. – Starczyło pieniędzy z kasetki na wszystko? I na wypłatę Józi? Bo to przecież dzisiaj ostatni dzień kwietnia...

– Starczyło, panie doktorze. Ino że niewiele zostało.

– Dołożę, obiecuję.

Kucharka uśmiechnęła się i zniknęła w korytarzyku prowadzącym do jej królestwa. Emil słyszał, jak nuci jakąś skoczną przyśpiewkę, i uśmiechnął się. Czuł radość oczekiwania.

Mąciła ją tylko jedna kwestia: Barbara. Jego była żona na dobre osiadła w Bilczycach, zajmując miejsce Anny. Antoni poczytał to za dopust boży („świeć, Panie, nad moją duszą”, mawiał raczej ponuro o siostrze żony), za to Elżbieta przyjęła Barbarę z prawdziwą radością. Emil czuł lekki niepokój, spokój od tej strony trwał stanowczo zbyt długo, co nie najlepiej wróżyło. Z drugiej strony Barbara, finansowo zabezpieczona przez byszewskie spłaty, w mniejszym stopniu była skłonna do demonstracyjnych wyczynów. Co do jej temperamentu, Emil nie wróżył jej raczej kariery generałowej Zajączkowej, która młodych kochanków przyjmowała, jakoby mając dobrze po siedemdziesiątce. Zresztą od czasu gdy formalnie zakończyło się ich

małżeństwo, nie obchodziło go to nic a nic. Zastanawiał się nad koniecznością zaaranżowania spotkania matki z córką, ale ostatecznie to Karla będzie decydowała.

Rozłożył znów na kolanach serwetkę.

Zerknął na zegarek. Zostało jeszcze sporo czasu. Nie zdążył nawet podnieść do ust widelca z cienkim płatkim wędzonej wołowej polędwicy, gdy usłyszał mocny stuk kołatki. Westchnął ciężko, rzucił na stół serwetkę i wstał. Z korytarzyka kuchennego wyjrzała Józia, ręce miała oblepione wyrabianym właśnie chlebowym ciastem. Popatrzyła na Emila błagalnie.

– Przecież otworzę – powiedział łagodnie Emil. – Listonosz pewnie.

Podszedł do drzwi, zwolnił zasuwę i otworzył je na oścież. Zrobiło mu się gorąco. W drzwiach stały Karla i Dorothy. Karla rozpromieniona, Dorothy spokojna, z nieznacznym uśmiechem. Za nimi słyhać było sapanie taszcącego walizki szofera. Emil cofnął się o dwa kroki i rozłożył szeroko ręce. Karla wbiegła do środka i rzuciła mu się w ramiona.

– Tatusiu – wyszeptała mu w ucho – tak strasznie tęskniłam...

– Ja też, córeczko – szepnął i mocno ją przytulił. Po chwili, która zdała się trwać nieskończoność, wypuścił ją z objęć.

– Witaj, Dorothy – powiedział.

Dorothy podeszła do Emila i pocałowała go w policzek.

– Dlaczego miałam ochotę powiedzieć: jak dobrze być wreszcie w domu?

Emil zerknął na objuczonego kuframi szofera i sięgnął do kieszeni po napiwek.

– Już opłacone, proszę szanownego pana – wytchnął z siebie szofer, pozbywając się z ulgą brzemienia kufrów; sądząc z ich liczby, musiał je przynieść co najmniej na dwie tury. Przyłożył palec do czapki i zniknął. Emil zamknął drzwi.

– Dzień dobry państwu – rozległo się nieśmiało.

Karla pisnęła z radości.

– Józia!

Podbiegła do kucharki i mocno ją wyściskała.

– Ależ Józia dobrze wygląda – powiedziała z podziwem.

– O paniencie tego nie powiem – rzekła wzruszona Józia. – Podjeść panienska u mnie musi, głodowała panienska, to widać. Co tu się dziwić, jak

w tej Anglii podobno... – ściszyła głos do trwoźnego szeptu – pieczone jagnięce mięso leją miętowym sosem...

Dorothy i Karla popatrzyły na siebie i wybuchnęły śmiechem.

– Chodźcie dalej – powiedział Emil. – Jak to się stało, żeście przyjechały tak wcześnie?

– Niespodzianka. – Karla aż tryskała radością. – Pogoda była dobra i statek przyszedł wcześniej. Nie nocowałyśmy w Kopenhadze, Dorothy przez agenta znalazła statek do Gdyni i prawie natychmiast wypłynęłyśmy. A w Gdyni udało się zamiast warszawskim ekspresem, pojechać nocnym pociągiem przez Poznań, i tak oto jesteśmy.

– Idźcie się odświeżyć po podróży. Obie łazienki przygotowane. Na opowieści będzie jeszcze czas. Jesteście wcześniej, Józia przygotowywała wszystko na wieczór...

– Biegnę do niej.

Zniknęła w korytarzyku prowadzącym w stronę kuchni, skąd po chwili dobiegło radosne trajkotanie.

Emil i Dorothy weszli do salonu. Kobieta podeszła do Emila, objęła go i pocałowała.

– Dziękuję – powiedziała.

– Za co?

– Za zaufanie. I za twoją córkę.

Emil pogładził ją po dłoni czule i delikatnie.

– Dobrze, że przyjechałaś – rzekł. – Jest dużo spraw, a ponadto... ja też nie lubię być samotny.

Dorothy uśmiechnęła się z wyrozumiałością.

– Nikt nie lubi.

Emil nie puszczał jej dłoni.

– Wiesz, że u Donimirskich kłopoty?

Dorothy spojrzała z zaniepokojeniem.

– Hieronim? – spytała z niezawodną intuicją.

– Mówi, że nie pożyje już długo – rzekł smutno Emil. – I obawiam się, że ma rację. W dodatku krewni kowieńscy zaczynają harcować, czują schedę, choć dotąd słusznie byli przez Klonów trzymani na odległość strzału z dubeltówki.

– Masz jeszcze więcej wiadomości, które są zbyt ciężkie na listowy papier lub telefon? – W głosie Dorothy było słycać wyrzut. Widać, że się przejęła wieściami.

Emil zignorował to.

– Owszem, mam kilka pytań – powiedział. – Ale to naprawdę może poczekać. Może nawet do Klonowa.

– Kiedy ruszamy?

– Janek za tydzień składa maturę. Przyjedziemy równo z nim. Tuż przed osiemnastymi urodzinami Karli. Czekają tam na ten dzień co najmniej tak jak na Janka i maturę.

– Masz jakieś wątpliwości, czy zda? – Wysunęła swoją dłoń z jego i przysiadła na fotelu.

– Żadnych. Szczęśliwie wybrał maturę przyrodniczą, nie ma zbyt wielkiego sentymentu do łaciny i greki, ku żalowi Winicjusza.

– Niech Winicjusz nie leje krokodylich łez. Sam marzył, by jego syn przejął zarząd nad majątkiem, a on się wycofał z interesów i osiadł z małżonką gdzieś w jakimś ciepłym, spokojnym miejscu, najlepiej nad morzem, wśród pinii i cyprysów, nie martwiąc się o nic.

– O to akurat będzie niełatwo... – mruknął Emil. – Wiesz przecież, że idą złe czasy...

– Wiem. Opowiadasz o tym, od kiedy pamiętam.

– I nikt mi nie wierzy.

– Ktoś wierzy. – Dorothy spochmurniała. – Na ślubie Baringów rzuciłam Karli coś, co wydało mi się bon motem dla przekłucia patetycznego balonu. Karla odpowiedziała mi tak, że poczułam się pokonana po jednym zdaniu. I zacytowała mi do tego *Eneidę*, ten passus o Kasandrze. Możesz być z niej dumny, ale wiedz o jednym.

– O czym mianowicie?

Dorothy zastanowiła się. Widać było, że starannie dobiera słowa.

– To nie jest już ta dziewczynka – powiedziała – którą wysłałaś na roczne wakacje do Anglii. To ktoś zupełnie, ale to zupełnie inny. Pożegnałeś dziecko, przywitałeś kobietę.

– O niczym innym nie marzyłem.

– Nie wiesz, o czym mówisz. – Dorothy się cicho zaśmiała. – Bądź pewien, że teraz będziesz dowiadywał się od Karli tylko tego, co według niej naprawdę powinieneś wiedzieć. A między tym a pełnią prawdy...

– To, o czym mówisz, nazywa się dorosłością.

– Ale mówisz o tym z żalem.

– I z satysfakcją.

Dorothy pokiwała tylko głową.

– Dość tego – powiedziała, wstając. – Jest piękne popołudnie. Idę się przebrać po podróży. Pomożesz mi z walizkami?

Emil bez słowa ruszył do przedpokoju. Podniósł wskazane przez Dorothy walizki i przeniósł je do pokoju.

– Będę spała u Barbary – zauważyła, patrząc Emilowi prosto w oczy. Doktor wytrzymał spojrzenie.

– To ty i tylko ty – powiedział – decydujesz, gdzie śpisz.

Dorothy uśmiechnęła się lekko.

– Zostawiam cię tutaj – dodał Emil. – Przebierz się spokojnie.

Odwrócił się i wyszedł, akurat w chwili, w której z łazienki, przebrana w miękkie, szerokie spodnie z beżowej flaneli, obszerną koszulę i cienki blezer, wyszła Karla. Wyglądała oszłamiająco.

– Mam piękną córkę – powiedział Emil. – Czy taka jest ostatnia moda w Oksfordzie?

Karla pokręciła przecząco głową.

– Nie – powiedziała wyrozumiale. – Tak się chodzi, kiedy potrzeba wygody i ciepła.

Na jej twarzy widać było zmęczenie, ale i prawdziwe szczęście.

– Józia szykuje takie pyszności, jakich świat nie widział, zresztą czujesz chyba.

Rzeczywiście, mimo doskonałej kuchennej wentylacji dobiegł do nich delikatny zapach. Emil pociągnął nosem.

– Coś pieczonego na maśle? – zapytał.

– Przystawka – odpowiedziała Karla. – Tak, żebyśmy, jak to Józia ujęła – coś zjedli na mały ząb. Malutkie kawałki łososia w cieście francuskim.

– W takim razie przyjdzie mi wyjąć butelkę chablis. Miałem was witać szampanem, ale przez waszą niespodziankę wszystko wzięło w łeb. Nie, nie wyrzekam. Cieszę się, że jesteśmy nareszcie razem.

– Mam ci tyle do opowiedzenia – westchnęła Karla. – Gdybym chciała opowiadać wszystko, straciłabym na to cały pobyt. Gdybyś ty opowiedział

wszystko, pewnie przyszedłoby mi zostać do Bożego Narodzenia.

– Co nie zmienia faktu, że bardzo jestem ciekaw twoich wrażeń. Również tych z Polski. Akcent ci się przez ten rok nie zmienił, nadal mówisz porządnie po polsku. Jak się czułaś, kiedy zeszałaś w Gdyni na ląd?

– Oszołomiona. Szłyśmy z Dorothy przez Dworzec Morski, wokół nas kłębili się ludzie, zewsząd słyhać było rozmowy, większość po polsku we wszelkich możliwych dialektach, sporo w jidysz, trochę po niemiecku. A te akcenty, a te zaśpiewy... I w pewnej chwili, nieoczekiwanie, poczułam się obca. Tak jakbym wracała do czasu tajemnic, czasu niedojrzałego dzieciństwa, gdy każda nowa rzecz jest odkryciem na miarę Kolumba, tak jakbym w platońskiej jaskini, o której tyle mi opowiadał profesor Penbridge, widziała cienie idei na ścianach, zdając sobie równocześnie sprawę, że ja te idee znam i stałam z nimi twarzą w twarz. To było takie olśnienie, krótka zaledwie chwila. Potem wszystko wróciło na dawne tory, znów byłam u siebie, znów czułam, że jestem u siebie...

– Właśnie doświadczyłaś tego – powiedział poważnie Emil – co czują repatrianci prócz radości. Obcość i obawę.

– Nie rozumiem...

– Rozumiesz. To nie jest to uczucie, które ja miałem, gdy nastala Polska. Wtedy to było jak pójście na spotkanie z wielkim „być może”, pamiętasz pewnie, miał to powiedziec Rabelais przed śmiercią. Był wszechogarniający chaos i wiele, wiele nadziei. A co mają powiedziec ci, którzy wiedzą, że czas im uciekł, że przez wiele lat nie żyli życiem swojego świata, mieszkając w innym?

Karla popatrzyła z zastanowieniem.

– Myślisz, że po studiach nie będzie dla mnie powrotu?

– Myślę, że moją rolą jest pokazać jedno. Świat jest tam, gdzie są ludzie. Ci, którzy zostawili cię we wdzięcznej pamięci, przyjmą cię tak samo, choćbyś wróciła do nich u kresu życia. Swojego bądź ich. Szukaj tego, co najważniejsze: przyjaźni, miłości, szczęścia. Możesz miec je w każdym zakątku świata...

Przerwał, widząc wychodzącą z pokoju Dorothy.

– Popatrz – rzekł tym razem po angielsku – zamiast się cieszyć, być szczęśliwym z waszego przyjazdu, zbiera mi się na filozofowanie. Idę otworzyć wino do tych smakowitości, które właśnie piecze Józia. Karla,

twoim zadaniem będzie namówienie jej, żeby usiadła z nami do stołu. Wiem, że to nie będzie łatwe, ale myślę, że się uda.

– Tatusiu, jeszcze jedna prośba.

– Słucham cię.

– Zjemy, wypijemy po kieliszku chablis, a potem, przed kolacją, wyjdę na godzinę do miasta. Góra na półtorej.

Emil podniósł brwi.

– Ale gdzie tu prośba?

– Pożyczysz mi dziesięć złotych? – spytała pokornie Karla.

Emil i Dorothy popatrzyli na siebie i roześmiali się serdecznie.

– Karla – powiedział ze śmiechem ojciec, sięgając do kieszeni marynarki – mój portfel jest twoim portfelem. Nie tyle więc pożyczę, ile dam. I nawet dwadzieścia.

– Dziesięć wystarczy. Aż nadto.

– Dostaniesz jeszcze jakieś pięć złotych drobnymi. – Emil wysypał zawartość przegródki pugilaresu na stół. – Pamiętasz jeszcze system dziesiętny?

Karla roześmiała się serdecznie.

– Wiesz, ile czasu mi zajęło uporanie się z funtem szterlingiem?

– Tydzień?

– Dziesięć minut – odparła z dumą Karla. – Z ułamków byłam nie najgorsza, a co w tym trudnego, jeśli dwadzieścia jeden szylingów czyni gwineę, dwadzieścia – funta, a dwanaście pensów – szylinga?

– To prawda. – Emil wstał. – Idę po wino. Pozbieraj to, proszę, ze stołu i już nie mów nigdy, że pożyczasz ode mnie pieniądze.

\*

Karla rzeczywiście bardzo chciała wyjść z domu. Miała po temu swoje powody, których jednak ani myślała zdradzać Emilowi i Dorothy, przynajmniej przed faktem. Dlatego po pogawędce, w której ku jej zadowoleniu wzięła również udział Józia, po wspólnych zachwytach nad kruchością i smakowitością francuskiego ciasta oraz doskonałością winegretu do sałaty, i po wypiciu kieliszka wina, szybko przeprosiła wszystkich i zapowiedziawszy się na siódmą wieczór, zabrała torebkę i wyszła z mieszkania. Zbiegła po schodach i szybko ruszyła w stronę poczty

na Garbarskiej. Wpadła do środka niemalże w ostatniej chwili. Sięgnęła po blankiet telegraficzny, a z torebki wyjęła pióro. Zaczęła pisać czytelnie, drukowanymi literami.

JESTEM KRAKÓW – STOP – MYŚLĘ BARDZO MATURA – STOP – KOCHAM, TĘSKNIĘ – STOP – KARLA

Szybko dopisała na blankiecie warszawski adres stacji Janka Donimirskiego i podała papier urzędnikowi. Starszy mężczyzna zsunął na nos okulary i podliczył słowa.

– Złoty czterdzieści pięć – powiedział.

Karla zapłaciła i podziękowała. Chwilę później szła już Plantami w stronę uniwersytetu. Soczysta zieleń kasztanowców i klombów z kwiatami cieszyła oczy, pogoda była piękna, wiał ciepły wiatr. Minęła Collegium Novum i Wiślną przeszła do rynku. U kwiaciarki kupiła bukiet polnych kwiatów i zerknęła na zegarek. Miała dość czasu na spokojny spacer. Ruszyła Grodzką w stronę Wawelu. Przez rok Kraków nie zmienił się zbyt wiele, ot, przybyło kilka nowych szyldów i parę odmalowanych kamienic. Lecz jedno było pewne: przez ten rok Kraków w oczach Karli zmalał, stał się małą miasteczkiem, porównywalną może z Oksfordem, ale już w żaden sposób z Londynem. W tej małości tkwił jednak urok, sentyment, czar, coś, co nieodmiennie przyciągało i kusilo. Miejsce, w którym się wychowała, i miejsce, do którego chciało się wracać.

Minęła Wawel i wzdłuż rybackiej przystani przeszła pod mury paulinów. Przez drzwi z ażurową kratą widać było furkę. Pociągnęła za drut z rączką, usłyszała dźwięk mosiężnego dzwonka. Po chwili zobaczyła brodatego, starszego zakonnika. Mógł mieć po siedemdziesiątce, ale trzymał się krzepko.

– A panna tu czego? – spytał. Mimo szorstkiej formy nie zabrzmiało to napastliwie. – Kościół zamknięty.

Karla nie zdziwiła się nawet.

– Przyszłam odwiedzić Grób – powiedziała.

– Jaki znowu Grób? To nie Wielki Piątek – zakpił.

– Grób Zasłużonych.

– Jakich tam zasłużonych – parsknął zakonnik. – Malarnia tam sama leży.

– I pisarze.

– Może i pisarze.

– I muzycy.

Zakonnik zsumitował się trochę.

– No tak, no tak. Wielka ceremonia była, jego ekscelencja arcybiskup się zgodził, chociaż Bóg mi świadkiem... – rozejrzał się czujnie i wyszeptał z trwogą: – ... zgrzeszył chyba. Bo kto wie, co ten artysta...

– Teraz już on przed sądem bożym, tak się mówi, prawda? – Karla przerwała mu niecierpliwie. – Więc nic nam do tego. Kanonik Długosz przy nim leży i jakoś nie krzyczy, że grzech, pewnie pokory ma więcej. Otworzy mi ojciec?

– Brat – poprawił ją. – No otworzę, co mam robić, tylko po brata Barnabę muszę pójść, bo ktoś na furcie zostać musi. Niech panna poczeka.

Zniknął znowu. Karla pokiwała głową ze zrozumieniem. Brat wrócił po jakichś pięciu minutach. Szczęknął klucz w zamku i dziewczyna weszła na dziedziniec przed sadzawkę.

– Pójdziemy. Pokażę wszystko panience. Panienska turystka?

– Nie. Tutejsza.

– A to po co ja brata Barnabę wzywam, jak panienska wszystko wie pewnie, co i jak? – rozsierdził się braciszek.

– Żeby zasługę jakąś miał pomocy bliźniemu – odrzekła złośliwie Karla. – Chyba że braciszkom wszystko jedno. Kościół zamknięty, klasztor zamknięty, co jeszcze macie zamknięte? Pomodlić się za duszę przyszłam, to źle? A te kwiatki – pokazała swój bukiecik – to też nie dla ozdoby.

– Dobrze, już dobrze. Niech panienska idzie, krypta otwarta. Jak będzie panienska wychodziła, niech na furtę zadzwoni, to wypuszczę.

– Bóg zapłać – odrzekła pobożnie Karla. – A puszka dla biednych się trochę wzbogaci. Stoi tam nadal, przy krypcie, czy trzeba na górę się wspinać?

– Stoi dalej. – Braciszek całkiem się już wypogodził. – Z Panem Bogiem.

– Z Panem Bogiem.

Braciszek odwrócił się i utykając, lekko ruszył ku furcie. Karla poszła w stronę krypty.

Brama i krata były otwarte. Nie trzeba było długo szukać, tymczasowy sarkofag, surowy i prosty, z wielkim napisem, kontrastował z bogactwem zdobień reszty grobów. Karla podeszła i położyła na grobie bukiecik

kwiatków. Wspomnienie przyszło z niezwykłą siłą, tak dojmująco, że Karla zacisnęła mocno powieki. Zobaczyła niewielki pokój w Atmie i te płonące gorączką ciemne, osadzone w przepięknie skrojonej twarzy oczy...

Pomyślała z żalem, że lepiej byłoby panu Karolowi w ukochanym Zakopanem. Przyszły nowe wspomnienia: pracownia Witkacego, brydż na pieniądze i te lekcje, które miały u Szymanowskiego. Uczennice Szymanowskiego, ładna historia!

Dotknęła dłonią zimnej płyty.

– Do widzenia, panie Karolu – wyszeptała.

– Oby nie za szybko – usłyszała za plecami.

Wzdrygnęła się i odwróciła gwałtownie. Przed kryptą stał braciszek.

– A brat tak długo podgląda? – spytała z oburzeniem.

– A, chwilkę – odrzekł niewinnie. – Zamykać muszę.

Karla ruszyła do wyjścia. Zatrzymała się na chwilę przy kracie, wyjęła z torebki pieniądze i wrzuciła monety do puszek. Przez chwilę spojrzenia starego zakonnika i Karli się skrzyżowały.

– Niech się brat za mnie pomodli – powiedziała.

Zakonnik uśmiechnął się pod nosem.

– Nie ma po co – mruknął. – Dobry przecież i tak do chwały pójdzie, a złego diabli nie biorą. Idź już, panna. Bramka przy furcie otwarta. Z Panem Bogiem.

Zamknął kryptę i na oczach rozbawionej Karli ruszył w stronę sadzawki.

– Z Panem Bogiem – rzekła z uśmiechem dziewczyna i poszła ku bramie.

W domu, jak zapowiadała, zjawiała się chwilę po siódmej. Gdy tylko otworzyła drzwi, w twarz buchnęła jej feeria zapachów zwiastujących znakomitą kolację. W przedpokoju stał roześmiany ojciec.

– W samą porę – powiedział. – Otwieramy szampana.

Weszła do jadalni. Wszystko było już przygotowane, stół zastawiony na trzy osoby, a Dorothy, zrelaksowana i uśmiechnięta, już na nich czekała. Emil wyjął z kubelka z lodem butelkę i ze zręcznością dowodzącą lat praktyki, otworzył ją i rozlał do kieliszków złoty, mieniący się w świetle płyn.

– Za co wypijemy pierwszy kieliszek?

Karla nie wahała się ani przez chwilę.

– Za pana Karola – powiedziała.

Ojciec kiwnął głową. Podnieśli kieliszki i w milczeniu upili po łyku.

Gdy usiedli, Karla opowiedziała im o wizycie na Skałce.

– Prawda, że pan Karol powinien być w Zakopanem – rzekł Emil. – Ciekawe, dlaczego rządy myślą, że należą do nich i żywi, i martwi. A co się stało z Jackiem Malczewskim? Chciał leżeć na Salwatorze, w habicie tercjarza, to go pogrzebali na Skałce. Tylko po to, żeby była ceremonia, żeby był szum. I niech nikt mi nie mówi, że to dla podtrzymania patriotyzmu w narodzie.

– Panu Karolowi też pośmiertny order od prezydenta się nie przydał – mruknęła Karla, pamiętająca dobrze, dlaczego właściwie odbywały z Kathy te sławetne zakopiańskie lekcje.

– Prawda, uhonorować po śmierci łatwiej, niż pomóc i docenić za życia – przytaknął ojciec. – Inna sprawa, że pamiętam, jaki był pan Karol... – urwał. – Zresztą dość o tym. Skoro już tak siedzimy przy szampanie, opowiedz o tym roku w Anglii.

Karla zastanowiła się.

– Gdybym nie była na Skałce – rzekła wreszcie – powiedziałabym, że było ciekawie i ekscytująco. Jednak tam przypomniałam sobie Zakopane, przypomniałam sobie pana Witkiewicza, przypomniałam sobie pana Makuszyńskiego. Myślałam o panu Karolu. Pomyślałam, że jeśli kiedyś będę miała dzieci i wnuki, będę mogła opowiedzieć o Zakopanem, o tych wszystkich historiach, które mi się tam przydarzyły, o tych ludziach, o których będą czytali w podręcznikach. I te dzieci mi nie uwierzą. A Oksford? Spotkam tam z pewnością ludzi, którzy będą politykami, bankierami, ekonomistami, kto wie, kogo jeszcze, ale nic nie zastąpi Zakopanego, nie zastąpi Jastarni, nie zastąpi Juraty...

– Zastąpi za to Kraków – zażartował Emil.

– O tym też myślałam. Mogę być w każdym miejscu na świecie, mogę być tam sobą, ale każdy musi mieć miejsce, do którego będzie chciał wrócić. Czy to Byszewo, czy Klonowo, czy Oksford, czy Kraków. Nie, tato. Nie zachłysnęłam się Anglią, bo nauczyłeś mnie, jak widzieć przez pozory.

– To trudniejsze, niż myślisz – odezwała się Dorothy – ale masz trochę racji. Chociaż ojciec uczył cię jeszcze jednej rzeczy.

– Jakiej mianowicie?

– Świat to nie miejsca – odrzekła Dorothy, obserwując w swoim kieliszku szaleńczą gonitwę złotych bąbelków. – Świat to ludzie. Pewnego dnia zdasz sobie sprawę, że nie tęsknisz już do miejsc, tęsknisz do wspomnień i zdarzeń, a przez to – do ludzi, których napotkałeś na swej drodze. Których kochasz, którym ufasz i którzy cię nie zawiedli. Lubiałeś zdania łacińskie, więc i ja ci coś zacytuję: *Ubi thesaurus tuus, ibi cor tuum*<sup>[9]</sup>. A twoim skarbem na pewno nie będzie złoto.

Karla patrzyła na Dorothy ze zrozumieniem. Myślała o tym, kogo zostawiła w Klonowie, kogo już niedługo zobaczy. Było jej dobrze wiedzieć, że tęsknota, którą czuje, zaczyna ustępować radosnej ekscytacji, że już za kilka, może kilkanaście dni, że wystarczy wsiąść w pociąg do Warszawy, a potem przesiąść się na inny, do Lublina, by znaleźć się w innym świecie. Świecie marzeń i przyszłości.

Emil podniósł kieliszki.

– Za marzenia – powiedział uroczyście.

– Za marzenia – odparły równocześnie Dorothy i Karla.

Po kolacji rozmawiali jeszcze długo. Nawet Józia dała się wciągnąć na chwilę do towarzystwa, wbita w dumę pochwałami, jakich nie szczędzili jej biesiadnicy. Pierwsza nie wytrzymała Karla.

– Przepraszam was – powiedziała – jestem już bardzo zmęczona. Włączę chyba cicho radio i pójdę spać.

– My jeszcze posiedzimy chwilkę w salonie – powiedziała Dorothy. – Śpij dobrze, kochana.

– Dobranoc, córeczko.

– Dobranoc, tatusiu.

Gdy Karla udała się do swego pokoju, Emil sięgnął do szafeczki i wyjął dwie karafki. Dorothy nalał whisky, a sobie kieliszek koniaku. Dorothy wyjęła papierośnicę.

– Nie palisz? – spytała.

– Taki wieczór zasługuje na dobre cygaro.

Po chwili siedzieli w wonnym, błękitnawym dymie. Dorothy przyglądała mu się uważnie.

– Jesteś szczęśliwy? – spytała.

Emil uśmiechnął się nieznacznie.

– Tu i teraz – tak. Dzisiaj nie myślę o przyszłości.

– William chce przenieść interesy do Stanów – rzekła nagle Dorothy. – Czy sądzisz, że...

– Sam mu to doradziłem – odparł Emil. – Mówił mi, że czeka tylko na rozstrzygnięcie problemu Kathy.

– Problemu Kathy? – zdziwiła się Dorothy.

– Kathy, jak dobrze o tym wiesz, romansuje z młodym lordem Cressleyem, a William nie jest do końca pewien, czym to się skończy. Rodzina nie robi kłopotów, ale sam Peter Cressley z niejasnych dla mnie przyczyn się waha.

– Gdyby William spędzał ze swoją córką w ostatnich miesiącach tyle czasu, ile ze swoją żoną, nie byłoby tego problemu. – Dorothy zaciągnęła się papierosem i z niesmakiem zdusiła go w popielniczce. – Ciekawe, że dopiero od ciebie się nauczyłam, że dzieci zawdzięczają rodzicom bardzo wiele spośród kłopotów, w które się pakują.

– Nie przesadzaj.

– Nie przesadzam. Mam na to mnóstwo przykładów. A wracając do zmian u Baringów, nie myślałeś o tym samym?

– O tym, żeby przenieść się do Stanów? Nigdy.

– A o tym, żeby przeprowadzić tam Karłę?

Emil uśmiechnął się tylko.

– Myślałeś o tym, jak widzę. I nic mi nie powiedziałeś.

– Ja planuję na wiele ruchów do przodu – mruknął Emil. – Ten ruch na razie się nie sprawdzi.

– Dlaczego?

– Dlatego, że o ile Winicjusz zgodziłby się ewentualnie na studia Janka w Londynie, o tyle nigdy się nie zgodzi na jego wyjazd do Ameryki. A ostatnie, na czym mi zależy, to robienie sobie wroga z brata.

– Przyszywanego brata – poprawiła Dorothy.

– Brata – odrzekł stanowczo Emil. – To moja jedyna prawdziwa rodzina.

– Mniejsza o to. Nie uważasz, że planujesz na zbyt długi dystans? Skąd wiesz, co będzie z Karłą i Jankiem? Skąd wiesz, czy to młodzieńcze zauroczenie przerodzi się w coś więcej?

– Nie wiem, ale powiedz: co miałyby to zmienić?

– Dla Karli nic. A dla ciebie?

– O mnie porozmawiamy kiedy indziej. Zauważyłaś, jakiego tematu nie było dzisiaj przy stole?

Dorothy spojrzała z namysłem.

– Barbara?

– Nie wiem, co mam z tym zrobić. Problemy nigdy nie rozwiązują się same, a jeśli je zostawić, komplikują się tylko.

– Niech je rozwiązują Karla i Barbara. Tego nie rób za nie. Robi się późno. Jeśli pozwolisz, pójdę do siebie. Dobrej nocy.

– Dobrej nocy.

Dorothy wyszła z salonu.

Emil siedział jeszcze dłuższą chwilę nad swoim koniakiem. Nie dopalił jednak cygara, zostawiając je na wpół wypalone w popielniczce. W końcu wstał. W mieszkaniu panowała cisza. Zobaczył, że drzwi w pokoju Karli są uchylone, światło się świeci i gra radio. Zajrzał ostrożnie. Karla spała mocno. Emil ruchem, który powtarzał przez całe jej dzieciństwo, poprawił zsuwającą się na podłogę kołdrę i wyłączył radio. Karla ani drgnęła. Oddychała spokojnie i głęboko, na jej twarzy widać było szczęśliwy uśmiech. Emil wyszedł cichutko, zgasił światło i zamknął drzwi. Poszedł do łazienki, po kwadransie był już w swojej sypialni. Z przyzwyczajenia sięgnął po książkę, ale nie mógł się skupić na czytaniu. Zniecierpliwiony odłożył ją i sięgnął do wyłącznika nocnej lampki, gdy nagle poczuł na sobie czyjś wzrok. W drzwiach, oparta o framugę, stała Dorothy, w luźno przewiązanym jedwabnym szlafroku.

– Sam mówiłeś – powiedziała z lekkim uśmiechem – że to ja decyduję o tym, gdzie śpię.

– Dawno mi o tym nie przypominałaś.

– Najwyższy czas. – Dorothy weszła do pokoju, zamykając starannie drzwi. Przysiadła na wolnej połowie łóżka. – Stęskniłam się za tobą.

Emil nacisnął wyłącznik. W sypialni zaległ półmrok, z okien, ze szpary w niedokładnie zasuniętych kotarach sączyło się blade, księżycowe światło.

– Chodź, przytul się – szepnęła, odsuwając kołdrę. – Ja też tęskniłem.

\*

Wyjeżdżali do Klonowa tydzień później. Karla po raz kolejny czuła powtarzalność ich przygotowań do podróży, te same pociągi, chyba nawet ci sami konduktorzy. Poczucie *déjà vu* nie chciało jej opuścić bardzo długo,

pogłębiło się jeszcze, gdy na dworcu w Lublinie przywitał ich Ignacy, szofer Donimirskich. Zniknęło jednak w Klonowie.

Hieronim z żelazną konsekwencją powitał ich tak jak ostatnio z całą rodziną przed pałacem. Choć na inwalidzkim wózku, to jeszcze próbował się unieść na przywitanie Emila. Karli na ten widok oczy nabiegły łzami.

– Nie rób tego – powiedział cicho Emil, nachylając się nad nim. – Nie witaj mnie tak.

– Nie wiesz, czy nie robię tego po raz ostatni – wytknął mu starzec. – W moim wieku i w moim stanie mogę wszystko, a nic już nie muszę. Przynajmniej w sferze obyczajów.

Emil uśmiechnął się. Klasa Hieronima była ponad wszelką dyskusję i krytykę. Gdy Karla podeszła się przywitać, Hieronim nie pozwolił pocałować się w rękę, tylko przygarnął ją mocno.

– Dobrze cię widzieć, córeczko – rzekł. – Jestem ci wdzięczny za listy i fotografie.

– Dobrze pana widzieć – szepnęła Karla. Oddała uścisk i wyprostowała się. Wyściskała się serdecznie z panią Krystyną.

– Chodźmy do środka. Rozgośćcie się.

Pierwsze ważne zmiany dały się zauważyć już przy kolacji. W Klonowie, jak się okazało, rezydowali dalsi krewni Donimirskich, znoszeni przez względy rodzinne, lecz nie najlepiej pasujący do ducha i atmosfery miejsca. Hałaśliwość, niedbałość i grube żarty mitygowane przez Winicjusza, a kwitowane przez Hieronima tylko pogardliwym skrzywieniem ust, raziły Karłę tak bardzo, że z ulgą przyjęła koniec wieczoru.

– Któż to jest? – spytała ojca, gdy szli do swoich pokojów. – I jakim cudem Winicjusz ich cierpi?

Emil zawahał się.

– Winicjusz – powiedział wreszcie – a wraz z nim jego rodzina wierzą w świętość związków krwi. Nieraz widziałem, jak wspierali jakiegoś krewnego, który był tak daleki, że z trudem dało się wywieść to pokrewieństwo. I to, że im się nie podobają, nie jest dla Winicjusza wystarczającym argumentem, by ich odrzucić.

– Tobie też się nie podobają – zauważyła Karla.

– Są inni – zgodził się Emil. – I wierz mi albo nie, to ludzie przyszłości. Karla popatrzyła na ojca zdumiona.

– Ludzie przyszłości? Ta kreatura? Ten Bolesław? Który się ośmiela ruszać wózkami pana Hieronima po to tylko, żeby się dało słyszeć skrzypienie, a potem snuje te pożałowania godne koncepty? Ta jego żona, Marta, co każdą uwagę męża kwituje głupawym śmiechem? Ten młody Włodzio, który zachowuje się, jakby był Edwardem de Villefort z *Hrabiego Monte Christo*, gdyby rzecz jasna szczęśliwie go nie otruto w dzieciństwie, który na mój widok ślini się i uśmiecha oblesnie, cmokając raz po raz? A może ten Kondzio, brat Bolesława, który kręcił przez pół kolacji kulki z chleba i otaczał nimi talerz, żeby je wreszcie zgarnąć wszystkie i zjeść?...

– ... powiedziałem, co chciałem powiedzieć – przerwał jej ojciec. – Na pocieszenie dodam tyle, że nie zachowanie przy stole świadczy o ludziach.

– Kiedyś mówiłeś coś innego. – Karla aż zatrzymała się na schodach w pół kroku.

– Mówiłem, że dobre wychowanie jest czymś, co pozwala nam żyć we względnym ładzie i pokazać innym, kim mniej więcej się jest. Nie powiedziałem ponad to nic więcej. Nie widzę tu sprzeczności. Poza tym każdy zachowuje się na rachunek swój, nie cudzy.

– Ale przecież zachowują się niemożliwie! – wybuchnęła Karla. – Jak można obrażać swojego gospodarza, do tego starego człowieka...

– Dlatego mówiłem o ludziach przyszłości – mruknął Emil. – Stach Witkiewicz wieszczy, że przyjdą hordy barbarzyńców, i nawet jeśli nie opanują tego świata, to na długo albo na zawsze zmienią jego zasady. Dajmy już spokój. I tak wyjeżdżają za trzy dni, przecierpisz to jakoś. Za to pojutrze przyjeżdża Janek.

– To jedyne, co mnie pociesza – mruknęła Karla. Widać było, że ta kolacja kosztowała ją naprawdę wiele.

– Może znajdzie się coś jeszcze, co cię pocieszy. Jutro rano wybieramy się na konną przejażdżkę z Winicjuszem i Dorothy, dołączysz do nas?

– Czy ja kiedyś odmówiłam? – roześmiała się Karla. – Oczywiście, że pojedę z wami.

– I jeszcze jedno. Jutro nie masz żadnych zobowiązań. Robisz, co chcesz, gdzie chcesz i jak chcesz. Oczywiście w granicach zdrowego rozsądku. Jeśli poranna przejażdżka ci posmakuje, możesz przejeździć po południu wszystkie konie Donimirskich albo zostać z książką w pokoju, możesz dotrzymać towarzystwa Hieronimowi albo sięść do fortepianu.

– Tego ostatniego akurat wolałabym uniknąć – mruknęła niechętnie Karla. – Póki w Klonowie są... goście.

– Jak chcesz – skwitował Emil. – Tymczasem dobrej nocy. Przejazdzka o siódmej, potem śniadanie.

– Będę – rzekła lakonicznie Karla. – Dobranoc.

Następny dzień dłużył się Karli w nieskończoność. Nie pomogła konna przejażdżka, nie pomogło znalezienie zacisznego miejsca w parku, gdzie z dwiema czy trzema książkami Karla oczekiwała obiadu. Nie pomogła też samotna przejażdżka na łąkę, na której po raz pierwszy całowali się z Jankiem. W ciepłe popołudnia, rozłożywszy derkę na miękkiej trawie, leżąc, wpatrywała się w niebo. Jej myśli krążyły wokół chłopca, wyobrażała sobie na przeróżne sposoby, jak będzie wyglądało ich spotkanie, jak przebiegnie pierwszy dzień po jego przyjeździe z maturą w dłoni. Nie dopuszczała do siebie myśli, że mógłby nie zdać egzaminów, wrócić z Warszawy na tarczy, nie starczało jej wyobraźni, by wymyślić, co wówczas mogłoby się stać. Próbowała zastanawiać się, jak teraz wygląda, czy się zmienił przez ten rok, miała tylko jedno jego zdjęcie – wykonany przez warszawskiego fotografa portrecik, na którym Janek w sportowej marynarce i pod krawatem wpatruje się z powagą w obiektyw tak, jakby wpatrywał się w jej oczy. I było tak w rzeczywistości, albowiem Janek dla podkreślenia tego faktu wykupił od fotografa kliszę i zniszczył ją, zostawiając tylko tę jedną odbitkę. Karłę wzruszył ten romantyczny gest, choć w cichości ducha przyznawała przed samą sobą, że romantyzm walczy w nim o lepsze z dziecinadą. Chyba jednak nie miała racji, gdyż wiele razy patrząc na oprawione w ładną, czeczotową ramkę zdjęcie, myślała, że właśnie dzięki niemu w jakiś cudowny sposób łączą się ze sobą spojrzeniem, niepodzielonym na wiele odbitek i niezawłaszczonym przez obcy wzrok.

Do rzeczywistości przywołało ją ciche rzenie konia. Bizant, którego zwykle dosiadał Janek, dopominał się chyba o powrót.

– Już jedziemy – powiedziała do niego ciepło Karla. Zwinęła derkę, przytoczyła ją do siodła, podciągnęła popręg i opuściła strzemiona. Bizant rzeczywiście chyba się znudził, bo nie trzeba było go popędzać, ruszył dziarsko stępa. Chwilę później Karla zagalopowała, powściągając na razie zapędy konia, który najchętniej puściłby się cwałem do stajni.

Po chwili wyjechała na przesiekę prowadzącą wprost na otwarty teren łąk sąsiadujących z pałacowym parkiem. Bizant już czuł, co się za chwilę

wydarzy. Parskał z ochotą, czekając na wyjazd z lasu i te trzysta, czterysta metrów cudownej miękkości i gładkości łąki, wspaniałej na cwał. Wyjechali na skraj lasu i w tej samej chwili Karla zobaczyła, że od ciemnej ściany parkowych drzew odcina się sylwetka jeźdźca. On również ją spostrzegł i puścił konia w galop. Z tej odległości nie dało się rozpoznać jeźdźca, ale sylwetka była znajoma; dziewczynie mocniej zabiło serce. Gwałtownie dołożyła Bizantowi łydek, koń skoczył w cwał. Pochylona nad końskim grzbietem swobodnie poddawała się rytmowi, delikatnym balansem kierując konia w stronę parku. I w pewnej chwili już wiedziała.

To był Janek.

Roześmiała się, szczęśliwa. Delikatnie balansując ciałem, skierowała Bizanta w lewo tak, aby się spotkali w pół łąki. Janek zrozumiał, pokierował Strzałką w prawo. Dojechali na kilka metrów i galopowali przez chwilę obok siebie. Wreszcie Karla ściągnęła wodze i zablokowała konia łydkami. Bizant przeszedł z galopu w kłus. Przez moment szli z Jankiem ramię w ramię, dając koniom odetchnąć, wreszcie Karla zwolniła do stępa i po chwili wstrzymała konia. Janek zrobił to samo. Zeskoczyli z koni i trzymając wodze, zapadli się w mocnym uścisku. Usta znalazły się same. Całowali się mocno, zachłannie, żarliwie. W pocałunku było wszystko: cała ich miłość, tęsknota wzmożona przez miesiące rozłąki, smutki i radości, trudne i lepsze chwile. Z trudem oderwali się od siebie.

– Dobrze, że jesteś – szepnął jej do ucha Janek. Wziął jej dłoń i pocałował w nagą skórę nad jeździecką rękawiczką. Karla aż zadrżała. Opanowała się z trudem.

– Dobrze, że jesteś – powtórzyła jak echo.

– Wsiadaj. Przespacerujemy konie.

Wsiedli oboje i wolno szli stępa przez łąkę. Janek wyciągnął do Karli dłoń, którą dziewczyna chwyciła lekko w swoją.

– Zrobiłeś mi najpiękniejszą niespodziankę – powiedziała. – Miałeś być najwcześniej jutro.

Nagle błysnęła jej przerażająca myśl.

– Chyba, że... coś się stało?

– ... że nie zdałem matury? – zaśmiał się Janek. – Nie, nie. Jeden z egzaminów ustnych mogłem zdać dzień wcześniej i skorzystałem z tego skwapliwie. Teraz oboje jesteśmy absolwentami. – Spojrzał na Karłę z ukosa. – Choć tylko ja jestem pełnoletni.

Dziewczyna zaśmiała się.

– Już niedługo – przypomniała.

– Prawda. Powiedz mi lepiej, co tutaj robisz sama.

– Uciekłam. Tata dzisiaj ma jakieś poważne sprawy, wprawdzie rano przejeździliśmy konie z nim, Dorothy i twoim ojcem, ale wiedziałam, że tylko na tyle mogę liczyć. Za to w Klonowie rozpanoszyli się wasi kuzyni...

Z satysfakcją zobaczyła chmurę na twarzy Janka.

– Nic na to nie poradzę, przykro mi – powiedział. – Mam nadzieję, że nie spotkał cię z ich strony żaden despekt?

– Nie dałam okazji. Raczej starałam się nie rzucać w oczy.

– To niemożliwe. – Janek pokręcił głową. – Wyglądasz prześlicznie.

Dopiero teraz Karla przyjrzała się chłopcu uważnie. Mogłaby powtórzyć to, co powiedział przed chwilą Janek, tylko po co? Wyprzystojniał i zmężniał przez ten rok, zniknęła dawna chłopięć, jaką odnajdywała w jego rysach, wpatrując się w fotografię. Chłopiec stał się mężczyzną, a Karla widziała to i nie próbowała udawać przed sobą, że jest inaczej.

– Dość, że nic niedobrego mnie od nich nie spotkało – rzekła. – Są trudni w obejściu...

– Raczej prostaccy – odparł niechętnie Janek. – Ojciec ich jakoś cierpi, ja nie.

– Nie przyjaźniłeś się z Włodziem w dzieciństwie?

– Żartujesz chyba! – Popatrzył na nią z prawdziwym oburzeniem. – Nigdy go nie lubiłem, a przynajmniej raz go stłukłem.

– Za co?

– Nie chcesz tego wiedzieć – rzekł.

– Powiedz. Proszę...

– Głupiec strzelał z flowera do końskich zadów, kiedy dorośli wyjeźdzali na polowanie. Przez niego co najmniej dwóch naszych gości potłukło się, kiedy z niewiadomych dla nich przyczyn ich konie nagle oszalały i zaczęły stawać dęba.

– I co zrobiłeś?

– Miałem wtedy czternaście lat, on był o rok młodszy. Odebrałem mu flower, złamałem. Próbował się stawiać, więc walnąłem go, a kiedy już leżał na ziemi, wysmagałem go palcatem. Długo jadł na stojąco. W innych

warunkach ja pewnie też bym tak jadł, ale złamałem się i powiedziałem ojcu, co się stało, więc dostałem tylko reprimendę zamiast reprimendy i lania.

Zerknął na Karłę z niepokojem, lecz w pojęciu dziewczyny każda krzywda wyrządzona koniom wpadała w kategorię niewyobrażalnej wręcz niegodziwości.

– Dobrze zrobiłeś – orzekła. – Co było potem?

– Nic – uśmiechnął się Janek z satysfakcją. – Włódzio bardzo mnie unikał. Chyba nauka wryła mu się w głowę. Lub raczej w zadek.

Karla roześmiała się serdecznie.

– Pozostaje mi tylko zastanowić się, gdzie się schować do pojutra.

– Wymyślimy coś. Nigdy nie byłeś w moim pokoju, prawda? Zapraszam cię. Siądziemy tam, będziesz mogła mi wszystko opowiedzieć. Tymczasem chyba wracamy. Bizant patrzy na mnie jak na zdrajcę, bo to mój koń, a Strzałce nie chciało się ruszać. Dobrzeście je rano przejeździli.

Karla słuchała tego wszystkiego i coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że ten rok wiele zmienił.

– Jedźmy do stajni – powiedziała. – Oporządziśmy konie i schowamy się u ciebie. Mam nadzieję, że tata i pan Winicjusz nie będą mieli nic przeciw.

– Ja też – rzekł Janek, ale w jego głosie nie było pewności. – Dzisiaj konie oporządzi nam masztalerz, idziemy od razu.

Niewiele później szli już w stronę pałacyku. Włódzia nie było w zasięgu wzroku. Weszli przez ogrodowe drzwi, przeszli małymi, bocznymi schodami dla służby na piętro. Janek wyjrzał zza węgła – w korytarzu nie było nikogo. Podszedł do drzwi i otworzył je.

– Zapraszam – powiedział. – Tu jest moje królestwo.

Karla weszła do wielkiego pomieszczenia i zaczęła się mu przyglądać dokładnie. Na ścianie kilimy, jeden czy dwa portrety, sporo zdjęć, niezbyt szerokie łóżko, nad którym wisiała stara batorówka, pewnie z familijnej kolekcji; biurko z lampą z zielonym kloszem, fotel i krzesło – wszystko to pokryte leżącymi w nieładzie drobiazgami nadającymi miejscu jakiś rys nonszalancji, którego u Janka nie podejrzewała. Trochę książek, wielki bukiet polnych kwiatów zasuszonych w stojącym na podłodze wazonie. Na szerokich, dębowych deskach podłogi leżał wschodni kobierzec.

– Pięknie tu – powiedziała Karla, przysiadając na fotelu – zupełnie jakbyś się nie uczył w Warszawie.

– Przyjeżdżałem tu na większość niedziel – usprawiedliwił się Janek. – Wymogłem na mamie, żeby nie wpuszczała tu służby do sprzątanina. Zgodziła się, choć z trudem. Stąd ten bałagan, sam nie mam dość siły ducha, żeby uporządkować to wszystko.

– Tu jest naprawdę pięknie – powtórzyła z westchnieniem Karla. – Mój pokój w Krakowie jest surowszy, choć równie nieuporządkowany jak twój.

Wstała i podeszła do biurka.

– Przecież to mój szal! – wykrzyknęła z zaskoczeniem.

Janek aż się zaśmiał, jakby tylko na to czekał. Rzeczywiście, cieniutki, jedwabny szal, który podarowała Jankowi w Warszawie, leżał na biurku, dzieląc strony sporej, oprawionej w safian książki.

– Piękna – powiedziała z zachwytem, wskazując śliczną safianową oprawę. – Mogę zobaczyć?

– Oczywiście. – Uśmiechnął się.

Karla zdjęła z książki szal i zaniemówiła. Zrozumiała, że ta opaska księga była albumem, w który Janek pieczołowicie wkleił chyba wszystkie jej listy i fotografie wysyłane mu z Anglii. Delikatnie przewróciła jedną, drugą, trzecią kartę – wszędzie widniało jej pismo, jej opowieści, jej miłosne zaklęcia... Ze wzruszeniem popatrzyła na chłopca.

– Naprawdę... naprawdę to zrobiłeś?

– To chyba lepsze niż trzymanie listów w paczkach – powiedział, jakby się usprawiedliwiał. – Dzięki temu mogłem zawsze czytać, co napisałaś. Czuję się wtedy trochę tak, jakbym z tobą rozmawiał.

– Twoje są w sekretarzyku, w moim pokoju, w Domu pod Dwoma Wiedźmami, kartki są przewiązane i mogę je czytać jak książkę...

– Pisałem mniej niż ty, ale starałem się, jak mogłem. Wokół mnie nie było tylu ciekawych ludzi i zdarzeń.

– Wszystko było ciekawe. – Karla podeszła do Janka. – Choć wolałabym, żebyś był tam ze mną.

Pocałowali się delikatnie. Stali objęci, przytuleni do siebie, gdy nagle usłyszeli na korytarzu kroki. Oskoczyli od siebie akurat w chwili, gdy rozległo się pukanie. Karla obiegła biurko i usiadła na krześle.

– Proszę – powiedział mocnym głosem Janek.

Karla akurat zdążyła obejść biurko i usiąść przy nim, gdy do pokoju wkroczył Winicjusz.

– Odnalazłeś zgubę, jak widzę – powiedział do Janka. – I choć zazwyczaj nie pochwalam przyjmowania panien w kawalerskich pokojach, to tym razem ci daruję przez wzgląd na Karłę. Zejdźcie na dół.

– Chowaliśmy się przed Włodziem – przyznała się Karla, wstając.

Winicjusz skrzywił się nieznacznie.

– Rozumiem – powiedział. – Bardzo dobrze rozumiem, ale tymczasem zejźcie.

– W stroju do konnej jazdy? – spytała Karla niewinnie.

– Zostanie wam wybaczone. Zapraszam.

Janek westchnął cicho.

– Pozwolisz? – Podał dłoń dziewczynie.

– Oczywiście.

Zeszli wszyscy do salonu. Tam, ku nieskończonej uldze Karli, siedzieli we troje: Emil, pani Krystyna i Dorothy.

– Aniela i Hieronim odpoczywają – powiedziała Krystyna, widząc pytające spojrzenie Karli. – A kuzynostwo buszuje gdzieś w parku, nie wiem po co.

Karla odetchnęła z wyraźną ulgą, ale nie podtrzymała tego tematu. Wiedziała, że kuzynostwo jest zmartwieniem Winicjusza i jego żony, ale oboje mają związane ręce i przynajmniej do pojutra nic nie mogą temu zaradzić. Tymczasem pani Krystyna mówiła dalej.

– Za trzy dni twoje osiemnaste urodziny. Pamiętasz bal, jaki wyprawiliśmy rok temu? Ten nie będzie tak wystawny, ale zapewniam cię, równie piękny.

– Byłoby równie pięknie – powiedziała szczerze – gdybyśmy mogli usiąść wspólnie przy stole, w najmniejszym możliwym towarzystwie.

– Tak też zrobimy w twoje urodziny – zapewniła. – Wypadają we środę, bal wydajemy w sobotę. Dobrze się składa, ktoś głupi i zły mógłby nas posądzić o ostentację i fetowanie rocznicy śmierci Marszałka...

– Czy istnieją aż tak głupi ludzie? – prychnęła Karla.

Emil uśmiechnął się pod wąsem.

– Zapewniam cię, że tak – rzekł po angielsku. – Ale przestańmy męczyć Dorothy naszym mówieniem po polsku.

– Przecież wszystko rozumiem – odpowiedziała po polsku z mocnym akcentem Dorothy.

– Nie szkodzi – rzekł Emil.

Karla spojrzała na niego zdziwiona i nagle się roześmiała rozbawiona. Emil wcześniej niż ona zauważył, że zbliża się kuzynostwo.

– Czy myślisz, że to skłoni ich do lepszego zachowania? – spytała, gdy słysząc angielszczyznę, wycofali się za drzwi i poszli w stronę ogrodu.

– Ja też teraz się zachowałem nie najładniej – rzekł Emil, wstając. – Właściwie na granicy niegrzeczności. Dlatego pójdę do nich.

– Poświęcił się za nas – uśmiechnęła się Dorothy.

– „Nazywam się Milijon” – wyrecytowała po polsku Karla.

Winicjusz z Krystyną roześmiali się.

– Może będzie to pseudonim Emiliana? – zastanowił się Winicjusz. – Emilian Milijon Linde...

– Chyba pójdę się przebrać – powiedziała nagle Karla. – Mimo wszystko to nie jest miejsce ani czas na paradowanie w bryczesach.

Winicjusz chciał odpowiedzieć, ale zrobiła to za niego żona.

– Idź się przebrać, kochanie – powiedziała do Karli. Przeniosła wzrok na Janka. – Tobie też to się przyda. Wróćcie do nas prędko.

Karla wstała i dopiero teraz zauważyła, że trzyma w ręku palcat, zabrany z pokoju Janka. Szybko wsunęła go w cholewę oficerek i ruszyła do wyjścia. Pozbyła się go dopiero w hallu, wkładając do stojaka na parasole.

– Mogłaś go zabrać ze sobą na górę – zażartował Janek. – Zresztą i tak nie jest ci do niczego potrzebny. Przed psami się nie potrzebujesz oganiać, a konie słuchają cię tak samo jak mnie albo i lepiej, nie potrzebujesz pomocy.

– Zapomniałam o tym zupełnie – mruknęła zawstydzona Karla i poszła do siebie.

Już po kilkunastu minutach w lekkiej sukience schodziła na dół, skąd słyhać było gwar podniesionych głosów. Dziewczyna westchnęła ciężko, zanosilo się na trudne obowiązki towarzyskie.

Schodziła właśnie po stopniach schodów, gdy nagle zmaterializował się przed nią Włodzio. Wysoki, chudy, ciemnowłosy siedemnastolatek, lekko pochylony, mrużył oczy, jakby raziło go światło. Na twarzy miał sardoniczny uśmiech przywodzący obrazy złośliwych, zadowolonych z siebie diabląt – porównując go do Dumasowskiego Edzia, Karla wyświadczyła mu chyba komplement. Dziewczyna zerknęła na niego zaskoczona, ale nigdy, przenigdy nie spodziewała się tego, co nastąpi.

– Ależ masz ładną dupkę – wycedził przez zęby i sięgnął dłonią między jej nogi.

Karla szarpnęła się gwałtownie, w odruchu próbowała uderzyć go w twarz, ale on chwycił jej dłoń drugą ręką, nadal boleśnie macając jej łono.

– Ostra panienska... – syknął i przyciągnął ją do siebie, próbując unieść i pociągnąć za sobą na górę, w stronę pokojów. Karla próbowała z całych sił go odepchnąć, nabrała powietrza do krzyku. Nie zdążyła jednak wydobyć z siebie głosu. Janek, który szedł przebrany w stronę salonu, dostrzegł scenę i w ułamku sekundy zmienił się w furie. Dopadł Włodzia, oderwał go od zmartwiałej ze strachu Karli, walnął potężnie z otwartej dłoni w oba policzki, po czym złapał za ramiona i poprawił z kolana w brzuch. Na koniec szarpnął chłopakiem, który potoczył się schodami w dół. Janek niemal sfrunął za nim. W oko wpadł mu pozostawiony przez Karłę w stojaku na parasole palcat. Zamachnął się nim i sieknął potężnie przez twarz Włodzia. Chłopak złapał się za policzek i przysiadł na ziemi, wyjąc straszliwie z bólu.

Wszystko to razem nie trwało dłużej niż kilkanaście sekund, ale dość długo, by z salonu do hallu zaczęli wybiegać kuzyni i domownicy. Karla stała nadal, przerażona, na schodach. Po jej twarzy zaczęły spływać łzy. Janek był dwa stopnie niżej, patrząc z satysfakcją na palcat, który wciąż trzymał w dłoni. Winicjusz błyskawicznie ocenił sytuację. Złapał za kark kuzyna Bolesława, który już się szykował do ataku.

– Stój – warknął tak, że kuzynowi opadły ręce. Przeniósł spojrzenie na Karłę. Chyba zrozumiał, co się mogło wydarzyć.

– Janek, Włodziu, natychmiast do mojego gabinetu – wysyczał Winicjusz. – Bolek też. Emilu – odwrócił się do wejścia – zabierz, proszę, Karłę ze sobą.

Karla dała się sprowadzić po ostatnich dwóch stopniach. Szła sztywno jak kukielka, nadal wstrząśnięta. Janek włożył palcat z powrotem w stojak, ostentacyjnie poprawił krawat i ruszył do gabinetu ojca. Po chwili drzwi zatrzęsnęły się z hukiem.

– Karla, co się stało? – Emil przytulił ją mocno.

Dziewczyna zaczęła płakać. Emil cierpliwie czekał, wiedział, że to ulga po przeżyciu, o którym będzie chciała zapomnieć. Po chwili dała się ojcu wyprowadzić z domu i gdy byli już w ogrodzie, zaczęła opowiadać. Emil pokręcił głową, nie wierząc w to, co usłyszał.

– Rozumiesz, tatusiu – wyszłochała na koniec Karla – gdyby to się stało na ulicy, krzyczałabym, obroniłabym się, ale tutaj... ja po prostu się tego nie spodziewałam, nie rozumiałam, że on może mieć czelność...

Emil nie wiedział, co powiedzieć. Rosła w nim wściekłość, lecz nadal łagodnie gładził włosy Karli i pozwolił jej mówić.

– Złapał mnie tak, jakby... jakby próbował mnie zgwałcić, rozumiesz? Tutaj, w tym domu... Dobrze, że Janek to zobaczył...

W tym momencie Emil dostrzegł idącego w ich stronę Winicjusza. Jego twarz była zacięta, jak wykuta z kamienia.

– Nasi krewni – wycedził – z tą chwilą przestali być naszymi gośćmi. Wyjeżdżają jeszcze dzisiaj. Wszyscy. Z tym gnojem na czele. Dobrze, że Janek go naznaczył, bo gdybym to ja go dopadł, nie skończyłoby się na palcach.

Popatrzył na nich.

– Karla – powiedział oficjalnie – jest mi bezmiernie wstyd za to, co cię spotkało w moim domu. Nigdy nie dość przeprosin za to, co się niedawno stało. Będziemy się starać, żebyś nam przebaczyła. Szczęście, że Hieronima nie było w pobliżu, bo zmiotłaby go apopleksja, ale wcześniej złapałby pewnie za strzelbę.

Podszedł bliżej. Karla uwolniła się z uścisku ojca.

– Dziękuję – powiedziała cichutko. Tylko ona wiedziała za co, a właściwie za kogo, dziękuje Winicjuszowi.

– Porozmawiamy jeszcze – obiecał. – Zostawiam was tymczasem. Idźcie może do siebie. Za dwie godziny będzie po wszystkim. Emilu?

– Zdaję się na ciebie – rzekł Emil. – Jak na brata.

Winicjusz kiwnął głową, odwrócił się i poszedł z powrotem. Emil odprowadził Karłę do swojego pokoju.

– Połóż się, proszę – rzekł. Sięgnął do kuferka i wy dostał jakiś flakonik, z którego wytrząsnął tabletkę. – Połknij to.

Karla posłusznie połknęła tabletkę i położyła się, skulona, na łóżku. Emil sięgnął po gruby pled, leżący na małym krzeselku przy szafie, i przykrył Karłę dokładnie.

– Teraz zaśnij. – Jego głos brzmiał kojąco. – Kiedy się zbudzisz, wszystko będzie dobrze.

Karla przymknęła powieki. Przed oczami miała twarz Janka, jego determinację, oddanie, bezwzględność w jej obronie. Uśmiechnęła się

samymi kącikami ust. Poczwała, jak się jej robi ciepło, a myśli zaczynają się rozplýwać. Zasnęła.

Emil jeszcze raz poprawił jej pled. Wstał i zaczął krążyć po pokoju. Z dołu, mimo odległości, dobiegały go jakieś hałasy, przesuwane rzeczy. Uspokajał się z trudem. Jakiś czas później, po półtorej czy dwóch godzinach, gdy już zmierzchało, usłyszał warkot silnika. Wyrzwał przez okno. Na podjeździe pojawił się spory, ośmioosobowy fiat z dachowym bagażnikiem, pewnie zamówiony telefonicznie w Lublinie. Z domu wyszli objuczeni bagażami krewni. Nikt im nie pomagał, najpewniej służbie zakazano wynoszenia ich walizek, musieli więc sami sobie radzić. Nieprzywykli, sprawiali wrażenie zaskoczonych nieporęcznością i ciężarem bagaży, które obijały im się o nogi i sprawiały, że zataczali się jak pijani. Z pomocą szofera wrzucili bagaże na dach i wsiedli do samochodu. Gdy już ucichł dźwięk silnika, Emil spojrzwał jeszcze raz na Karłę, zaświecił nocną lampkę przy jej łóżku i wyszedł cicho z pokoju. W hallu spotkał Winicjusza rozprawiającego o czymś półszepem z Dorothy i Krystyną. Odwrócili się, gdy zobaczyli Emila.

– Jak Karla? – spytał Winicjusz.

– Śpi – odparł Emil. – Dałem jej coś, zbudzi się dopiero jutro rano.

– To dobrze. Jak widzisz, już posprzątałem. Chodźmy usiąść. Do gabinetu, już zapalili w kominku. To dobre miejsce.

– Widziałem, że zakazałaś służbie pomocy.

– Ja? – zdziwił się Winicjusz. Coś na kształt uśmiechu dało się dostrzec na jego twarzy. – Wieść o tym, co się stało, rozniosła się szybko. Przyszli do mnie i powiedzieli, że nie dotkną rzeczy ludzi, którzy są zdolni do czegoś podobnego, i to jeszcze wobec takich gości. Kochają was.

– Niby odpowiedzialność zbiorowa, ale... – zaczął Emil.

Winicjusz pokręcił głową.

– Chodźmy do gabinetu – powtórzył. – Tam opowiem.

– Powiedz jeszcze, gdzie jest Janek. Jest twoim nieodrodnym synem, a ja muszę mu podziękować.

– Kazałem mu siedzieć u siebie w pokoju. Pewnie niepokoi się o Karłę, ale bądź pewien, nie wyjdzie stamtąd.

– Porozmawiamy chwilę i pójdziemy do niego.

Weszli wszyscy do gabinetu. Winicjusz miał rację, w kominkowym ogniu było coś kojącego. Bez pytania nalał Dorothy whisky, Emilowi

i sobie – po kieliszku koniaku, a żonie – maleńki kieliszek wiśniówki.

– Można powiedzieć – rzekł, gdy już wszyscy upili po odrobinie alkoholu – że Bolo sam na siebie ukreślił powróż. Wypytałem Janka, co i jak, powiedział, co się stało, co zobaczył i jak zareagował. Włódzio najpierw kręcił, mówił, że nie wie, że Janek go napadł, ale w pewnej chwili coś się w nim złamało i opowiedział, jak było. Gdyby Bolo się oburzył, zapowiedział, że ukarze gówniarza, może nie byłoby sprawy. Ale Bolo najpierw zbagatelizował rzecz całą, potem oskarżył mi prosto w oczy Karłę, że sprowokowała mu syna, ba, że zalecała się do niego. Mało nie doszło do bójki, bo jak to Janek usłyszał, z ledwością go utrzymałem. I wtedy Bolo powiedział do mnie: „A zresztą co to za sprawa, nie takie rzeczy się z innymi chłopkami robiło...”.

Emil pokiwał tylko smutno głową, Dorothy uśmiechnęła się ze wzgardą, a pani Krystyna sprawiała wrażenie przerażonej.

– Reszty możesz się łatwo domyślić – rzekł Winicjusz. – Wstałem i powiedziałem Bolowi, że Klonów to nie miejsce dla zwykłej swołoczy, która jakimś cudem dopisała się do naszego nazwiska. Że ma ostatnią szansę, aby opuścić Klonów samodzielnie, nim wyrzucimy go kopniakami, po całej rodzinie rozprowadając, co się właściwie zdarzyło – i co się mogło wydarzyć. Janek wstał i rzekł lojalnie, że pomoże. Bolo jakoś wtedy zmałał. Wyciągnął za kołnierz Włódzia i mruknął, że noga jego w Klonowie więcej nie postanie. Wtedy Janek się niepotrzebnie odezwał, że to i chwała Bogu, że nie postanie. I za to właśnie siedzi w pokoju, żeby wiedział...

– Żeby co wiedział?

Winicjusz zawstydział się.

– Żeby wiedział, że zabrał mi słowa, bo to ja miałem powiedzieć pierwszy.

Emil nie powstrzymał się od uśmiechu.

– I co teraz? – spytał.

– Teraz moim jedynym zmartwieniem jest Karła.

– A moim Janek – mruknął Emil. – Są za młodzi na to, by być razem, a widzicie, że wszystko ku temu zmierza. Myślałem już o tym, ale wolałbym, żebyśmy porozmawiali w tej sprawie również z Hieronimem.

– Właśnie. – Winicjusz zerknął na Emila. – Zakazałem komukolwiek choćby wspominać o tym Hieronimowi. Zgodzisz się ze mną, Emilu?

– To oczywiste. Muszę tylko porozmawiać z Karłą. I z Jankiem.

– Odłóżmy to do jutra. Niech się opamięta.

– Zrobił to, co powinien – wzięła go w obronę milcząca dotąd Krystyna.

Dorothy kiwnęła głową.

– W takim razie – Emil sięgnął po wieczne pióro i bilet wizytowy – napiszę do niego dwa słowa. Ten, kto mu je zanieś, niech się nie waży czytać. Chociaż – na jego ustach zaigrał uśmiezek – nie wierzę, by tego nie zrobił.

Skreślił kilka słów i podał Winicjuszowi, który sięgnął po dzwonek. Chwilę później w salonie zjawił się Ignacy.

– A gdzie służba? – zdziwił się Winicjusz.

– Zebrali się w kuchniach – powiedział Ignacy – i deliberują.

Winicjusz uśmiechnął się tylko.

– Zanieś to, proszę, do pokoju Janka.

Mechanik skinął głową.

Chwilę później stuknął już do pokoju chłopaka. Drzwi otwały się natychmiast.

– Bilet dla panicza – powiedział Ignacy, podając mu kartonik.

– Dziękuję – rzekł Janek.

Począł, aż Ignacy odwróci się i dojdzie do schodów, po czym zamknął drzwi, podszedł do biurka i położył bilecik w świetle lampy. Na awersie był tylko druk: Dr N. Med. Emil Linde, i krakowski adres. Odwrócił bilet. Na odwrocie czerniły się słowa.

*Karla bezpieczna, śpi. Jesteś godny swojego ojca. Dziękuję. Emil.*

Patrzył długo na bilet. Po chwili otrząsnął się z zamyślenia. Podniósł go i wsunął delikatnie do albumu z safianową oprawą. Wreszcie otworzył go i zaczął znowu, po raz setny może, przeglądać zdjęcia i czytać listy. Było wcześniej, wiedział, że tego wieczoru trudno mu będzie zasnąć.

\*

Ranek przywitał ich piękną, rześką, majową pogodą, jakby chcąc wynagrodzić całe zło minionego popołudnia. Karla obudziła się późno z ciężką głową. Przez chwilę patrzyła bezmyślnie na sufit pokoju i nagle przypomniała sobie, co się stało i gdzie jest. Poderwała się gwałtownie i z jękiem opadła na powrót na poduszki.

– Pomału – usłyszała z fotela znajomy, ciepły głos.

Odwróciła głowę w jego stronę. Emil siedział ubrany, jakby nie kładł się spać tej nocy. Byli w jego pokoju. Karla uświadomiła sobie, że to wszystko, co przed chwilą przyszło jej na myśl, nie było tylko snem. Popatrzyła z popłochem na ojca.

– Już wszystko dobrze – powiedział z uśmiechem Emil. – Nieproszeni, niegodni goście wyjechali wczoraj. Nawet nie jesteś sobie w stanie wyobrazić, co się działo w Klonowie, kiedy spałaś.

– A Janek... – zaczęła Karla.

Emil przerwał jej ruchem ręki.

– Należy mu się tylko pochwała – rzekł. – Tak się powinien zachować mężczyzna.

Karla uniosła się na łóżku, ale już ostrożniej.

– Mogę się z nim zobaczyć? – spytała.

– Nie wcześniej, nim ochłonesz, wykąpiesz się, przebierzesz i zjesz śniadanie. Dałem ci wczoraj mocny proszek na sen. Tej nocy to mój pokój był dla ciebie abatonem...

Karla uśmiechnęła się z trudem.

– Chodź, pomogę ci. – Emil podniósł się z fotela. – Nie po to Donimirscy zainstalowali lata temu angielskie łazienki, aby z nich nie korzystać. Miałem ochotę przenieść cię do twojego pokoju i poprosić panią Krystynę, żeby pomogła ci przebrać, ale tak było lepiej. Idziemy po twoje rzeczy, a kiedy już będziesz gotowa, przyjdź, zejdziemy na śniadanie.

– Która godzina?

– Dziewiąta.

– Aż tak późno?

– Mówiłem, lekarstwo. Chodź, z początku będzie trudno, ale zaraz dojdiesz do siebie.

Pół godziny później Karla w zdecydowanie lepszej formie zastukała do pokoju Emila. I on był przebrany. Wyglądał nieskazitelnie, choć cienie pod oczami świadczyły o nieprzespanej nocy.

– Jak się czujesz? – spytał córkę.

– Znacznie lepiej – zapewniła go. – Chodźmy.

W jadalni zastali Winicjusza i Krystynę. Karla rozejrzała się za Jankiem, ale nie było go nigdzie.

– Janek pojechał w teren z Dorothy, dzisiaj wczesnie rano – powiedział Winicjusz. – Jeszcze nie wrócili. Hieronim nie czuje się najlepiej, Aniela została z nim. Popatrzył na dziewczynę z namysłem.

– Karla – zaczął – nawet nie wiesz, jak bardzo mi przykro z powodu tego... – zawahał się.

– Incydentu – mruknęła Karla. Wzdrygnęła się nieznacznie.

– Incydentu – powtórzył Winicjusz. – To było haniebne i jeszcze raz proszę, abyś przyjęła moje przeprosiny.

Karla zastanowiła się.

– Chyba nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Spójrzcie, spełniło się moje marzenie, abyśmy zostali razem, z tymi, których kocham i szanuję.

Winicjusz uśmiechnął się.

– Niczego innego nie mogłem się spodziewać po mojej przysposobionej bratanicy – powiedział. – Jesteś wielkoduszna jak twój ojciec.

– A co z tym...

– Z tym bydlakiem Włodziem? – Głos Winicjusza stwardniał. – Janek zostawił mu piękną pamiątkę. Taką właśnie, na jaką zasłużył. Jeszcze długo, patrząc w lustro, będzie pamiętał to popołudnie w Klonowie. A tymczasem – wskazał na zastawiony stół – zjedz coś, a nade wszystko napij się kawy. To ci pomoże.

Karla marzyła teraz tylko o jednym. Aby spotkać się z Jankiem.

– Czy mogłabym – spytała nieśmiało – osiodłać konia i pojechać do nich?

– Wykluczone. Dzisiaj odpoczywasz.

– Pomożesz mi w ogrodzie, dobrze? – spytała ciepło pani Krystyna. – Porozmawiamy spokojnie. Teraz zjedz coś. Tylko chcieliśmy bardzo cię o coś prosić. Nie wspominaj o tej historii Hieronimowi. Boimy się o jego zdrowie, a wiesz, jak przyjąłby wiadomość o tym, co cię spotkało w jego domu.

– Oczywiście – przytaknęła Karla.

Wspomnienie zeszłego popołudnia sprawiło, że znów się wzdrygnęła, ale w tej samej chwili przywołała pamięć bezlitosnego, stojącego w jej obronie Janka i poczuła ulgę.

Sięgnęła do dzbanka i nalała sobie filiżankę kawy. Nie zdążyła jej dopić, kiedy do jadalni weszli Janek i Dorothy. Karla wyprostowała się gwałtownie.

– Jak się czujesz? – zapytał chłopiec. W jego głosie słychać było napięcie.

– Dziękuję. – Karla marzyła, żeby jakiś cud sprawił, by zostali sami, tylko we dwoje. Cud się jednak nie zdarzył. – Już wszystko dobrze. Byliście daleko?

– W pół drogi do jeziora.

– Szkoda, że spałam – westchnęła dziewczyna. – Nigdy tam nie byłam.

– Zabiorę cię tam na pewno – powiedział Janek, już spokojniejszy. – Bardzo tam pięknie. Przepraszam – zwrócił się do siedzących – odprowadzałem tylko panią Dorothy. Mam jeszcze zajęcia.

Skłonił sztywno głową i oddalił się do wyjścia, odprowadzany wzrokiem Karli.

– Zobaczycie się przy obiedzie – powiedziała niefrasobliwie Dorothy. – Już wszystko dobrze.

\*

Późnym wieczorem Emil, Winicjusz, Dorothy i Hieronim spotkali się w gabinecie Winicjusza. Hieronim był w lepszej formie, choć i tak słaby. Pani Krystyna odmówiła spotkania, chciała położyć się wcześniej. Z kolei pani Aniela nigdy nie uczestniczyła w takich naradach, słusznie uznając, że i tak w razie potrzeby wpłynie na męża, a nie jest do tego potrzebne przesiadywanie przy koniaku, w oparach cygar i papierosów. Wiele wskazywało na to, że patriarchat domu Donimirskich jest utrzymywana wyłącznie na pokaz barwną fikcją.

– Mam dla nas nowinę, o której nie wie jeszcze mój syn – zaczął Winicjusz. – Telefonowali z Warszawy, jest już absolwentem, zdał maturę. Może nie najlepiej, nigdy nie przykładał się zbyt mocno do literatury, ale ze swoimi kierunkowymi przedmiotami znakomicie sobie poradził. Poza tym ma przejąć kiedyś zarządzanie majątkiem, a nie pisać powieści. Chciał iść na studia rolnicze, zgoda. Tylko dokąd i na jakie?

– Wyślij go do Anglii – powiedział Emil.

Winicjusz pokręcił głową.

– Emilu – rzekł – wiesz, jak cię szanuję, ale to jakaś obsesja. Co mu z tej Anglii? Dlaczego nie do Francji, dlaczego nie do Ameryki?

– Z Ameryką to w sumie też niezły pomysł – mruknął Emil. – Choć nie wiem, jak wygląda ich kultura agrarna, wypadaloby się dowiedzieć.

– Nie żartuj. – Winicjusz przyjrzał się żarowi na końcu świeżo zapalonego cygara. – Po co te wyjazdy? Po co Anglia?

– Potrzeba im przyczółku – wyjaśnił doktor.

Winicjusz zdawał się nie rozumieć, bardziej domyślny był Hieronim.

– Wieszysz klęskę? – spytał swoim kostycznym, coraz bardziej zduszonym głosem.

Emil zawahał się.

– Tak – odpowiedział. – Tylko nikt nie wie jeszcze, kiedy ta klęska nastąpi, ale zbliża się wielkimi krokami. Czuję to. Nie tak dawno myślałem, że to sprawa dziesięciu lat. Teraz myślę, że mniej. Jesteśmy słabi.

– W gazetach piszą co innego – odezwał się Winicjusz. – Mówią, że stoimy mocno, wbrew wichrzycielom, którzy marzą o destabilizacji...

– Gazety piszą o tym, o czym wygodniej rządowi – zauważył Emil. – O przedwczorajszej katastrofie „Hindenburga” napisali wszyscy. Zginęło ponoć kilkanaście osób. O tym, że chłopci się burzą, że niebawem wybuchnie strajk – ani słowa.

– Nas to nie dotyczy. – Winicjusz sprawiał wrażenie zrelaksowanego. – Chłopi stoją za nami, dobrze im płacimy, a my niewiele mamy sobie do zarzucenia.

Emil pokiwał tylko głową nad naiwnością przyjaciela.

– Czy ty naprawdę zdążyłeś już zapomnieć Wielką Wojnę? Zapomniałeś o bolszewickiej rewolucji? Mnie przypominają o tym nie tylko blizny po postrzałach, które widzę codziennie, ale i Byszewo, które jest mniej niż jednym procentem majątku, jakim ongiś dysponowali Sokolniccy.

– Tutaj nie było rewolucji – przypomniał Hieronim.

– Tutaj właśnie jest rewolucja – sprzeciwił się Emil. W jego głosie była gorycz. – Mamy rząd pułkowników. Wszystko, co dotąd zostało zrobione, zostało zrobione źle. Cisi, ciemni, mali ludzie wzięli dziedzictwo, a to, że obwiesili się medalami jak choinki ozdobami, wydaje się im tytułem do chwały. Krzczunowicz miota się bezsilnie po sejmie, bo widzi to, co ja, ale nic nie może zrobić i powoli pojmuje, dlaczego odmówiłem służby publicznej. Jesteśmy straceni. Dlatego chcę zrobić wszystko, by uratować

Karłę, Janka, dać im przyczółek, miejsce ratunku, choćby na trochę. Nigdy nie mówiłem tego wprost, ale najwyższa pora. Jesteśmy na pochyłości, staczamy się wszyscy coraz szybciej i szybciej ku klęsce.

Przerwał, żeby uspokoić oddech. Pozostali milczeli.

– Zbliża się koniec czasów – podjął Emil. – Świat, jak znamy, runie w gruzy i nic już nie będzie takie, jak było, a po nas nie zostanie nawet proch.

– Nie wiem, czy to prawda – rzekł Winicjusz. – Brzmi to jak z greckiej tragedii, ale niech będzie. Powiedz, co radzisz.

– Nam już nic nie pomoże. Ja jestem za stary, żeby rosnąć w nowym miejscu. Nie przesadza się starych drzew, tak mówią. Wy nie opuścicie Klonowa i pogrzebią was w nim.

– Nasz grób rodzinny jest pełen miejsc – mruknął Hieronim. – Już na mnie czeka.

– Nie w tym rzecz. – Emil odwrócił wzrok. – Nie będzie już majątków, nie będzie dworów. Nie będzie ziemiaństwa, nie będzie pamięci, nie będzie tradycji. Będzie co najwyżej legenda, biała... – zawahał się – lub czarna.

Winicjusz pomyślał o kuzynach i skinął głową.

– Co radzisz? – powtórzył z goryczą.

– Wyślij Janka na studia – rzekł Emil stanowczo. – Jak najdalej stąd.

– Jeśli go wyślę teraz do Anglii – zaproponował Winicjusz – natychmiast zejda się z Karłą i nic nie będzie ani z jej Oksfordu, ani z jego studiów rolnych. Będą za to dzieci. Niech poczekają jeszcze ze dwa lata osobno, może im się odwidzi.

Dorothy zaśmiała się cicho, ale się nie odezwała. Tymczasem Winicjusz ciągnął dalej.

– Nie pytam, czy dasz mojemu synowi Karłę, bo przecież wiem, że tak, a zresztą oni i tak zrobią po swojemu, choćby i bez naszej zgody. Ale nie teraz, mają dopiero po osiemnaście lat. Poczekać, niech idzie na studia, do Poznania, może do Warszawy. Za dwa–trzy lata wyślę go do Anglii. Jeśli zechcą, niech się pobierają. Najlepiej po studiach, za jakieś cztery lata, może w czterdziestym pierwszym, może później. Wtedy wszystko będzie jak trzeba.

– Wtedy może być już za późno – mruknął Emil złowróżbnie.

– Albo i nie – wtrącił się Hieronim. – Jak to się dzieje, że ja, stary człowiek u schyłku swoich dni, mam w sobie więcej wiary w świat niż wy?

– Młodzi wiedzą wszystko, dorośli we wszystko wątpią, starzy we wszystko wierzą – mruknęła Dorothy.

Emil pokiwał głową.

– Pamiętacie – rzekł – opowiadałem wam, jak Karla zamówiła obraz u Stacha Witkiewicza...

Wszyscy się zaśmiali. Wydało im się, że Emil zmienia temat, i poczuli się jakby lżej. Nie spodziewali się jednak tego, co powie dalej. Jego głos brzmiał poważnie.

– Nikt z was nie widział tego obrazu – ciągnął – więc opiszę go wam pokrótce. Wyobraźcie sobie zgliszcza, widziane z oddali spalone miasto. Dobywa się z niego dym o kształcie muszli perłopławu, a z tej muszli wyrasta głowa Karli patrzącej poważnie i smutno. Patrzącej na świat moimi oczami.

Zamilkli. Tymczasem Emil dopił swój kieliszek.

– Przed ostateczną klęską – rzekł, wstając – zawsze kroczą radość i beztroska. Jest korowód szaleńców, którzy podświadomie wiedząc, że niczego nie da się już zrobić, rzucają się w wir zabawy, karmiąc się ułudą pokoju i bezpieczeństwa. A wtedy nadchodzi zagłada. I tak też się stanie z nami. Nie wspomnę już o tym więcej. Bawmy się wszyscy. We środę urodziny Karli, w sobotę bal. Potem pojedziemy do Byszewa, jeszcze później na wakacje, potem dzieci pojedą na studia, a ja znów będę się zastanawiał, czy dożyjemy do nowego roku. W następnym będzie to samo, i jeszcze w następnym.

– Ale przecież... – Winicjusz chciał zaprotestować.

Emil przerwał mu niecierpliwym gestem.

– Światło słoneczne – rzekł – ma swoją prędkość, olbrzymią, ale skończoną. Słońce jest tak daleko, że światło potrzebuje aż ośmiu minut, by dotrzeć do Ziemi. Jeżeli w tej chwili zgaśnie, dowiemy się o tym za osiem minut, ale i tak od chwili, w której zgaśnie, jesteśmy martwi. Choćbyśmy jeszcze o tym nie wiedzieli. To, co się miało stać, już się stało i nikt temu nie może zapobiec. Dobranoc.

Odwrócił się i wyszedł z gabinetu. Nikt nie powiedział ani jednego słowa.

Urodziny Karli stały się tym, o czym mówił Emil. Chwilą radości, zapomnienia o tym, co wieszczyl, a w co nie chcieli uwierzyć najbliżsi. Kolacja była taka, jak sobie wymarzyła Karla, siedziała na honorowym miejscu, otoczona kochanymi ludźmi, ale co najważniejsze – był ten jeden, najbardziej kochany. Janek. Czas mijał tak szybko...

– Nie żałujesz – odezwała się Dorothy, gdy zadowoleni, rozbawieni i syci wstawali tuż przed północą od stołu – że nie jesteś teraz w Anglii?

– A co ja bym tam robiła? – spytała lekko Karla.

– Nie wiem – zaśmiała się Dorothy. – Może asystowałabyś przy dzisiejszej koronacji króla, zasiadając w opactwie westminsterskim? W zasadzie mogłam była sprawić, że dostałabyś zaproszenie. Teraz bawiłabyś się na jakimś balu lub w najgorszym razie fetowałabyś nowego króla na ulicznym festynie...

– Wolę być z wami – odrzekła stanowczo dziewczyna. – Tu i teraz. Cieszę się na sobotni bal, ale dla mnie najważniejsi jesteście wy. Bardzo wam dziękuję. Jesteście moją prawdziwą rodziną... – Głos jej się załamał.

Wszyscy złożyli to na karb wzruszenia, ale Emil domyślał się prawdziwej przyczyny. Pośród telefonów i telegramów, które niemal zasypały Klonów, nie było tego jednego. Barbara, jej matka, jako jedyna z całej rodziny nie odezwała się do Karli ni słowem.

– Zawsze z tobą będziemy. – Pani Krystyna otoczyła ją ramieniem. – Póki żyjemy.

– Dziękuję, kochani. Dobrej nocy.

Poszła w stronę schodów. Emil zerknął na Janka, ale ten nie kwapił się do odprowadzania Karli. Sprawa wyjaśniła się szybko. Chłopak wyczekał na krótką chwilę, gdy Emil zamieniał parę ostatnich słów z Winicjuszem, i podszedł do nich.

– Ojczy, stryju – rzekł oficjalnie – czy mogę zamienić z wami kilka słów na osobności?

Panowie popatrzyli po sobie.

– Oczywiście – rzekł Winicjusz. – Słuchamy.

– Na osobności – powtórzył z naciskiem Janek.

Winicjusz kiwnął głową.

– Zapraszam – powiedział.

Gdy przyszedli do gabinetu, Winicjusz i Emil usiedli, Janek stał nadal. Widać było, że jest przejęty, choć bardzo się starał nie okazać tego po sobie.

– Zdaję sobie sprawę z tego – rzekł uroczyście – że mogę zostać przez was potraktowany jak dziecko, wyśmiany i zlekceważony. Jednak chciałbym wiedzieć jedną rzecz.

Winicjusz chciał coś wtrącić, ale Emil nie dopuścił go do głosu.

– W tym domu, o ile mi wiadomo – powiedział – traktuje się ludzi tak, jak na to zasługują. Dlatego nie miej obaw. Słuchamy.

Janek wyprostował się.

– Zdaję sobie sprawę, że mam zaledwie osiemnaście lat – rzekł. – Dopiero złożyłem maturę. Dlatego chciałbym wiedzieć jedną rzecz. Czy gdybym w przyszłości... – zająknął się, ale widząc spokój i powagę malujące się na twarzach obu mężczyzn – gdybym w przyszłości starał się o rękę Karli, to czy zostałbym przyjęty?

Zamarł z zapartym tchem. Emil spojrział na niego życzliwie.

– Pytanie jest inne – rzekł. – Czy zostałbyś przyjęty przez Karłę?

– Tak – odrzekł z pewnością Janek.

– Rozumiem, że mówimy o przyszłości...? – upewnił się Winicjusz.

– Tak – powtórzył Janek.

Emil westchnął.

– Dobrze, że patrzysz na to w ten sposób – pochwalił. – Nie oświadczasz się jeszcze o moją córkę, i dobrze. Chciałbym, żebyśmy się mogli spotkać w tej sprawie za dwa lata. Razem z tobą i Karłą. Do tego czasu będziecie studiować: ty w Polsce, ona w Anglii. Będziecie się widywać rzadko, droga daleka, a czasy niepewne. Za dwa lata, jeśli wasze uczucie nie rozplynie się przez ten czas, odpowiem. Czy to cię zadowala?

– Tak, stryju – rzekł Janek.

– Jeszcze jedno. – Emil przekrzywił głowę i spojrział w oczy Janka. – Jeśli zostaniesz przyjęty, musisz przestać do mnie mówić: stryju. Ostatecznie związki w tak bliskiej linii są niedopuszczalne.

Janek uśmiechnął się.

– Dziękuję stryjowi. Dziękuję ojcu.

Uklonił się i wyszedł. Emil popatrzył na przyjaciela.

– Masz dojrzałego nad wiek syna – pochwalił.

– Możliwe – zgodził się Winicjusz – ale ty pilnuj lepiej córki.

Emil pokiwał tylko głową.

– Jeśli wdał się w ciebie, to rozumiem twoją obawę – rzekł złośliwie. – Powiem ci tylko to, co powiedziała mi Dorothy. Jak się sama nie upilnuje, to nikt jej nie upilnuje. A nie jestem wcale pewien, czy Karla tak bardzo chce się upilnować, więc tak czy owak jestem przegrany...

\*

Dwa dni po balu, w przeddzień wyjazdu z Klonowa, Janek spełnił swą obietnicę; ruszyli wczesnym rankiem konno nad jezioro. Dzień zapowiadał się upalnie, wiele wskazywało, że pod wieczór rozpęta się pierwsza prawdziwa, wiosenna burza.

Wycieczka była dość daleka, w jedną stronę prawie piętnaście kilometrów, dobrze się więc przygotowali; do sakw zawieszonych u siodła zabrali jedzenie, wodę, derki i suchą zmianę ubrań, gdyby gdzieś po drodze dopadła ich burza i trzeba było przeczekać. Przez chwilę się zastanawiali, czyby nie zabrać psów, cztery wyżyły żebrały wprost o wycieczkę, uznali jednak, że tym razem lepiej będzie, jeśli zostaną w Klonowie. Umówili się, że gdyby pogoda zmieniła się na dobre, pojedą na nocleg do Kleczowa Kleczowskich, sąsiadów, z którymi widzieli się na balu, a z którymi Donimirscy od ponad stulecia utrzymywali dobre stosunki. Tak więc byli przygotowani na każdą ewentualność.

Poranek wstał rześki, konie były wypoczęte, wszystko zachęcało do intensywnej jazdy, ale Janek hamował zapalczywość Karli.

– Wiem, że jeździłaś równie daleko – rzekł – ale jedziemy na całodzienną wycieczkę, a nie w dwugodzinną przejażdżkę. Będziemy wracać szybciej, teraz nie warto już męczyć koni.

– Wiem, ojciec mi tłumaczył, że konie muszą odpoczywać nawet częściej niż ludzie. – Karla poklepała Strzałkę po karku. – Ale i tak ślamazarzimy się okropnie.

– Za trzy godziny będziemy na miejscu. Bez męczenia koni. Wiem, gdzie zagalopować, wiem, gdzie pokłusować, wiem...

– ... wiem, wiem, wiem – powtórzyła Karla.

– Przedrzeźniasz mnie. Warto mnie słuchać.

– Tak jak wtedy, gdy dałeś mi najstarszą klacz ze stajni?

– Mogłabyś mi tego nie wypominać – ofuknął ją. – Zrobiłem to dla twojego dobra.

– Byłeś taki troskliwy – zazartowała.

Złapała wodze w lewą dłoń, a prawą podała Jankowi. Jechali tak chwilę noga w nogę, zadowoleni, beztroscy.

– Powiedz – rzekł nagle Janek – czy za dwa lata będziemy ze sobą tacy szczęśliwi jak dzisiaj?

Karla aż wstrzymała konia.

– A masz jakieś wątpliwości? – zapytała podejrzliwie.

– Żadnych – odrzekł spokojnie Janek. – Do tego stopnia, że spytałem o to twojego ojca.

Karla aż się zatchnęła z wrażenia. Spojrzała na chłopaka, ale jego twarz mówiła, że nie żartował.

– I co usłyszałeś?

– Żeby wrócił za dwa lata. I wtedy, jeśli zechcesz...

Karla dodała koniowi łydek. Strzałka wysforowała się do przodu. Nie chciała, żeby zobaczył uśmiech szczęścia na jej twarzy. Janek również pospieszył konia.

– Ucieszyłaś się – oświadczył pewnym głosem.

Karla nie odpowiedziała. Janek postanowił na razie nie drażnić tematu. Jechali teraz wąską, wyznaczoną koleinami wozów, błotnistą dróżką.

– Dojedziemy do lasu – powiedział. – Tam będzie trzeba uważać, później już łąki, potem, jeśli nie zjedzą nas do tego czasu gzy, znów uciekniemy do lasu, a dalej sama zobaczysz.

Godzinę później zatrzymali się na przerwę przy niewielkim ruczaju. Napoili konie i po chwili ruszyli dalej. Nie przestawali rozmawiać, choć oboje skrzętnie unikali tematu dwóch lat, który miał być dla nich czasem próby. Droga nie dłużyła się wcale, zniecierpliwione były raczej konie. Zbliźali się jednak do celu.

– Uważaj – przestrzegł Janek. Docierali właśnie do miejsca, w którym las gęstniał, ściana drzew zdawała się niemożliwa do sforsowania. – Jedź za mną i trzymaj nisko głowę.

Karla posłusznie przytuliła się do szyi Strzałki. Gdy Janek zanurzył się w zieloną gęstwinę, dziewczyna bez wahania za nim podążyła. Trwało to niewiele ponad minutę, ścieżka, ledwo widoczna, wiła się przez las i gęste zarośla.

– To już – powiedział Janek.

Zrobiło się jakby jaśniej i nagle Karla wyjechała na niewielką polanę, z której zobaczyła leśne jezioro. Aż westchnęła z zachwytu. Zieleń odbitych

w wodzie drzew skrzyła się kolorem najczystszej szmaragdu. Od strony łąki widać było coś na kształt maleńkiej piaszczystej plaży, prowadzącej do wolnego od trzciny brzegu. Janek zawrócił konia. Z satysfakcją obserwował podziw w oczach dziewczyny.

– Pomyślałabym – powiedziała, podjeżdżając na odległość wyciągnięcia ręki – że ktoś przygotował to dla nas specjalnie.

– Bo przygotował. To wodopój. Gdybyśmy zasadzili się tutaj przed świtem, zobaczyłabyś, jak wszystkie zwierzęta, duże i małe, przychodzą pić wodę. Miałybyś łosie, jelenie, sarny, dziki...

– A ludzie?

– Najbliższa wioska jest siedem, osiem kilometrów stąd. Reszta to lasy. Jesteśmy na zupełnym bezludziu. Chodź, rozsiodłamy i rozpuścimy konie. Nie odejdą dalej niż do granicy lasu.

Szybko oporzędzili konie, które zaczęły spokojnie skubać gęstą, soczystą wiosenną trawę.

– My też zasłużyliśmy na posiłek. – Janek rozłożył derki i wyjął spakowany prowiant. – Zjedzmy coś. Wprawdzie w jeziorze jest mnóstwo ryb, ale nie będziemy palili ognia.

– Jeździłeś tu często?

– Nie aż tak – przyznał chłopak. – Trochę jest za daleko. Raz byłem tu dwa dni, kiedy pokłóciłem się z ojcem.

– Co ty nie powiesz! – wykrzyknęła Karla. – Zdarzały ci się takie ucieczki?

– Tylko raz. Wróciłem skruszony, przeprosiłem. Z drugiej strony, ojciec miał rację.

– Nie masz skłonności do ucieczek. – Kiwnęła głową. – Ja też. Nigdy nie musiałam. Tata najpierw stara się zrozumieć, dopiero potem wydaje wyroki.

– U mnie najpierw się wydaje wyroki, żebym ja potem zrozumiał – roześmiał się Janek. – Co prawda, to prawda. Chociaż kiedy miałem trzynaście czy czternaście lat, nie było łatwo.

– Nie jest łatwo być dziedzicem Klonowa. – Karla pokiwała głową. – Jedźmy szybko, zanim mrówki dowiedzą się o naszym jedzeniu.

Dobiegało południe, gdy wciąż leżeli wpatrzeni w niebo i rozmawiali. Wreszcie Janek wstał i rozejrzał się za końmi. Stały przy piaszczystym zejściu.

– Wiesz, na co czekają? – zapytał.

Karla otworzyła oczy.

– Nie mam pojęcia.

– Na pławienie. Umiesz pływać?

– Nie najgorzej.

– Chodź. – Podał jej rękę.

Karla wstała.

– Ale...

– Tylko ściągnij buty – powiedział Janek – tu wszędzie jest piasek, nie staniesz na kamieniu, zapewniam cię. Bryczesy mamy lekkie, szybko na nas wyschną w takim słońcu, a koszule, zanim się obejrzymy...

– Zgoda. – Karla nie dała się dłużej prosić. Szybko ściągnęła buty. Konie popatrzyły z nadzieją.

– Tylko założymy im kantary – zaproponował Janek. – Jak się rozochocą, trudno je będzie wyciągnąć.

– Pewnie tak jak i nas – roześmiała się Karla.

– Pewnie tak. Uważaj, tu na płyciźnie uwielbiają się tarzać.

Po chwili byli już w wodzie. Konie parskały radośnie, poddawały się z radością zabiegom Janka i Karli. Czysta radość koni udzieliła się również im. Zaczęli się bawić w wodzie, wygłupiać, ochlapywać wzajemnie. Czuli się jak dzieci, choć pocałunki, które sobie kradli, nie były aż tak niewinne. W pewnej chwili Janek chwycił Karłę i wziął ją na rękę, chcąc podnieść ją i rzucić z pluskiem do wody, ale zawahał się, gdy objęła go mocno za szyję. Zaczęli się całować, coraz mocniej i namiętniej. Trzymając ją na rękach, wyszedł z wody. Nie odrywając ust od jej warg, położył ją na derce. Przytuliła się mocno, jej dłoń zawędrowała pod jego koszulę na nagie, chłodne plecy, druga rozpięła guzik pod szyją. Ich ruchy nabierały celowości, pieszczoty stawały się śmielsze. Oboje zapamiętywali się coraz bardziej i bardziej.

– Naprawdę tego chcemy? – wyszeptał Janek.

Jego dłonie rozpięły jeździecką koszulę Karli, szukały jej małych piersi. Dziewczyna spojrzała mu w oczy.

– Tak – szepnęła. – Po stokroć tak.

\*

Wrócili tuż przed wieczorną burzą, szczęśliwi i rozpromienieni. Jeszcze w stajni kradli sobie pocałunki, młodzi i radośni, nadal niesyci siebie. Oporządzili konie, chyba zadowolone, że odpoczną wreszcie po męczącym dniu, i ruszyli do dworu. Od wschodu szły potężne, niskie chmury, podświetlane promieniami zachodzącego słońca. Pomruki burzy przybierały na sile.

Janek jeszcze raz uścisnął dłoń Karli.

– Zaraz się zobaczymy – szepnął. – Idę się przebrać.

– Idź – odszepnęła i musnęła jego policzek ustami.

W samą porę oderwali się od siebie, bo z ogrodu nadchodził właśnie Emil z Dorothy.

– Zdążyliście w samą porę – zauważył Emil. – Najdalej za pół godziny rozpęta się piekło.

„Oby nie” – pomyślała w cichości ducha Karla. Uśmiechnęła się tylko.

– Wycieczka była udana? – spytała Dorothy.

– Bardzo – powiedziała z przekonaniem Karla. – Było przepięknie.

– To dobrze – rzekł ojciec. – Jak będziecie już gotowi, czeka na was późny obiad. A wieczorem przed kolacją chciałem jeszcze zamienić z tobą parę słów na osobności – zawiesił głos – a właściwie o coś cię spytać.

– Oczywiście. – W serce Karli wkradł się niepokój. – Kiedy tylko zechcesz.

Obiad jedli sami, tylko z Jankiem. Patrzyli na siebie z miłością, rozkochani, potrzebni sobie nawzajem. Nie widzieli burzy, która rozszalała się nad Klonowem, nie zwrócili nawet uwagi na to, że zgasło światło, a pokojówka wniosła do jadalni świece. Nic nie było ważniejsze niż oni sami dla siebie. Nic na całym świecie.

Gdy deszcz osłabł, do jadalni, w której nadal siedzieli pogrążeni w rozmowie, zajrzał Winicjusz.

– Janku – powiedział – musisz przeprosić Karłę. Przyjechał elektryk, dotrzymaj mu towarzystwa, będzie sprawdzał, czy zerwała się linia, czy też zepsuło się coś w samym pałacu. Telefon przecież działa.

– Tak jest – rzekł Janek. Uśmiechnął się do Karli. – Przepraszam. Zobaczymy się później.

Wyszli. Karla wstała od stołu i poszła do siebie.

Położyła się na łóżku. Nadal myślała o tym, co wydarzyło się nad jeziorem. O pośpiechu, z którym ściągali z siebie mokre ubrania, o mocnym,

dającym poczucie bezpieczeństwa przytuleni. O pocałunkach, o muskających się językach, o delikatności dotyku, o krótkim bólu i nieznośnej, narastającej, napływającej z całego ciała rozkoszy, wciąż większej i większej, zdawało się, że zmierzającej w nieskończoność, ale dobiegającej jednak kresu we wszechogarniającej jasności zaspokojenia. O tym, jak się nie wstydząc już swojej nagości, pływali w jeziorze, wygrzewali się w słońcu, nadzy, wolni, wymieniając pieśczęty i kochając się znowu...

Objęła mocno poduszkę i przytuliła ją do siebie. Czuła zmęczenie, ból w mięśniach narastał powoli. Marzyła, aby się zdrzemnąć, lecz w jej głowie kłębił się chaos myśli, nie pozwalając na sen. Wtem rozległo się pukanie do drzwi. Karla szybko odrzuciła od siebie poduszkę.

– Proszę – powiedziała.

Do pokoju wsunął się Emil.

– Straszna burza, prawda? – powiedziała, podnosząc się na łokciach. Z trudem panowała nad głosem. – Zmęczyła mnie ta przejażdżka, dobrze, że zdążyliśmy.

– To prawda. Burza też nie pomogła, sam czuję się senny. Ale nie o tym chciałem rozmawiać.

Niepokój, który tkwił gdzieś głęboko w dziewczynie, teraz wzmógł się na nowo.

– A o czym?

– Nie pytałem cię jeszcze o jedną rzecz, a zawsze chciałem.

Gdyby nie to, że w pokoju było dość ciemno, dostrzegłby bez trudu, że Karla pobladła.

– O co takiego? – spytała, siląc się na lekki ton.

Emil zawahał się, a Karla wstrzymała oddech.

– Wtedy w Juracie – zaczął Emil – kazałaś mi dać Kathy laxativum. Nie wiedziałem zupełnie, o co chodzi, ale zaufałem ci. Powiedziałaś mi, że zdradzisz mi to dopiero w dzień osiemnastych urodzin. Rozumiem, że chodziło o cezurę, a nie o ten jeden moment? Bo przecież jesteśmy już po twoich urodzinach.

Karla roześmiała się z ulgą.

– To prawda – przyznała. – Kathy poznała w Juracie chłopaka, który był fałszywym malarzem i lokalnym lowelasem. Była gotowa... pozować mu nago.

– Ale on był fałszywym malarzem, powiedziałaś przecież...

– Więc się domyślasz, tatusiu, do czego to pozowanie miałyby zmierzać? Uratowałam ją.

Emil uśmiechnął się.

– Czy więc – rzekł delikatnie – nie powinienem był uratować cię dziś rano, podobnie jak ty uratowałaś wtedy Kathy?

Teraz już nawet półmrok pokoju nie pomógł. Karla zbladła jak ściana.

– Powiem tylko tyle – wydobyła z siebie z najwyższym trudem – że miałabym ci to za złe.

– Domyślam się. – Emil pokiwał głową. – Pamiętaj, nie jestem księdzem, jestem lekarzem, dlatego myślę o podobnych sprawach po lekarsku i nowocześnie. Janka powiesiłbym za uszy, ale wystarczy mi świadomość, że nie będzie żadnych konsekwencji.

– Nie będzie – odpowiedziała pokornie Karla. – A tak naprawdę okaże się jutro–pojutrze, ale już czuję, że nie...

– I że, o ile to możliwe – ciągnął Emil, nie zważając na słowa Karli – poczekacie z kontaktami tego rodzaju przez jakiś czas.

– Przez jaki?

– W ciągu najbliższych dwóch lat – rzekł Emil stanowczo – będziecie widywali się rzadko. Nie za karę, i nie tylko dlatego, aby gorączkowość poczynań i brak skutecznej antykoncepcji nie wpłynęły na nasze wspólne plany. W te wakacje chyba nie uda się wam już zobaczyć. Janek jedzie na praktykę rolną w Poznańskie, ty zostaniesz ze mną najpierw w Byszewie, potem w Zakopanem, a potem, być może, pojedziemy nad morze. Plussem jest to, że nareszcie zagramy razem w brydża, może nawet na pieniądze. Trzeba ograć Makuszyńskiego, bo teraz to on się coś za bardzo przechwala. Minusem – że nie zobaczysz swojego lubego do przyszłego roku.

– Przyznaj, że to ukartowałeś. – Karla spojrzała na niego oskarżycielsko.

– Nigdy w życiu – oburzył się Emil. – Nawet gdyby nie ta chwila waszego zapomnienia, o której nie miałem pojęcia, póki się do niej przypadkiem nie przyznałaś, byłoby tak samo.

Karla pomilczała chwilę.

– Tatusiu?

– Słucham cię.

– Jesteś najlepszy.

Emil pokiwał głową.

– Bo jedyny – odparł. – Chyba ci nie muszę udzielać porad lekarskich ani pielęgnacyjnych? Masz robić mniej więcej to samo co z otarciami po jeździe konnej. A jeśli nie, zagoi się samo i szybko.

Tym razem Karla poczerwieniała ze wstydu.

– Daj spokój, córeczko – odezwał się pobłaźliwie ojciec już w drzwiach. – Teraz jestem lekarzem, nie ojcem. Na twoje szczęście.

Wyszedł. Karla odetchnęła głęboko. Nie mogła zobaczyć, że to samo, tuż za drzwiami, zrobił jej ojciec. Odetchnął głęboko i z niewyobrażalną wręcz ulgą oparł się o ścianę, jakby zbrakło mu sił.

[9] *Ubi...* (łac.) – Tam gdzie twój skarb, tam twoje serce.

# KRES CZASÓW

Lato i pierwszy rok londyńskich studiów Karli minęły tak, jakby czas gwałtownie przyspieszył. Wypoczęta po spokojnych, pełnych radości wakacjach w Byszewie, syta brydżowych triumfów w Zakopanem, wygrzana w bałtyckim piasku, szybko rzuciła się w wir oksfordzkich zajęć i nowych znajomości. Była zaskoczona tym, ile się dzieje na uczelni, którą – ograniczając się do nielicznych zajęć i spotkań z profesorem Penbridge’em – znała tylko od jej skostniałej, profesorskiej strony. Odrzucała w sobie pokusę zapisania się na wszystkie możliwe kółka zainteresowań, mając świadomość, że nie przyjechała do Oksfordu, żeby znaleźć sobie hobby na całe życie, lecz dla nauki.

Tak jak ustaliły z Dorothy, wynajęła mieszkanie w Oksfordzie, w jednym z maleńkich domków przy Saint John Street. Nie chciała mieszkać w bursie, nie potrafiła zmusić się do przyjęcia podejścia bogatych Anglików wysyłających najpierw dzieci do szkół, widujących je w najlepszym wypadku na święta i wakacje, a potem wpajających w nie, że jest to naturalna kolej rzeczy. Rozumiała już powoli, z czego wynika angielska rezerwa i jakaś obojętność w relacjach. Dorothy tłumaczyła, że to chęć strzeżenia własnej prywatności i szacunek dla prywatności innych, Karla ripostowała wtedy, że to zwyczajne odreagowanie braku szacunku dla tej prywatności wtedy, gdy jest to najbardziej potrzebne: kiedy jest się dzieckiem szukającym sposobu na określenie samego siebie, na wyznaczanie swoich granic, na zrozumienie, kto i na jakich warunkach może je przekraczać. Choć prawdę mówiąc, ta rezerwa na studiach nie była aż tak widoczna, w końcu byli młodzi, a tam gdzie niepewność rozróżnienia między tym, co można, a tym, czego nie wolno, była zbyt wielka – w grę wkraczały formy towarzyskie i wychowanie. Karla nie mogła w każdym razie narzekać na brak towarzyskiego powodzenia, choć sama zachowała swoją prywatność, nie zapraszając nikogo do malutkiego mieszkanka. Przyjmowano to, szczęśliwie, ze zrozumieniem.

Trzy trymestry Oksfordu zwały się Karli w jeden szczęśliwy czas. Janek, który zgodnie z umową i wolą ojca rozpoczął studia na Uniwersytecie Poznańskim, pisał często, a Karla, za zgodą Dorothy, na rozmowy z chłopcem zaczęła coraz bardziej nadwierać jej telefoniczny budżet. Doszło do tego, że od pewnej chwili zaczęła z Jankiem rozmawiać znacznie

częściej niż z ojcem. Do Emila dzwoniła jednak w sprawach szczególnie istotnych, a rozmowy z nim przeistaczały się nieraz w długie dyskusje. Tak długie, że Karla zaczęła stawiać przy telefonie klepsydrę, aby pamiętać, że gościnność gościnnością, lecz przyzwoitość nie pozwala na nadużywanie jej ani na jotę. Cóż, że Dorothy tłumaczyła pogodnie, iż aby przerozmawiać jej majątek, nie starczyłoby im obojgu życia. Karla pozostawała nieugięta.

Lord Ashley, kiedyś tak aktywny, zdawałoby się, że zniknął. Dziewczyna któregoś weekendu spytała o to nawet Dorothy.

– Ashley – rzekła – od czasów premierostwa Chamberlaina przestał się zajmować polityką. Miał z nim liczne zatargi, gdy Chamberlain był kanclerzem, i wiele razy powtarzał, że nie chce mieć z nim do czynienia. Za to odkąd to się stało, ponoć często ma kontakt z Emilem. Gdyby byli mniej zrównoważeni niż są, byłiby znakomitą lożą szyderców. A tak, tylko z rzadka słyszę od Ashleya jakiś *bon mot*, o którym wiem, że pochodzi z ust twego ojca. Zresztą lord powtarza, że gdyby porzucił politykę wcześniej, efekt byłby dokładnie ten sam, a przynajmniej byłby zdrowszy. Cierpi na wrzody żołądka, co biorąc pod uwagę jad, jaki leje się w tamtych stronach, jest dość naturalne, kuruje się ponoć, ale sama widuję go rzadko. Częściej jego żonę, ale to nie to co dawniej.

– Trochę szkoda – mruknęła Karla. – Pamiętam naszą zeszłoroczną rozmowę.

– On ją również pamięta. I bądź pewna, jeśli czegokolwiek będziesz potrzebowała, możesz się do niego zwrócić.

– Czego mogłabym potrzebować – roześmiała się Karla. – Dzięki ojcu i dzięki twojemu darowi mogę spokojnie studiować. Odsunęliście ode mnie wszystkie troski o jutro, więc o cóż miałabym prosić?

– Nie wiem. – Przyjaciółka wzruszyła ramionami z uśmiechem. – O wakacje w Ameryce?

– To by się pewnie dało zorganizować – ożywiła się Karla. – Pan Baring przenosi tam większą część interesów. Przebąkiwał coś nawet o przeprowadzce, tłumaczył, że sprawniej mu będzie zarządzać stamtąd ich fortuną...

– Wiesz to od Kathy? – przerwała jej zaskoczona Dorothy.

Karla opuściła głowę.

– Kathy – rzekła – nie odzywa się do mnie od czasu, gdy oficjalnie zaręczyła się z Peterem Cressleyem. Nie wiem dlaczego. Co gorsza, nie

odzywa się do mnie także Peter. Pamiętasz, ile czasu spędzaliśmy razem, ile rozmawialiśmy, to on pokazał mi Oksford. Nie, nie mówię o tym zwiedzaniu, kiedy się przypadkiem poznaliśmy. Poznał mnie z mnóstwem ludzi, wprowadził w ciekawe, zabawne kręgi towarzyskie.

Dorothy nie przerywała.

– Pan Baring sprawiał wrażenie niezwykle zakłopotanego całą sytuacją – ciągnęła Karla. – Ślub planują na wiosnę trzydziestego dziewiątego.

– Tak późno? – zdziwiła się Dorothy.

– Pan Baring wspomniał, że istnieją spore kontrowersje co do miejsca zamieszkania młodych. Kathy nie chce jechać do Stanów, Peter kończy studia, może liczyć tam na karierę w którymś z interesów przyszłego teścia, ale Kathy się na to nie zgadza. Chciałaby zamieszkać w Londynie, bywać w towarzystwie. Ma chyba dość Avebury Manor, potrzebuje ruchu. Pamiętasz, co wyprawiała, kiedy mieszkaliśmy razem.

– Wolę nie pamiętać – westchnęła Dorothy. – Co zrobić, niech im małżeństwo lekkim będzie, chociaż niezbyt dobrze to wszystko wróży.

– Peter był dla Kathy zdobyczą – rzekła z nutką rozgoryczenia Karla. – Wiele zrobiła, żeby z nią był.

– Jesteś niesprawiedliwa. Sama jej podsunęłaś ten pomysł. Przypominam. Zainwestowała w siebie, zaczęła czytać, zrobiła wiele, aby być dla Petera partnerką.

– Nigdy nie będzie – oświadczyła bezlitośnie dziewczyna.

Dorothy przyjrzała jej się uważnie.

– Przemawia przez ciebie zazdrość? Masz przecież Janka.

– To nie o to chodzi. Wiesz, jak było z Kathy, a ja naprawdę żałuję, że tak to się skończyło. I wprawdzie pan Baring powiedział, że on sobie nie wyobraża, abym nie była na ślubie jego córki, jednak ja sobie to wyobrażam. Dlatego jeśli jakimś trafem zostanę zaproszona na wesele, wymówię się dowolnym sposobem.

– Dostaniesz zaproszenie na ślub – odparła Dorothy – ale nie na wesele. Czy to tak trudno przewidzieć? I wtedy odmówisz przybycia, bo przecież zważywszy na to, jak blisko znałaś się z Kathy i jaką sympatią darzy cię jej rodzina, będzie to czytelny sygnał: trzymaj się jak najdalej.

– Pewnie masz rację – zgodziła się Karla. – Ale i tak szkoda.

Dorothy przyjrzała się Karli.

– Coś cię jeszcze dręczy – powiedziała.

Karla kiwnęła głową.

– Wakacje. Trymestr się prawie skończył, ojciec jakoś nie wspomina o tym, że miałabym przyjechać do Polski. Sam planuje się wybrać w sierpniu do Anglii, ale zbywa mnie półsłówkami. Janek wie niewiele więcej, w rodzinie jakieś majątkowe zamieszanie, złych wieści o panu Hieronimie należy się spodziewać lada chwila, bo od tygodni nie wstaje. Janek przez całe wakacje znów bawi na praktykach gdzieś w Poznańskim, nawet nie wiem, jak to przeprowadzić, aby się z nim zobaczyć choć na trochę. Jest przecież trzydziesty ósmy rok, w przyszłym roku ma obiecane i opłacone studia ekonomiczne w Cambridge...

– Idzie do konkurencji? – roześmiała się Dorothy. – I kto wymyślił w ogóle tę ekonomię?

– Sam Janek – przyznała Karla. – Powiedział, że Poznań nauczy go, jak uprawiać ziemię, a Cambridge, jak sprzedawać to, co się urodzi.

– Nie jest to takie głupie.

Dorothy nagle się zorientowała, że po raz pierwszy w życiu wie mniej o tym, co dzieje się w Klonowie, niż Karla. Zrozumiała, że coraz więcej kwestii jej umyka, że z Emilem rozmawia częściej o przeszłości niż o teraźniejszości i przyszłości. Powoli zaczęło do niej docierać, co to może oznaczać.

– Czyli wiele wskazuje, że zostaniesz tego lata na Wyspach – skwitowała. – Nic się nie martw. Pojedziecie z ojcem do Szkocji, lubiłaś tam być, pokażesz mu to i owo.

– Pojedziemy – poprawiła ją Karla. – Nie wyobrażam sobie, żebyś z nami nie pojechała.

– Zobaczymy. Wszystko przed nami. Gdzie jest teraz Emil?

– Pojechał do Byszewa. Ma tam być spotkanie rodzinne. Dałam mu wszystkie pełnomocnictwa jeszcze zeszłego roku. Nawet nie chcę wiedzieć, co się tam będzie działo.

Rzeczywiście, końcem czerwca Emil i wszyscy Sokolniccy pojawili się w Byszewie. Takiego zjazdu nie było od czasu pogrzebu pani Aleksandry. Zjawiała się nawet Barbara. Emil lustrował ją spod oka. Wyglądała źle, jej dawna arogancja i pewność własnej urody i uwodzicielskich możliwości prysły jak mydlana bańka. I choć nie sposób było podejrzewać, że

w Bilczycach Elżbiety i Antoniego mogłaby się czuć źle, to jednak była z niej rezygnacja człowieka, który się poddał bez walki.

Siedzieli nie w salonie, lecz w dawnym gabinecie pani Aleksandry. Byli tylko oni: Emil, Anna, Elżbieta, Konstanty i Barbara. Mecenas Szułdrzyński wymówił się delikatnie od obecności, słusznie uważając, że nie pomoże w niczym, a jego obecność będzie tylko przeszkodą. Rejent Moś, który przejął już większość interesów swojego mistrza i protektora, za jego radą zrobił to samo.

– Zwołałem to spotkanie – rzekł Emil – gdyż chciałbym porozmawiać na temat intrat byszewskich. Wasze spłaty są bezpieczne, majątek przynosi spodziewane zyski. Jednak nie to mnie niepokoi.

Obecni milczeli. Z głębi domu słyhać było brzmienie fortepianowych pasaży. To Olga grała którąś z sonat Mozarta. Lekko i zwiewnie, z nieomylną artykulacją. Emil po raz kolejny z wdzięcznością pomyślał o Karli i zduślił w sobie złe myśli o Konstantym.

– Niepokoi mnie sytuacja w kraju – rzekł.

Konstanty parsknął z niechęcią.

– A co cię właściwie tak niepokoi? – spytał. – To, że Litwa tej wiosny się wreszcie ukorzyła? Że jesteśmy mocarstwem? Że nie boimy się już walczyć na arenie dyplomatycznej o nasze prawa, a tam gdzie trzeba, również walczyć orężnie? Że wstaliśmy wreszcie z kolan i jesteśmy potęgą?

– Niepokoi mnie to – rzekł Emil spokojnie – że nie minął miesiąc, jak ogłoszono nowy plan mobilizacyjny. Że Hitler ogłosił się kanclerzem. Że zajął Austrię.

– Wojny nie będzie – odpowiedział z lekceważeniem Konstanty. – Nikt przy zdrowych zmysłach nie zaatakuje mocarstwa.

– Może i nie będzie – zgodził się nieoczekiwanie Emil. – Może nie będzie w tym roku, może nie będzie w przyszłym. Ale będzie na pewno.

– To po coś nas tu ściągnął? – spytała napastliwie Elżbieta. – Papiery mogłeś przesłać pocztą.

– A pieniądze telegraficznie – dodał złośliwie Emil. – Nowoczesność. Nie dlatego tutaj jesteśmy. Chciałem was powiadomić, że inwestycje, które zaplanowałem z błogosławieństwem Karli, zostają wstrzymane.

– Co to znaczy: wstrzymane? – oburzyła się Elżbieta.

Anna popatrzyła na nią z niesmakiem.

– To znaczy, że na razie ich nie będzie – mruknęła.

– Tartak i duży młyn wodny, jaki był w planach – ciągnął Emil – nie zostaną zbudowane ani uruchomione na wiosnę. Połowa pieniędzy zaoszczędzonych w ten sposób zostanie przeznaczona na wcześniejszą spłatę zobowiązań.

– A druga połowa? – zacietrzewiła się Elżbieta.

– Druga połowa jest własnością Karli – odezwała się nieoczekiwanie Barbara. – Nic nam do tego.

Emil z trudem ukrył zaskoczenie. Czegoś podobnego się nie spodziewał.

– Za zgodą Karli – ciągnął dalej – sprzedałem ze sporym zyskiem grunta nabyte w zeszłym roku i dołączone do majątku. W ten sposób wprowadzie dobra byszewskie znów mają ten sam areal co po śmierci nieodżałowanej pani Aleksandry Sokolnickiej, ale dzięki temu zwiększyła się rezerwa w gotówce, obrócona moim staraniem w złoto. Jest zdeponowana w lwowskim oddziale naszego banku.

– Złoto nie pracuje – oburzył się Konstanty. – Co będziemy z tego mieli?

– Ubezpieczenie – rzekł spokojnie Emil. – Tymczasem pozwolę sobie wypłacić należne wam raty z wykonania testamentu waszej matki. Tak jak poprzednio, proszę o podpisy kwitujące wypłatę.

Tego się nie spodziewali.

– Wypłatę? – zdziwiła się Anna. – Tak przed żniwami?

– Po żniwach się rozliczymy – obiecał Emil. – Powtórnie.

– No to dobrze. – Konstanty zatarł ręce. – Zawszeć to lepiej zarobić dwa razy do roku niż raz.

– Radziłbym każdą złotówkę obracać teraz na dwie strony, nim ją wydacie – zauważył Emil, sięgając po klucz do skarbczyka. – Chyba że naprawdę wierzycie, że wstaliśmy z kolan.

\*

Przyjazd Emila do Londynu w sierpniu stał się prawdziwym świętem. I choć nic na świecie nie mogło zrekompensować Karli rozłąki z ukochanym, to jednak tęsknota za ojcem była silniejsza, niż chciała się do tego przyznać.

– Teraz, tatusiu – powiedziała, kiedy już oderwała się od ojca – czas na mnie.

– Wychodzisz? – zdziwił się ojciec.

– Miałam na myśli to, że dotychczas ty organizowałeś mi czas. Tym razem moja kolej. Długo zabawisz?

– Trzy tygodnie. Z czego dzień–dwa muszę poświęcić na swoje sprawy, a przez dwa tygodnie jestem do twojej dyspozycji.

– Do naszej dyspozycji – poprawiła go Karla. – Dorothy jedzie z nami. Nawet sobie nie wyobrażam, by miało być inaczej.

– Cieszę się. Pojedziemy na wakacje. Ja tylko jeszcze muszę załatwić interesy w Londynie i jestem do dyspozycji. Jutro wyjadę na dwa dni. Musisz do tego czasu powściągnąć swoją niecierpliwość.

Następnego dnia Emil siedział w pociągu do Londynu. Na stacji zamówił taksówkę prosto do Coutts. Urzędnik siedzący w hallu podniósł na niego oczy.

– Emil Linde – rzekł. – Dyrektor mnie oczekuje.

Urzędnik zerknął w jakieś papiery, po czym wstał.

– Natychmiast pana zaprowadzę.

Emil kiwnął tylko sztywno głową.

Po chwili weszli do gabinetu dyrektora. Przywitali się, jakby się znali od lat, bo po prawdzie tak też było.

– Czym możemy służyć? – spytał dyrektor, gdy się już rozsiadli wygodnie.

– Przyjeżdżam właściwie w dwóch sprawach – rzekł Emil. – Prostsza znajduje się w tym kuferku. Ostrożnie, zawartość jest ciężka.

– Jak ciężka?

– Dwanaście kilogramów.

Dyrektor skinął głową.

– Na jaki rachunek?

– Na mój rachunek w złocie.

– Oczywiście. – Dyrektor sięgnął do przycisku dzwonka. Po krótkiej chwili pojawił się urzędnik. Mężczyzna wskazał mu kuferek.

– Proszę policzyć, przyjąć, zaksięgować na dobro pana Emila Lindego jako płatne w złocie na żądanie i przynieść pokwitowanie.

Urzędnik bez słowa zabrał kuferek od Emila i zniknął. Dyrektor otworzył pudełko z cygarami i poczęstował gościa. Doktor wyjął jedno.

Sięgnąwszy po srebrne pudełko z długimi, cygarowymi zapalnikami, dyrektor podał je Emilowi. Ten zapalił jedną, poczekał chwilę,

by siarczany zapach zniknął i nie psuł aromatu tytoniu, i przypalił cygaro.

– Sprawa druga – podjął po chwili. – Nie umiem przewidzieć tego, co się stanie za trzy lata. A właściwie umiem, lecz nie jestem w stanie podać dokładnych dat wydarzeń, które bez wątpienia nastąpią.

– Nie jesteśmy prorokami – zauważył dyrektor, zapalając swoje cygaro.

– Nie jesteśmy. Nie jesteśmy też nieśmiertelni. Dlatego chciałbym, aby to w państwa banku została zdeponowana moja ostatnia wola. Na kopercie znajdzie pan informację o wykonawcy testamentu i o tym, kto powinien być przy jego otwarciu. O ile, rzecz jasna, będzie to możliwe.

Tym razem dyrektor wstał, aby przyjąć dokument.

– Testament zostanie zarejestrowany – powiedział, gdy koperta znalazła się już w potężnym gabinetowym sejfie, stojącym w kącie pomieszczenia – a wszelkie płynące z niego zalecenia w razie smutnej okoliczności wypełnione.

– Ewentualnymi kosztami proszę obciążyć mój rachunek specjalny. Jest tam stosunkowo niewielka kwota, ale i tak wystarczająca. To właściwie wszystko. Pozostałe sprawy, takie jak wypłata niewielkich środków, załatwię przy okienku.

– Jak pan sobie życzy, choć możemy zrobić to tu i teraz.

– Nie – uśmiechnął się Emil. – Jak mawiał pewien mój znajomy, pieniądze wypłaca się w kantorze, a ważne sprawy załatwia w gabinecie.

– Pański znajomy jest mądrym człowiekiem – rzekł dyrektor. – Przy okazji, pozwolę sobie przywołać pewną dość zabawną sytuację, która wydarzyła mi się ostatnio. Otóż mój syn, opowiadając przy kolacji o swoich wynikach z ostatniego trymestru, przywołał pańskie nazwisko. Jest kolegą z tego samego fakultetu na uniwersytecie w Oksfordzie. Był pod silnym wrażeniem urody i inteligencji pańskiej córki.

– Sam jestem pod wrażeniem, więc jestem skłonny to zrozumieć – uśmiechnął się Emil.

Porozmawiali jeszcze może kwadrans. W końcu doktor zerknął na zegarek.

– Z przykrością muszę pana pożegnać – rzekł. – Ma pan z pewnością mnóstwo zajęć, a ja jestem w Londynie zaledwie przez dwa dni. Słowem – musimy szanować swój czas.

– Oczywiście.

Dyrektor uściśnął podaną mu przez Emila dłoń.

– Proszę być pewnym, że wszystkie pańskie dyspozycje zostaną wykonane co do joty.

– Jestem tego pewien. Mam nadzieję, że do zobaczenia.

Hotel był niedaleko. Emil wszedł do recepcji z taką pewnością, jakby wracał do domu.

– Emil Linde – rzekł. – Proszę o apartament na jedną noc. Proszę również powiadomić lorda Ashleya, że zatrzymałem się w państwa hotelu.

Recepcjonista skinął głową.

– Oczywiście, sir. Zaraz zaprowadzimy pana do apartamentu. Czy ma pan bagaże?

– Niewielkie. – Emil wskazał na walizkę i kuferek. – Nie potrzebuję pomocy.

W apartamencie Emil odświeżył się, po czym wyjął z walizki starannie złożony smoking i rozwiesił go na krześle. Ledwo zdążył wezwać pokojowego do wyprasowania koszuli, gdy zadzwonił telefon.

– Lord Ashley prosił o przekazanie, że jest niezwykle rad z pańskiego przybycia – zadudnił służbowo recepcjonista. – Zaprasza do siebie na dziewiętnastą trzydzieści.

– Strój?

– *Black tie.*

– Proszę potwierdzić przyjęcie zaproszenia. I przekazać wyrazy uszanowania.

Odłożył słuchawkę. Miał przed sobą cały spokojny dzień. Postanowił się przejść. Z hotelu na Trafalgar Square miał niedaleko. Szedł spacerkiem, niespiesznie, przyglądając się kamienicom, chłonąc widok londyńskiej codzienności zupełnie jakby to był ostatni raz. Zajrzał do National Gallery, przeszedł bez pośpiechu przez ekspozycje i wrócił do hotelu akurat o dobrej porze, by zjeść coś w znakomitej restauracji.

Punktualnie o wpół do ósmej pojawił się w londyńskiej rezydencji Ashleyów, w Belgravii.

Ashley był sam. Dom, choć dobrze utrzymany, był cichy i pusty.

– Centrum mojego życia jest teraz nasz wiejski majątek – rzekł, widząc zainteresowanie Emila. – Wiedziałem, że pan przyjedzie, książę, wolałem się spotkać sam na sam.

Emil, który przecież nie znosił, kiedy go tytułowano w ten sposób, powstrzymał się od uwagi.

– To miłe – powiedział. – Londyn nie jest już miejscem, które pamiętam z lat dwudziestych.

– Ani tym sprzed Wielkiej Wojny – zauważył Ashley. – To jednak nikogo nie powinno dziwić.

– Starzejemy się, więc wszystko wydaje nam się gorsze, niż w czasach młodości. Co nie zmienia faktu, że wszystko naprawdę idzie ku gorszemu.

– Oby nie dotyczyło to naszej kolacji – uśmiechnął się lord. – Zapraszam.

Gdy już siedzieli przy aperitifie – Emil przy kieliszku szampana, a Ashley przy szklaneczce z wodą – lord popatrzył na Emila.

– Jestem panu winien przeprosiny – rzekł.

– Mnie? – Emil był autentycznie zdziwiony.

– Nie poznałem się na panu w pierwszej chwili. Wiele słyszałem, nauczyłem się cenić opinię lady Hamilton-Smythe, ale nie wiedziałem, że pan jest tym, kim jest.

– Kim mianowicie?

– Mądrzejszą wersją mnie – rzekł smutno Ashley.

Emil zaśmiał się cicho.

– Dlatego, że odmówiłem wejścia w politykę? Wie pan, milordzie, równie dobrze jak ja, że ludzi zaczyna ogarniać szaleństwo. Powtarzam to od dawna. Nadchodzi kres czasów.

– Dlatego też nie chciał pan mi pomóc – rzekł bez wyrzutu Ashley.

– Nie jestem ani szpiegiem, ani analitykiem. Jestem człowiekiem, który planuje na wiele ruchów do przodu. Dlatego nim porozmawiamy o wojnie, która wkrótce nas wszystkich zmiecie, chciałbym prosić pana o przysługę.

– Zrobię wszystko, co będzie leżało w zasięgu moich możliwości – zapewnił Ashley.

– Otóż – Emil spojrzał Ashleyowi prosto w oczy – chciałbym, aby sprawił pan przez swoje stosunki, by moja córka przynajmniej przez dwa najbliższe lata nie mogła legalnie opuścić Wielkiej Brytanii.

– Do tego wystarczy zniszczyć jej paszport – roześmiał się Ashley.

Jego uśmiech zgasł jednak, gdy zobaczył wzrok Emila.

– Tego jednego nie mogę zrobić – rzekł Emil. – Za to chciałbym również uniknąć sytuacji, w której Karla uzyska w tym czasie paszport brytyjski.

– Rzeczywiście, w teorii mogłaby się starać o naturalizację. Czy mówi pan o tym z niechęcią ze względów patriotycznych?

– Nie. W moim pojęciu patriotyzm ma niewiele wspólnego z posiadanym paszportem. Mówię o tym z niechęcią, albowiem moim jedynym celem jest zapewnienie biologicznego przetrwania mojej jedynej córce. A jak się uda, to i jej przyszłemu narzeczonemu, który zapewne w przyszłym roku przyjedzie na studia do Cambridge.

– Rzeczywiście, planuje pan na wiele ruchów do przodu – mruknął Ashley.

– Nie zajmuję się planowaniem prywatnego życia córce – powiedział sucho Emil. – To ona wybrała, i wybrała, jak sędzę, dobrze. Oczywiście o ile w moim przyszłym zięciu pokoleniowe fatum nie przeważy nad instynktem samozachowawczym i najmłodszy pan Donimirski nie da się zbyt łatwo zabić.

– Pokoleniowe fatum?

– Rodziny takie jak moja czy Karli wiele razy traciły dosłownie wszystko – powiedział Emil. – Mężczyźni ginęli, zostawały kobiety. Natomiast ci mężczyźni, którzy przeżyli, mogli być albo tchórzami, albo szczęśliwcami. Kobiety takie jak babka Karli brały raczej szczęśliwców niż tchórze. Mój przyszły zięć nie jest tchórzem, szczęśliwcem jest za to jego ojciec. Dlatego się boję o przyszłość. Córki i jego.

– Ciekawa teoria – zauważył Ashley. – Więc mówi pan...

– Nic nie mówię – uciał doktor. – Jeśli moje przepowiednie się nie sprawdzą, będę najszcześniejszym z ludzi.

– A pan? Jak w tym wszystkim się mieści?

– Ja jestem szczęśliwcem. Uszedłem śmierci o włos.

– Zostanie pan zmobilizowany?

– Jako lekarz wojskowy zapewne tak.

– Ale nie jako żołnierz i oficer? Utrzyma pan przecież jeszcze karabin.

Emil pokręcił przecząco głową. Odsunął krzesło i wstał od stołu. Ashley patrzył na niego pełnym zdziwienia wzrokiem. Doktor obrócił lewą, opuszczoną swobodnie dłoń wnętrzem do góry i zaczął wolno podnosić rękę. Kiedy się znalazła na wysokości barku, całą ręką wstrząsnął

niekontrolowany dygot, który jął się nasilać. Ashley aż się wzdrygnął, rozumiejąc, że Emil nie panuje nad tym zupełnie. Doktor opuścił dłoń i znów ją podniósł. I znów Ashley aż wzdrygnął się na ten widok.

– To cena za to, że przeżyłem – rzekł Emil, ponownie siadając przy stole. – Już nigdy nie podniosę broni do oka. Mogę natomiast bez problemów ucinać ludziom zmiażdżone przez szrapnele ręce i nogi. Na rannych leżących na stole operacyjnym patrzę raczej z góry niż pod górę.

– Rozumiem – rzekł Ashley. – Co do pańskiej prośby, zgoda. Panna Karla Linde nie opuści przez najbliższe dwa lata terenu Wielkiej Brytanii. I póki nie pojawi się w konsulacie po wizę lub nie zjawi się na granicy – sama się o tym nie dowie.

– Jestem panu winien przysługę – powiedział Emil.

Ashley pokręcił głową.

– Nic pan nie jest mi winien – rzekł. – Wziąłem więcej, niż daję. Liczę jednak, że pozostaniemy przyjaciółmi. – Urwał. – Wnoszą pierwsze danie, zostawmy te dyskusje. Wrócimy do nich na pewno później. Noc jest jeszcze młoda.

Emil wrócił do domu Dorothy nazajutrz, zmęczony, ale jakby uspokojony. Trzy tygodnie, jakie go teraz czekały, należało jak najlepiej wykorzystać.

I tak się też stało. Karla dotrzymała słowa – po raz pierwszy w życiu to ona zorganizowała swojemu ojcu wakacje. I choć troska była obopólna, bo Karli doskwierała niemożność spotkania z Jankiem, na które tak bardzo liczyła, to jednak Emil poczuł, że miłość córki trwa, choć przecież tak niedawno skończyła dziewiętnasty rok życia. Tym bardziej dręczyła go jednak nielojalność, jakiej się dopuścił. I niczego, ale to niczego nie zmieniał fakt, że stało się to w najlepszej wierze. W cichości ducha liczył, że do takiej sytuacji nigdy nie dojdzie, choć co do przyszłości świata nie miał złudzeń.

Emil wypłynął tym razem z Edynburga do Kopenhagi niewielkim stateczkiem, podobnym do tego, którym podróżowały z Dorothy ostatnim razem. Głowę miał pełną myśli o tym, jak przygotować wszystko na to, co się może wydarzyć. A po układzie monachijskim – na to, co w opinii Emila stało się nieuchronne.

Z końcem kwietnia trzydziestego dziewiątego roku Kathy Baring stała się oficjalnie lady Peterową Cressley. Stało się tak, jak przewidziała Dorothy. Karla otrzymała zaproszenie na uroczystość, która odbyła się w kościele Saint James w Avebury, w tym samym, w którym nie tak dawno wzruszała się, słuchając *Jerusalem*. Wysłała grzeczną, acz chłodną odpowiedź, w której pogratulowała młodym szczęścia i z żalem informowała, że na skutek pilnych zajęć nie może być obecna na tej podniosłej uroczystości.

\*

Kiedy w piątkowy wieczór zadzwoniła do Emila, nie rozmawiali jednak o tym.

– Słyszałeś to? – emocjonowała się. – Słyszałeś?

– Mówisz o Becku? – Głos Emila brzmiał głucho w słuchawce. – Słyszałem.

Chłód w jego głosie zdumiał Karłę.

– I nie przekonały cię te słowa o honorze? – spytała z niedowierzaniem.

– Przemówienie rzeczywiście dobre – rzekł z goryczą Emil. – Szkoda, że potrafi tylko przemawiać.

– Jak możesz tak mówić?

– Chcesz naprawdę wiedzieć, co myślę?

– Chcę. Bo mam wrażenie, że po raz pierwszy od dawna rozmijamy się zasadniczo.

– Nie aż tak zasadniczo. – Głos Emila wciąż był pełen goryczy. – Zapamiętałaś z tego przemówienia tylko to, co Beck mówił o honorze. A ja powiem ci jedno. Kiedy w odpowiednim czasie nie stało mądrości, pozostał już tylko honor. Z honorem się ginie, ale to mądrością się zwycięża. Przynajmniej w dyplomacji. Wszystko to, o czym Beck nie wspomniał w swoim przemówieniu, składa się na długą listę jego błędów. A dyplomację na takie błędy, jakie raz po raz popełniał, zwyczajnie nie stać. Talleyrand mawiał: to gorsze niż głupota, to błąd. I tak właśnie było. Śmiali się ze mnie wszyscy, a teraz wojna jest na wyciągnięcie ręki.

Karla poczuła, jak uchodzi z niej wszelki zapach.

– W sierpniu przyjadę – powiedziała. – Pomogę Jankowi się zebrać.

– Mowy nie ma. – Głos Emila brzmiał twardo. – To Janek przyjedzie, a raczej przypłynie, lepiej, żeby nie jechał przez Niemcy. Ty zostajesz.

– Nie zmienię planów – odrzekła Karla. – Musimy się spotkać wspólnie. Ty, Janek, Winicjusz i ja.

– Wiem, o czym myślisz. Nasza odpowiedź brzmi: zgadzamy się. Pobierzcie się w przyszłym roku, w Londynie, Nowym Jorku, wszystko jedno. Ale ty nie ruszysz się w te wakacje z Anglii ani na krok. Musisz mi to przysiąc. Macie nasze słowo, ale musicie, pewnie po raz ostatni, spełnić naszą wolę. Janek jeszcze w sierpniu popłynie do Anglii.

– Pobierzemy się w przyszłym roku w Klonowie – odrzekła stanowczo Karla. – A ja przyjadę, i to jeszcze w lipcu.

– Powiedziałem. – Emil chyba po raz pierwszy stracił zimną krew. – Nie przyjedziesz do Polski, póki ci nie powiem, że możesz to zrobić.

– Nie możesz mi niczego nakazać – postawiła się Karla. – W żadnym wypadku. Jestem pełnoletnia, mam paszport, mam środki na podróż. Przyjadę w lipcu, pobędę w Klonowie, trochę w Byszewie, nad morzem i w sierpniu, najpóźniej we wrześniu ruszymy do Anglii.

– Jeżeli chcesz – powiedział Emil – skłonię Winicjusza, żeby wcześniej wypuścił Janka. Nawet bez odbycia wakacyjnych praktyk. Na twój wyjazd kategorycznie się nie zgadzam.

– Porozmawiamy o tym jeszcze. – Dziewczyna złagodziła ton. Zachodziła w głowę, co właściwie się stało. Chyba że...

– Coś przede mną ukrywasz – powiedziała nagle. – Z jakichś przyczyn nie chcesz się zgodzić, żebym przyjechała. Co się stało? Coś w domu? Coś z matką? Czy może...

– Czy może znalazłem sobie kochankę? Otóż nie – uciał Emil. – Pisałaś analizy polityczne, bawiłaś się nieźle w nakłuwanie balona dmuchanego w politycznych sferach konserwatystów, a pytasz mnie, co ukrywam? Możesz przyjąć, że od dzisiaj, od dnia piątego maja, jesteśmy w stanie wojny z Niemcami.

– Panikujesz – rzekła bezlitośnie Karla. – Nic się nie stanie.

– Tylko mi potem nie mów, że przepowiedział to inżynier Ossowiecki – zadrwił Emil. – Bo jeśli tego jeszcze nie zrobił, to na pewno tak się stanie.

– Kto? – zdumiała się Karla.

– Nieważne, nie będziemy tu opowiadać sobie o bzdurach. Muszę kończyć. Kocham cię, Karlo.

– Ja ciebie też, tato – odpowiedziała. – Mimo wszystko.

Odłożyła słuchawkę i poszła do salonu. Dorothy siedziała z książką, w kominku palił się ogień.

– Coś się stało? – spytała, widząc niewyraźną minę Karli.

– Sama jeszcze nie wiem – powiedziała szczerze dziewczyna. – Ojciec żąda kategorycznie, żebym nie przyjeżdżała tego lata do Polski, a raczej mówi, że ułatwi Jankowi wcześniejszy przyjazd.

– I coś jeszcze?

– W zasadzie... – rzekła niepewnie Karla – to tak, jakby powiedział, że jeśli chcemy, możemy wziąć ślub...

Dorothy zatrasnęła książkę.

– I ty to mówisz tak spokojnie? – spytała z uśmiechem.

– Bo... – zająknęła się – nie rozumiem tego wszystkiego. To dziwne. Ojciec nigdy mi niczego nie kazał. Zawsze prosił, zawsze tłumaczył. Teraz już nie.

– Jesteś dorosła – zauważyła Dorothy. – Koniec taryfy ulgowej. Teraz czas na spory, jesteś już partnerką, nie dzieckiem.

– Zawsze byłam partnerką – sprzeciwiła się Karla. – Muszę porozmawiać z Jankiem. Na razie mam na głowie trymestr i mnóstwo spraw. Na rozmowę o wakacjach jeszcze przyjdzie czas.

Czas nadszedł z początkiem lipca. Wtedy to udało się Karli nareszcie dopaść telefonicznie Janka.

– Wiem już o zgodzie naszych ojców co do naszego małżeństwa – powiedział. – Stryj Emil...

– Skończ już z tym stryjem – zgromiła go Karla.

– Pan Emil – poprawił się Janek – nastawał na ojca, żebym jechał do Anglii przed czasem. Ojciec nie chciał się zgodzić, boby to oznaczało, że nie zaliczę praktyk. Pokłócili się wtedy chyba pierwszy raz w życiu, a na pewno pierwszy w mojej obecności.

– Słyszałeś to?

– Nie wszystko – odparł z żalem Janek. – Kazali mi wyjść, ja posłuchałem.

– I na czym stanęło?

– Mój ojciec się ugiął. Zorganizowali wszystko na dwudziestego sierpnia. Wcześniej nie było szans na statek. Płynę przez Kopenhagę.

– Nie rozumiem – zniecierpliwiła się Karla – co on z tą Kopenhagą. Bez sensu to wszystko. Przyjadę po ciebie. Będzie nam rażniej.

– Ani się waż – zaprotestował Janek. – Twój ojciec zakazał tego stanowczo.

– W nosie mam jego zakazy.

– Nie rób tego, proszę.

– Ty też masz coś do ukrycia? – Głos Karli był oskarżycielski.

– Ja... – Janek nie wiedział, jak powiedzieć to, co myślał – ja sądzę, że wojna będzie. I nie wiem, czy wolno mi teraz wyjeżdżać, czy nie tchórzę...

– Jeśli chcesz zostać – powiedziała Karla stanowczo – to tylko ze mną. A jeśli chcesz wyjechać, tym bardziej. Jutro idę do przedstawicielstwa duńskiego. Dania jest neutralna...

– I dlatego chcę, żebym przez nią płynął – mruknął Janek. – Proszę, nie rób tego.

– Zadzwoń jutro – powiedziała i odłożyła słuchawkę. Poszła do sekretarzyka i wyjęła swój paszport. Ważny był jeszcze przez rok.

– Jutro jadę do Londynu – powiedziała stanowczo do Dorothy. Przyjaciółka zerknęła na nią zdziwiona.

– Jeśli chcesz, pojedę z tobą – zaofiarowała się. – Mam tam trochę spraw, muszę zajrzeć w dwa, trzy miejsca...

– Jeśli chcesz wiedzieć, co będę robiła, to nic zdrożnego.

– Możemy się rozstać na dworcu – kusiała Dorothy – i umówić na dworcu na pociąg powrotny.

Karla zawahała się. Zawsze to było coś, urozmaicenie ponadgodzinnej jazdy z Oksfordu nie było czymś do pogardzenia.

– Zgoda – rzekła. – Jedziemy razem. Jutro.

Nazajutrz podróż rzeczywiście minęła im błyskawicznie. Tak jak ustaliły, na dworcu rozdzieliły się. Karla ruszyła w stronę postoi taksówek, Dorothy marudziła jeszcze chwilę, po czym poszła w przeciwnym kierunku. Karla szybko wsiadła do pierwszego z brzegu auta i podała adres.

Dojechali za niespełna dziesięć minut. Przedstawicielstwo było niemalże puste. Karla podeszła do urzędnika.

– Poproszę formularz na wizę tranzytową – powiedziała. – Ważną dwa miesiące.

Urzędnik zerknął na nią zaskoczony. Podsunął jej formularz.

– Proszę wypełnić. Tymczasem poproszę o pani paszport.

Karla podała swój polski dokument. Urzędnik wydawał się jeszcze bardziej zaskoczony.

– Pani chce... wracać?

– W pewnym sensie. – Karla nie widziała potrzeby wtajemniczenia urzędnika w swoje prywatne plany.

Mężczyzna nie pytał o nic więcej. Spisał numer paszportu i sięgnął do oprawnego w zieloną skórę brulionu. Tymczasem Karla wypełniła formularz. Podniosła znad niego oczy akurat w chwili, w której urzędnik, wyraźnie zakłopotany, zbierał się, by coś jej powiedzieć.

– Coś nie w porządku? – spytała swobodnie.

– Bardzo mi przykro – powiedział urzędnik – ale muszę zatrzymać pani paszport.

Karla przywołała na pomoc całe swoje opanowanie.

– Obawiam się, że zaszła jakaś pomyłka – powiedziała chłodno. – Czy zechce mi pan wyjaśnić, na jakiej podstawie?

– Numer pani paszportu jest zarejestrowany jako skradziony – oświadczył urzędnik.

– Przepraszam – Karli wydało się, że śni – ale jest mój, więc gdyby został skradziony nie przyniosłabym go tutaj.

– Przykro mi – rzekł sucho urzędnik. – Mam obowiązek zatrzymać paszport, a pani nie może opuścić przedstawicielstwa. Policja została już wezwana.

Na oczach zmartwiałej z wrażenia Karli olbrzymimi nożycami przeciął róg książeczki paszportowej.

– Co pan zrobił?! – krzyknęła.

– Mam wyraźne instrukcje – wyrecytował. – Każdy dokument, który figuruje w rejestrze jako skradziony, jest unieważniony w momencie zgłoszenia, a w chwili jego odnalezienia należy go zniszczyć.

– Chcę porozmawiać z pańskim przełożonym.

– Przykro mi, jest nieuchwytny.

W tej samej chwili Karla zobaczyła dwóch mężczyzn wchodzących do biura.

– Oddaję tę panią do panów dyspozycji – powiedział urzędnik. – Posługiwała się skradzionym paszportem.

– Czy może pani potwierdzić swoją tożsamość? – zapytał bez wstępów jeden z nich. Karla uświadomiła sobie, że jedynym dokumentem, jaki miała przy sobie, był tylko jej paszport, a ten leżał przecięty na biurku.

– Potwierdzić moją tożsamość może lady Dorothy Hamilton-Smythe, z którą wybrałam się do Londynu – powiedziała. – Mieszkam w Oksfordzie, studiuje na uniwersytecie.

– I ja mam uwierzyć, że pochodzi pani... – Cywil wziął do ręki jej zdemolowany paszport. – ... z Polski?

– Nie będę dla pańskiej przyjemności mówiła po angielsku z polskim akcentem – syknęła wściekła Karla. – Z mojej perspektywy wygląda to następująco: w wyniku zdumiewającej pomyłki mój paszport, który od mojego ostatniego pobytu w Polsce leżał bezpiecznie w sekretarzyku, został uznany za skradziony. Mimo tego, że posługuje się nim jego prawowita właścicielka, urzędnik bezprawnie go zniszczył, a ja do tego wszystkiego tłumaczę się dwóm dziwnym wezwanym przez niego mężczyznom, którzy nie zadali sobie nawet trudu, aby się przedstawić.

– Przykro nam. – Agenci nadal nie zamierzali sobie zadać takiego trudu. – Ale musimy pojechać z panią na komisariat.

– Nim się panowie nie wylegitymują, nie ma mowy – rzekła stanowczo Karla. – To ja wezwę policję, która uświadomi panom, jakie prawa ma obywatel...

– ... obcego kraju, oskarżony o posługiwanie się kradzionym paszportem – uzupełnił spokojnie drugi z agentów. – Zapraszam.

Karla zrozumiała, że opór nic nie da. Wściekła, w towarzystwie obu panów wyszła z przedstawicielstwa. Wsiadła do samochodu.

– Mam nadzieję, że wyjaśnicie to szybko. O siedemnastej mam pociąg.

Karla została wypuszczona trochę po piętnastej. Spisano jej zeznania, sprawdzono tożsamość, dzwoniąc do kwestury Uniwersytetu Oksfordzkiego i ambasady polskiej.

– W jaki sposób – spytała na odchodnym – mogę odzyskać mój paszport?

– W taki, w jaki go pani pozyskała – rzucił jeden z agentów. – Proszę zgłosić się do ambasady polskiej. Choć nie sądzę, by ktokolwiek miał tam głowę do takich spraw.

Na dworzec zdążyła niemal w ostatniej chwili. Dorothy zaniepokojona czekała na peronie.

- Nie uwierzysz, co mnie spotkało – wydyszała z wściekłością Karla.
- Dostałaś mandat za przechodzenie przez ulicę?
- Znacznie gorzej. Wsiadamy, wszystko ci opowiem.

Dorothy słuchała uważnie.

- Wiesz – powiedziała – to jakiś znak.
- Znak?

– Fatum. Każe ci zostać i czekać spokojnie na Janka. Skąd w ogóle ten głupi pomysł o wyjeździe? Tylko po to, by się przeciwstawić ojcu? Masz tysiąc lepszych sposobów, możesz na przykład nie wychodzić za Donimirskiego.

- Chyba oszalałaś – oburzyła się Karla.

– Nie, tylko żartowałam – rzekła pogodnie Dorothy. – Jeśli ci tak bardzo zależy, jutro zadzwonisz do ambasady.

– A pewnie, że zadzwonię. Za chwilę się okaże, że przebywam w Anglii nielegalnie.

– Mogę ci pomóc załatwić jakiś tymczasowy dokument tożsamości, ale nie wyjedziesz z nim za granicę. Unikniesz tylko kłopotów.

- Dobrze i to – westchnęła ciężko Karla. – Cóż za koszmarne dzień...

Gdy tylko wróciły, Karla zamówiła rozmowę ze Strzałkowem, przeklinając los, który rzucił Janka w miejscowość trudną dla angielskich telefonistek nawet po przeliterowaniu. Gdy ją połączono, szybko streściła sytuację.

– Mówiłem – rzekł chłopak. – To nie był najlepszy pomysł. Ruszam dwudziestego sierpnia. Kocham cię.

- Ja ciebie też – rzekła Karla. – Teraz już nic nie może się zdarzyć.

Jednak los był bardziej bezwzględny, niż ktokolwiek mógł przewidzieć. Osiemnastego sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku opuścił ten świat Hieronim Donimirski, stary pan na Klonowie.

Pochowano go dwudziestego trzeciego sierpnia w rodzinnym grobowcu Donimirskich w Klonowie. Za trumną, prowadzona przez Janka, szła pani Aniela. Spokojna, jakby pogodzona z losem, nie na darmo tłumacząca od lat, że gdy Hieronim odejdzie, będzie to również i dla niej znak, by się żegnać ze światem. Przyjechałaomalże cała rodzina, wyjąwszy Bolesława z bliskimi, którzy po historii z Karłą uznani zostali za czarne owce i nie zanosilo się na

to, by w dającym się przewidzieć czasie mogli być przyjmowani w Klonowie. W kondukcje na poczesnym miejscu szedł również i Emil.

– Po raz pierwszy i ostatni Hieronim mnie zawiódł – powiedział do Winicjusza, gdy wracali do pałacyku, wypuściwszy przed siebie pozostałych żałobników. – Gdyby umarł dwa dni później... Popatrz, to była jedyna sprawa, która mogła skłonić Janka do pozostania. Następny możliwy termin wyjazdu to czwarty września, masz pojęcie?

– Co się odwlecze... – zaczął Winicjusz, lecz zmartwiało, gdy zobaczył ściętą niepokojem twarz Emila.

– Nie rozumiesz? – przerwał mu. – Będzie mobilizacja. Za chwilę zamkną granice. Idź do kościoła i módl się, rozumiesz? Módl się, żeby twoje szczęście przeszło na niego, bo już nic innego nam nie pozostaje.

– A ty?

– Ja jadę dzisiaj do Warszawy i dalej do Krakowa – rzekł Emil. – Kończę przygotowania. Muszę zdążyć na ostatni ekspres. Postaram się jeszcze coś zrobić z Jankiem. Przez Wiedeń samolotem się nie da, przez Niemcy to już niemożliwe. Trasa rumuńska też właściwie odpada. Pozostaje tylko północna, może jakimś cudem coś załatwię. Będę informował telegraficznie.

– Nie martw się – rzekł Winicjusz. – Może nie będzie tak źle.

Emil spojrział na przyjaciela.

– Wiesz, że możemy się już nie zobaczyć?

– Wiem – rzekł lakonicznie Winicjusz. – Ale każdy z nas żegnał się wiele razy z życiem. Nic nowego. Chodź, niech cię obejmę.

– Pilnuj Janka – powiedział Emil, gdy się wyzwolił już z uścisku. – Musi się wydostać. Oby zdążył przed mobilizacją, potem będzie za późno na cokolwiek. Idź się modlić. Jadę natychmiast.

– Ignacy cię odwiezie.

– Dziękuję. Ukłoń się ode mnie Krystynie i powiedz Jankowi, że cokolwiek się będzie działo, ma przeżyć. Niech o tym pamięta. Żegnaj, Winicjuszu. Nie wychodź za mną, nie czas na ckliwe pożegnania.

– Żegnaj, Emilianie – powiedział cicho Winicjusz. – Albo do zobaczenia. Na ziemi lub na bożym sądzie.

Kilka dni później Emil stał w swoim gabinecie, gotowy do wyjścia. Miał niewiele bagażu. Stali przed nim Józia i Paweł.

– Macie mieć pieczę nad domem – powiedział Emil. – Nikt nie wie, co się teraz wydarzy ani kiedy się zacznie. Mam przydział mobilizacyjny, nie wiem, czy ani kiedy wrócę.

– Ale proszę pana... – wyjęczała zapłakana Józia.

– Niech Józia mi nie przerywa – rzekł beznamiętnie Emil. – W skrzyneczce, tej na pieniądze, zostawiłem tyle, że utrzymacie się przez rok, a może i dwa. Nie wypowiadam wam. Tydzień temu kazałem radcy dbać o was tak długo, jak to możliwe, ale on też ma przydział, więc musicie sobie dać radę sami. W razie czego – wykarmi was fortepian, zapamiętajcie to sobie.

Paweł spojrział na Józję. W jego oczach widać było myśl, iż jego pracodawca zwariował. Tymczasem Emil omiótł wzrokiem gabinet, puste miejsca po obrazach, gładz karciaka, na którym jeszcze tak niedawno leżały rodzinne bibeloty.

– Jeśli dobrze policzyłem, rzeczy dla Karli powinny być już w Londynie – rzekł. – Napisałem jej, że modlicie się za nią.

– Dobrze, że ona tam jest – zachlipała Józia. – Jak dobrze!...Będę się modliła bez przerwy.

– Niech Józia wspomni też o mnie – mruknął wzruszony Emil. – Z Bogiem. Niech się stanie jego wola.

– Amen – chlipnęła ponownie Józia i mocno objęła swego pracodawcę. Paweł poszedł w jego ślady.

– I pamiętajcie – rzekł Emil – przede wszystkim Karla. Obyście się z nią jeszcze zobaczyli.

Po czym odwrócił się, zabrał rzeczy i wyszedł. Drzwi trzasnęły głucho. Kroki na schodach oddalały się coraz bardziej i bardziej. Wreszcie zapadła cisza.

\*

Karla była załamana. Wieść o śmierci Hieronima przybiła ją zupełnie, ale gdy dowiedziała się, że Janek nie wypłynie dwudziestego do Kopenhagi, jej rozpacz sięgnęła zenitu. Zapowiadany czwarty września wydał się jej datą nieprawdopodobnie odległą, równie abstrakcyjną jak dziesięć czy dwadzieścia lat. Dorothy próbowała za wszelką cenę ją pocieszyć, lecz wieści z Polski szły coraz dramatyczniejsze. Jakąś nadzieję przyniosła wiadomość o podpisaniu traktatu o pomocy militarnej między Polską

a Anglią, ale nadzieja ta szczyła z chwilą, gdy w radiu usłyszała wieść o powszechnej mobilizacji. Zrozumiała, że nic, żadna siła nie sprawi, by Janek wyjechał z Polski. Siedziała w kompletnym bezruchu na łóżku, wpatrzona w ścianę swego mieszkania w Oksfordzie.

Tego samego dnia do majątku Dorothy pod Oksfordem przyjechała ciężarówka pocztowa. Dwóch tragarzy wniosło do jadalni dwie spore, drewniane skrzynie.

– Cóż to jest? – spytała zaskoczona Dorothy.

Tragarz tylko wzruszył ramionami.

– Proszę pokwitować – powiedział.

Dorothy, nie patrząc, złożyła na kartce swój podpis. Chwilę później usłyszała warkot ciężarówki i po chwili zaległa cisza. Zerknęła na list przewozowy. Poczuła, że robi się jej nieznośnie gorąco. Nadawcą był niejaki Emil Linde z Krakowa. Odbiorcą – Karla Linde c/o Dorothy Hamilton-Smythe, w majątku Headington. Dorothy nie wahała się ani przez chwilę. Wybiegła z domu, wskoczyła w swój kabriolet i z wyciem silnika ruszyła do Oksfordu. Po kwadransie parkowała przed domem Karli. Z impetem, który nie przystawał sześćdziesięciolatce, wpadła przez uchylone drzwi i skacząc po dwa stopnie, wbiegła na piętro zajmowane przez Karłę. Bez pukania wtargnęła do środka. Dziewczyna siedziała nadal na łóżku. Miała suche oczy, a na twarzy wyraz rozpacz.

– Jedziemy – zakomenderowała Dorothy. – Natychmiast!

– Ale... ale...

– Żadnego ale. – Dorothy pociągnęła słabo opierającą się dziewczynę za sobą. – Powiedziałam, natychmiast!

Zeszły na dół. Dorothy wręcz wepchnęła Karłę do samochodu, sama zaś wskoczyła za kierownicę. Droga w drugą stronę potrwała jeszcze krócej. Karla zaczęła rozumieć, że dzieje się coś dziwnego.

– Co się stało?

– Nie wiem. – Dorothy zerknęła na nią. – Jeszcze nie wiem. Może się dowiemy.

Wjechała z takim impetem na podjazd, że sypnęła zwirom na klomb kwiatowy. Stojący przy nim George popatrzył z wyrzutem. Dorothy nawet nie siła się na przeprosiny. Wciągnęła Karłę do jadalni.

– To przyszło przed chwilą pocztą – powiedziała.

– Co to jest?

– Nie wiem, co to jest – rzekła Dorothy – ale wiem od kogo.

Kiedy wstrząśnięta Karla patrzyła na imię i nazwisko ojca na liście przewozowym, Dorothy dzwoniła już ręcznym dzwonkiem. Do jadalni wpadła Susan.

– Wezwij natychmiast Georga – poleciła. – Niech przyniesie obcęgi do hufnali i łom.

Susan przerażona gwałtownością zachowań swej pani, zniknęła w popłochu. Po chwili w jadalni pojawił się George.

– Odbij wieko obu skrzyń i idź – rozkazała.

George sprawnie wyciągnął gwoździe i podważył nieheblowane, sosnowe deski skrzyni. Po chwili wieka stały obok skrzyń.

– Idź już – powiedziała Dorothy. Podeszła do drzwi i zamknęła je za masztalerzem.

– Jesteś gotowa? – zapytała.

Karla kiwnęła głową. Odsłoniły razem płótno, w które spowita była zawartość. Karli zaparło dech, a Dorothy westchnęła. Ze skrzyni patrzyła na nich poważnym, smutnym wzrokiem Karla. Pogorzelsko, z którego wyrastała głowa Karli, w świetle słońca zdawało się płonąć czerwienią.

– Kres czasów – powiedziała głucho Karla. – Jak zwykle miałeś rację, tato.

Każdy z następnych dni był już gorszy od poprzedniego. Pierwszego września rano Karla, która na jakiś czas postanowiła przeprowadzić się do Dorothy, usłyszała z radia o ataku Niemiec na Polskę. Z przerażeniem i bólem chłonęła skąpe, ale i tak przerażające wiadomości o atakach na ludność cywilną, o polowaniach z samolotów na kolumny cywilnych uchodźców, o postęпах wojsk niemieckich. Oburzenie budziła bierność Anglii i Francji; gdy na trzeci dzień rozeszła się wiadomość o wypowiedzeniu przez nie wojny Niemcom, w sercu Karli zatliła się nieśmiała nadzieja. Jednakże za deklaracjami wypowiedzenia wojny nie poszło właściwie nic. Dziewięć dni później Wielka Brytania i Francja uznały, że nie udzielą Polsce militarnej pomocy.

Tymczasem wieści, które dochodziły z Polski, to niekończąca się opowieść o honorze, męstwie i rozpaczliwym bohaterstwie. Obrona i upadek Westerplatte, początek oblężenia Warszawy. A gdy do Karli dobiegła wieść o ataku Sowieców od wschodu – straciła wszelką nadzieję. W tej sytuacji nie

pomógłby nawet cud. Przy tym wszystkim Karla rozumiała doskonale, że Byszewo musiało podzielić los dawnych majątków Sokolnickich, modliła się tylko o życie bliskich. I szalała z niepokoju o Emila i Janka.

Pod koniec września padła Warszawa. Powoli, przez Rumunię, zaczęły się sączyć wiadomości. Karla wykorzystała wszelkie dostępne sposoby, by się dowiedzieć czegokolwiek o najbliższych. Wspomagała ją Dorothy, razem wysłały dziesiątki, jeśli nie setki listów do znajomych, przyjaciół, przedstawicielstw dyplomatycznych neutralnych krajów, jednak bezskutecznie.

Cisza trwała do początku listopada. Był słotny dzień, kolejny z serii przygnębiających, złych dni. Karla była zgnębiona zarówno brakiem wiadomości, jak i Oksfordem, na którym codziennie od swoich kolegów z fakultetu słyszała o możliwym końcu wojny i zaakceptowaniu *status quo*. Wiele kosztowały ją dyskusje z co bardziej radykalnymi studentami twierdzącymi wprost, że Polska była winna wojny, przecież wystarczyło oddać Gdańsk, zgodzić się na eksterytorialną autostradę, a pokój byłby zachowany po wsze czasy. Karla nie pojmowała, jak ci skądinąd inteligentni ludzie mogą być aż tak ograniczeni. I na próżno cytowała lorda Churchilla, który po układzie monachijskim miał powiedzieć: „Anglia miała do wyboru hańbę albo wojnę. Wybrała hańbę, a wojnę będzie miała i tak”. Kwitowano ją tylko wzruszeniem ramion.

Siedziały z Dorothy przy kominku, próbując przy wyłączonym radiu rozmawiać na jakieś obojętne tematy, kiedy zadzwonił dzwonek. Susan pojawiła się po krótkiej chwili.

– List do pani – powiedziała i położyła na stoliku między Karłą a Dorothy tackę z kopertą.

Dorothy obejrzała kopertę.

– Z Budapesztu – powiedziała. – Nie ma nadawcy.

Wzięła list i sięgnęła po nożyk. Rozcięła obrzeżoną czerwienią i bielą kopertę poczty lotniczej i zaczęła czytać.

Karla zobaczyła nagle, że twarz Dorothy blednie. Ich oczy spotkały się. Dorothy zobaczyła przez chwilę w oczach Karli przerażenie dziecka uwięzionego w pokoju pełnym widm stworzonych przez własną wyobraźnię, sięgających po nie białymi szponami, kroczek po kroczeniu coraz bliżej i bliżej. Nie wiedziała, co zrobić. Przez ułamek sekundy chciała wrzucić list w ogień, ale nieoczekiwanie Karla sięgnęła gwałtownie po niego,

z determinacją i siłą bliskiej już rozpaczy. Jej oczy padły natychmiast na najstraszliwsze z możliwych zdań: „Zginął też Janek Donimirski”.

Świat zawirował jej przed oczami, po czym zapadła w mrok.

KONIEC TOMU DRUGIEGO

W PRZYGOTOWANIU:  
TOM III – ODZYSKANY LOS

## SPIS TREŚCI:

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Przygotowania](#)

[Paryż](#)

[Sheldon Manor](#)

[Zmiana](#)

[Dom pod Trzema Wiedźmami](#)

[Szczęśliwe dni](#)

[Kres czasów](#)

[Karta redakcyjna](#)

Projekt okładki  
Zofia Różycka

Opieka redakcyjna  
Dorota Gruszka  
Katarzyna Mach

Adiustacja  
Ewdokia Cydejko

Korekta  
Anastazja Oleśkiewicz

Copyright © by Marzena Rogalska  
© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2021

**znak**

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Więcej o naszych autorach i książkach: [www.wydawnictwoznak.pl](http://www.wydawnictwoznak.pl)

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Na zlecenie Woblink

**woblink**  
[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek

